ROK XX.
Ogólnego zbioru Tom LXXIX.

# ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

TOM III. — ZESZYT III.

Wrzesień.

WARSZAWA.

1895.

Druk Jana Cotty,
29. Senatorska 29.

# SPIS RZECZY.

str.


I. **Powrotna fala czyli odradzanie się smorgońszczyzny** Przez *H. B.* . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 417

II. **Tomek Baran.** (Szkic). Przez *Władysława St. Reymonta* 424

III. **Dążenia etyczne.** Przez d-ra *Antoniego Złotnickiego.* . . . 459

IV. **Kilka słów o lichwie w guberni Kowieńskiej.** Przez *J. W.* 472

V. **Narodziny poety-romantyka.** Przez *Zygmunta Wasilewskiego* . . . . . . . . . . . . . . . . . . 484

VI. **O etyce chińskiéj.** Przez *W. Lutosławskiego* . . . . 510

VII. **Przysłowia.** Kartki z dziejów literatury i kultury polskiéj. Przez *A. Brücknera.* (Dokończenie). . . . . . . . . . 531

VIII. **Rozwój pieniężny.** Przez *Kazimierza Pietkiewicza* . . . 576

IX. **Dwa parlamenty angielskie, wczorajszy i jutrzejszy.** Przez *N. T.* . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 611

X. **Produkcya rolna w Rosyi europejskiéj.** (Urywek z większéj pracy). Przez *A. Suligowskiego.* . . . . . . . . . 631

XI. **Kronika miesięczna.** Przez *Tadeusza Smarzewskiego* . . 641

XI. **Polemika.** W kwestyi nazwy Wisły i kolonizacyi pomorskiéj jéj brzegów.—Odpowiedź p. A. Bruecknerowi i St. Ł. Przez *Br. Chlebowskiego* . . . . . . . . . . . . 648

XIV. **Nekrologia** . . . . . . . . . . . . . . . . . 653

XV. **Sprostowanie** . . . . . . . . . . . . . . . . 654





Zeszyt zawiera arkuszy 15.

*Druk ukończono d. 10 Września 1895 r.*

# POWROTNA FALA

czyli

# ODRADZANIE SIĘ SMORGOŃSZCZYZNY.

Stojącemu nad brzegiem wody mogło się zdarzyć, iż widział jak za powiewem wiatru powierzchnia jéj marszczy się, powstają wełny czyli fale; jak każda z nich, gdy uderzy o brzeg, niby znika i zaraz potém niby ta sama powraca. Zdaje się, że to podobieństwo posłużyło literatom za okazyę do nazwania kierunku umysłowego obecnéj chwili w literaturze powrotną falą, albo jak chcą inni odrodzeniem się smorgońszczyzny: co do nas, nazwalibyśmy ten kierunek neoromantyzmem. Nazwa usprawiedliwi się w dalszym ciągu artykułu.

Unikając figur, gdyż i bez nich język jest bardzo nieścisły, powiedzmy jasno: Spodziéwają się najmłodsi literaci, że się powtórzy zjawisko z początku bieżącego wieku, gdy racyonalizm encyklopedystów wygryzł i wytrawił w życiu i w literaturze uczucie, gdy skutkiem tego powiał świeży wiatr i przyniósł ze sobą romantyzm i odrodzenie literatury w całéj Europie. Była to także powrotna fala ze średnich wieków, którą niektórzy uważali za oryginalną, tak jak obecnie zwrot do mistycyzmu i spirytyzmu, do czarodziejstw i telepatyi podoba się nazywać reakcyą uczucia przeciw racyonalizmowi, materyalizmowi, pozytywizmowi, powrotną falą, niby odradzaniem się romantyzmu z pierwszych mniéj więcéj 50 lat naszego wieku.

Powtarzanie się dosłowne zdarzeń w historyi jest niedopuszczalne w nauce; mogą być jednak podobieństwa i o tych jedynie mówić można.

Jest-że więc obecna chwila (dajmy na to ostatnich lat 20) podobna i w czém do okresu zwanego romantycznym? Podobieństwo między niemi dość wyraźne można upatrzyć. I tak, ruch naukowy XVIII wieku ciągnie się spotęgowany w pierwszéj i drugiéj połowie XIX-go. Nie przeszkadza to wcale poezyi kwitnąć. Jedni prowadzą badania ścisłe w naukach ścisłych i doświadczalnych; drudzy uprawiają pole fantazyi i uczucia, tworzą arcydzieła poetyczne. Otóż, druga połowa XIX-go wieku okazuje pewne podobieństwo z pierwszą pod względem naukowym — ale nie jest podobną do niéj pod względem poetycznym: brakuje znakomitych utworów fantazyi, za co licha krytyka literacka czyni odpowiedzialną naukę.

Jeżeli pod względem pozytywnym podobieństwo między pierwszą a drugą połową naszego wieku odnośnie ruchu umysłowego jest widoczne; to daleko widoczniejszém okazuje się ono pod względem negatywnym. I tak: obwinianie nauki, że do niczego nie doprowadziła, że zawiodła oczekiwania, że zbankrutowała, zagadek i nawyknień umysłu nie rozwiązała. Zauważmy tu nawiasem, iż tak mogą twierdziś tylko ci, co naukowych prac i rezultatów spółczesnych nie znają, albo smorgończycy, którzyby chcieli sprowadzić nowe zaćmienie umysłowe na ludzi. Chociażby nauka do końca świata nie rozwiązała zagadek i zagadnień umysłu; nie przeto jednak ma ona ustąpić miejsca czarodziejstwu i wywoływaniu duchów.

Jako inne podobieństwo prądu umysłowego obecnéj chwili z okresem romantycznym można wskazać piorunowanie na r a c y o n a l i z m i zgnębienie u c z u c i a przez rozum.

Czém jest racyonalizm? Zdawałoby się, że czémś rozumném, jak tego dowodzi etymologia tego wyrazu, *ratio*. Czy krytyka literacka neoromantyczna zdaje sobie sprawę z tego, co znaczy racyonalizm w religii lub filozofii, można wątpić czytając jéj ćwiczenia. Zdaje się ona używać terminu racyonalizm w popularném znaczeniu, jako takiego nastroju umysłu, gdy wszystko poddajemy ocenie rozumu i zarówno w życiu, jak i w teoryach naukowych, odwołujemy się do rozumu jako najwyższego kryteryum. Otóż, nawet w tém popularném znaczeniu, racyonalizm nie może być uważany za jakieś zboczenie umysłowe, albo za jakąś przeszkodę w rozwoju literatury. Nie masz w sprawach ludzkich potocznych i naukowych innego sędziego, i to najwyższéj instancyi, nad rozum. Powstawanie przeciw rozumowi, przeciw „szkiełku"; narzekanie, że rozum wystudził uczucie, wygnał

idealne, wzniosłe pragnienia z duszy ludzkiéj; że racyonalizm zdusił fantazyę i zatkał źródła natchnienia; narzekania takie świadczą o zaćmieniu umysłu i odradzaniu się smorgońszczyzny. Do kogóż, pytam się, apelować we wszelkich sprawach ludzkich, jeżeli nie do rozumu? Może do głupstwa?

Czy rozum gnębi uczucie? Tak mówią niektórzy, tak sądzi krytyka literacka staro- i nowo-romantyczna. Trzebaby tu wyłożyć część psychologii, ażeby zrozumiéć całą niedorzeczność podobnego twierdzenia. Rozum, uczucie i wola są funkcyami jednego i tegoż samego umysłu i nigdy jedna z tych funkcyi nie występuje w normalnym, t. j. zdrowym umyśle, samowładnie i nie może zatłumić reszty. Tylko niedoświadczenie może utrzymywać, że rozum się rozpanoszył i sponiewierał uczucie; on może nieraz wyszydził liche sentymenta; ale on z pewnością jest, a przynajmniéj być powinien, kontrolerem woli i uczuć — jeżeli czyny ludzkie i utwory artystyczne mają być coś warte — ale rozum prawdziwego uczucia nie zabija, nie tłumi; na jego samowładztwo u nas skarżyć się nie można, nietylko dzisiaj, ale od początku naszych dziejów. Dziwna rzecz, iż jak tylko w dziejach umysłowości zanosi się na zaćmienie, wnet puszczyki literackie hukają na racyonalizm i racyonalistów. Tak bywało w ostatnich 3 wiekach; tak się działo na początku bieżącego; tak jest pod jego koniec. To się nazywa przełomem, punktem zwrotnym, schyłkiem wieku. Im co głupsze, tym chętniéj przywdziewa arlekińską odzież i mianuje się schyłkowém (*fin de siècle*), epokowém. Tym schyłkowcom koniecznie chce się być zwiastunami nowéj epoki w dziejach. Ale sama chęć na na to nie wystarczy; trzebaby dzieł stanowiących punkt zwrotny, a tych nie mają. Co wyprodukowali w Belgii lub Francyi, stanowi godne *pendant* do malarstwa impresyonistycznego.

Schyłkowcy, wołając do poprzedników i przedstawicieli kierunku pozytywnego *ôte-toi, que je m'y mette*, posiłkują się tym samym argumentem: nie wydaliście żadnego wiekopomnego dzieła. Obiecywaliście bardzo dużo, a właściwie zostawiliście ledwie okruszyny i to pożyczone od innych.

Jeżeli w istocie jakieś pismo tygodniowe lub jakiś młody adept obiecywał za pomocą pozytywizmu sprowadzić wiek złoty na ziemię, z tego nie wynika, że cały kierunek umysłowy był zły, że się przeżył i potrzebuje zastąpienia po kilkunastu latach przez sztuki Mesmeryzmu. Nie pozytywizm, jako całość poglądów A. Comte'a, ale metoda naukowego badania rzeczy, starsza od niego, a którą on przypomniał wśród jałowych systemów metafizycznych: to stanowi cechę kierunku umysłowego, na który skaczą obecnie literackie kozy. Metoda ta, że

ią w jéj elementach przypomnimy, polega na pilnéj, krytycznéj obserwacyi faktów i zjawisk, na ich klasyfikacyi i uogólnianiu, na oglądaniu związku i stosunku między temi uogólnieniami; na odrzucaniu wszelkich hipotez i przypuszczeń, wymykających się sprawdzeniu przez doświadczenie i obserwacyą. Otóż ta metoda naukowego badania, starsza od pozytywizmu, ciągle doskonalona przez najtęższe umysły, nie ustąpi przed pukaniem duchów. Można z téj metody podkpiwać sobie można ją z przekąsem nazywać suchym racyonalizmem, dość, że historya nauk daje jéj świadectwo, jako jedynie prawdziwéj, a tém samém uprawnionéj w sferze prac umysłowych. To właśnie, że metoda ta jest tak surową, tak wymagającą wielu i ciężkich warunków od swoich adeptów, budzi odrazę w letkiewiczach i smorgończykach. Oni wszystko umieją i wiedzą drogę łatwiejszą i daleko krótszą przez intuicyą, przez inspiracyą, przez rozmowę z duchami. I żeby to tylko powietrzny naród poetów tak ubolewał nad przytłumieniem uznania przez rozum, możnaby mu darować. Ale gdy do chóru staje publicysta i także się zżyma na racyonalny i utylitarny kierunek u nas; zrozumiéć nie można takiéj publicystyki i takiego publicysty. Oto publicysta ów, pisząc o wystawie metalowéj w Warszawie, czyni wyznanie swoich wrażeń i przekonań. Wyznaje tedy, „że przed 20-tu laty należał do grupy tych samych pisarzy, którzy z zapałem i silną wiarą w moc rodzajną swych idei, wołali o rzucenie się do przemysłu, handlu i rękodzielnictwa. Jak jego przyjaciele i koledzy, wierzył on w to gorąco, że „nie żadnym błyskiem stali, nie natchnionych tonów mocą ludy czoła swe ozłocą; tylko pracą i mądrością, tylko trudem i miłością przyszłość serca im zapali." Jakże się mylił—mówi daléj o sobie publicysta—i jakże się mylili jego przyjaciele! Nawoływanie do bogacenia się, które miało zdobyć grunt, musiało znaléść oddźwięk w téj poziomej żądzy natury ludzkiéj, pragnącéj używania i władzy, jaką daje piéniądz. Rzucono się więc do przemysłu, stworzono tysiące (?) fabryk, wyrabiające przedmioty, olśniewające dziś widza na wystawie metalowéj — i cóż? A nic." Na 242 wystawców zaledwie stu nosi polskie nazwiska, reszta przeważnie kuńcówki żydowskie różne *brandy*, *szterny*, *bergi*. Czemu tedy publicysta nie raczył swoją końcówką na *ski* powiększyć liczby polskich wystawców? Bo łatwiéj narzekać na *szternów*, niż cokolwiek pożytecznego w kraju zrobić. Mówi publicysta, że podstawową siłą kraju jest rolnictwo. Niech i tak będzie. A co dla niego zrobił? A nic.

Takie i tym podobne utyskiwania świadczą, że autor nawrócony z pozytywizmu, posiwiawszy, odmłodniał, że interesa kraju rozumie tak samo, jak przed pół wiekiem rozumieli tacyż publicyści i bajarze, ostrzegający zubożałych, by się nie brali do przemysłu, by nie zgubili

z oczu ideałów. On też daléj utrzymuje, że dzięki tym nawoływaniom, tym teoryom mieszczańsko-żydowskim, które usiłowano zaszczepić przed laty dwudziestu na gruncie naszym, ponieśliśmy wiele dotkliwych strat, wiele bolesnych obrażeń". Jakich strat? jakich obrażeń? Więc tysiące fabryk, gdyby ich rzeczywiście tyle stanęło, miałyby stanowić straty dla kraju? Gdzie tu logika? Co znaczy ta deklamacya?

Przytoczyliśmy tu *curiosum*, jako jeden z drobnych szczegółów wykluwającego się neoromantyzmu. Tylko czekać; będzie ich więcéj, a potém będzie się to nazywało przełomem, nowym zwrotem w literaturze.

Oprócz tego rysu, cechującego mniemany nowy zwrot w literaturze, oprócz powstawania przeciw rozumowi, racyonalizmowi i utylitaryzmowi — jest jest jeszcze inne znamię, czyniące kierunek umysłowy obecnéj chwili podobnym do kierunku starych romantyków, mianowicie m i s t y c y z m , czyli zamiłowanie do świata niewidzialnego, zaziemskiego, do świata duchów.

Nie jest to ścisła definicya mistyki, takiéj, jak ją pojmowały i wyrobiły wieki średnie. Nie zasadza się ona jedynie na zamiłowaniu świata zaziemskiego, lecz oraz na pewném wewnętrzném usposobieniu jednostki, pozwalającém téjże bezpośrednio obcować z istotami zaziemskiemi, z duchami; na wywoływaniu duchów i odgadywaniu przez nie przyszłości. To zaś wywoływanie i wieszczenie odbywa się za pomocą czarów. Jest inny rodzaj mistyki, która dąży do poznania, a raczéj do ukochania Boga, gdyż człowiek, zdaniem jéj, poznać Go nie może; o takiéj mistyce, budzącéj poszanowanie, nic tu nie mówimy; dotykamy jedynie téj wulgarnéj, znanéj już starożytnym, a uprawiającéj seanse spirytystyczne. Taki mistyczny nastrój ogarnął niektóre umysły w pierwszéj ćwierci naszego wieku po wielkich wojnach Napoleońskich. Znać go też i w utworach naszych starych romantyków. Mistyka w utworach literackich sprawiała i sprawuje, że mają pozór niezbrodzonéj, niemal proroczéj głębokości i wprawiają tą głębokością w zachwyt późniejszych komentatorów. Oczywiście, w tych mistycznych oparach widzi się to, co kto chce widziéć, kształtuje się one wedle upodobań własnéj fantazyi i wmawia w ludzi, jakoby zawiérały przepowiednie mesyaniczne. Utwory poetyczne, wolne od téj mniemanéj głębokości i najmniéj mistyczne są też najpiękniejsze („Pan Tadeusz").

Neoromantyzmowi towarzyszy również mistycyzm najpośledniejszego gatunku, bo czarodziejski. I dawniéj bywały jasnowidzące i wunderdoktory, ale takiego rozwielmożnienia się cudotwórców, obieżyświatów, jak teraz, chyba nie było. Krytyka literacka neoro-

mantyczna widzi w tém objaw świadczący o prawach ducha wygnanego z ludzkich piersi przez pozytywizm, materyalizm i utylitaryzm, wogóle przez naukę nowoczesną. Stąd krytyka owa wnioskuje, że nauka zbankrutowała, ze duchowi należy powrócić jego prawa—jakby to od literatów zależało dawać lub odejmować owe prawa. Tymczasem w téj obronie ducha chodzi o duchownictwo, o spirytyzm, które jak zmory powracają i duszą drzémiące umysły ludzkie. Po co to wszystko? Po to, ażeby wykazać, że kierunek racyonalny w literaturze, ledwie rozpoczęty, już się przeżył, a nowy spirytualno-idealny ma się rozpocząć.

Porównywając tedy okres literatury staro-romantyczny z tym najnowszym neo-romantycznym można dojrzéć pewnych podobieństw, chociaż i różnice są niemniéj widoczne między niemi. I tak, w obu tych fazach myśli spotyka się wstręt do rozumu, do nauki, do analizy; jeremiady przeciw doświadczeniu, mistycyzm, bojowanie w interesie uczucia, którego praw w twórczości umysłowéj nikt nie przeczy. Ale i różnice między obu prądami są wydatne. Oto stary romantyzm nie miał w takiéj nienawiści rozumu, nauki, systemów filozoficznych sobie spółczesnych jako ten nasz lilipuci; dlatego myślimy, że się zanosi na nowe zaćmienia, na zmartwychwstanie smorgońszczyzny. Co do produkcyjności umysłowéj i wartości produktów obudwu faz, różnica jeszcze większa. Po owym starym romantyzmie pozostały dzieła piękne, któremi się słusznie chlubi nasza literatura beletrystyczna; ten nowy, spółczesny, dotychczas bardzo ubogi, więcéj wojowniczy, niż twórczy, nie wydał nic oprócz garstki bardzo pretensyonalnych powiastek, artykułów polemicznych, domagających się, by starsze pokolenie pozytywistów, materyalistów, sceptyków ustąpiło mu miejsca: *Ôte toi, que je m'y mette.* Próżne zachcianki. Powstawaniem na rozum nie zdobywa się pola, nie tworzy okresu.

Więc nie jesteśmy u schyłku wieku, więc urodziny mesyasza jeszcze nie nadeszły, więc ludzkość ma ciągle krążyć temi samemi drogami.

Znaków apokaliptycznych jakoś nie widać, chociaż jesteśmy u schyłku wieku; nowych, rodzajnych idei nie widać, chyba że za takie wziąłby kto napastowanie nauki i przypisywanie złodziejskich wynalazków teoryi ewolucyjnéj. Jakiemi drogami będzie ludzkość w przyszłości krążyła, nie wiemy zarówno jak neo-romantycy; zdaje się przecież, że ani drogą spirytyzmu, ani telepatyi. Niestety, ludzkość musi pracować, uczyć się, a prorokowanie zostawić neo-romantykom.

Trzeba się zgodzić, że wszelkie prądy i kierunki w literaturze

z wyjątkiem niedorzecznych, mają prawo do bytu. Już zaś kierunek antyrozumowy, czarodziejski, dorzecznym nie może być nazwany, lubo może istnieć tak, jak obok zdrowych ludzi żyją i chorzy.

Nowych dróg, nowych kierunków szukać jest rzeczą godziwą, a umysł ludzki wiecznie czynny zapewne niemało ich jeszcze wynajdzie; jest jednak pewna droga dawno odkryta, któréj opuszczać nie wolno, jeżeli ktokolwiek bierze na seryo naukę i literaturę. Tą drogą jest doświadczenie, obserwacya, rozumowanie; tą drogą zdobyta cywilizacya i cokolwiek ulgi dla życia człowieka. Majaki inspiracyi, intuicyi, zgadywania myśli zbliska i zdaleka, mogą także zajmować umysł, ale mało jest takich, coby wierzyli w ich owocność. Nowego okresu w dziejach ludzkich i literackich chyba jeszcze tak prędko nie będzie; dlatego trzebaby radzić oczekującym palingenezyi, żeby rozumu i nauki na strych jeszcze nie wynosili. Niechby się one u nas ile tyle zagnieździły, a z pewnością nie czytalibyśmy takich artykułów, jak ów o wystawie metalowéj wyżéj cytowany, zbiegłego pozytywisty. Trzeba się uczyć, trzeba się pilniéj uczyć, a mniéj fantazyować.

*H. B.*



# Tomek Baran.

## SZKIC.

Tomek otworzył drzwi do karczmy, para buchnęła z izby, niby z obory, i zaduch prawie lepki od gęstości go owiał; ale Tomek nie zważał na to, tylko wszedł i po przez naród, splątany gęsto, niby żyto na boisku, przepychał się do drewnianych krat, za którémi stał szynkwas.

— Dać półkwaterek, ino krzepki.

— W blaszkę nalać?

— Nie, w szkło.

Odmierzyła mu karczmarka. Zapłacił, wziął buteleczkę, kiéliszek i poszedł na drugą stronę izby, do drugiego stołu, usiadł pod ścianą, wódki w kiéliszek nalał i wypił. — Strzyknął śliną przez zęby, obtarł usta rękawem i zamyślił się. Żarło go coś we środku, bo nie mógł usiedzieć spokojnie, spluwał, bił pięścią w stół, to unosił się, chcąc biedz, ale opadał na ławę z cichym jękiem i rozciérał oczy kułakiem, bo mu coraz to łza spływała na suche, sinawe i przegryzione policzki, a piekła go jak ogień. Prawie nie wiedział, co się wkoło niego dzieje. Jakieś ciężkie strapienie leżało mu na sercu kamieniem, bo widać było, że rady sobie dać nie mógł, i że z coraz większą bezradnością opuszczał ramiona, i że coraz częściéj wzdychał i drapał się po głowie.

A karczma aż się trzęsła od hołupców. Ze dwadzieścia par zwartych ze sobą szczelnie na niewielkiéj przestrzeni, krążyło wkółko z przytupywaniem i pokrzykiwaniami.

— Hop! hop! hop! leciał głośny pokrzyk. Wódka i upojenie tańcem dymiły ze łbów, a podniecenie dzikie tak podrywało tańczących, że coraz zacieklej przytupywali i coraz szybciéj się okręcali w kole.

Czerwone wełniaki kobiét pstrzyły się między białémi sukmanami, niby maki w polu dostałego żyta. Kończący się dzień rzucał przez małe zamarznięte szybki karczmy, smugi rudawego światła, a mały kaganek, świécący nad okapem, chybotał się ciągle i podrygiwał, jakby w takt hołupców.

Wrzawa głucha podnosiła się, niby szum splątany i niewyraźny, z którego tylko wylatywały, jak błyskawice, jędrne: Hop! hop! hop! i znowu na chwilę tonęło wszystko w zgiełku ogromnym; bo przy stołach, po kątach, przy szynkwasie, gdzie tylko miejsce było, wszędzie stali ludzie i raili: o łońskich kartoflach, o księdzu proboszczu, o dzieciskach, o dobytku, o wszystkiém, co im leżało na „wątpiach” i z czego w kompanii zawżdy łacniéj się wygadać i łacniéj miéć pożalenie; bo nawet, na ten przykład, jako i bydle i ze źródła wody samo się nie napije, a w kompanii pije i ze „chrapu”, tak i człowiekowi samemu nie żyć, w karczmie się nie weselić, do lasu nie jeździć, ino, jak Pan Bóg przykazał, zawżdy z drugimi, — z bratamy.

Wszyscy razem mówią, przepijają do siebie, ściskają się z serdecznością i „kuntentność“ z wódką rozpromienia wszystkie oczy, i coraz głośniéj krzyczy: Hop! hop! hop!

Dyle podłogi pod ciężkiémi przycinaniami obcasów skrzypiały coraz cięższéj — a basy umieszczone wysoko, na kłodzie z kapustą śpiéwały coraz grubiéj:

— Bom cyk, cyk! Bom cyk, cyk!

A na to im odpowiadały lipowe skrzypeczki:

— Tuli tuli, tuli tuli, tulity, tulity!

I ochota była siarczysta i niepowstrzymywana. Twarze były przy twarzach, piersi przy piersiach, plecy przy plecach — a wszystko tak na wskroś przeniknięte rytmami skocznéj muzyki—że oberek szedł taki wściekły, zamaszysty, chłopski, aż sęki wylatywały z podłogi, szybki jęczały żałośnie, a grube, pękate kiéliszki na szynkwasie, aż dziw, jak podskakiwały z uciechy.

Od czasu do czasu karczmarz brał bęben z brzękadłami, potrząsał nim mocno, niby chłop żyda za łeb, uderzał pięścią w skórę do taktu skrzypkowi.

— Dyz, dyz, dyz! — brzmiało wtedy zgiełkliwe, zagmatwane i ogłuszające brzękiem — i tupot był zaraz siarczystszy i pokrzyki więcéj schrypnięte, a kaganek aż przykucał i kopcił sadzą, na powiéwające, niby płaszcze, kapoty. Para z topniejącego na butach i przy drzwiach śniegu, dym z papiérosów i mrok, jaki panował w ogromnéj izbie, przysłaniały tańczących, że zaledwie tylko migotały czerwone twarze i niewyraźne zarysy ciał i barwy jaskrawe, w tym zapamiętale się kręcącym wirze ludzkim.

— Kto mi będzie usługiwał, usługiwał... cha... cha... cha... i... i... i...—chichotały wesoło skrzypeczki.

— Oto ja, tylko ja... a .. a... a... — odpowiadały z jakiémś podrygiwaniem basy i zaraz do spółki zaczęły śmiać się i baraszkować i przenikać wszystkich śmiéchem wesela; aż karczma zdawała się trząść od przypływu pijackiéj wesołości.

Jedna baba oszalała,
A druga sią wściekła;
Trzecią dyabeł okulbacył
I pojou do piekła.

Zaśpiéwał ktoś jak na pobudkę, bo zaraz zaczęły się zrywać coraz inne zwrotki i bić wesołością coraz większą.

Tomek tylko wciąż siedział zadumany; nalał drugi kiéliszek, ale mu go wywrócił jakiś rozhulany tanecznik, więc kopnął ze złości w jego tancerkę i wstał, bo i zimno mu było od okna i markotno siedziéć samemu, poszedł za szynkwas do alkierza.

Narodu i tam było pełno, buteleczki ściskali w garściach, całowali się, gadali i przepijali do siebie, baby wstydliwie przysłaniały się zapaskami i cmoktały okowitę z rozkoszą. Poczęstunek szedł rzetelny — katolicki: stać było kogo na arak, –– stawiał, abo na spirytus z asencyą, — stawiał, abo na okowitę samą, — stawiał, abo tylko na piwo,— stawiał.

Stawiał z dobrego serca i z ochoty.

Wszyscy byli już pijani, ale nic to: raz kozie śmierć, gorzalina nie piekło, a biédnemu kiej-niekiej trzeba pocieszenia duszy grzesznéj, i choć kapkę na frasunek.

— O psie jeden—bełkotał pijany chłop do komina—takiśto kum! czekaj!... A ja go tak, a un me tak, a ja go za orzydle, a un me w pysk!... Takiśto kum, o psie jeden, taki krześcijan!... a un me w gembe!... Bartek zmógł siła, to i ciebie zmoże... zmoże... psia... zmoże... A ja go tak, a un me tak, a ja mu pedom grzecznie: bracie! a un me w pysk, a ja mu pedam: kumotrze!... a un me w pysk! a ja mu

potém: takišto kum... taki krześcijan... — mruczał coraz niewyraźniéj i bił pięścią w komin, aż się echo rozlegało i zataczał się coraz senniéj.

Ja za wodą, ty za wodą,
Jakże ja ci buzi podom?
Podom ja ci na listecku,
A naści-ze, kochanecku.

Zaśpiéwała Karlina, ta co to w kopania męża pochowała i siérociła teraz sama jedna na półwłóce pszennéj ziemi z koniem, z krowami i z niezgorszemi jeszcze szmatami po nieboszczyku. Rzuciła się do młodego chłopaka, stojącego pod ścianą i znowu mu zaśpiéwała:

Wojtecku, Wojtecku,
Nie siedź na przypiecku —
Ino chodź do wdowy,
Bo ma chléb gotowy.

— Wojtek, w twoje ręce, parobku kochany. Głupiś, będziesz się ta ojców bojał. Jakem rzekła: grunt ci zapiszę, to zapiszę, bo to nie mój, co?

Będziesz miał, kiej w raju--moje ty kochanie,
Zjész syrek na wieczór—kurę na śniadanie.

— Ojcu duchownemu się pokłoń i na zapowiedzie daj, wieprzaka się uszlachtuje, kołaczów upiecze, araku kupi i weselisko się wyprawi, że aż ha!

— Oj, stara a głupia! Zębów nima, a gryzłaby. — Odezwał się ktoś z boku.

— Hale! gdzieś se wraź ślipie, a nie komu w zęby. Widzicie go, „deputnik“ pieski!—Rzuciła się Karlina gwałtownie.

— Cichojta, kumo, ja wam coś rzeknę.

— Psu se rzeknij. W palto się ustroiła pokraka i myśli, że „sielny” pan — a choć ty po wsi szczekasz, jak ten pies, ja ci i tak gorzałki w gardziel nie naleję.

Zwróciła się do Wojtka, odciągnęła go w kąt i namawiała go sobie daléj, a obok przy stoliku siedziało dwóch chłopów i popijało z pękatéj butelki. Jeden drapał się po głowie i milczał, a drugi gestykulował szeroko i gadał:

— Miarkujcie tylko, że Czerwiński to wam rzekł: termedye różne szły na mnie, jak baby na żydoskiego konia, a ja nic! Kobiéta mi się przy dziecku zmarnowała—nic! konie mi ukradli—nic, ino czekam, Jędrek mi zachorował na ospę — o psiachmać! Jak nie wypiję okowitki z tłustością, jak nie zaniesę dobrodziejowi na mszę świętą — i—jak rę-

ką odjął! Grzela, rób tak samo, a zobaczysz, że ci pomoże. Czerwiński ci to mówi, to Czerwińskiemu wierz.

— Dziecisków, jak pliszek na podorówce, kobiéta na świéże chora, podatek trzeba płacić, kartofle mi zmarzły, biéda aże piszczy — a tu na to wszystko — patyk złamany. Laboga, laboga! Pijcie no do mnie! Widzi mi się, że nie poradzę, na rozum bierę i z téj i z tamtéj strony i nic wykalkulować nie mogę.

— Głupiś, w twoje ręce, Grzela; już ty lepiéj w pysk od dozorcy bierz, a na rozum nie bierz, bo nie poradzisz, a pięścią kiedy niekiedy weźmiesz, ale i robotę miał będziesz na plancie i świéży grosz. Miarkuj se ino — Czerwiński ci to mówi! a Czerwińskiemu wierz, bo jako dobrodziéj powiedzieli, co w parafii on jest jedna głowa, a Czerwiński druga! Niech mu Bóg da zdrowie, mądry on szlachcic i uczony. W twoje ręce, Grzela.

— Pani Jackowa, moja pani Jackowa: flaszeczkę esencyi, kwaterkę spirytusu, dwa rządki bułek i kiełbasy font! — Wołano od stolika pod oknem, przy którym siedziało czworo ludzi; dwoje ubranych z miejska i dwoje po chłopsku.

— Pani Jackowa, moja pani Jackowa, a octu do kiełbasy, a talérza dla pana Strzelca! Widzi pan Strzelec, ja powiem, jak to było...

— Cicho, stary, ja dokumentniéj opowiem, bo ty nie pamiętasz— przerwała mu żona.—Ide se duchtem na ten przykład, ide...

— Stul gembę, zaraz będzie tu ozorem mléć po próżnicy. Ja popowiem. Pańskie zdrowie.

— Pijcie z Bogiem.

— Słodka i mocna, panie Strzelec, jeszcze jednego!

— Wasze zdrowie, Andrzeju.

— Pani Jackowa, jeszcze tego samego.

— Bóg zapłać, Andrzeju, ale ja już nie mogę.

— Mój najukochańszy panie, jeszcze kiéliszek, tylko ździebko, choć łycka, o... Zaraz powiem, jak to było. Żona mówi: idę se duchtem, niby przez działkę pana Strzelca, powiada, leży coś: zając, czy nie zając — nie; nima ogona, powiada, nie zając. Cielak, czy nie cielak — nie, nima ogona, powiada, nie cielak, a i nie świnia, bo nie kwiczy. Baba stanęła, ba, aż ścierpła ode strachu, że tylko odmawia „Pod Twoją obronę“; a ten zwiérz leży fort i rozdziawia gembę, powiada, a kły miało, jak palec — a że babski naród, zły naród i zapamiętały, czy to w złości, czy w dobroci — to jak nie zdéjmie trepiska z nogi i jak nie chlaśnie tego zwiérza w łeb, i jak nie weźmie uciekać z płaczem do domu — powiada. Przyleciała do chałupy i powiada: Stary!—A co?—odrzeknę.—Zabiłam jakiegoś zwiérza na duchcie—po-

wiada. Nie odrzekne nic, bo myślałem, że ją tak z chodu zamroczyło i plecie trzy po trzy, zwyczajnie, jak baba. A ta wciąż swoje: — Zabiłam zwiérza, czy cosik na duchcie. Grdyknąłem ją ano przez plecy, bo co tu będzie pléść, a ta znowu swoje:—Zabiłam zwiérza na duchcie, laboga! Z babą nie poradzę, myślę sobie, a może i człowieka zabiła albo co. Założyłem siwkę i pojechałem zobaczyć, jako mnie wtedy w lesie i spotkał pan Strzelec.

— Andrzeju, nie cygańcie! Złapałem was, jak kładliście sarnę na wóz.

— Jeszcze kropeleczkę gorzałki, panie Strzelcze,— na drogę. Ja prawdę rzekłem, jak na spowiedzi, przed dobrodziejem. Pan Strzelec jest mi więcéj, niż ociec, niż brat, bo mój dobrodziéj kochany. Wiem, że jak pan Strzelec chciał będzie, to ja w sądzie sprawę przegram, bo już na świecie takie urządzenie jest, że zawsze szlachcic górą, a ty, chłopie, cierp, rób i płać! Wiem, że pan Strzelec człowiek rzetelny, zgodny i sprawiedliwy, to krzywdy mi nie zrobi, a że pana kocham, niby rodzonego — świniaka jutro żona zaprowadzi, po przyjacielsku, i zgoda będzie. Co tam sądom dawać zarobek! Pani Jackowa, jeszcze tego samego.

— Dołożę jeszcze kaczuszków i miodu plasterek, bo wiem, co pani Strzelcowa jest pani szlachetna i delikatna, w szkołach była edukowana, jako i pan Strzelec, a nie takie chłopy-chamy, jak my na ten przykład. — Dodała chytrze kobiéta, chyląc się do kolan Strzelcowéj, ta zaś ją ujęła za szyję i z rozrzewnieniem zaczęły się całować.

— Już ja mam takie miękkie serce, że nietylko wam sarnę daruję, Andrzeju, ale jakby wam potrzeba było sosenki jakiéjś, albo i dąbka młodego—to odmówićbym serca nie miał.

— Pańskie zdrowie, duszo miłosierna i krześcijańska.

Zaczęli przepijać do siebie często, całować się serdecznie i szeptać pocichu, że od drugiego stołu znowu słychać było chłopów:

— O juchtra! zmarnował się człowiek. Wyście z nim razem mieszkali?

— Tylko przez miedzę. Patrzyłem się na wszystko, to jušci, że człowieka markotność rozbiéra, niby choroba.

— Czerwiński wam powié tak: mógł jeszcze żyć, „co go wypominam podczas wieczoru ale w dobry sposób", — mógł.

— Hale! Na wielki dwór wcale już nie chodził, tylko mu ciągle odmiatało; postękiwał, postękiwał, aż i zamarł chudziaszek.

— Doktór pono u nich był?

— I.... dochtory. Jak kto ma zamrzéć, to choćbyś mu gruntu hubę dał i dobra wszelkiego po grdykę—nie ożyje.

— Prawda! w twoje ręce, Grzela!

— Pijcie na zdrowie. A kto był winien temu? Po prawdzie i sprawiedliwości, że tylko świnia i baba, nie kto drugi. Maciorę miał utuczoną, niby kłoda; poprowadził ją na sprzedanie, bo grosza było potrzeba. Poszedł z oną świnią; śniegi zwaliły po pas, nautykał się, namarnował, zwyczajnie, jak przy handlu. Potém kiełbasy zjadł, zastygła w nim i zmizerował się. Żeby był gorzałką zapił, nic by mu, jako Bóg na niebie, nie było, ale nie pił i półkwaterka.

— Bał się nieborak piekła w chałupie.

— Ho, ho! Babę miał marną, ale imistą w garści; prała-ć go nieraz, prała!

— Wasze, kumie.

— Niech będzie na zdrowie. Czerwiński wam tak powié: żeby był „psiąkrótkę" prał, ażby jéj pomroka na oczy wlazła, to miałby żonkę grzeczną, że ha!

— Prawdę mówicie, sołtysie, prawdę. W garści miękki był, chłopskiego pomyślonku nie miał, i teraz ziemię gryzie—a wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie.

— Na wieki wieków, amen. W twoje ręce, Grzela.

— Takiście to mąż?— kobiéta tam ledwie żyje, a wy tu pijecie sobie, pogany!—krzyczała jakaś baba, przepychając się do nich.

— Co mi tam!... dziecisków niby śmiecia, a tu nowe...

— Grzela, nie obrażaj Pana Boga, bo ci jeszcze je pobierze...

— Napijcie się, kumo, kapkę i zaraz pójdziemy.

— A jak to mnie Jezusiczek—zaczęła kobiéta — nie pocieszył na starość dzieciąteczkiem, a tak prosiłam, do Częstochowy-m chodziła i u różnych doktorów się likowałam i nic — sama zostałam na świecie, jako ten grzészny palec... sama

— Ale, miéj baba dziecko, jak ci sto lat minie.

— Nie gadałbyś, Czerwiński, nie byłam to młoda, co?

— Pan Bóg wstąpił w niebo, dyabeł w babę, a kwas w piwo — tylko, że niewiadomo kiedy! — miarkuj se to, niewiasto, bo ci tak Czerwiński rzekł.

W kącie na skrzynce siedział młody chłopak, organistów miejscowych syn, a przed nim stała bardzo stara kobiéta i szeptała przyciszonym dźwięcznym głosem:

— Siedemdziesiąt sześć roków żyje, paniczku — tom widziała i białe i czarne i różne. Sługiwałam i u takich państwa, co tylko w ogiery jeździły, na srybrnych miseczkach jedli i pozagranicznemu gadali—a gdzie są oni teraz! gdzie? I na książce umię, i gospodynią, pierwszą na całą wieś, byłam, i dzieci miałam, i dobra wszystkiego

dotąd... o... i wszystko gdzieś przeszło, skapiało, jak to słońce latowe, co go nam Pan Jezus daje grzesznym na pocieszenie. Wiem ja wszystko paniczku, wiem, że czy to pańskie życie, czy to chłopskie życie — to zawżdy nic innego, tylko ostatnia mizeracya jest. Ja prosta baba jestem, siedemdziesiąt i sześć roków mam — to sobie już wszystko wymiarkowałam. Paniczku! sześć tysięcy lat świat se stoi?

— Prawie sześć tysięcy lat.

— A widzi paniczek, że ja wszystko wiem, a według tego tak myślę: że tyle tysiączków świat stał sobie bezemnie i dobrze było, to przez co ja tyle roków przecierpiała!? Co tu po mnie było?

— Ano, trudno, Pan Bóg życie dał... to...

— Paniczku — przerwała mu szybko stara — ja prosta baba jestem, a paniczek uczony, bo na organach grać gra, po łacińsku z ojcem duchownym, paniczek śpiewa i wié, kiedy wyciągnąć nutę cienką, a kiedy grubą — ale powiem: może ja grzeszne mam myśli, — ale powiem: że to pewnikiem dyabeł wypuszcza sobie duszyczki na świat, żeby cierpiały, żeby się tłukły w ostatniéj mizeracyi przez tyle lat, co ja. To nie Pan Bóg, choć tak w książkach stoi i księdze mówią: nie. Coby ta Jezusieczkowi przyszło z tego, że tyle narodu się nacierpi, nabiéduje, namarnieje... Pan Bóg jest dobry pan i sprawiedliwy... Nie słodkie jest życie, nie aksamitne—tylko drze niby zgrzebło, aże się człowiek krwią serdeczną obléwa.

— Co wy téż Jagustynko wygadujecie, przecież to grzéch...

— Tylko krzywdę drugiemu człowiekowi robić jest grzéch, a jabym psa nie żgła kijaszkiem, bo żyw i także cierpi przez to. Paniczku, prosta baba jestem, ale serce mam, jak ten węgielek przez ogiéń spieczone, przez gorzkość, com ją piła całe życie i za siebie i za drugich, i wiem, że dyabeł dał życie, aby się ludziska po wiek wieków marnowali po świecie, przez złość do Pana Boga, ale Jezusiczek najkochańszy zlitował się nad nami, przeparł złego i po trochu wybiéra se ludzi do swojéj chwały — i wybierze kiedyś wszystkich. Ja tylko czekam, aż kostucha przyjdzie i rzeknie: Pódzi!... czekam i paciérz oto mówię, niechby najprędzéj oczy przywrzéć, nie miéć już nijakiéj turbacyi, ni biédy—i odpocząć sobie rzetelnie, odpocząć, paniczku...

Wyprostowała się nad drzémiącym organiściakiem i suchą, przeradloną troskami i starością twarz zwiesiła, a w wybladłych, przepalonych łzami oczach błysnęły jakieś łzy... obtarła je szybko zapaską, westchnęła cicho i zwróciła się do Tomka, siedzącego samotnie na skrzynce, z flaszką w garści.

— Tomek! tobie z oczów coś złego patrzy—szepnęła, dotykając jego ramienia.

— A coby, jak nie biéda? bo to babka nie wiedzą?...

— Słyszałam coś, ale ludzie różnie gadają, że nie wiadomo kiej wiara, a kiej para.

— Dymisyę mi dali—szepnął chłop smutnie.

— Bez co?

I w głosie jéj zawdzięczało ogromne współczucie.

— Bez co?... bo trzeba było dawać dozorcy: to gąski pod jesień to masła na zapusty, prosiaka i jajków na Wielkanoc, to kuraków na Świątki—a ja nie nosiłem, jak drugie: skąd wziąłbym? Dzieciom nie było co dać jeść — kobiéta mi się z biédy zmarnowała, krowa padła téż nie przez dobrość, kartofle, wiecie, jakie były łoni... mniéj wykopałem niż wsadziłem. Darłem się prawie, i ani żonie, ani niczemu nie poradziłem; harowałem na służbie i w domu, i w dzień i w nocy, a biédy nie zmogłem. Dozorca ciągle pomstował na mnie — com mu miał dać? pod żebro może, bo sam z dziećmi nie mieliśmy co na ząb położyć. Pędził mnie i pilnował przez złość coraz barzej. Pisał do naczelnika laporta, że jestem hardy, że lenciaj, że na służbie śpię, że plantu nie obchodzę—potém powiedział, że żelazo ukradłem z magazenu, że...

— Tomek, wziołeś? powiédz mi prawdę, już ci wszystko jedno, co?

— Nie wzionem, babko, nie — żebym tu, jak zły pies skapiał przez świętéj spowiedzi, prawdę mówię; nie kradłem nigdy, kradły nieraz drugie kolegi, ale mój ojciec nie kradli, to i jego syn nie będzie złodziejem. Biédny ja jestem, ale i tak złodziejem nie jestem.

— I tylko cię przez to wygnali. Powiadali, że żelazo znaleźli u ciebie...

— Juści. Rzetelna prawda, znaleźli, ino że nie ja przyniesłem. Rafałów Michał obiecał dać dozorcy pięćdziesiąt rubli, jak go zrobi dróżnikiem, a że wakansu nie było, to on podrzucił u mnie żelazo i denuncyował. Rewizyę zrobili u mnie, znaleźli i wygnali mnie. Wszystko przepadło, bo chociem wiedział, kto to zrobił — świadka nie miałem. Sześcioro narodu zostało bez chleba. Zarobić nie ma gdzie, jeść nie ma co, żyć nie można, a jak Jezus miłosierny nie pomoże, nie ścierpię, nie ścierpię!

Jęczał bezradnie i łzy mu pociekły strumieniem po zczerniałéj twarzy.

— O dolo ludzka: tylko płacz policzki przeżre, tylko dusza z bolenia skurczy się, jak ptaszek na mrozie, a żaden poratunek z nikąd nie przyjdzie. Tylko głupi naród mówi, że jest jaka dobroć na świecie; oj jest dobroć, aże gardłem wyłazi.—Szepnęła gorzko stara.

— Nie daj się Tomek; i złego Pan Jezus przeparł, to czemuby poczciwy człowiek nie poradził biédzie z pomocą Panienki Najświętszéj. — Rzekła mu pocieszająco i poszła do szynkwasu; kupiła dwa rządki bułek, kwartę kaszy jaglanéj i z tém powróciła do niego.

— Tomek, weź kaszę i bułeczki dla dzieci, biédna jestem siérota, dać bym dała, ino nie mam co. Kto ma owce, kupi co chce, a ja komornicą jestem. Ale! Tomek, poradzę ci coś...

— Poradźcie, babko, to wam Pan Jezus i ta Przenajświętsza zapłacą za mnie biédnego.

— Idź jutro do dozorcy, obłapij go za nogi, może się ulituje; przecież sam ma dzieci, bo samemu tobie zdychać z głodu, nicto — ale bidota taka, co jeszcze nic nie kalkuluje, nie potrafi ścierpiéć i grzéch jest, coby skamlały dzieciska z głodu.

— Nie, babko, nie pójdę — szepnął z ponurą zaciętością Tomek. — Niech skapieję, przyjdzie zdechnąć z głodu, to zdechnę, a jego prosić nie będę. Leżałem ja temu piekielnikowi u nóg i o robotę jak pies skamlałem, i jak pies skamlałem o zmiłowanie nad dziećmi — to mnie kopnął nogą i kazał wyciepnąć za drzwi!... Nie, nie pójdę, bo się boję grzechu, bo się boję — bo jak go zobaczę, to mnie tylko ciągotki biorą, żeby go za gardziel chwycić i jak złego zwierzaka zakatrupić!

Szeptał przytłumionym nienawiścią głosem i pięści zaciskał coraz silniéj, potém chwycił się za piersi i znowu zaczął:

— Aż mnie w piersiach boli, tak się zmagam, ale ścierpiałem tyle, że więcéj nie wiem, czy poradzićbym poradził.

— Baran, trzymaj ty w sobie tego wilka mocno, trzymaj, bo o nieszczęście nie trudno.

— Do boru jutro pójdę siągi rąbać.

— Koszula nie rządzi, kiedy brzuch błądzi.

— Od ćwierci sążnia złoty i groszy dziesięć psiadusza żyd tylko płaci i potrzeba na to dobrze dwa dni żebra wyciągać.

— Tomek, idź ty zaraz do proboszcza i proś — on się zna z urzędnikami, to mógłby przemówić za tobą, aby ci robotę jaką na plancie dali.

— Hale, kiedy ksiądz jeździ do dozorcy i znają się ze sobą dobrze...

— Głupiś, ksiądz zawdy na sprawiedliwość i na biédny naród, ma większe uważanie. Poradzić ci co może i pomódz.

— Nie mam co w pazury wziąć, a tak gołkiem, bez niczego, śmiał nie będę.

— Głupiś! dzieciska mu na podarunek nie weźmiesz, a co innego masz?

— Prawda, ale... zawsze... nie zanieść nic dobrodziejowi...

— Głupiś, mówię ci idź zaraz, do nóg dobrodziejowi padnij, wszystko opowiedz—a tylko się w piersi bij, i płacz, i mów o dzieciskach—to zobaczysz, że ksiądz zmięknie zaraz.

— Ta! to i pójdę—szepnął prędko przekonany i wstał ze skrzynki, kożuch obciągał, baranicę na głowę nadział i przepychał się przez alkierz i przez tańczących.

Stara wyszła za nim, przed karczmą powiedziała mu jeszcze:

— Tomek, nie bądź hardy z dobrodziejem i proś grzecznie, bo chłop bez gruntu, to jak ptak we wodzie, rozpłaszczy się skrzydełkami i musi piukać, coby mu drugie pomogły, boby sam utonął.

Nie odrzekł nic, bo go taki mróz owionął, że aż się zachłysnął zrazu, ale baranicę głębiéj jeszcze nasunął na oczy i poszedł prosto od karczmy, przez pola wydeptaną w śniegu ścieżką.

„Będziem jedli, będziem pili, będziemy się weselili!" — śpiéwały za nim skrzypeczki.

„Jak Bóg da, jak Bóg da!" — mruczały ciszéj basy, podrygując wesoło, ale Tomek nie słuchał tych głosów, co się wydzierały przez strzechę karczmy i rozpryskiwały w mroźnem powietrzu niby brylantami skrzący się dészcz dźwięków—tylko szedł ostro.

Na polach widno było od śniegu i od księżyca, jak w dzień.

Olbrzymie białe chmury leżały w przestrzeniach, co się rozciągały nad ziemią w wielkim majestacie ciszy i ogromu, niby srebrno-płowe opony. Równiny pofalowane wzgórzami, poznaczone nagiemi szkieletami drzew, zsypiskami kamieni — rozléwały się morzem oślépiającém białością skrzącego się śniegu. Taka głęboka cisza panowała w polach, że Tomek długo jeszcze słyszał odgłosy karczmy i chwilami odwracał się spojrzéć na nią i na migoczące złote plamki, światełek wsi, ale potém przyśpieszał jeszcze kroku i biegł, nie zważając na mróz, kłujący go w policzki i zapierający mu oddech.

Przydrożne, oszroniałe krzyże, rzucały błękitne, długie cienie; zdejmował czapkę przed niemi, żegnał się nabożnie i wzdychał głęboko — czasami zabijał ręce skostniałe o ramiona, zaciskał mocniéj pas i szedł daléj.

Czasami stado kuropatw podrywało się z cichym a przejmującym krzykiem, kołowało chwilę i zapadało w białéj, srebrnawéj mgle, wiszącéj nad śniegami — to znowu zając sadził przez pola, przystawał, nasłuchiwał, stawiał słupka i pomykał daléj; to znowu jakaś bezkształtna, szara chmura płynęła przez przestrzenie i rzucała błękitna-

wy cień na śniegi; to jakiś głos suchy mrozu leciał nad ziemią i rozbity w miliardy drgań, skrzył się w blaskach i mącił ten boski spokój nocy zimowéj; to pomruk, podobny do westchnienia ciężkiego, biegł od lasów, to głuchy szum i odległy—i była znowu cisza, martwota, pustka i wielka, słodka senność na ziemi.

Tomek nie zważał na nic, bo sobie w myśli układał: jak to on przyjdzie do księdza, jak padnie mu do nóg, jak powié: Dobrodzieju! jak się rozpłacze i zacznie przed tym kochanym ojcem wyjawiać swoje strapienia i nędzę swoję, i tak się już przejmował, że łzy rozczulenia zabłysły mu w oczach, stoczyły się po policzkach i zamarzły na wąsach. A potém myślał o domu i dzieciach:

— Marysię dam w służbę, Józwę téż—będzie dziewuchom lepiéj, a i mnie lżéj — ale coś go zabolało w sercu na myśl rozstania się z dziećmi.—Śpią se robaki kochane, śpią — pomyślał, obmacując starannie bułki i kaszę, które miał w zanadrzu. — Pan Jezus da doczekać wiosny, to o robotę będzie łatwiéj i ony coś niecoś zarobią—myślał.—Praży téż Jezusieczek, praży — szepnął, rozcierając sobie twarz śniegiem. — Folguje se Pan Jezus, folguje... — i przystawał nasłuchując. Od stodół dworskich zdaleka majaczących szaremi ścianami, dochodziły odgłosy psiéj wrzawy. Zaczął iść wolniéj i coraz lepiéj wytężał wzrok i trwożliwiéj, bo ten psi gwar, naszczekiwania, skowyty—brzmiały coraz bliżéj i groźniéj. Wkrótce zobaczył kikunastu psów, coś zajadle rozrywających pomiędzy sobą.

Na folwarku owce zdychały na motylice całemi setkami, więc je służba po odarciu ze skóry wywłóczyła za budynki i zakopywała w śnieg. Ze wszystkich stron psy się zlatywały do biesiadnego stołu i przez całe dni i noce ucztowały, żrąc się o padlinę.

Tomek ominął je zdaleka i poszedł na przełaj, ku wsi, rozrzuconéj na stokach wzgórza, uwieńczonego małym, drewnianym kościołem i gromadą lip potężnych, co usiadły niby starce do koła i swojemi olbrzymiemi, rosochatemi ciałami, broniły go od wichrów i złéj doli, gwarząc szeptem w ciche miesięczne noce.

Plebania stała niżéj nieco, w środku ogrodu rozrzuconego na zboczu wzgórza i dotykającego wsi. Przed gankiem, większym niż niejedna chłopska chałupa, Tomek się zatrzymał, czapkę zdjął i zaczął przestępywać z nogi na nogę, bo odwaga opuściła go zupełnie, zaglądał w oświetlone, ale przysłonięte roletami okna, drapał się po głowie, spluwał, to znowu się żegnał dla nabrania odwagi, ale wejść nie śmiał.

Kościół stał tak blisko i tak czerniał tajemniczo, a okna tak dziwnie się lśniły księżycowém światłem, a lipy miały dzisiaj taki

groźny wyraz, a krzyże odwiecznych grobowców na cmentarzu były tak wielkie i tak się ostro rysowały na tle śniegów, że Tomka jakiś zabobonny strach ściskał za gardło, zaczął w sobie dygotać, ale stał wciąż.

Chwilami posępna chmura odgradzała księżyc od ziemi, rzucając przejrzysty niby wachlarzem cień, to w ogrodzie, w krzakach coś trzeszczało tajemniczo; czasem gonty na kościele albo żerdzie w płotach, pękały z hukiem od mrozu, to znowu wrony łopotały skrzydłami i tłukły się z wrzaskiem po drodze, po kupach śmieci; koń gdzie w stajni zarżał, rozległ się bek owiec, albo kwik świń, odgryzających przy korycie, przedarł się z księżych chlewów i drżał chwilę w powietrzu, aż cisza znowu zapadła i ogarnęła wszystko.

Tomek wciąż stał, patrzył machinalnie na białe opary podnoszące się z oparzelisk, to na błyszczące gdzieniegdzie we wsi światełka. Przyszły mu na myśl dzieci, więc tylko szepnął:

— Bidoty kochane i zaraz wszedł, przezwyciężając nieśmiałość, prosto do kancelaryi proboszczowskiéj.

Ksiądz na łoskot otwiéranych drzwi powstał od stołu i śpiesznie zakładał okulary. Tomek czapkę w kąt rzucił i jak długi runął mu do nóg.

— Ojcze! Dobrodzieju kochany! — szeptał łzawo, ściskając mu nogi.

— Co! kto to? Coś ty za jeden? Czego?

Rzucał wylęknione zapytanie proboszcz, przestraszony gwałtownością ruchów Tomka.

— Zmiłowania przyszedłem prosić dobrodzieja.

Ksiądz wsadził nareszcie swoje okulary, przyjrzał się klęczącemu i już spokojnie mówił:

— A! Tomasz Baran! Wstań, moje dziecko, wstań!

Usiadł sam, kraciastą chustką przetarł okulary i rzucił ją na kupki miedziaków, porozstawianych regularnie na stole.

Tomek powstał i obciérał rękawem załzawione oczy.

— Co mi powiész? masz interes jaki, może ci kto umarł?

— Gorzéj, ojcze duchowny, bo wszyscy po trochu mrzemy. Odpowiedział i zaczął dosyć spokojnie opowiadać o dymisyi, o braku zarobku, o biédzie, jaka go z dziećmi jadła; miała łzy w oczach a cichą, bezbrzeżną rozpacz w głosie i mówił o wszystkiém z taką szczerością, że ksiądz musiał mu w części uwierzyć, bo na jego białéj twarzy, podobnéj do maski zblichowanego wosku, pełnéj słodyczy jakby zastygłéj, migotał cień smutku i współczucia.

Tomek skończył, a ksiądz ze srebrnéj tabakierki, wprost nosem,

tabaki zażył i długą chwilę milczał. Miał serce bardzo litościwe, ale tyle razy go wyprowadzono w pole kłamliwémi łzami i udawaną szczerością, że się teraz bał uledz, więc nastrajał twarz chmurnie, odymał groźnie usta i pokrywał o ile mógł rozrzewnienie, jakie czuł w sobie.

— Szóste: nie kradnij!—powiedział twardym głosem. — Gałgany ciągle wam to mówić z ambony, he! Pan Bóg was karze, bo nie słuchacie jego świętych przykazań.

— Nie kradłem, ojcze duchowny, kiej na spowiedzi świętéj mówię; nie wzionem, to tylko przez złość, że nie dawałem żadnych dyngusów, ani podaronków, zmówiły się na mnie i wygnały.

— Ósme: nie mów fałszywego świadectwa przeciwko bliźniemu twemu. Nie mówisz, Baran, paciérza, nie pamiętasz, he!

— Prawdę rzekłem, ojcze duchowny, świętą prawdę, bo dozorca ciągle na mnie warł, czy było o co, albo nie było — bo mu nie dawałem; bo za te dziewięć papiérków, co mi w miesiąc płacili, ledwie się mogłem wyżywić.

— Dziesięciny i powinności wiernie oddawać. Mam ci ciągle przypominać, czego nas Pan Jezus i święty kościół katolicki naucza, he!

— Ojcze najlepszy! krześcijan jestem, do spowiedzi chodzę, na mszę świętą daję, ale zmiłowania przyszedłem prosić, bo mi dzieciska mrą z głodu, a mnie już dur przychodzi do głowy; sypiać nie sypiam od ciągłéj turbacyi i rady dać sobie nie mogę. Zaborgowałem się i u żydów i u ludzi; sprzedałem ostatnie szmaty, sprzedałem prosiaka, com miał ostatniego i już teraz jestem tak na glanc, że tylko jedna kostucha ma co brać. Laboga! laboga! — szeptał ciężko — już dłużéj nie zdzierżę, jak mi ojciec kochany nie pomogą, to już i umrzéć przyjdzie.

Upadł znowu do nóg księdzu i prawie ryczał płaczem niepowstrzymanym i tak się trząsł, tak łkał żałośnie, że ksiądz odwrócił się nieco, aby obetrzéć łzy i bardzo cicho, trzęsącemi się ustami, zaczął mówić:

— Moje dziecko. Chrystus cierpiał za nas niegodnych; za nas niewdzięczne dzieci, dał się ukrzyżować, zbeszcześcić tłuszczy podłéj i nie rzekł ni słowa, choć mu ostremi gwoździe przebili ręce, przebili nogi, choć mu krew zaléwała oczy i bolały rany, nie skarżył się, tylko rzekł: Stań się wola Twoja Panie! Bracie mój... Tomku Baranie... — urwał nagle, bo mu łzy rozczulenia przysłoniły twarz, obcierał się śpiesznie i szeptał: — Biédnyś ty, Baran, biédnyś ty, siérota... biédnyś...

Milczenie zawisło ciężkie, bo pełne rozbitych drgań i akcentów płaczów i skarg Tomkowych.

— Pojutrze odprawię na twoją intencyę mszę świętą, do Przemienienia pańskiego, może ci Pan Bóg przemieni. Nieskończonym on jest w swojéj dobroci, tylko Mu ufaj, módl się, miéj wiarę —mówił proboszcz poważnie.

— W chałupie nie ma już ani okruszyny chleba, a dzieciska tylko skwierczą—szeptał w dalszym ciągu Tomek.

— Nie poradzę ci na to. Przyjdź na mszę, wyspowiadaj się, to ci będzie lżéj nosić ten krzyż, jaki podobało się Panu włożyć na ciebie...

Tomek patrzał na księdza ogłupiałemi oczami, nie wiedząc już co mówić, spostrzegł tylko te kupki miedziaków na stole i miał chwile, w któréj poczuł jakąś ciemną jeszcze chęć, schwycić te piéniądze i uciec, ale to prędko przeszło, przetarł sobie kułakiem oczy, westchnął głęboko i mówił:

— Możeby się ojciec duchowny wstawili za mną do urzędników, albo i dworu choćby, cobądźby płacili, niechbym tylko robotę miał, bo oni się wszyscy zmówili na mnie i nigdzie przez to nie dadzą roboty. Chcę przecież robić, chcę...

— Hardy byłeś. Kto wiatr sieje, zbiéra burzę, a pokorne cielę dwie matki ssie. Pamiętaj o tém. Pomówić o tobie, bo biédny jesteś, pomógłbym ci zaraz, ale wiész, że u mnie zawsze krótko... I miłować będziesz bliźniego swego, jako siebie samego... Nie mam nic... Wiész, karego mi ten łajdak Antek, żeby Boga przy skonaniu nie oglądał, schwacił tak, że mi zdechł. Składałem sobie trochę, aby konisko jakie kupić, ale Wawrzon się spalił, to znowu Kłębowi krowa padła — i zmiłuj się Boże, nie mam znowu grosza... Co ja ci dam, moje dziecko... jeść ci się chcę?

— Juścik, ale to nic, ino że dzieci drugi dzień już nie jedzą.

— Boże kochany...—szepnął i poszedł do wmurowanéj w ścianę szafki, wyjął z niéj ledwie napoczęty bochenek chleba i już miał go dać cały, ale spostrzegł pożądliwie wlepione oczy Tomka w piéniądze, więc się w porę powstrzymał i ukrajał tylko duży kawał i dał.

Tomek dziękował mu z serdecznością i zabiérał się do odejścia.

— Czekaj-no, dam ci parę groszy, wiele nie mogę, bo to nie moje.—Wziął kupkę miedziaków w rękę — to widzisz są piéniądze dla Ojca świętego!

— Dla Ojca świętego! — szepnął chłop z trwogą pobożną i przeżegnał się prędko.

— A tak! Dobre, litościwe, chrześciańskie dusze się składają, żeby Ojciec święty miał żyć z czego... Zabrali mu wszystko, co miał

i pozostał ubożuchny on! zastępca Piotra świętego. On! mocen zawiązywać i rozwiązywać wszystko na ziemi — jest także biédny, także cierpi niedostatek, moje dziecko — odłożył prawie bezwiednie połowę miedziaków do drugiéj ręki — ale wierna owczarnia nie da zginąć pasterzowi swemu — odłożył jeszcze kilka — każdy niesie swój grosz wdowi z miłością synowską, bo co dasz ubogiemu, to jakbyś dawał Bogu samemu—wyjął dziesiątkę z pozostałych w garści.—Masz, moje dziecko, nie mam więcéj, idź z Bogiem. Już ja tam za tobą przemówię, gdzie potrzeba. Biednyś ty, Tomku, ale zmiłowanie Pańskie i moc jest wszechpotężną. — Pocałował go w głowę i zrobił nad nim krzyż w powietrzu, szepcząc jakąś modlitwę półgłosem.

Tomek wyszedł do głębi wzruszony, ale i pokrzepiony na duchu.

— Niech ci Bóg da zdrowie, to dobry szlachcic! — szepnął i poszedł prosto z plebanii, przez zaśnieżone pola, nie patrząc już dróg, ani ścieżki, ku domowi.

— Laboga! i Ojciec święty biédny! Zabrały mu wszystko! O miemcy psiaścirwy, o heretyki! — Myślał i zaciskał groźnie pięści i zadumywał się głęboko o niedoli Chrystusowego Namiestnika!

Było mu jakoś lżéj na duszy, jakby odetchnął nieco po udręczeniu. Pobożne i współczujące słowa księdza napełniały czułością jego proste poczciwe serce—przenikało go jakieś ciepło nadziei.

— Biédnyś ty Baran, sirotaś ty, Tomku! — powtarzał odruchowo słowa księdza i tak się wnętrznie rozczulał temi przypominanemi dźwiękami słów, że mu łzy rozrzewnienia płynęły po twarzy i bezwiednie się pochylał, jakby pragnąc kogoś objąć za nogi.

Mróz coraz siarczystszy oprzytomniał go zupełnie, że prawie zapomniał o księdzu i o biedzie, tylko coraz chciwiéj oczami chwyta kontury swojéj chałupy, słabo szarzejącéj pod lasem i serce biło mu niepokojem o dzieci. Chałupa, stawiana niegdyś dla strycharza, wypalającego cegły, była teraz zupełną ruderą; płaski, dranicowy dach zapadł się zupełnie i leżał na pułapie, ściany były pokrzywione, popodpiérane kołami, wbitemi w ziemię i z jednéj strony obsypane ziemią i sosnowemi igłami.

Pustka była dokoła, aż strachem mroziło; las ponury, świérkowy stał zaraz posępną głuchą ścianą; i tak coś ciągle szumiało w nim, gadało, wyło tysiącami głosów, że ludzie, o ile mogli omijali go zdaleka. Mroźnemi nocami i w odwilżne dni marcowe, wilki wyłaziły z niego gromadami i szły do wiosek na żer. Pustosz była dzika i bezludna, ale Tomek chałupę wynajmował od dworu, bo mu było blisko na plant, tanio płacił i latem dzieci miały gdzie krowy paść. Zżył się z tą pust-

ką, odwykł od wsi i od gromady ludzkiéj, zdziczał, ale czuł się dobrze ze swoimi tylko.

Skoro tylko nadbiegł, zajrzał przez zamarzniętą szybę do wnętrza, ale ciemno było w izbie. Wszedł cicho i zapalił kaganek. Wszystkie dzieci na jedyném spały łóżku, ponakrywane szmatami, zagrzebane w słomę. W chałupie zimniéj było niż na świecie; wilgoć zatęchła, przejęta zgnilizną, aż dusiła. Odrapane ściany, pokryte warstwą szronu, świéciły, niby posrébrzone. W miejsce podłogi ubity z gliny tok, skostniały od mrozu, dudnił głucho pod jego nogami. Nachylił się nad łóżkiem posłuchać oddechu śpiących, bo go obleciał strach, czy nie pomarzły.

— Śpi se bidota kochana, śpi!—szepnął radośnie.

Wiórów z sieni przyniósł i w żelaznym cyganku rozniecił ogień, a potém w wiaderku urąbał nieco lodu i nakładł go do garnuszka, który zaraz przystawił do ognia. Połowę przyniesionego chleba nakrajał w miskę, osolił i czekał, aż się woda zagotuje. Kręcił się po izbie prawie bez szelestu i coraz to przystępował do łóżka i przyglądał się dzieciom, w jego niebieskich jakby wyblakłych oczach świéciła, taka chłopska miłość dzieci, co to po za niemi nie ma już nic na świecie droższego.

— Siéroty moje, zaraz będziecie jedli, zaraz. — Szeptał rozradowany i dokładał coraz więcéj do ognia, a gdy woda zaczęła wrzéć, przystąpił do łóżka.

— Maryś! Józwa! wstańta, dzieci!—Zawołał, potrząsając niemi.— Wstańta na kolacyę.

Rozbudziły się zaraz. Było tego pięcioro: cztery dziewczyny i chłopiec najmłodszy, może sześcioletni — tego Tomek wziął na ręce, okręcił połą kożucha i przysiadł się przed ogniem, chłopak rozespany popłakiwał i grymasił.

— Cicho, synku, cicho! Naści chléboszka, to ojciec duchowny dla was dał, naści, synku.

Chłopak nos i oczy przeciérał, a chléb gryzł łakomie.

— No, chodźcie, dzieciuchy, wodzianka już jest.

Nalał wrzątku na chléb.

Pościągały się z łóżka, poprzykucały dokoła miski i jęły się téj wodzianki z ogromną łapczywością.

Sine, wynędzniałe twarze dzieci miały w tonie skóry coś z barwy tych ścian odrapanych i oszroniałych, uzupełniały je niejako. Nędza długo, taka chłopska nędza, co to powoli dobiéra się do gardzieli i długo dusi, napiętnowała te twarze wymownie, zostawiła im skórę na kościach, spojrzenia zaiskrzone i tępe, usta pociągane i niezmiernie ru-

chliwe, i apatyczne w całym wyrazie. Tomek ogarniał dzieci wzro kiem ojcowskiem, sam prawie rzadko sięgał do miski, aby im jak najwięcéj zostawić — podtykał tylko chłopcu.

— Jédz synku, jédz... Bardzo się wam jeść chciało?

— Przecie, — odezwała się Marysia. — W połednie, poszłam do wsi, stryjna Jadamowa dała mi kartofli — ugotowałam i zjedliśmy — a teraz od wieczoru, to Józiek i Anka płakały, że ich w dołku boli — jeść im sie chciało, położyłam ich spać i tyla.

— Jédzta dzieci — ten chléb babka Jagustynka dała, a ten, ojciec duchowny. Maryś, jest tam zdziebko jagieł, ugotujesz im jutro. Pan Bóg miłosierny nam pomoże, trafi się jaka robota, to może z korczyk kartofli się kupi, albo i kaszy ze ćwiartkę, niechby tylko do wiosny przecierpieć jako tako.

— To krowe se kupimy, prawda tatulu? — Zapytał Józiek.

Ogień bystro się palił i od rozgrzanego do czerwoności piecyka rozchodziło się ciepło przyjemne, że nawet świérszcz gdzieś na przypiecku zaczął głośno strzykać, a dziewczyny posiadały u nóg ojcowskich, zbiły się w kłębek i patrzyły na niego, jak w obraz. Tylko Marysia siedziała z boku, na ławce i kijaszkiem raz poraz poprawiała węgielki.

— Kupicie krowe na wiosne — prawda tatulu?

— Prawda synku, kupie. Będziesz se pasał albo i z Jagusią.

— Kiedy ona mnie dzisiaj zbiła tatulu!

— Nie bój się, jak ją spierę, to zaraz cię nie będzie tłukła.

— Graniastą, kupicie tatulu?

— Graniastą, albo i siwuchę, synku.

— I da mi Marysia mléka, tatulu?

— Da ci robaku kochany, da!

— A kiedy tatulu?

— Na wiosne, tylko ciepléj Pan Jezus na świecie zrobi.

— A bez co to zimno teraz, nie wiosna, tatulu?

— Panu Jezusowi na uciechę, a grzesznym ludziom na upamiętanie.

— To my grzészne, tatulu? i Józwa, Maryś, Jagusia, Anka i ja tatulu?

— Wszystkie grzészne, synku.

— A dla czego my grzészne, tatulu?

— Laboga, taki marny robak, a już deliberuje.

— To wszystkie chłopy są grzészne, tatulu?

— I chłopy synku, i pany, i wszyscy.

— A kupicie owieczków tatulu? — zapytał znowu, po długim przestanku, z trudem podnosząc klejące mu się powieki.

— Kupie ci synku, kupie. Maryś uprzędzie wełny i zrobi ci portéczki.

— I spencerek! z guzikami! jak ma Wawrzonów Franek, prawda tatulu? i Józwie wełniak i Ance, prawda tatulu?

— I spencer dla ciebie, i Józwie wełniak, i wszystkim odzienie— niech tylko Matka przenajświętsza nas zapomoże, to wszystko będziecie mieć robaki kochane. Zaniósł Józka do łóżka i troskliwie go ułożył.

— Idźcie dzieci spać, idźcie, prędzéj wam nocka zleci·

Dziewczyny zaczęły mówić pacierz głośno, a on przyniósł sobie z sieni wiązkę słomy i rozesłał ją pomiędzy piecykiem a łóżkiem, zgasił lampkę, okręcił się kożuchem i legł spać.

Milczenie zaległo izbę, przerywane tylko równemi oddechami dzieci i cichym łkaniem.

— Maryś! — rzekł po długiéj chwili, dosłyszawszy płacz — co ci to córko?

— Nic tatulu, tylko mnie tak rozebrało, że my takie biédne, choć nikomu nic złego nie zrobiliśmy.

— Cicho córko, nie płacz. Ojciec duchowny obiecał nam pomódz i tak pięknie mówił, że musi być, co nam Pan Jezus przemieni; robotę jaką dostanę, to i ostoja przed biédą będzie. Nie bój się, Pan Bóg nie rychliwy ale sprawiedliwy.

Przyciszyło się znowu, płacz się urwał, tylko świerszcz podbudzony ciepłem strzykał głośno, a czasami węgielki w piecyku, trzaskały i rozsiewały coraz słabszy w ciemności pył purpurowy — ciemność coraz większa przepełniała izbę i senność.

— Maryś, śpisz?

— A bo to mogę! spik mnie gdzieś do cna odszedł, i co przywre oczy, to mi się widzi, że matula stoją przedemną, to znowu, jakaś pani szlachetnie ubrana idzie i kiwa na mnie palcem, albo że ten prosiak, coście go sprzedali, kwiczy za ścianą.

— Zmów se paciérz córko; to nic tylko z głodu taki sen przychodzi do głowy. Pójdziemy jutro do lasu, może się da siągi rąbać.

— Hale! Stryjna Jadamowa mówili, że już dróżkami ani duchtem nie przejdzie, bo śniegi na chłopa. Kłąb powiedzieli, że pisarz z lasu, o dziesiątkę chce płacić więcej, aby tylko ludzie rąbali.

— Ze wsi idzie kto?

— A jak iść, kiedy śnieg taki, że wyleźć nie mogłam, jak poszłam po drwa.

Zamilkli znowu. Pociąg przechodził, aż chałupa dygotać poczęła i w ścianach coś groźnie skrzypiało, a potem słychać było słabe echa trąbek dróżniczych.

Przycichło wszystko zupełnie, tylko przez szybki, przeciskał się głuchy szum lasu i suche poświstywanie wiatru. Tomek nie mógł zasnąć, przewracał się z boku na bok i rozmyślał coś ciężko.

— Maryś, do służby poszłabyś córko?—Zapytał cicho i trwożnie.

— Jak tatuś każą, to i pójdę — tylko, że sama mieć będę lepiéj, ale wam nic nie ulży.

Tomek już nie odpowiedział i wkrótce posnęli.

Nazajutrz życie powlekło się tym samym szlakiem nędzy, która ich otaczała coraz twardszém kołem.

W południe zjédli resztę wczorajszego chleba i kaszę.

Tomek tylko patrzał dzieciom w oczy, głaskał je po głowach i nie mówił nic, bo mu wnętrzności szarpała rozpacz. Łaził koło chałupy, jak senny; rąbał drwa, obciesywał jakieś kołki, szykował się gdzieś iść, wyglądał na przebiegające niedaleko pociągi; w godzinach, w których kiedyś wychodził na służbę, wychodził i teraz, podchodził do kolei spiesznie i jeszcze spiesznièj powracał, bo sobie gorzko uprzytomniał, że nie ma gdzie iść i po co!

Tyle lat chodzenia w obroży automatycznie wykonywanej służby, zostawiło w nim głęboki ślad — bezradność. Tracił poprostu przytomność, nie wiedząc jak tu żyć daléj — bez służby i nie mając ziemi. Nigdy o niczem sam nie potrzebował myśleć, bo przez szesnaście lat, myślała za niego nieboszczka żona, a przedtém ludzie u których służył. Był z tych chłopów, którym koniecznie musi ktoś powiedzieć: idź tam, zrób to — myśl tak; to i pójdzie, i zrobi, a teraz spadł na niego ten trud myślenia razem z biedą, więc choć się ciskał, łamał w sobie, wył z bezsilności—nic nie wymyślił. Nędza szczerzyła do niego zęby i kąsała mu dzieci — a on siedział dnie całe bezmyślnie zapatrzony w siebie i nie umiał temu zaradzić. Do ludzi, na wieś, nie szedł prosić, bo mu to wprost na myśl nie przychodziło. Całe życie, na każdy kęs, musiał robić ciężko, musiał go wyrywać krwią i potem, nigdy mu nic nie przyszło darmo — więc i teraz jeśli myślał, to tylko jedno — zarobić! zarobić nie było gdzie — padał wyczerpany.

Dopiéro wczoraj zaświtała mu w karczmie myśl rąbania sągów, i stara Jagustynka dała mu radę udania się o pomoc do księdza.

Po południu, jak tylko mróz nieco zwolniał, zabrał Marysię i poszli do poręby, gdzie leżały stosy pościnanego jesienią drzewa, ale tak zasypane śniegiem, iż cała poręba była jedną oślepiającą białością równiną.

— Maryś, zmożewa? Szepnął Baran, drapiąc sie po głowie.

— Pies, nie zima! — Mruknęła ponuro dziewczyna uderzając rydlem w śnieg.

Nic już nie mówiąc, zabrali się do odkopywania świerków.

Rzucili się do roboty z gorączką. Tomek robił za czterech, a Marysia z jakąś wściekłą pasyą, kopała niestrudzenie, nie bacząc na pot zalewający jéj oczy ani na wyczerpanie, jakie wkrótce poczuła. Przypinali się do tego śniegu, jakby do nienawistnego nieprzyjaciela, jakby do uosobienia wszystkich ich nędz i darli go łopatami z dzikim, kamiennym uporem chłopskim.

Śnieg był zmarznięty i twardy nieledwie, jak lód, że z trudem wielkim, można go było ryć żelaznémi łopatami; robota szła niesporo i ten opór rozwścieklał ich po prostu. Tomek zrzucił kożuch, został tylko w koszuli, i nic nie widząc dokoła, z jakiémś rozszaleniem kopał — gruba koszula pociemniała mu na plecach od potu, baranice rzucił także, że włosy niby rozczochrana wiécha trzęsły mu się za każdym ruchem.

— Świnias, psiachmać! — mruczał chwilami nienawistnie i tylko mu twarz zmęczona, groźna zawziętością, migotała nad śniegiem·krwisto-fioletową plamą. Marysia przysiadała chwilami, aby złapać tchu i odpocząć nieco, ale zaraz zrywała się i z zawziętością nową szarpała białe łono.

A las biały od masy śniegu na gałęziach, stał do koła wyniosłą ścianą, i jakby w śnie zimowym pogrążony, tak był cichym i spokojnym. Czasami tylko gałąź jaka drgnęła pod ciężarem i kaskada białego pyłu polała się nad ziemią, wrony przeciągnęły nad lasem z krakaniem, to znowu sroki całą bandą padły na wyniosłe nasienniki, kołysały się na sękach, biły skrzydłami, i jakby drwiąc z Tomka krzyczały:

— Głupi Baran, głupi!—i tak skrzeczały, że Tomkowi wydało się to wprost wyśmiewiskiem, rzucał kawałkami śniegu i odpędzał — i znowu zapadała cisza pełna oślepiających blasków śniegu i słońca, przerywana jedynie zgrzytem rydli, świstem wyrzucanych kawałów śniegu i chrapliwém ciężkiém dyszeniem kopiących.

Godziny płynęły wolno i las niepostrzeżenie zaczął smętnieć, oblekał się w fioletowo-purpurowe tumany zachodu, potem poszarzał i cicho wsączał w siebie mrok, co się rozlewał od miedzianych zórz na niebie, tak pociemniał i zdawał się, w jakieś głębie nocy nadchodzącéj zapadać zwolna i zlewać się w jedną, nieskończoną masę ze śniegiem, z przestrzenią i staczać w senność i zadumę.

Było już dobrze ciemno, gdy skończyli robotę. Oczyścili trzy potężne świerki.

Tomek się wyprostował, przeciągnął i uderzając łopatą w śnieg, rzekł szorstko:

— Zmogliśwa! a ścierwo, zmogliśwa! — Odział się starannie. — — Idź Maryś do chałupy. Ja pójdę do żyda, wezmę pieniędzy na robotę, bo jutro, jak nic ćwiartkę postawię. Przyniesę zaraz jeść. Idź córko a otul się, boś się, sielnie zharowała, a i mróz na noc idzie. — Pogłaskał ją pieściwie po twarzy i poszedł w głąb lasu.

Marysia okręciła głowę zapaską, zabrała łopaty i wolno poszła w las, ku domowi. Czuła się nietyle zmęczoną, co głodną i bardzo senną. Z początku szła bezmyślnie, ale potem las zaczął się, jéj wydawać takim groźnym i ponurym, tak czerniał dziwnie i jakby rozbrzmiewał jękiem w głębiach, że obleciała ją trwoga niewytłómaczona. Zdawało się jéj, że niezliczone pnie drzew zabiegają jéj drogę ze wszystkich stron, że pomiędzy niemi świecą w dali jakieś oczy czerwonawe i migotają trójkątne pyski wilków: przymykała na chwilę oczy, ale strach rósł nieustannie, zaczęła szybciej lecieć i dla dodania sobie odwagi, na pół już przytomna, śpiéwała:

„Mazury, Mazury! Chłopy kiéj drabany"
„Sadzić wama kury — Nie chodzić do panny"
Hu — ha!

A później:

„Nie boję się chłopa, choćby była kopa —
Nie boję się wilka, choćby było kilka.
Hu ha!"

Ale bało się biédactwo ogromnie.

Tomek dostał na robotę od pisarza leśnego, za osiem złotych żywności i rubla gotówką. Żyd dał chętnie, bo znał go z uczciwości i sążnie były im gwałtownie potrzebne, do odstawy na koléj.

Na drugi dzień rano, Baran, kazał się ubrać Marysi odświętnie, rubla zawinął w szmatkę i poszli do kościoła, ale proboszcz nie chciał wziąć od niego za mszę i tak się rozczulił, że kazał mu dać korzec kartofli i parę garncy kaszy.

Tomek się wyspowiadał i całe nabożeństwo leżał krzyżem—i tak się modlił, tak prosił gorąco, tak się trząsł w łkaniu, tak żebrał zmiłowania, tak jęczał żałośliwie w bólu, skardze i prośbie, że ludzie z szacunkiem spoglądali na rozkrzyżowanego przed ołtarzem.

— Jezus! Panno Częstochowska... zmiłuj się nad grzésznym... Do Częstochowy piechty pójdę... koronkę dzień w dzień mówić będę...

chorągiew kupię... świéc kupię... zmiłuj się nad grzésznym... O słodka panienko... O Królowo... ofiaruję Tobie, siebie z dziećmi... Przemień nam... Za co bądź robić będę, aby tylko na żebrę nie iść, aby mi tylko dzieci z głodu nie pomarły... O święty!... święty... święty... jęczał i płakał krwawemi łzami skargi, prośby i błagał zmiłowania.

Organy brzmiały cichym, uroczystym hymnem, co jak purpurowa fala dźwięków, rozpylała się nad jego głową i przejmowała mu serce świętym dreszczem trwogi; głos księdza miał jakieś tęczowe blaski i przenikał go takiém ukojeniem i rzewnością, że mu łez płynęło coraz więcéj i coraz ciszéj. Poczerniałe złocenia ołtarzy, dźwięki dzwonków, głębokie westchnienia modlących się, szepty pacierzy, dobrotliwe spojrzenia świętych z obrazów, tęczowy mrok padający przez kolorowe okna, złotawe płomyki świéc, jakby balsamiczne rytmy muzyki, co wciąż płynęły z chóru — wszystko to stopione w jakąś mistyczną harmonię, niewypowiedzianie słodką, rozpłaszczało Tomka, jeszcze bardziej u stóp Wszechmocy, i przejmowało go ufnością bezgraniczną, pocieszeniem i wiarą — że już pod koniec mszy, nie mógł zebrać myśli, tylko wzdychał, całował podłogę i płakał.

Wyszedł z kościoła ze zdwojoną wiarą i zapalczywością do roboty.

— Maryś! — rzekł, w połowie drogi, kiedy wracali do domu, i przystanął nieco, bo dziewczyna szła za nim. — Maryś, widzi mi się, że nam przemieni Pan Jezus, bo to, jak ojciec duchowny powiedzieli: o lelijach i ptaszkach i innych choćby najmniejszych robaczkach, pamięta, a nie miałby Jezus kochany, o człowieka stoić, co?

— Musi być, co Pan Jezus zarówno stoi o wszystkich. — Odpowiedziała poważnie.

Życie wydało mu się teraz jaśniejszém, bo na parę dni było co jeść w domu i mróz znacznie zwolniał, a nawet w południe zrobiła się mała odwilż. Tomek przeczuwał odmianę powietrza, bo słońce zaczynało się niepokazywać i masy szarych, rozrzedzonych chmur, zaciągały horyzont, niepokoił się znowu

— Śnieg rośnie, ale nic to, Pan Jezus sobie dmuchnie i rozwieje wszystko — powiedział dzieciom idąc do lasu rąbać drwa. Do wieczoru postawił ćwierć, choć się zmęczył śmiertelnie. Poszedł spać wesoło, bo dzieci miały co jeść i sam się znowu poczuł wciągniętym do dawnego życia — robił.

Nazajutrz, gdy się obudził i wyjrzał na świat — sposępniał.

Śnieg sypał tak gęsto, że światu nie było widać i wiatr się zrywał z poświstem. Zanosiło się na zadymkę, i ani można było marzyć o rąbaniu w lesie.

I jak zaczęły śniegi sypać, wichry wyprawiać dzikie harce po polach, zawieja zaciemniać świat, tak i nawet wyjść z chałupy było ciężko.

Nie było prawie dni ani nocy, tylko jakaś posępna, szara orgia huraganu przewalała się po polach i w przestrzeniach i biła ustawicznie potężnemi falami w Baranową chałupę i w las — co się tylko pokładał w tem mocowaniu się z wichurą, ale powstawał niezmożony i straszny, bo się rozsrożył walką i tak szumiał, trząsł się, trzeszczał, wył dziko i przeciągle, huczał — że dzieci nocami nie spały, a ptastwo uciekało z niego w pola. Tomek pilnował chałupy bo groziła zawaleniem, aż ją całą zarzucił śniegiem zupełnie, że wyglądała niby wzgórze śnieżne.

Żywność się wyczerpywała, nie było na świéżą, ani można było iść po nią, tak drogi i pola były zawalone śniegiem. Drugiego dnia zadymki, pociągi stanęły w śniegach i wszelki ruch ustał zupełnie, ludzie się trwożnie cofnęli, pozostawiając miejsce żywiołom. Dopiéro trzeciego dnia rano, zawierucha ustała nieco, ale olbrzymie zaspy dymiły niby kratery, obłokami rozpylonego śniego.

Tomek ubrał się w kożuch, wziął łopatę i poszedł na plant. Dozorca, jego pomocnicy, inżénier dystansowy, masy chłopów, spędzonych ze wsi okolicznych, wszystko to uwijało się około zasypanego w przekopie pociągu. Rozdawano ludziom wódkę i kiełbasę, byle prędzéj oczyścić tor.

W białych tumanach śnieżnego pyłu, Tomek widział całe setki ludzkich sylwetek pracujących wesoło, słyszał gwar rozmów, śmiechy, skrzyp rydli — łowił chciwie te odgłosy i posępniał coraz bardziéj, bo dla niego; ani miejsca ani roboty nie było. Nikt go nie wołał do niéj Stał na przejeździe parę godzin z ziębnięty, głodny i zrozpaczony, aż się doczekał Starszego, pochylił mu się do nóg i bardzo pokornie prosił o robotę.

— Baran przecież wié, że był ogłoszony okólnikiem po całéj drodze, iż go uwolnili za kradzież, z zastrzeżeniem nieprzyjmowania do żadnych robót na kolei. Cóż ja wam moi kochani poradzę?...

Tomek nie odrzekł nic, tylko smutnie zwiesił głowę i powlókł się do chałupy.

— A ścierwy! ścierwy! ścierwy! — Zaczął naraz krzyczéć i taka nim złość zatrzęsła, że łopatę potłukł i przyszedłszy do izby, Marysię wybił, Józka kopnął, i, jak oszalały tłukł się po izbie, rwał sobie włosy, ale że mu to nic nie pomogło i wyczerpał się prędko, uspokoił się znowu czekał.

Od księdza nie było żadnéj wieści, dnie się wlekły strasznie wolno i strasznie głodno. Jednego wieczoru, po całodniowym poście, przyszło mu coś na myśl.

Dzieci płakały, a Józiek cicho się skarżył, że go coś gniecie pod piersiami i że mu jakoś we wątpiach piszczy, był rozpalony od gorączki, przez sen się zrywał, krzyczał i prosił o chléb.

— Nie płacz synu, przyniesę wam jeść.—Powiedział Baran krótko. Wziął worek, siekierę i poszedł ku dworowi.

Brnął w śniegu po pas, ale doszedł do tych stodół, gdzie niedawno widział psów wyprawiających sobie ucztę. Szukał padliny — macał w śniegu nogami, to steliskiem siekiery, ale nie znalazł nic. Miał już odchodzić z niczém, kiedy dosłyszał ciche warczenie od szczytu budynku — tam poszedł.

Kilka psów rozrywało pomiędzy sobą owcę i warczało. Rozpędził ich siekierą. Psy ustąpiły niechętnie, szczękając zębami na współzawodnika.

Tomek wybrał z téj owcy najmniej uszkodzone części, wsadził do worka i zarzuciwszy go na plecy, zawrócił do powrotu.

Psy rzuciły się za nim ze skowytem; skakały mu do worka, rwały go za kożuch i docierały zajadle. Odganiał je siekierą i spiesznie leciał, ale znalazł się pod śniegiem rów jakiś, w który wpadł. Psy skoczyły na niego. Wszczęła się krótka walka, z któréj wyszedł zwycięzcą — ale z porozrywanym na plecach kożuchem, z przegryzioną ręką i okaléczoną twarzą.

Dwa psy wyły, tarzając się z bólu i znacząc krwią śniegi, reszta uciekła, a on pozbierał się ledwie i powlókł wolno do domu ze zdobyczą.

— Macie jeść — rzekł Marysi, rzucając worek na izbę.

Mieli co jeść, ale Józiek, jego dziecko najukochańsze, na drugi dzień po tém jedzeniu, rozchorował się na dobre.

Leżał na łóżku czerwony, obrzękły, cały w potach i tak obezsilony, że głowy nie mógł podnieść. Tomek aż głową tłukł o ścianę zrozpaczony śmiertelnie o jedynaka, poszedł starać się o lekarstwa.

Pachciarz dworski, który różne medykamenta sprzedawał pokryjomu, dał jakieś proszki na kredyt, jak również nieco żywności. Proszki nic nie pomogły, bo już po nich, trzeciego dnia, Józiek leżał bezprzytomy i tylko coś bredził gorączkowo.

Tomek, jako po ratunek ostateczny, poleciał po starą Jagustynkę, która się znała na chorobach i czy się komu zwił kołtun, czy go coś wewnątrz bolało, czy potrzeba było odczynić urok, albo przemierzyć przesunięte dzieci, wszystko to, z równém szczęściem leczyła zażegnywaniem, odczynianiem albo ziołami.

Przyszła z nim zaraz, i aż się za głowę ujęła zobaczywszy chorego.

— Laboga! temu tylko Pan Jezus pomódz może — szepnęła.

— Sprobójcie babko. Lekujcie tego mojego parobka kochanego.

— Przemierzyć-by go potrzeba, albo i okadzić i zażegnać... bo ja wiem co!...

— Wszystko róbcie, aby mi tylko nie zamarł chudziaszek. Laboga! taki sielny parobek. Na wiosnę byłby już do pasania — a taki układny, taki obserwant, taki dobry, laboga! — Jęczał ze łzami Tomek.

— Jak Pan Jezus kogo miłuje, to mu niczego nie żałuje. Ale Tomek, ojciec duchowny mi powiedzieli, żebyś ty zaraz szedł na stacyę; będzie naczelnik, przyjedzie oglądać te zaspy. Idź zaraz i tylko nie bądź hardy, obłapiaj grzecznie za nogi i proś. Ksiądz przyjedzie póżniéj i pogada, tak mi powiedział.

— A chłopaka zostawić?

— Idź, chłopaka dojrzę, co będzie trzeba koło niego zrobię — zrobię.

— Dobraście babko, że i rodzona nie byłaby lepsza.

— Ale! a dla czego-to miałabym być zła?...

— Insze kobiety nie mają takiego pomiarkowania.

— Bo insze widzą tylko swoich chłopów, dzieciska i kłopoty... No idź już.

Tomek z pewném ociąganiem ale poszedł na stacyę.

Stara przyniosła ze wsi ziół, siwy gliniany garnczek z pokrywką i zaczęła w nim warzyć coś. Józka rozebrała do naga i ułożyła go na środku izby — podesławszy mu snopek prostéj słomy; leżał cicho i bez tchu, był nieprzytomny.

Potém wrzuciła do garnka trochę gromnicznego wosku i skoro się rozpuścił we wrzątku, zaczęła nim chłopca nacierać, mrucząc coś niezrozumiale.

Dziewczyny zbiły się pod piecyk, i z trwogą spoglądały na ceremonie.

Stara, pozostałą od nacierania wodą, odlała rodzaj trójkąta, w środku którego leżał Józiek i przystąpiwszy do pierwszego kąta izby powiedziała głośno i z namaszczeniem:

— Czarnemu kapeczkę — białemu kwatéreczkę! — Odlała kroplę w kąt a całym strumieniem chlusnęła na izbę. Powtórzyła to trzy razy. Potem wzięła glinianą pokrywkę, nałożyła na nią rozżarzonych węgielków, na to nasypała suchych bobków owczych, suchych kwiatów zwanych „stulipysk”, pół wianka rosiczki, poświęconéj w oktawę Bożego Ciała. Dmuchała dziewięć razy, aż się rozżarzyło wszystko i cienki

strumień dymu popłynął w powietrze — wtedy zaczęła okadzać leżącego i szeptać jakąś formułę odczyniania.

Okadzała następnie ściany; wyszła na dwór i niezważając na zaspy, okrążyła chałupę trzy razy, nie odetchnąwszy i okadzała bezustannie.

Chłopak wciąż leżał wyciągnięty i nieruchomy. Ciało miał pokryte sinawemi plamami, obrzękłe, suche i świecące.

Jagustynka wytarłszy go raz jeszcze wodą, okręciła w płachtę i położyła na łóżku, a później zajęła się dziećmi.

Tomek, tymczasem już naczelnika zastał na stacyi, zobaczył go spacerującego z dozorcą po olbrzymiej i wspaniale brudnej sali klasy III. Wyciągnął się zaraz przy drzwiach niby struna i czekał, bo dalej postąpić kroku nie śmiał.

A oni chodzili tam i z powrotem, tak zajęci rozmową, że nawet nie zauważyli jego wejścia. Ile razy przychodzili bliżej, tyle razy Tomek prostował się jeszcze sztywniej i otwierał już usta, ale tak jakoś prędko zawracali, że zawsze było za późno. Wreszcie po długiej pauzie i czekaniu sposobności, zebrał w sobie odwagę i powiedział stłumionym i drżącym głosem:

— Dopraszam się łaski wielmożnego naczelnika.

Nie usłyszał naczelnik, bo dozorca półgłosem mówił.

— Pozwolę sobie zwrócić uwagę pana naczelnika, że i nam polityka Watykanu nie podoba się, a już te umizgi kuryi rzymskiej do dzisiejszej Francyi...

— Przepyszny kraj, przepyszny. Szepnął naczelnik, wrzucając sobie w oko monokl.

— Kraj rewolucyonistów, masonów, ateizmu; kraj wiecznej anarchii...

— Tak, ale i kraj drugiego cesarstwa.

— Pan naczelnik skłania się ku temu, co się zwie Bonapartyzmem?

— Przedewszystkiem, skłaniam się ku paryzmowi, ku monarchii Paryża nad światem—i uśmiechał się słodko, do wspomnień kosmopolitycznego lupanaru, i skubał delikatnie szpakowatą iście senatorską brodę.

— Dopraszam się łaski wielmożnego naczelnika. Powiedział znowu Tomek, ale nieco głośniej, bo się niecierpliwił i niepokój o Józku przejmował go coraz większy.

— Pan naczelnik bawił długo w Paryżu?

— Piętnaście lat. Mgnienie, powiadam wam, rozkoszne mgnienie

Zamilkli; dozorca kręcił sumiaste wąsy a naczelnik melancholijnie spoglądał na własne paznogcie i okręcał monoklem.

— Dopraszam się łaski wielmożnego naczelnika! Krzyknął prawie Tomek, bo ta myśl że tam Józiek może kona, tak go ostro przejeła strachem, że już nie wiedział co robić.

Naczelnik usłyszawszy przystanął, wrzucił z precyzyą monokl w oko i rzekł:

— Ha! cóż ty bracie powiesz?

Tomek rzucił mu się do nóg i gadał prędko i bezładnie:

— Dostałem dymisyę wielmożny naczelniku, wygnali mnie. Pietnaście lat służyłem i zostałem bez służby... do roboty nie chcą mnie wziąć... pięciorgo sierot zostało przez chleba... Przyszedłem się dopraszać łaski wielmożnego naczelnika... bieda tak mnie już zmogła, że i tchu złapać nie mogę... Na plancie wszystkie roboty znam... poczciwie służyłem...

— Panie naczelniku, to ten Tomek Baran, dróżnik wydalony ze służby za kradzież żelastwa kolejowego.

— Nie kradłem wiel... naczel... a wygnali mnie... Nie wzionem, jak na spowiedzi świętej mówię... Wygnali mnie sierotę... i lemeryture wzieny, strączkę z pensyi wzięny... kaucye wzieny... Zostałem bez niczego, jak ten palec.

— Mógł być pociągniętym do odpowiedzialności karnej. Szepnął dozorca, obojętnie patrząc w okno.

— Widzisz, a toż zasłużyłeś bracie na więzienie, ha! Powiedział poważnie naczelnik.

— Przez co ja miałem iść do kryminału! Zabiłem to? ukradłem co? Zawołał żywo Tomek i aż zadygotał cały ze złości nagłej.

— Z litości się to zatarło, bo ma dużo dzieci.

— Nie wsadzono cię, bo miano litość nad twojemi dziećmi, ha! Powinieneś być wdzięcznym, ha! Powtarzał wolno i uroczyście naczelnik.

— Przyszedłem się dopraszać sprawiedliwości. Pan dozorca przecież wiedzą co mi urządzili. Pan dozorca sam...

— Denuncyacya! Zaraz pan naczelnik pozna nasz lud kochany.

— Denuncyanty my z dziada pradziada nie były, to i nie będziemy. Do oczów staję i powiem, jak było — a pietnaście lat strączki, choćby i bez procentów, nie daruję, jako i nie daruję kaucyi...

— Nie dostanie składek emerytalnych, bo prawo jest wyraźne.

— Prawo jest to, co jest sprawiedliwe, a sprawiedliwa rzecz wygnać nie winowatego!.. sprawiedliwa, nie oddać pieniędzy przez tyle lat z krwawicy odtrącanych! sprawiedliwa!...

Do sądu choćby pójdę dochodzić prawa, bo mi się krzywda stała. Wołał Tomek, unosząc się coraz bardziej.

— No gadaj tu z chamem! Nie znasz instrukcyi?

— Znam to, że instrukcye pisali dla siebie, a narodowi prawdę drogo borgują. Oszukiwać, to i parch albo drugi pies potrafi...

— Milczeć chamie! Cóż ty psiakrew! mordę tu będziesz rozpuszczać i pyskować?! krzyknął ze szlachecka p. dozorca.

— Ukrzywdzony jestem to i pyskował będę.

— Złodziej jesteś, bydlaku jeden.

— Ja złodziej!—ty ciarachu powietrzny, ja złodziej!—ty frybro! ja!—krzyczał Tomek, zaciskając pięści i posuwał się bezwiednie na przód.

— Szwajcar! za drzwi z tym chamem, a jak się, nie uspokoi, do policyi! Chodźmy p. naczelniku. A bydło! czego z nim nie zrobi kijem, tego nie zrobi niczem.

Wyszli na peron.

— Już ja ci żebra ciarachu policzę, już ja cię przyrychtuję psie zapamiętały, aże cię frybra jangielska pokręci.

Szeptał Tomek i taki huragan gniewu i nienawiści zalał mu serce i mózg, że aż pot rzęsisty operlił mu czoło, aż trząsł się cały w spazmię wściekłości i miał szaloną ochotę biedz za dozorcą; chwycić go za gardło i bić... bić... bić... Rychło się jednak otrząsnął z tego uczucia, wyszedł ze stacyi i co tylko miał sił, leciał ku domowi.

W chałupie zastał sporo ludzi i Józka już konającego.

Chłopak z gromnicą w ręku, leżał na wznak, wyprężony jak drzewo i rzężał, chwytając z trudem spieczonemi ustami powietrze.

Ludzi się naszło ze wsi i klęczeli koło łóżka, odmawiając za starym Andrzejem kościelnym litanię. Twarze były surowe, a w oczach tkwił wyraz spokojnej jakby kamiennej rezygnacyi. Dziewczyny, siostry konającego, zawodziły głośnym płaczem, i w całej izbie pełnej żółtych, gromnicznego światła refleksów, rozpościerał się tragiczny nastrój.

— Jezus Marya! Jezus Marya! Ryczał Tomek i ogłupiałemi oczami wpijał się, w twarz jedynaka, i targał sobie włosy z niemocy rozpaczliwej.

— Cicho Tomek, cicho! Panu Jezusowi podoba się wziąć duszyczkę do swojej chwały, to i cóż ty, robaku marny, poradzisz na to? co? Uspokajała go półgłosem Jagustynka.

— Syneczku mój, dzieciąteczko moje kochane, śrybło moje i złoto! Jęczał Tomek.

— Okadziłam, zmierzyłam—i nic... Wola Twoja Panie...

— „Od wszelkiej rozpaczy! —

Szeptał drżącym głosem kościelny.

— Wybaw nas duchu św. Boże“

odpowiadały prędko kobiety, i ten szept głosów gorących, westchnień, płaczów, zdenerwowania rozlewał się po izbie niby żółty strumień i powracał do konającego, który w gloryi gromnicznego światła leżał, wyprężał się coraz sztywniej, usta otwierał szerzej i lewą ręką szarpał sukmanę okrywającą mu piersi.

— O mój syneczku złoty! O moje dzieciąteczko kochane!—ryczał Tomek.—Odchodzisz nas robaku kochany, odchodzisz! Na ojcowe płakanie nic nie baczysz, załośliwości naszej się nie litujesz, sieroty biedne nas zostawiasz!.. i idziesz se dziecino najmilsza do Jezusieczka... o!... o!... o!...

— O bracie serdeczny, nie sieroć ty nas;—parobku najmilszy, nie odchodź ty nas. Jęczała Marysia podtrzymując mu gromnicę.

— „Od potępienia wiekuistego"
Wybaw nas duchu Św. Boże...

brzmiały znowu silniej głosy.

— Nie pognasz ty już krówków, parobku kochany. Nie wyciarachasz ty już za łeb siostrów jedynaku, nie polecisz ty już na wieś. Nie będziesz sobie na wiosnę wypatrywał ptaszków, nie będziesz... nie będziesz...

— Tomek nie płacz, Tomek, bo...

Od nagłej i niespodziewanej śmierci
Wybaw nas duchu Św. Boże.

— A zrana to już wyrzekał: Tatulu, powiada, ja nie zamrę.—Tatulu, nie dacie mnie Kostusi, Tatulu ja od was nie pójdę!... i tak się skamlał jak ten pies, co widzi zatracenie i śmierć. O biedne my sieroty, biedne! Czém ci synu ulżyć, czém!... A jego biedaka, we wnętrzu cosik gnietło, bo sie tylko za ten kochany kałdunek trzymał i postękiwał z boleścią... Paciorek z Marysią mówił, to mu po polikach te łzy kochane ciurkiem się lały i tak się trząsł w sobie kiej osika!

Józiek przestał na raz rzężéć, otworzył usta w długim chrapliwym oddechu, drgnął cały gwałtownie, uniósł nieco głowę,i powłócząc błędnie oczami po obecnych—opadł na poduszkę i wyciągnięty, wpatrzony szklanemi oczami w pułap, z jakimś krzykiem okropnym na oniemiałych ustach — skonał.

Gromnica wypadła mu z rąk, palce się rozprężyły, twarz wypogodziła i tak pozostał obojętny na wszelkie dobro i wszelką nędzę.

Podniósł się krzyk i płacz wstrząsający.

— Cichocie ludzie—zawołała Jagustynka, otwierając drzwi na

rozcież—aby choć bez pacierz cichocie. Niech se duszyczka w cichości odleci, niech ją żałośliwość wasza nie odciąga od Jezusiczka.

Przyciszyło się istotnie, a wkrótce prócz starej rozeszli się wszyscy do domów.

Do samego pogrzebu, Tomek, tak się czuł zgnębiony biédą i rozpaczą po stracie jedynaka, że całe dnie przesiadywał pod piecem nieruchomy i apatyczny na wszystko; zawijał się tylko jakby we własną boleść i czuł, że jakaś żelazna ręka wzięła mu duszę i tak ją straszliwie gniecie, iż się poruszyć ani krzyknąć z nadmiaru bólu nie potrafił.

Za pogrzebem poszedł i tyle miał przytomności, że trumnę na wozie podtrzymywał, ale patrzał bezmyślnie na ludzi, na świat, nie słyszał prawie śpiewów, ani słów pociechy, jakich mu ludzie i ksiądz nie żałowali.

— To śmierć tak się wemnie rozpiera—pomyślał wyczuwając jakąś dziwną ciszę w sobie i spokój ogarniający mu duszę.

— Widzi mi się, że zamrę! — Szeptał powracając sam z cmentarza, bo ludzi zatrzymał ksiądz i mówił coś do nich gorąco, ale Tomek nie uważał, choć słyszał wymawiane swoje imie. Szedł samotnie i patrzał na pola olbrzymie, zasłane puchami śniegów, poznaczone gdzieniegdzie gruszami, to na jasne niebo, to w złotą tarczę słońca, i zdawało mu się, że to wszystko kołysze się zwolna niby dzwon, i że to słońce bije w te czarne ściany lasów, niby we wręby spiżowe, i że jakieś słodkie dźwięki, podobne do chrzęstu zbóż dojrzewających, do szumu lasów w upały, do świegotania ptasząt w strzechach—ogarniają go, przepełniają mu mózg i duszę słodyczą wielką i kołyszą coraz senniej, senniej...

— Widzi mi się, ze zamrę, myślał, nie mogąc zdać sobie sprawy z tego, co się w nim działo. Przyszedł do chałupy, usiadł na dawném miejscu i nic nie widział, co się w koło niego robi. Walczył z życiem jak mógł i umiał, ten ostatni cios wyczerpał go już zupełnie, już wiedział, że nie poradzi sam, że musi zginąć, więc mu się już wszystko zrobiło obojętném, z rezygnacyą kamienną pochylił głowę i poddał się losowi. Nie myślał ani o sobie, ani o dzieciach pozostałych, ani o niczém — czekał jakiegoś końca.

Słyszał, że kilkanaście ludzi weszło do izby, że chodzą koło niego, że coś mówią—ale nic nie rozumiał, położył się na ławie plecami do izby, kożuch naciągnął na głowę i tak leżał martwo.

— Kumie!—zaczął przybyły z drugiemi Czerwiński, widząc, że Tomek, jakby nie wiedział o ich przybyciu. — Kumie! że wam dolega, to jest prosta rzecz.

Tomek odwrócił się nieco i tępym zagasłym głosem powiedział:

— Pewnikiem zamrę, to śmierć się tak we mnie rozpiera.

— Kumie, grzeszne myśli macie. Słuchajcie ino, co wam Czerwiński powié. Przyśliśmy tutaj z dobrej woli, aby was pocieszyć i zapomódz, jak kto może. Biednyś ty Tomek i poczciwy, ale hardy jesteś. Do panów poszedłeś prosić o wspomożenie, a my bliższe przecie. Juścik, że się nikt pierwszy wam nie wydzierał z pomocą, bo każdy ma swoją biédę co go żre, babę, co mu nadełbem klekocze i swoje kłopoty — ale niema mięsa bez kości a człowieka przez litości. Miarkuj se tylko, że ci to Czerwiński rzekł. Czekaliśmy, aż przyjdziesz i powiész, jak do bratów: Dajcie, wspomóżcie! Biédę mam, dajcie, czy na odrobek, czy na bórg, czy za Bóg zapłać; dalibyśmy, bo wiemy żeś ukrzywdzony i biédny. Swojaki jesteśmy i krześcijany, a tylko małpa małpie łysty szarpie, a człowiek za człowiekiem powinien trzymać. Zmówiliśmy się, i co kto mógł, przyniósł. Weź Tomek i niech wam będzie na zdrowie.

— *In secula seculorum ament* — zakończył pobożnie kościelny.

Kobiety zaczęły węzełki rozwiązywać, zapaski rozkładać, koszyczki otwierać— i kładły obok Tomka, co która przyniosła, to chleba bochen, to kartofli, to kaszy, to mąki pare kwart, to soli zielonej grudę, to bedłek wianuszek, to słoniny pasek, to sérek suszony, a Jagustynka, położyła na ostatku związaną kokoszkę.

— Niesna Tomek, jajka będą, to i kurczątka będą na wiosnę rzekła.

A Tomek uniósł się na ławie, patrzał po wszystkich, słuchał, dziwował się i powoli zaczęło mu coś w sercu drgać i jakaś słodka gorącość przenikała go całego i w gardle zaczęło go dusić coraz bardziej, że już nie mógł wytrzymać tylko ryknął ogromnym płaczem.

— Braty kochane, ludzie krześcijańskie, czém ja wam odpłacę!— szeptał przez łzy, ale mu nie dali więcéj mówić, tylko go sobie brali w ramiona i całowali, a on oddawał uściski, starszym chylił się do nóg, dziękował i trzęsło się w nim wszystko z rozrzewnienia.

— Dobrocią odpłacisz albo i pacierzem — rzekł poważnie Czerwiński.

— *Dominus vobiscum Ament*—dorzucił kościelny.

— Jeszcześmy za poradą dobrodzieja, postanowili, co aby ci lżéj było przezimować, to do wiosny. Józwę wezmę ja, Marysię—Kłąb, Jagusię—Gulbas, a Ankę—Boryna, dziewuchom się u nas krzywda żadna nie stanie, a ty sam prędzej się zapomożesz, Jagustynka powiedzieli, że się do ciebie sprowadzą, jako żebyś warzę miał i dogląd kobiecy.

— Zostanę u ciebie Tomek, sierotą téż jestem, nie objem cię, sama coś niecoś zarobię, a zawżdy mi pod chłopską opieką będzie lepiéj.

— Laboga! ludzie, ady od tej waszej dobrości, to mam w sercu jako wiosnę.

— Zfamuliłeś się ty z biédą, że cię potrzeba od niéj przez moc odrywać.

— Z czyjego woza, to zsiadaj choćby i na pół morza.

— *Ora pro nobis domine ament* — zakończył kościelny, wyjął z kieszeni flaszkę z wódką, chrząknął, nalał w kieliszek i zaczął:

— Gospodarze, jako na ten przykład, mówi pismo święte: *Ave marysteli deo gratias ament* i wypił do dna.—Jako jest dobrze kusztyciek gorzałki wypić coby odegnać te żałośliwe humory z wątroby, tak wy Tomku Baranie pijcie, a potém sobie zmówmy paciorek na intencye ś. p. Józefa—i *mea culpa, mea maxima culpa—ament.*

Posiadali gdzie kto mógł, popijali nieco gorzałką z tej żałośliwości, przegryzali chlebem, pośpiewali nabożne pieśni za zmarłego i rozeszli się.

Zaraz na drugi dzień poprzychodziły kobiety, po dziewczyny.

Ciężko było Tomkowi rozstawać się z niemi, bo płakały, padały mu do nóg, prosiły żeby ich niedawał do ludzi, ale Baran się zaciął, więc tylko szorstko krzyknął:

— Idźta, bo was spierę, jak nieboskie stworzenia.

I jak tylko powychodziły, na cały dzień poszedł się włóczyć po lesie.

*
* *

Zima zaczeła łagodnieć, przyszły wielkie odwilże i zginęło tyle śniegu, że w lesie rozlegał się ustawiczny huk siekier rąbiących sągi.

Tomek codziennie chodził do roboty.

Przykrzyło mu się za dziewczynami, szczególniej wieczorami, kiedy przyszedł z roboty i choć kolacya zawsze była gotowa, ale mu było brak tych dziecinnych głów na około miski i szczebiotu Jóźka.

Czasem dziewczyna która przyleciała ze wsi, posiedziała chwilę czasu, naopowiadała o swoich dobrodziejach, o jadle, o szmatach — i rwała się z powrotem, bo jéj już tęskno było za wsią i za ludźmi; a ta odrapana nędzna chałupa raziła potrochu. Rozumiał to dobrze Tomek, bo raz po odejściu Marysi, rzekł do Jagustynki, która, co ylko jéj zostało czasu od mizernych zajęć gospodarskich, to tylkc przędła len, grocmplowała wełnę albo motała przędzę w parniki.

— Nieboszczyk mój kochany, nie odszedł by tak odemnie, nie. Dobre są dziewczyny, jako i te moje, ale zawżdy tylko dziewczyny — i machnął ręką.

— Prawda, kobieta sama jestem, ale powiem—że co chłopak, to chłopak. Na rozpustę, juścić on jest prędszy, ale i do roboty prędszy. Żeby był taki jak Marysia, to na kolei by nie zarobił, co?

— Juści żeby zarobił, bo choć mnie dać roboty nie chcą, ale jemu by dali. I zaraz z tego zaczął sobie przypominać niedolę swoją i krzywdy, a w końcu zapytał starej:

— Dla czego to babko jest, że choćmy z panami jedni i mową i wiarą, a wrą na nas kieby psy, poczciwego słowa nie dadzą, jak mogą ukrzywdzić to ukrzywdzą—i wszystko one mają albo żydy?

— Dla czego? Dyabelskie urządzenie to jest, nic więcej. A przez co dyabeł trzyma duszyczki w smole, gdyby konopie we wodzie? Zapytała, puszczając na tok wrzeciono.

— Widzi mi się, że przez to, bo dusze grzeszne są.

— A naród głupi, to nie grzeszny?

— A to czemu głupi?

— Ale! aby każdy wiedział, jak? przez co? la czego? Nie trzymałby go nikt, za łeb kiej piskorza, nie gniótłby po piersiach jak wieprzka przy zabijaniu—nie.

— Żle jest.

— Musi tak być, kiedy jest.

— Pewnie. — Nie chłopska głowa zrobi lepiej.

— Nie zrobi i insza, choćby była taka uczona jak ksiądz, albo drugi ojciec święty.

— Tylko?

— Tylko samo się zrobi, jak czas potemu nadejdzie. Miarkuj sobie tylko, czemu to w kopania nie sieją owsa?

— Ano, nie pora przecież siać owies na zimę.

— Czemu na Gromniczną z pługiem albo broną nie wyjdziesz w pole? Czemu owieczków nie strzygą w zapusty? — bo na to nie pora, bo na wszystko jest swój czas, bo na wszystko Pan Jezus swoją porę, swój czas wyznaczył. Miarkuj sobie tylko, jakie to wszystko boskie urządzenie jest.

— Prawda babko, miarkuję sobie, ale mi ckno, że choćby człowiek naprzód chciał dostać jakiej dobroci, to niemożna.

— Ale! chcieć, każdy zawsze powinien, jak i pilnować swojego czasu. Czas przyjdzie na wiosnę sadzić ziemniaki, siać owies, — to

nie chciej sadzić, nie chciej siać—będziesz miał co jeść w kopania, będziesz miał co zbierać, jak pora przyjdzie zbierania?

— Prawda babko, prawda, ale wy też pomyślenie mądre macie, — la boga.

— Każdy powinien mieć pomyślenie za siebie i za drugich, bo przecież za ludzi nie świnie będą myśleć.

— Prawda, babko prawda.

Tak sobie rozmawiali w długie wieczory marcowe: Tomek Baran ze starą Jagustynką.

1894. *Władysław St. Reymont.*



# DĄŻENIA ETYCZNE.

## I.

Wieleż to miliardów trupów pochłonęła ziemia, wieluż to mogił stopy nasze dotykają, wieleż to krwi przelało się na ziemi, wieleż przekleństw i jęków rozpaczliwych przebrzmiało w powietrzu od czasu powstania życia na naszym globie! Walka o byt wre wszędzie nieustannie, bez wytchnienia. Wszystkie jestestwa wojują z sobą, począwszy od bakteryi aż do człowieka. Każde z nich chce żyć i osiągnąć *maximum* bytu, ztąd zatarg powszechny, walka wszystkich przeciw wszystkim. Rozwój jednych form dokonywa się kosztem rozwoju innych dzięki właśnie téj powszechności dążeń wszystkich jestestw, dzięki jedności praw ewolucyi. Każda jednostka faluje pomiędzy stanami przyjemności i cierpienia, pomiędzy działaniem sił zachowawczych i rozkładowych.

Dokąd dąży rzeź ta powszechna, dokąd prowadzi ewolucya życia, wyłaniającego się z téj rzezi? Odpowiedź na to pytanie, jaką nam daje nauka, w następnych streszcza się słowach: — do udoskonalenia człowieka, do spotęgowania świadomości i wzmożenia woli w naturze. Panowanie nad naturą do szlachetnego należy przybysza. Z oceanu cierpienia wyłonił się pan ziemi, ciepienie powszechne go zrodziło, cierpienie każe mu dążyć do szczęścia i szczęście swe na cierpieniu budować. Będąc téj saméj natury i ulegając téj samej konieczności, co i inne jestestwa, panować musi siłą gwałtu i morderstw, siłą pięści. Uzbrojony w świadomość, rozbija skały, wydobywa iskrę świętą z drze-

wa, wygrzebuje skarby z głębi ziemi i przekształca za pomocą wszystkich swych zdobyczy powierzchnię świata. Ponieważ karmić się musi życiem innych jestestw, rozrywa więc owoc rośliny i niszczy zaród nowego życia, niszczy to, co chce żyć. Walczy ze zwierzęciem, zabija je, zjada, skórą zaś jego i sierścią nagość swoją skrywa. Zabezpieczony od nieprzyjaznych dla siebie wpływów klimatycznych, porzuca raj swój pierwotny, ażeby podbić sobie całą ziemię. Ów pochód wojenny — to pochód krwawy, bezlitośny, pochód wszystkoniszczący Dotychczasowi wybrańcy natury padają pod pięścią nowego jéj ulubieńca, który, korzystając z swéj przewagi, w najbrutalniejszy sposób niszczy wszystko, co uświęciła przeszłość wielowiekowa. Ostatni przybysz okazał się najpotężniejszym i najbezlitośniejszym ze wszystkich władców ziemi. Wspaniałe kwiecie życia, skąpane we krwi, odradza się bezustannie. Sam zabójca staje się z kolei ofiarą zabójstwa. Władca ziemi ginie śmiercią zadawaną mu ciągle przez wrogów niewidzialnych. Wyłoniony z ziemi wraca do niéj i grób swój w owéj kołysce swéj znajduje.

Cały postęp materyalny, wszystkie wynalazki są niczém innem jak dopełnieniem człowieka, uzupełnieniem jego zmysłów, członków i innych organów. Postęp materyalny, warunkujący postęp umysłowy i społeczny i przezeń warunkowany, rozszerza zatém nasze życie i potęguje je coraz bardziéj. Postęp materyalny jest jednak wytworem zbiorowym, społecznym; jednostka tylko przy pomocy innych jednostek może być dla niego użyteczną. Indywidualny rozwój człowieka zależy więc tak jak jego początek nie od niego samego, ale od innych ludzi, od społeczeństwa. Indywidualiści, obawiający się zalewu jednostek przez społeczeństwo, zatracenia się ich samodzielności, nie zastanawiają się widocznie nad tém, że jednostka wyłącznie w życiu społeczném znajduje warunki dla swego rozwoju indywidualnego i że im lepiéj to życie jest zorganizowane, im jest spoistsze, tém więcéj korzyści osiągają jednostki, tém bardziéj są indywidualne... Tylko w społeczeństwie jednostka rozwinąć może swe zdolności, społeczeństwo bowiem dostarcza jéj potrzebnych do tego środków.

Życie nasze indywidualne wiąże się z życiem społeczném nietylko teraźniejszém ale i przeszłém. Zawdzięczamy je tym miliardom mózgów, które myślały i tym miliardom serc, które cierpiały przed nami. Miliardy ust, które śpiéwały hymny miłości i przeklinały swe istnienie, miliardy upojeń i bólów złożyły się na nasze życie indywidualne. To, co niegdyś żyło, czuło i myślało, w nas dziś istnieje. Każdy z nas nosi w sobie atomy i fale tego gorącego niegdyś życia, w potokach łez i krwi skąpanego.

Każde społeczeństwo, najpierwotniejsze nawet, posiada swą moralność, t. j. szereg obyczajów wyrażających wzajemny stosunek członków tegoż społeczeństwa. Tam, gdzie poczyna się wytwarzać jakakolwiek organizacya społeczna, zawiązywać się muszą pewne stosunki wzajemne pomiędzy jednostkami w skład jéj wchodzącemi, stosunki wynikające bezpośrednio z instynktu samozachowawczego. Instynkt ten, występujący pierwotnie w postaci ciasnego egoizmu indywidualnego, rozszerzał się stopniowo na coraz większą ilość jednostek, na: rodzinę, plemię, kastę, klasę, naród, grupy narodów i rozszerzać się będzie daléj jeszcze, dopóki nie ogarnie całéj ludzkości. Pierwotny egoizm brutalny w miarę takiego rozszerzania się tracił swą siłę, łagodniał coraz bardziéj; obok instynktu samozachowawczego jednostki, pod wpływem nowych podniet przez stosunki społeczne wytwarzanych, począł się rozwijać nowy instynkt, instynkt samozachowawczy rodzinny, plemienny, kastowy, klasowy, narodowy. Stosunki między ludźmi danéj grupy społecznéj stawały się, w miarę rozwoju jéj organizacyi, coraz niezbędniejszemi dla jéj jednostek warunkami życiowemi, coraz głębiéj i szerzej odbijały się w ich umysłowości, coraz większemi stawały się dla nich potrzebami psychicznemi. Interes społeczny stawał się tym sposobem ekonomicznie i psychicznie interesem osobistym jednostek. Życie społeczne, będące pierwotnie środkiem dla zaspokojenia potrzeb życia indywidualnego, staje się z czasem celem tegoż życia. Indywidualny instynkt samozachowawczy wpada w coraz większą zależność od rozmaitych instynktów natury społecznej. Wprawdzie „niejeden człowiek byłby w stanie zabić drugiego, aby sobie jego tłuszczem buty swe wysmarować" — jak mówi Schopenhauer [1]), czyny jednak takie należą już dziś do niezwykłych i powszechne wywołują oburzenie

Jak brzydotę tak i zło odczuwamy w tych tylko czynach, co do których mamy pewien ideał w naszym umyśle. Wszystko, co nie harmonizuje z tym ideałem, co nie odpowiada etycznym naszym popędom i pojęciom, odczuwane bywa przez nas jako nieprzyjemne, wstrętne, brzydkie. Człowiek dziki, obdzierający ze skóry zdobytego jeńca, nie odczuwa wyrzutów sumienia, uważa bowiem czyn swój za zupełnie słuszny; tak samo cywilizowany paryżanin dzisiejszy przygląda się ze spokojem wykonywania kary śmierci, uważając ją za rzecz sprawiedliwą. Okrutne zbrodnie przeszłości (prześladowania religijne, igrzyska rzymskie, podbój Ameryki przez Hiszpanów i Portugalczyków, tortury inkwizycyi i t. d.), za jakie uważamy je dzisiaj, nie były niemi dla

---

1) Schopenhauer. *Die beiden Grundprobleme der Ethik.* Lipsk. 1860. S. 195.

ludzi owych epok, tak jak morderstwa wojen dzisiejszych nie są uważane za zbrodnie przez większość ludzi cywilizowanych. W pewnych miejscowościach nierządnice cieszą się powszechném powodzeniem, kobiéty zaś cnotliwe bywaje lekceważone; w innych bywa odwrotnie. Etyczna wartość czynów ludzkich względną jest, jak widzimy; zależy ona od stopnia rozwoju umysłowego i społecznego jednostek je oceniających.

Ponieważ czyny ludzkie posiadają taką lub inną wartość etyczną jedynie w stosunku do społeczeństwa, po za społeczeństwem bowiem niéma ani dobra ani zła, niéma moralności, wartość etyczna zatém sprowadza się do wartości społecznéj. Ztąd wynika, iż dobrém jest wszystko to, co rozszerza życie społeczne, co sprzyja jego rozwojowi, co dopomaga mu do osiągnięcia pełni jego najwyższéj, co zwiększa sumę szczęścia i zmniejsza sumę cierpień w świecie, co dąży do wcielenia w formy społeczne ideału sprawiedliwości; złém zaś wszystko, co tamuje rozwój życia społecznego, co zwiększa sumę cierpień i zmniejsza sumę przyjemności. Wzrost moralności zależy zatém od wzrostu współczucia, od wzrostu popędów społecznych, a więc od wzrostu stosunków między ludźmi. Wszystko, co budzi współczucie w człowieku co rozszerza jego „j a" w „m y", wpływa nań umoralniająco.

## II.

Popędy moralne, zdaniem Darwina, istnieją w nas dzięki temu, iż okazały się korzystnemi dla ludzkiego gatunku. Spencer uważa je za wytwór społeczny, za ślad odciśnięty w nas przez wpływy obcowania z ludźmi i ustalony stopniowo przez dziedziczność. Dzięki dziedziczności i doborowi naturalnemu odciska społeczeństwo w organizmie jednostki własne swe prawa istnienia i dobrobytu. Jednostka rodzi się z instynktową intuicyą tych praw, jak się rodzi z intuicyą przestrzeni. Pojęcie dobra i obowiązku jest tylko ogniwem pośredniém pomiędzy instynktem niedoskonałym przeszłości a instynktem doskonalszym, nieomylniejszym, który wyniknie z samego postępu społeczeństw w przyszłości. Z chwilą powstania tego instynktu rozwaga stanie się niepotrzebną, moralność będzie organiczną, nieodłączną od naszego mózgu. „Przyjdzie dzień — powiada Spencer — kiedy instynkt altruistyczny stanie się tak potężnynm, tak wyłącznym, tak dobrze wcielonym w nasz organizm, iż ludzie walczyć z sobą będą o sposobność wprowadzenia go w działanie, o sposobność poświęcania się i śmierć". Rozwój moralny dokona się więc z tą samą koniecznością jak rozwój biologiczny.

Stać się automatem nieświadomym, cudownie skomplikowanym i zjednoczonym, człowiekiem-maszyną, czyniącym to, co jest najlepsze i najkorzystniejsze dla gatunku, nie potrzebując się nad tém zastanawiać — oto ideał, do którego, podług Spencer'a dążymy.

Czy tak jest jednak w rzeczywistości?

„Każdy instynkt, stając się świadomym, dąży do unicestwienia się" — powiada Spencer. Jeżeli więc moralność wypływa z instynktu pobudzającego jednostkę do poświęcenia się dla gatunku, to instynkt ten, uświadamiając się, dążyć będzie do unicestwienia się i do rozstroju moralności. Z teoryi Spencer'a wynika zatem, że postęp moralny nietylko nie jest konieczny, ale jest niemożliwy.

Ogólną przyczyną i ogólnym celem naszych czynności jest życie; wszystko to, czego pożądamy, jest jakąś formą lub jakąś funkcyą życia. Dążność somozachowawcza, t. j. dążność do zadowolenia samych potrzeb życiowych, tak fizyologicznych jak i psychicznych, stanowi zasadniczy składnik naszej woli, zasadniczy czynnik kierowniczy w naszém postępowaniu. Człowiek, oddający swe życie dla jakiéjś idei, działa również w interesie własnego swego życia, w interesie swéj jaźni; pragnie on urzeczywistnienia téj idei, gdyż zainteresowany jest nią psychicznie. Nie wynika ztąd jednak, ażeby wszelkie czyny ludzkie egoistycznemi wyłącznie być miały. Egoistycznemi bywają one wtedy tylko, gdy dana jednostka osobistą jakąś korzyść ma na celu; w razie przeciwnym, t. j. gdy czyny człowieka nie własne ale obce dobro mają na celu, są one altruistyczne, pomimo iż bezinteresowne nie są i nigdy niemi z natury rzeczy być nie mogą. Nie interes zatém ale cel jedynie nadaje taką lub inną wartość etyczną czynom ludzkim. Czyny altruistyczne jednostki, wypływające z normalnych dążeń życia, z jego intensywności naturalnie wylewającéj się na zewnątrz, zawsze schodzić się muszą z interesem społeczeństwa; są one korzystne dla niego zawsze, wtedy nawet, gdy ono samo, nie zdolne ocenić ich należycie, za szkodliwe je uważa.

Życie samo nosi w sobie cel swój i swe prawo. Forma jednak życia indywidualnego nie wystarcza psychicznéj jego treści, ztąd téż treść ta poszukuje dla siebie uzupełnienia w innéj formie. Cel każdego jestestwa polega na zrealizowaniu psychicznéj swéj treści, na osiągnięciu najwyższéj dla niéj formy. W poczuciu niewystarczalności formy życia indywidualnego dla treści jego psychicznéj, w dążeniu do zrealizowania owéj treści poczucie moralne bierze swój początek. Słusznie zatém powiada Guyau, iż „obowiązek moralny jest możliwością wyższą od rzeczywistości i stającą się w stosunku do niéj idea-

łem; jest zawiązkiem przyszłości wylewającym się poza teraźniejszość" [1]).

Czém jest jednak owa treść psychiczna, wylewająca się po za formę życia indywidualnego?

Wszystko w nas społecznego jest pochodzenia. Nasze ja, zmieniające się ustawicznie, jest tylko wypadkową grupowania się stanów świadomości i przystosowywaniu się ich do społecznego w nas podścieliska fizyologiczno-psychicznego, jest pewnego rodzaju ośrodkiem ciężkości przelotnych fal naszego życia. Obok swego indywidualnego ja istnieje w nas „ja“ społeczne, a właściwie „my", które w streszczeniu w sobie nosimy, gdyż ono dało nam początek. To poczucie zbiorowości, poczucie my rozwija się w nas w miarę rozwoju umysłowego i społecznego. Jest ono owym rozkazem wewnętrznym, zwanym przez Kant'a *imperativus categoricus*, jest sumieniem. Trzyma ono w zależności od siebie nasze ja indywidualne, burzy się przeciwko niemu, jeśli nie jest słuchaném. Harmonia pomiędzy niemi wyraża się w spokoju wewnętrznym. Ja czci owo my wewnętrzne, lęka się jego wyrzutów i stosuje się zwykle do jego rozkazów. Przez sam nasz ustrój psychiczny zmuszeni jesteśmy czcić w sobie tę całość, któréj cząstkę stanowimy. Cześć zaś ta — to źródło moralnych i religijnych naszych uczuć.

Ciążymy do społeczeństwa, bo jesteśmy jego wytworem, ciążymy do niego jak ziemia do słońca, bo ono rzeczywiście jest słońcem naszém życiodajném; ciążenie zaś to ujawnia się w nas w postaci jakiejś tęsknoty społecznéj, współczucia, porywów altruizmu. Czyż to nie jest uczucie religijne? Największą i prawdziwą przyjemność dają nam wzruszenia współczuciowe. Humanitaryzm, litość, zdolność przebaczania najpiękniejszą stanowią ozdobę człowieka. Nie ten żyje, kto jest sławny i potężny, ale ten, kto czuje nędze życia, kto doznaje wzruszeń towarzyszących spełnianiu dobrych czynów, kto osusza łzy cierpiącym i sam je wylewa na widok nędzy, kto przebacza krzywdy osobiste, kto czuje w innych. Wzruszenia współczuciowe i związane z niemi myśli—to najwznioślejsza siła człowieka, źródło jego wiary i nadziei, podstawa woli i czynu—to jego szczęście prawdziwe.

Dopełnienie swej formy, zrealizowanie swej treści znaleźć może jednostka wobec tego jedynie poza sobą. Jednostka nie może więc być niezależną, nie może być czémś całkowitém w sobie, lecz cząstką większéj całości. Gdyby jednostka cel swój w swéj osobie jedynie od-

---

[1]) M. Guyau. Esquisse d'une morale sans obligation ni sanction.

najdywała, jak utrzymują utylitaryści, nie mogłoby się było wytworzyć w niéj poczucie obowiązku, którego spełnianie związane bywa często z pewnemi cierpieniami, nie mogącemi zadowolić egoizmu najbardziéj nawet oświeconego. Człowiek nie może zatém dojść do automatyzmu etycznego, do ostatecznego przystosowania się do warunków życiowych, zmieniających się bezustannie; przeciwnie, stawać się on będzie coraz ruchliwszym i coraz większą zdobywać będzie łatwość w przystosowywaniu się do zmian otoczenia. Do doskonałości moralnéj nie dojdzie nigdy, życie bowiem, które samo jest ustawicznym biegiem, nie pozwala mu się zatrzymywać ani na chwilę i każe mu iść ciągle naprzód.

Moralność o tyle wiąże się z religią, o ile uczucie moralne zespala się z potrzebą wierzenia w coś przekraczającego granice nas samych, wyższego nad nas. Moralność cywilna i moralność religijna jest właściwie jedną i tą samą; obie one wypływają z jednego źródła: z dążeń odrywających nas od hołdowania samym sobie. Uczucie religijne istnieje w każdym moralnie rozwijającym się człowieku; wywołuje ono wiarę w to, co jest ponad naszém j a, co domaga się czci od nas. Wielkie religie ludzkości, podnoszące jéj ducha do wyżyn ideału, nie były dziełem wyrachowania lub szarlataneryi. Wyzyskiwane bywały wprawdzie przez pewne kasty, wyszły jednak nie z ich łona, ale z głębi życia społecznego. W religiach tych, stanowiących dziś jeszcze niezbędny warunek rozwoju ludzkości, kryje się protest przeciw twardéj teraźniejszości oraz przeczucie lepszéj przyszłości. Nie uczyniły nic one wprawdzie dla materyalnego postępu ludzkości, wszystkie bowiem odkrycia i wynalazki dokonane zostały na gruncie pozareligijnym, wpływały jednak uspołeczniająco na człowieka, uszczęśliwiały go i to jest ich zasługą. Religie zaspokajały wyższe potrzeby ludzkości, których postęp materyalny zaspokoić nie jest w stanie. Przeciwstawiając chwilowym interesom jednostki interesy trwalsze, ogólniejsze, wywierały i wywierają wpływ moralizujący. Jako wytwór społeczny muszą one zawierać w sobie pierwiastek spajający, altruistyczny.

Każdy z naszych czynów, dobry czy zły, znajduje dla siebie zapłatę w swych rezultatach: nagradzany bywa przyjemnościami, gdy powoduje przyrost życia; karany cierpieniami, gdy je osłabia, zmniejsza. Nagrodą dla dobrego czynu jest sam czyn, wewnętrzne zadowolenie z dokonania obowiązku. Niespełnienie obowiązku lub pogwałcenie go znajduje karę w niezadowoleniu, w dysharmonii wewnętrznej pomiędzy j a a m y.

Spełnianie obowiązku, zwane cnotą, daje nam nietylko bezpośrednie zadowolenie wewnętrzne, ale jednocześnie sprawia zadowo-

lenie innym jednostkom. Uszczęśliwiając atoli innych, uszczęśliwiamy pośrednio także siebie, jesteśmy bowiem dla tych innych również innymi. Cnota zatém i szczęście zlewają się z sobą tak z punktu widzenia osobistego jak i społecznego. „Nie czyń drugiemu tego, czego nie chcesz, aby tobie czyniono" i „czyń drugiemu to, co chcesz, aby tobie czyniono"—oto zdania, streszczające w sobie całą zasadę moralności. Ponieważ chcemy szczęścia od innych, szczęście więc nasze ich jest obowiązkiem, tak samo jak ich szczęście nasz obowiązek stanowi. Szczęście i cnota utożsamiają się więc w życiu społeczném.

Nie jeden może powié: „Cóż mnie obchodzą inni, cóż mnie ich szczęście obchodzi. Żądam szczęścia dla siebie przedewszystkiém; w walce o byt nie można myśléć o innych. Siła panuje wszędzie nad słabością w naturze, nie można więc żądać, ażeby w stosunkach ludzkich było inaczéj". — Ci, co rozumują w ten sposób, zapominają o najważniejszéj rzeczy, mianowicie, że człowiek dzisiejszy nie może być brany w udosobnieniu od innych wtedy, gdy się mówi o szczęściu i o obowiązkach, Każdy człowiek związany jest ze społeczeństwem swemi interesami życiowemi i dlatego téż, że nie może żyć poza społeczeństwem, ma obowiązki względem tegoż. Społeczeństwo niezbędny stanowi warunek życiowy dla człowieka, niemniéj ważny od warunków kosmicznych; jeżeli zaś wobec natury poza-społecznéj mamy obowiązki, od spełnienia których życie nasze zależy, to i wobec natury społecznéj, również dla nas niezbędnéj, mamy obowiązki, od spełnienia których szczęście nasze zależy. Jeżeli jednostki budują swe szczęście na nieszczęściu innych, jeżeli mniéjszość opiéra swe szczęście na nieszczęściu większości, to dowodzi tylko, że organizm społeczny nie jest jeszcze tém, czém być powinien. Życie moralne związane jest nierozerwalnie z życiem społeczném; jakie życie społeczne, taka téż i moralność. Obok moralnośei praktycznéj istnieje jednak moralność idealna, poprzedzająca, zapowiadająca i warunkująca rozwój moralności przyszłéj. Moralność idealna filozofów greckich weszła w życie w chrystyanizmie, moralność idealna filozofów XVIII wieku znalazła dla siebie podstawy konkretne po wielkiéj rewolucyi francuzkiéj, moralność idealna dzisiéjsza: braterstwo i solidarność powszechna znajdzie również wyraz konkretny w przyszłości.

Moralność praktyczna opiéra się na rzeczywistości konkretnéj warunków życiowych danej chwili; one nadają ogólny kierunek życiu. Nie uwzględnianie tych warunków stawia nas wobec sprzeczności ujawniającéj się pomiędzy hasłami moralności a praktyką życiową, pomiędzy braterstwem a walką powszechną, pomiędzy równością a nierównością społeczną, pomiędzy wolnością a panowaniem przemocy,

pomiędzy prawem korzystania z wytworów własnéj swéj pracy a niemożliwością takiego korzystania i t. d. Religia nakazuje nam kochać bliźniego bez względu na jego pochodzenie, wyznanie i t. d., jednocześnie zaś sposobimy się do rozlewania krwi naszych wrogów rzeczywistych lub urojonych, warunki bowiem życiowe zmuszają nas do tego.

Ideały wtedy tylko stanowią siłę społeczną, gdy się wiążą z organizacyą sił społecznych, będącą wynikiem procesu historycznego. Handel z punktu widzenia zasad naszych moralnych jest krzewicielem egoizmu, krzewicielem zła; zło to jednak potężnym jest czynnikiem rozwoju cywilizacyi, czynnikiem biorącym udział w wytwarzaniu stosunków, na których gruncie powstają także nasze ideały. Jako wyzysk człowieka przez człowieka, kapitalizm jest złem z punktu widzenia naszych ideałów, ale jednocześnie potężny stanowi czynnik ewolucyjny, nietylko rozkładowy, lecz i twórczy. Bez niewolnictwa nie byłoby greckiéj sztuki i nauki, nie byłoby dzisiejszéj Europy. Niewolnictwo było niegdyś wielkim krokiem naprzód w rozwoju ludzkości, aczkolwiek dzisiaj nie odpowiada naszym uczuciom etycznym. Jeżeli zaś dzisiejsze fakty ekonomiczne nie odpowiadają naszym uczuciom etycznym, aczkolwiek są konieczne, to dla tego, iż umysłowo poczynamy żyć już życiem przyszłości, przez nowe warunki ekonomiczne, przewidywane przez nas, determinowaném, iż patrzymy na te fakty z punktu widzenia jutrzejszego, nie zaś dzisiejszego.

## III.

Wszelka czynność nasza, skoro nie napotyka przeszkód zewnętrznych lub wewnętrznych, fizycznych lub psychicznych, skoro nie jest tamowana przez czynniki nie należące do naszego j a, jest wolną. Wolność taka względną jest oczywiście, zależy bowiem od stanu naszéj osobowości danéj chwili. Człowiek zresztą nie może być bezwzględnie wolnym nietylko psychicznie ale i społecznie; musi on powstrzymywać swe popędy, przyzwyczajenia i skłonności, musi panować nad sobą, ażeby nie krępować wolności innych. Ludzie muszą być współzależni, muszą ograniczać się wzajemnie, gdyż dzięki temu jedynie mogą obok siebie istnieć zgodnie i mogą być wolni.

Przyszłość zdaje nam się o tyle niezdeterminowaną, o ile w wytwarzaniu téj przyszłości bierzemy udział i to tém bardziéj niezdeterminowaną, im mniéjsze mamy o niéj wyobrażenie. Pojęcie téj indeterminacyi względnéj w połączeniu z wyobrażeniem udziału, jaki wziąć możemy w zdeterminowaniu danego rezultatu, budzi w nas poczucie

woli i wytwarza pojęcie wolności. Działalność więc nasza zależy od pojęcia, jakie mamy o tém, co może i co powinno nastąpić, oraz od wyobrażenia o stopniu naszego współudziału osobistego w wytwarzaniu oczekiwanego rezultatu.

Sposób życia jednostek zależy od budowy społecznéj; charakter téj budowy odbija się na ich psychizmie, na ich poglądach, dążnościach i obyczajach. Z drugiéj jednak strony psychizm jednostek stanowi siłę, od któréj zależy w mniéjszym lub większym stopniu układ przyszłych stosunków społecznych; rozwój bowiem sił wytwórczych, od którego zależy rozwój stosunków między ludźmi, w ścisłéj pozostaje zawisłości od rozwoju umysłowego. Człowiek—niewolnik swych wytworów, jest jednocześnie ich panem. Zależny od rozwoju swych sił wytwórczych, podbija przy ich pomocy naturę, opanowuje ją swym rozumem. Poznanie praw ślepéj konieczności pozwala mu z niéj korzystać i posiłkować się nią dla swych celów. Opanowywana coraz więcéj przez rozum ewolucya społeczna, coraz bardziéj zatraca żywiołowy swój charakter, staje się coraz rozumniejszą, coraz więcéj zależną od naszych ideałów.

Człowiek świadomy swego położenia innym jest niewątpliwie niż człowiek nieświadomy i wobec tych samych warunków inaczéj w jednym a inaczéj w drugim stanie się zachowuje. Mając świadomość niebezpieczeństwa, nie jestem w tym stanie, w jakim znajduje się ten, który nie ma téj śwadomości. Wyobrażenie niebezpieczeństwa staje się w takim razie kierownikiem mych czynności. Jeżeli czynię cośkolwiek, wiedząc o tém, co czynię, jeżeli przewiduję następstwa swych czynności, mogę wówczas unikać niepotrzebnych wysiłków i zbytecznéj straty sił, mogę uchylać się z pod wpływu pewnych przejawów naturalnéj konieczności dla mnie szkodliwych i ulegać tylko korzystnym. Znając naturalny bieg zjawisk, mogę posiłkować się niemi dla swych celów, dla swéj korzyści. Poznanie praw konieczności, poznanie przyczynowego związku pomiędzy zjawiskami otaczającego nas świata pozwala nam przyspieszać bieg procesu ewolucyjnego, pozwala nam celowo nim kierować. Jest ono dla nas jedynym środkiem stania się wolnymi w granicach możliwości.

Wolność nasza bardzo jest ograniczoną i to tém bardziej, im więcéj ulegamy wpływom swego otoczenia, im jesteśmy na nie wrażliwsi. Mówca porywający słuchaczów, śpiewak czarujący publiczność, agitator podburzający tłum do buntu, pedagog kształcący swych wychowańców, piękność podbijająca serca swych wielbicieli — oto przykłady opanowywania jednych osób przez drugie. Pewne takie suggestye wywierają wpływ na całe masy ludności, jak tego dowodzą epidemie

opętanych, biczowników, pląsających, samobójców i t. d. i decydują niekiedy o losach całych narodów, jak to pokazuje epidemia wypraw krzyżowych. Wiadomo również, jak potężnem jest znaczenie czarowników, cudotwórców, wróżbitów, fakirów, szamanów, derwiszów i t. d. w propagowaniu i utrwalaniu wierzeń religijnych. Hypnotyzują oni widzów, czynią ich swymi niewolnikami. A wieluż to niewolników liczą rozmaite przesądy, nawet pośród ludzi wykształconych! Z pomiędzy rozmaitych tych suggestyi biorą górę te zwykle, które lepiéj odpowiadają warunkom życiowym jednostek.

Jak zwierzę upodobnia się swą barwą do otoczenia, tak i człowiek upodobnia się do swego środowiska życiowego, do przedmiotów swego podziwu, czci, uwielbienia, do przedmiotów swej kontemplacyi, swych rozmyślań, swych marzeń. Dąży on do utożsamienia się z niemi, do zatarcia swego indywidualizmu wobec nich, do zlania się z niemi w jedną całość. Ja dąży w ten sposób, we własnym swym interesie, do rozszerzenia się w my. Upodobnianie się rysów twarzy męża i żony, odtwarzanie się ran krzyżowych wskutek przejęcia się cierpieniami Chrystusa, naśladowanie osób świętych jak i głośnych z czegokolwiek, mody i t. d. — oto przykłady takiego uzależniania się jednostek [1]).

Ażeby nasze ja mogło się czuć wolném, musi się jednak czuć determinującém i działać pod wpływem tegoż uczucia. Gdzie niéma poczucia wolności, tam nie może być żadnych zobowiązań, zobowiązywać się bowiem do czegoś może człowiek o tyle tylko, o ile jest pewnym swego udziału w zdeterminowaniu tego czegoś. Co do uczuć np. pewność taka jest niemożliwa, wszelkie zatém zobowiązywania się w téj dziedzinie są bez wartości. Nie można być pewnym, że się będzie kochać kogoś zawsze i niezmiennie, nie można się zatém do stałości takiéj w uczuciach zobowiązywać i nie można być odpowiedzialnym za niedotrzymanie tego rodzaju zobowiązań. Można być pewnym jednak tego, co charakteryzuje nas, a więc uczciwości, wytrwałości w dążeniu do danych celów, odwagi i t. d. i takie tylko zobowiązania mogą mieć etyczną wartość.

Wszelkie zobowiązanie wiąże się z odpowiedzialnością. Człowiek normalnego umysłu nie może nie być odpowiedzialnym za swe czyny, bo chociaż zmienia się ustawicznie, to jednak nie jest on co chwila czémś zupełnie innem, ale streszczeniem całej swej przeszłości. Skoro

---

[1]) Pisarz francuzki Tarde naśladownictwem wyłącznie usiłuje wytłomaczyć powstawanie rozmaitych zjawisk społecznych bez uwzględniania warunków ekonomicznych. Taka socyologia nie może mieć, jak sądzę, wartości naukowej.

natura czyni nas odpowiedzialnymi za nasze błędy i wykroczenia przeciw niéj popełniane, to i społeczeństwo ma prawo czynić nas odpowiedzialnymi za wszystko, cośmy przeciw niemu zawinili. Każdy więc, kto gwałci warunki życia społecznego, pozbawiony być powinien części praw, dających mu możność gwałcenia ich w dalszym ciągu, o tyle, o ile wymaga tego bezpieczeństwo społeczne.

Lecz nie tylko wobec teraźniejszości odpowiedzialni jesteśmy za nasze czyny ale i wobec przyszłości. Niema takiego czynu, któryby nie wpływał w większym lub mniejszym stopniu na kształtowanie się indywidualnej i społecznej przyszłości, na powstawanie przyjaznych lub nieprzyjaznych warunków indywidualnego i społecznego życia. Wszelka dokonana przez nas praca użyteczna, wszelki czyn dobry, wszelka prawda przez nas odkryta lub rozpowszechniana, wszelka realizacya piękna rozlewa się w następstwach dobroczynnych, powiększa sumę życia oraz podnosi jego poziom i jego natężenie. Wszystko zaś, co jest złém, co powoduje cierpienia, co budzi wstręt, co jest fałszem, szkodzi nie tylko teraźniejszości ale i przyszłości, gdyż ta zmuszona będzie wydalać ze społeczeństwa jak wydala z jednostki, ów zaród następstw szkodliwych, co nie może się obejść bez pewnych cierpień i strat życiowych. To zatém tylko, co w nas jest najlepszego, najracyonalniejszego, najpiękniejszego, żyć będzie w szeregach następstw bez końca pomimo, iż nas samych już nie będzie.

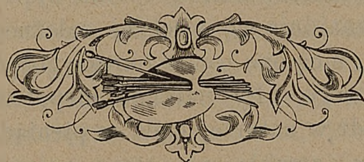
Mając tę pewność, z ufnością powinniśmy patrzyć w przyszłość. Od nas zależy ona w dość znacznym stopniu. Egoizm dzisiejszy nie jest oznaką upadku naszéj kultury, ale jéj przetwarzania się, pracuje bowiem nad rozkładem sił, które stają się bezużytecznemi. Materyalizm życia dzisiejszego w samym ustroju społecznym ma podstawę. Szybki rozwój przemysłu sprawił, iż poziom potrzeb ludzkich podniósł się, wymagania wzrosły. Ludzie chcą żyć dzisiaj jaknajwygodniéj i jaknajmniéj się troszczyć o zaspokojenie swych potrzeb i dla tego troszczą się o nie jaknajwięcéj. Nędza straciła mistyczne swe znaczenie; nikt nie wysławia jéj już dzisiaj i nie zaleca nikomu. Niéma dla niéj miejsca w nowém pojmowaniu życia. Klasy posiadające, czcząc dobrobyt materyalny, pociągają za sobą tłumy i zalecają im uważać złoto za dobro najwyższe, pogoń zaś za niém za jedyną racyę życia. Samo zresztą parcie warunków ekonomicznych każe widzieć w posiadaniu złota niezbędny warunek szczęścia. To téż żaden kult na świecie nie miał tylu hołdowników co dzisiejszy kult złota. Giełda stała się świątynią nowego Syonu, złoto miarą wszystkiego, a wszystko przedmiotem handlu. Ponad tym jednak materyalizmem życiowym

unoszą się wielkie ideje, poruszające umysły ludzkie, ideje twórcze, bo związane z najżywotniejszemi dążnościami dzisiejszemi i z prądami ewolucyi ekonomicznéj, które odświéżą niewątpliwie postać świata, nowe wleją w niego życie.

Ludzkość nie kroczy w swym rozwoju do czarnego oceanu zagłady ale do lepszego życia. I dawniéj skazywano ludzkość na zagładę, przepowiadano jéj smutną przyszłość: — w wieku najścia barbarzyńców, po upadku państwa rzymskiego, w X wieku owładniętym przez anarchię, podczas wojen religijnych, w końcu XVIII wteku — a jednak przetrwała ona dotychczas; to zaś, co uważano za groźbę, okazywało się warunkiem postępu naprzód. To samo ma miejsce dzisiaj.

Wszelki ustrój społeczny jest względny i przejściowy; w każdéj cywilizacyi istnieje cząstka zła — pozostałość przeszłości, którą ewolucya społeczna usiłuje zmniejszyć, zredukować do *minimum*. Złączywszy świadome swe usiłowania z ślepemi siłami natury, ludzkość uczynić może pobyt swój na ziemi nietylko znośnym ale nawet przyjemnym. Życie jéj społeczne streszcza się w jéj życiu umysłowém, jak roślina w swym kwiecie, a jak kwiat zaród nowej rośliny w sobie mieści, tak samo życie umysłowe zaród nowego życia społecznego w sobie zawiéra. Dopomagać rozwijaniu się tego zarodu, dążyć do urzeczywistnienia ideałów nowego życia — stanowi nasz obowiązek. Starajmy się pozostawić świat nasz lepszym niż go znaleźliśmy, starajmy się uczynić otaczające nas życie przyjemniejszém i piękniejszém — a spełnimy zadanie, jakie istnienie nasze nam przeznacza. Pracując wspólnie w tym kierunku, wpływać będziemy dodatnio na dalsze losy ludzkości i ziemi.

*Dr. Antoni Złotnicki.*



# KILKA SŁÓW O LICHWIE
## w guberni Kowieńskiej.

Ślepy traf oddał w moje ręce znaczną ilość materyałów, zebranych w gub. Kowieńskiej, a dotyczących lichwy miejscowej; pomiędzy niemi nawet jest notatnik znanego lichwiarza, obecnie zmarłego, zawierający szczegóły jego operacyi finansowych. Przypuszczam, że mój artykuł, acz bynajmniéj nie roszczący pretensyi do gruntowności i wszechstronności, uchyli choć nieco róg zasłony, która dotąd przykrywa te ciemne strony życia ekonomicznego; z konieczności muszę ograniczyć zadanie tylko do opisu lichwiarskiego procederu, zaledwo zlekka potrącając o inne strony tego zjawiska.

Pojęcie lichwy przedewszystkiém nie jest ściśle określonem; dotąd nie spotkałem określenia, któreby wolne było od zarzutów. Oczywiście formy lichwy znajdują się w ścisłéj zależności od form gospodarczych; rozumié się, inną ona jest w okresie gospodarstwa naturalnego, inną zaś—towarowego. By uniknąć nieporozumień lichwą będę nazywał pożyczkę bądź w naturze, bądź w pieniądzach, której warunki są o wiele cięższe niż zwykłe, np. stopa procentowa u nas wynosi 7 — 8, przeto lichwiarska będzie pożyczka udzielona na 12%; zwykle za pur żyta, pożyczonego na wiosnę, chłop oddaje w jesieni $1^1/_4$ pura, nie jest to lichwa, ale natomiast lichwą będzie, jeśli zażądają 2 — 3 pury. Ponieważ w naszych stosunkach często spotykamy pożyczki

w naturze, przeto formy lichwy można podzielić na naturalną i pieniężną; tu dodam, że pierwszą spotykamy wyłącznie po wsiach, które w ostatnich czasach służą za dobre pole dla rozmaitych operacyi lichwiarskich. Są nawet dane każące przypuszczać, że w miejscowościach, posiadających grunta bardzo rozdrobione, lichwa rozpanoszyła się bardziéj, niźli w miastach; są to jednak przypuszczenia, acz oparte na podstawach wiarogodnych. Wogóle jednak nie można twierdzić, by lichwę w miastach odczuwano dotkliwiéj niż na wsi; formy są różne, ale treść jednaka z tą chyba różnicą, że w mieście operacye te ukrywają się troskliwiéj niż na wsi; powód — obecność władz administracyjnych i sądowych, na wsi zaś władze gminne nie stawią zwykle żadnych przeszkód działalności lichwiarskiéj. W miastach panuje wyłącznie pieniężna forma lichwy; lichwiarze i lichwiarki rekrutują się z rozmaitych klas społecznych: w jedném z miast powiatowych uprawiają ten proceder zamożny a dobry rzemieślnik, b. lokaj, a obecnie obywatel miejski, żyd kupiec, właścicielka domu i t. d.; materyały moje wskazują nawet jednego zasuspendowanego księdza, który słynie jako głośny lichwiarz i pieniacz. W innėm mieście znaną lichwiarką jest b. właścicielka ziemska, eks-nauczyciel i t. d. Wogóle tym procederem trudnią się osoby różnych stanów, zawodów i narodowości, wszakże śród lichwiarzy miejskich żydzi stanowią znaczną większość. W miastach spotykamy głównie dwie formy lichwy: wekslową i zastawną; warunki pożyczek są bardzo różne, ale wogóle im pewność zwrotu jest większa tém są one łagodniejsze. Kilka przykładów wyjaśni je najlepiéj: *A* pożycza 100 rub., a wydaje weksel na 200 płatny za 6 miesięcy; *B* 100 rubli pożyczonych wypłaca lichwiarzowi ratami miesięcznie po 15 rubli w ciągu 1 i pół roku; *C* za 50 rub. wydaje weksel miesięczny na 75 rub., ale nie spłaca go w terminie, przeto pisze drugi na 150 rub. płatny za 6 miesięcy; za 20 rub., pożyczonych pod zastaw srébra stołowego za 2 miesiące kazano zapłacić 5 rub. procentów; zwykle przy pożyczkach na zastaw metalów szlachetnych bierze się od 7 proc. do 10 proc. miesięcznie, ale ich wysokość w niektórych wypadkach wzrasta znacznie, dosięgając do 500 i 600 proc. rocznie; szczególniéj to stosuje się do kwot drobnych, pożyczanych na zastaw. Lichwiarze używają najrozmaitszych sposobów, by zabezpieczyć swoje pieniądze; wymieniam te, które wyszczególniają moje materyały. Przedewszystkiém występuje jawnie zasada: obawą odpowiedzialności karnéj zmusić dłużnika do zapłaty swego długu, ale tę zasadę stosuje się tylko do osób, nie dających innych gwarancyi. Zwykle lichwiarz żąda w takim razie wystawienia wekslu fałszywego, lub podpisania go w sposób niewłaściwy, np. daje się pieniądze

oficerowi, gdy ten podpisze swe nazwisko z wymienieniem rangi wyższéj; czasami wystawiają się pokwitowania na rzeczy niby to oddane na przechowanie; np. *A* pożycza od *B* piéniądze i wystawia mu rewers, że otrzymał odeń na przechowanie rzecz taką a taką; *A* nie płaci w terminie, *B* wówczas wytacza mu proces o roztrwonienie (rastratu) proces karny. Czynnikiem, zabezpieczającym tu zwrót długu, jest obawa odpowiedzialności kryminalnéj. Praktykują się jednak te sposoby dość rzadko, bo dochodzenie sądowe może wykryć całą prawdę, czego lichwiarz obawia się; dawniéj jednak do nich uciekano się dość często. Względem osób, pobierających stałe a określone wynagrodzenie miesięczne, używa się innego sposobu, tak np. oficer lub urzędnik pożycza od lichwiarza pieniądze, a wzamian wydaje mu formalne pełnomocnictwo do otrzymania zań gaży z kasy państwowéj. Rozumié się ten dyskont rzekomy bywa olbrzymi, np. urzędnik 12-go pożyczył 75 rub., a wydał pełnomocnictwo na otrzymanie z kasy przy pierwszéj wypłacie gaży t. j. 20-go 100 rub. Z tego kredytu korzystają téż emeryci, stali robotnicy fabryczni i t. d. Im sumy są mniéjsze, tém procent zwykle jest większy; jest to zasada ogólna, tłómacząca się brakiem pewności i rozmaitemi kłopotami. Niekiedy, ale bardzo rzadko, praktykuje się lichwiarskie dyskontowanie weksli, np. za weksel bezwarunkowo pewny, płatny za 6 miesięcy, dyskonto wyniosło za $2\frac{1}{2}$ miesiące $40^0/_0$. Zdarza się to bardzo rzadko, ale zdarza się. Najczęściéj jednak praktykuje się lichwa w formie zastawnéj; jeżeli *A* pożycza od *B* piéniądze na zastaw, to zabezpiecza się od możliwych skarg karnych, biorąc od *B* osobny dokument, w którym wystawiający oświadcza, że sprzedał taką a taką rzecz; czasami dołącza się cena sprzedaży oraz termin wykupu. Zwykle jednak umowy podobne zawiérają się na słowo; naturalnie, wartość rzeczy ocenia się nizko, ale lichwiarz pomimo to, wydaje tylko około 80—90 proc. Winienem tu nadmienić, że umowy podobne zwykle są ściśle dotrzymywane... przez lichwiarzy; inaczéj się dzieje z dłużnikami: ci bardzo często nie wykupują rzeczy zastawionych. Kłopoty, które pociąga ich sprzedaż, obawa odpowiedzialności karnej, bardzo możliwéj w tych wypadkach, zmusza lichwiarzy do wielkiéj ostrożności; wogóle forma lichwy zastawnéj, acz bardzo szeroko rozpowszechniona, jest jednak przeważnie drobną. Wyzysk lichwiarski dochodzi tu do granic ostatecznych: wszelką rzecz, posiadającą jaką bądź wartość, można zastawić; można pożyczyć nawet 10 groszy, płacąc tygodniowo grosz procentu. Tę lichwę drobną uprawiają przeważnie przedstawiciele i przedstawicielki tak zwanych *classes dangereuses*; miejsce pobytu jej — to najlichsze i najuboższe dzielnice miejskie. Nie wiele wiemy o niéj: tam wszystko

załatwia się słownie; nieco więcéj danych posiadamy o lichwie znaczniejszéj większéj. Niestety jednak! materyały, a nawet notatnik lichwiarza mówią niemal wyłącznie o warunkach pożyczek, podając ogólnikowo tylko sposoby ich zabezpieczenia; lichwiarz, którego notatnik posiadam, pracował „w swoim zawodzie, a pracował uczciwie" 11 lat w dwóch miastach powiatowych; był to dymisyonowany urzędnik, trochę adwokat prywatny, trochę inteligent, wielki miłośnik płci nadobnéj (z szczerą otwartością notuje swoje wydatki i przygody). Rozpoczął on swój zawód, mając w gotówce 3000 rub.; strat poniósł ogółem w ciągu lat 11 około 5000 rub., „zarywali" go przeważnie urzędnicy, zwłaszcza policyjni, „z którymi na moje utrapienie musiałem miéć często do czynienia"; stracił téż niewielką sumkę i na oficerach, ale znalazł się taki sprytny szlachcic, tak zwany „syn obywatelski", który „przywłaszczył" 500 rub. „mojéj krwawicy"; oszukał go téż sprytny żydek, obrońca prywatny, ale tylko na 300 rub.; musiał téż zapłacić komuś „za milczenie" 100 rub.; miał on i inne wydatki, wynikające z procederu. Mimo tego po latach 11 miał już 8000 gotówki, gdy przestał uprawiać to rzemiosło... po wydaniu prawa, zakazującego surowo lichwę. W swym notatniku mówi on otwarcie o sposobach, któremi posługiwał się, by zabezpieczyć pożyczki; były niemi weksle fałszywe lub zaopatrzone w podpis niewłaściwy, pełnomocnictwa do otrzymania gaż urzędniczych przez osoby trzecie oraz inne formy dokumentów kredytowych; do zastawu uciekał się stosunkowo rzadko, ale raz dał jednak 500 rub. na zastaw serwisu srebrnego na pół roku po 5 proc. miesięcznie. Pożyczał nawet po 3 pr., ale tylko sumy większe i „ludziom pewnym"; „tak dałem—pisze on—2000 rub. na pół roku p. *B.*, bo to człowiek pewny, a dla większéj jeszcze pewności żądałem, by weksel podpisała jego żona, kobieta majętna". Wogóle jednak wysokość procentów, pobieranych przezeń, wahała się pomiędzy 36—600. Zdarzało się, że robił ulgi swoim dłużnikom; mówi nawet o nich, ale te ulgi dawane były, zdaje się, tylko wówczas, gdy konieczność zmuszała do tego. Z powodu tych ulg rzekomych spotkał go „wielki despekt", za który „niech Pan Bóg nie pamięta temu rozbójnikowi, *S.*, ale o owym „wielkim despekcie" nic szczegółowo nie mówi, żaląc się tylko, że nie mógł zapozwać do sądu p. *S.* Ten i ów, jak widać z notatnika, wiedział o jego procederze, ale mimo to mógł on bywać w towarzystwach niezbyt wybrednych; nie potępiano go za to zbyt surowo. W ciągu całéj swojéj karyery, ani z władzami sądowemi, ani z władzami administracyjnemi lichwiarz ów nie miał żadnych zatargów. Spraw cywilnych w sądach pokoju, ściśle związanych z jego procederem, prowadził 8; wygrał wszystkie, ale wyroki uzyskane

nie mogły być w całości wykonane. W ogóle lichwa w miastach kwitnie, ale najgorszymi lichwiarzami — jak wieść niesie — nie są żydzi lecz inni: żyd lichwiarz jest zwykle o wiele wyrozumialszym, niż inni; wymagania jego są mniejsze, a już zabiegów szczególnych nie trzeba, by zrobić z nim interes; są też oni w ogóle uczciwi „po swojemu", t. j. ściśle zachowują umowę, nie robiąc z tego nic szczególnego. Natomiast lichwiarze inni, wypożyczając piéniądze, wymagają dużo zachodów, a i posiadają sporo pretensyj. Słyszałem, że stokroć lepiéj jest mieć interes z żydem, niźli z lichwiarzem innéj narodowości.

Nie mniéj rozpowszechnioną jest lichwa i po wsiach lubo posiada formy inne, a przytém bardzo zmienne i rozmaite; po wsiach ona nawet dotąd praktykuje się jeszcze w formach naturalnych, t. j. pożyczki w naturze, od któréj procenta opłacają się téż w produktach wiejskich lub robociźnie. Ludowe prawo zwyczajowe nie zna ścisłego określenia pojęcia pożyczki i procentów; dawniéj udzielała się ona zwykle w naturze i była bezprocentową, jeżeli pożyczający ucierpiał wskutek jakiejś klęski elementarnéj, wszakże uważano za konieczne zwrócić dług z pewnym naddatkiem, który nosił cechy podarku, wysokość jego zależała od dobréj woli, bo nigdy nie bywała określona z góry. Tak było przed laty, stopniowo jednak ów naddatek zaczął być określanym umową wzajemną, bo dotąd nic określonego w téj kwestyi prawo zwyczajowe nie zawiera. Naddatek ów wzrasta niekiedy niepomiernie, przybierając charakter lichwiarski, co nie jest jednak potępianém; dziś on zwykle jest bardzo wysoki. W każdéj prawie wsi większéj można być pewnym, że się znajdzie zamożniejszy gospodarz, który w potrzebie pożycza swym sąsiadom zboże; dzieje się to najczęściéj na przednówku. Warunki tych pożyczak są bardzo różne, ale w ogóle noszą one cechy lichwiarskie; przykłady które przytaczamy, zaczerpnięte są z życia pewnéj parafii, leżącéj w glebie średniéj, a posiadającéj bardzo dużo chłopow małorolnych. Oni to zwykle są ofiarami téj formy lichwy. Oto są przykłady: *A* pożycza sąsiadowi 2 pury żyta na przednówku z obowiązkiem zwrócenia w jesieni 3 purów; za pur grochu należało oddać w jesieni 2 pury i gęś na św. Marcina; pur pszenicy jaréj „na siéw" zamienił się w jesieni, aż w 4 pury i t. d. Niekiedy na „zasiew" pożycza się pewna ilość zboża z obowiązaniem się zwotu $^1/_4$—$^1/_3$ części urodzaju, ale tę formę potępiają chłopi, jako „bezbożną". Faktem jest, że oprócz procentów w naturze pobierają się téż procenta robocizną; tak np. za pur żyta, pożyczonego na przednówku, należało w jesieni oddać półtora oraz odrobić „2 dni letnie męzkie"; gospodarz, posiadający liczną rodzinę, pożyczył na wiosnę 10 purów żyta i 2 pury grochu, a w jesieni zwrócił 12 purów żyta i 3 pury grochu, oraz od-

robił „20 dni letnich mężkich"; kobiéta pożycza pur grochu od zakrystyana, zobowiązując się w jesieni zwrócić 1¼ pura, oraz odrobić 10 dni i t. d. Tak zwane pożyczki na „odrobek" spotykamy dość często; noszą one zwykle cechy wielkiego wyzysku, niemal lichwiarskiego. Pożyczki na „odrobek" spotykamy najczęściéj śród mniejszych właścicieli ziemskich i chłopów zamożniejszych; często one noszą zbyt jawnie charakter lichwiarski. Za prawo wykoszenia lub spasienia rowów, których dwór ani wykosić ani spaść nie może, na pograniczu kurlandzkiém, chłopi chętnie zobowiązują się „odrabiać dni"; znam pewien dwór, który z tego źródła ma około 100 letnich dni roboczych. Korzystają też w tamtych stronach dwory z braku opału u chłopów: za wóz chrustu, nie posiadający dla dworu żadnéj wartości, bo i tak zgniłby w lesie, chłop odrabia dwa, trzy dni! Często téż dwory dają kątnikom (komornikom) i wogóle osobom bezrolnym kawałki ziemi wyrobionéj pod ziemniaki; za miarę tu służy „pur", t. j. ilość ziemi niezbędna do wysadzenia pura ziemniaków. Ze tę jednostkę odrabiają 3 — 6 dni letnich; w ten sposób niektóre dwory zabezpieczają sobie robotników na czas żniw. Ten odrobek ogromnie nie podoba się ludowi, ale ostateczność zmusza się doń uciekać. Chętnie korzystają téż z niego chłopi zamożni, a to w celu wyłącznie zapewnienia sobie taniego robotnika. Wogóle we dworach i gospodarstwach chłopskich większych najtańszym robotnikiem jest robotnik, odrabiający dni; mamy więc i my coś w rodzaju ongi sławnych „porcyi galicyjskich". Wszakże zauważać należy, że rozmaite formy lichwy piéniężnéj są o wiele szkodliwsze dla ludu, niż uprzednio wspomniane. Jedna z form lichwy, praktykowanych bardzo często, jest forma 12-letniéj dzierżawy z pobraniem tenuty z góry; przykłady wyjaśnią to dokładnie: *A*, by zdobyć środki na emigracyę wydzierżawia 15 dzies. gruntu nadziałowego na lat 12 i otrzymuje tylko 120 rub., t. j. prawie roczną płacę dzierżawną; *B* wydzierżawia swoją osadę — 20 dzies. gruntu — za 150 rs., zapłaconych z góry; *C* spisał umowę rejentalną, na mocy któréj swój grunt ukazowy 12 dzies. — wydzierżawił na lat 12 za 100 rs. i t. d. Rozumié się — dzierżawcy zawsze zobowiązują się opłacać podatki, oraz spełniać powinności naturalne. Umowy podobne spotykamy bardzo często; chłopi chętnie wydzierżawiają swoje drobne działki gruntu, szukając zarobków postronnych lub emigrując czasowo za ocean. Dzierżawcami takimi bywają zwykle chłopi lichwiarze; oni téż zwykle wydzierżawiają za bezcen grunta właścicieli, nie opłacających podatków. „Często zdarza się — mówi p. Friedman [1]) — że

[1]) Prawne poglądy i zwyczaje włościan p. z. kraju, a zwłaszcza gub. kowieńskiéj. Wilno 1890 r, str. 95.

grunta, za które możnaby zapłacić 100—150 rub., wydzierżawiane są za 30—40 rub. Takimi dzierżawcami bywają zwykle włościanie lichwiarze."

Lichwiarz włościanin — to wytwór czasów nowszych; dawniéj go nie znano, atoli w miarę rozwoju gospoarstwa towarowego, gdy pożyczki coraz częściéj zaczęły przybierać formę piéniężną, — wystąpił na scenę chłop lichwiarz, zwykle figura wpływowa. Jednocześnie też zjawiły się zobowiązania na piśmie, obligi, weksle i t. d.; dziś już — mówi p. Gukowskij — chłopi dokładnie obeznali się z prawem wekslowém, oraz z formalnościami i terminologią przewodu sądowego wedle tego prawa [1]).

P. Friedman tak określa lichwiarza wiejskiego: „Wysokość pobieranych procentów, terminy, spłaty i formy zabezpieczenia długu niczém nie różnią się od warunków, praktykowanych przez lichwiarzy nie-włościan. Różnica polega tylko na tém, że działalność — chłopalichwiarza jest znacznie szkodliwsza, niż działalność lichwiarza, nie mieszkającego na wsi. Chłop-lichwiarz, zamieszkały na miejscu, pobiera procent zbożem i robocizną, których dłużnik prawie nie może obrachować". Sądy i urzędy gminne znajdują się od nich w pewnéj zależności; stają one zwykle po ich stronie. Rozumié się, że ci lichwiarze starają się zabezpieczyć swoje pożyczki w sposób rozmaity; najczęściéj uciekają się do zastawu bądź ziemi, bądź ruchomości, oraz pożyczek wekslowych. Przytaczam nieco przykładów, zaczerpniętych z praktyki sądów gminnych (włościańskich) w gminie Pojurskiéj. *A* pożyczył *B* 200 rubli, a na zastaw (w formie dzierżawy) dał mu na lat 12 swój grunt z prawem otrzymania go przed terminem, jeżeli zapłaci dług; w téjże gminie za pożyczone 300 rubli oddano w dzierżawę bezterminową 12½ dzies. ziemi z prawem rąbania lasu, ale też z obowiązkiem wypłacania corocznie 2 rub. 50 kop. [2]). W gminie Aleksandrowskiéj chłop pożyczył wraz z procentami 228 rs., a dał w zastaw 5 dzies. łąki spławnéj na 10 lat (1892 r. Nr 4). Taki lichwiarz poszukuje raz 74 rub.; okazało się, że dłużnik oddał mu w procencie pół dzies. gruntu i odrabiał 20 „letnich dni roboczych"; pretensyę zasądzono (s. gm. Rumszyski 1888 r. Nr. 5). Przed sądem w Ejragole wytoczono proces o zwrot 50 rs.; pożyczonych przed 15 laty, z dodatkiem 5 rs. kosztów sądowych; okazało się, że dłużnik dawał corocznie wzamian procentów 4 pury żyta, pur grochu, gęś na św. Marcina, oraz odrabiał

---

[1]) Pamiętnik gub. kowieńskiéj 1893 r., str. 157.

[2]) Osobny dodatek do 80 N-ru „Kow. Wied. Gub." z r. 1893 „O rewizyi w powiecie Rossieńskim, dokonanéj w maju 1893 r."

10 dni roboczych; powództwo uznano za słuszne (1890 r. Nr 45). Chłop 5 grudnia 1886 r. pożyczył 62 rub., wystawiając weksel na 80 rub., ale już 6 czerwca 1887 r. nastąpiła egzekucya na mocy wyroku sądu gminnego w Rumszyszkach (Nr 57) r. 1887; procent więc wynosił aż 58. W podobnych sprawach — a one wedle p. Gukowskiego stanowią około $1/6$ części ogółu spraw cywilnych, rozstrzyganych przez sądy gminne pow. Rosieńskiego — sądy nie zachowują należytéj przedmiotowości; zdarza się, iż wyrok swój opierają one nietylko na zeznaniach świadków, ale nawet niekiedy i na przekonaniu wewnętrznem; tak np. sąd gm. Bernatowski powództwo o 100 rs., stwierdzone przez jednego świadka, uznał za słuszne... nawet w nieobecności pozwanego (1887 r. Nr 41); zjazd ten wyrok zatwierdził i pieniądze wyegzekwowano. Niekiedy sądy wierzą nawet powodowi na słowo, nie żądając dowodów innych; tak np. postąpił sąd w Płungianach, który, wyegzekwowawszy 13 rub., „za zgodą powoda postanowił oddać je na mszę” (1885 r. Nr 25). Bywa, ale bardzo, bardzo rzadko, że sąd sprawy podobne przekazuje do rozstrzygnięcia księdzu proboszczowi, jak to zrobił np. sąd Szydłowski: posłał on mianowicie pozwanego w asystencyi sołtysów do proboszcza, któremu pozwany przyznał się do długu; na téj zasadzie powództwo uznano za słuszne (1892 r. Nr 4). Ale sąd gm. w Erżwiłkach wydał wyrok następny: chłop pożyczył 800 rub., a za procenty oddał swoją chałupę wraz z gruntem; potem zaś zaskarżył wierzyciela. Obie strony zgodziły się, by sąd gm. rozstrzygał tę sprawę, a sąd orzekł, że pozwany zobowiązuje się powodowi dawać aż do śmierci corocznie po 4 pury żyta i owsa, 3 pury jęczmienia, kawałek ogrodu na zasadzenie 3 purów ziemniaków, 20 funtów lnu oraz karmić krowę i owcę, a na pogrzeb dać 20 rub. (1884 r. Nr 31). W téj gminie — mówi p. Gukowskij, 24%—36% nie są uważane za c i ę ż k i e”. Wogóle sądy ludowe nie uznają karalności lichwy; spraw o to nie spotyka się wcale, natomiast egzekwują one długi lichwiarskie z całą surowością i energią, ma którą zdobyć się mogą. Powiem więcéj: uświęcają one nawet umowy, które p. gubernator nazywa wprost „lichwiarskiemi”. W memoryale zawierającym rezultaty rewizyi instytucyi rządowych i włościańskich (wydrukowanym w dodatku do Nr 80 „Kow. Wiadomości Gub.” z r. 1893), p. Klingenberg przytacza kilka przykładów, które jego słowami przytoczę: „do księgi umów zapisują się kontrakty na dzierżawę gruntów aż do zwrotu pożyczonych na ich zastaw pieniędzy (umowy 2, 4, 5), nawet z obowiązkiem przedłużenia kontraktu; z tekstu umowy pierwszej widać, że dzierżawca zapłacił arendę za 4 lata z góry; umowy podobne noszą jawnie lichwiarskie cechy” (sąd Skawdwilski 1892 r.); w gminie Krożańskiéj „umowy zawierają się jawno-

bezprawne i lichwiarskie, zwłaszcza dużo ich zawarto w r. 1892"; w gminie Pojurskiéj „umowy noszą cechy jawnego bezprawia i oszustwa" (1892 r.) i t. d. Dość tych przykładów: wystarczają przytoczone. By wyjaśnić, choć poniekąd, znaczenie lichwy wiejskiéj, skorzystam z opisu faktycznego stanu rzeczy pewnéj parafii, położonéj w gub. Kowieńskiéj; granice téj parafii prawie zlewają się z granicami włości tejże saméj nazwy; ludność jéj należy do plemienia litewskiego i wynosi 9,940 osób płci obojga, a mianowicie: włościan — 9,749, szlachty — 112, mieszczan — 87; żywiołów postronnych niéma. O stanie oświaty można sądzić z następujących cyfr: czytać po litewsku umiało 63% mężczyzn i 64% kobiét; liczba piśmiennych nie wiadoma. Wogóle nie jest to kąt napadły, zupełnie ciemny. Przed laty 30 istniały 2 szkoły, parafialna i filialna, oraz 3 dworskie; dziś istnieje jedna. Włość składa się z 20 gromad, zawierających wsi 101; ogólna liczba osad chłopskich uwłaszczonych wynosi 1,710; gruntów posiadały one 15,640 dzies. użytkowych i 550 dzies. nieużytków. Grunta te są gorsze od przeciętnych. Osad włościańskich było:

| | | |
|---|---|---|
| posiadających | przeszło 10 dzies. | — 531 (31%) |
| ,, | od 5—10 dzies. | — 54 (3,2%) |
| ,, | od 1— 5 dzies. | — 602 (35,2%) |
| ,, | mniéj niż 1 dzies. | — 523 (30,6%). |

Powyższe zestawienie wskazuje, że podział własności jest bardzo nierównomierny, ale nierównomierność ta wystąpi jeszcze wyraźniéj, jeżeli odrzucimy grunta osad, posiadających mniéj 10 dzies., obszar przeciętny takiéj osady wynosi już 23,8 dzies. Ponieważ tylko osada, przenosząca 10 dzies. zdolna jest zabezpieczyć wytyczny poziom wymagań życiowych *(Standart of life)* zwykłej rodziny chłopskiéj, przeto 69% gospodarstw włościańskich nie zabezpiecza losu swych właścicieli i zmusza ich do wynajmowania swéj pracy. Są to obliczenia urzędowe, zbliżone do stosunków rzeczywistych. Proces wywłaszczenia chłopów odbywa się w sposób zatrważający: już w dniu 1 stycznia 1886 r. liczono 618 bezrolnych, a w 7 lat potem — *de jure* — 950, faktycznie zaś znacznie więcéj. Na jedną osadę przeciętnie wypada 5,14 mieszkańców. Mnożąc tę liczbę przez ilość osad kategoryj rozmaitych, znalazłem, że chłopów wraz z rodzinami dostatecznie uposażonych w ziemię jest około 2,730, a niewystarczająco uposażonych—270; zatém małorolni, około 5,800 osób, stanowią 66%. Nabyli wprawdzie chłopi w téj włości 2,364 dzies. dziemi, ale ta już skoncentrowała się w ręku zamożnych gospodarzy. Niéma ani „wolnych ludzi", ani czynszowników; niéma też ani jednéj okolicy szlacheckiéj, natomiast jest rodzin mieszczańskich, posiadających 380 dzies. Właścicieli ziemskich

(średnich) jest 17, z których 16 należy do rdzennie miejscowych; około połowy ziemi, do nich należącéj, jest zastawiona w bankach ziemskich.

Oczywiście wielka ilość małorolnych znacznie obniża płacę robotniczą; rzeczywiście jest ona niższą niż gdzieindziéj. W téj włości robotnik dorosły „parobek" pobiera przeciętnie 45 rub. rocznie, dziewka fołwarczna 24 rub., a pół-parobczak 20 rub. na gotowém utrzymaniu, ale własnéj odzieży (oprócz kożucha); chłopi-gospodarze płacą znacznie taniéj. Istnieją i tak zwani ordynarczycy t. j. robotnicy żonaci, którzy mieszkają osobno i pobierają zapłatę częściowo w naturze. Warunki zwykłe: mieszkanie, opał, 10 — 12 purów żyta, 6 purów jęczmienia, tyleż owsa, 2 pury grochu, kilka garncy soli, kawałek ogrodu warzywnego i pola pod ziemniaki, oraz karm dla krowy. Ordynarczyk pracuje cały rok, a jego żona odrabia 20—30 dni „letnich". Takie są warunki ekonomiczne parafii; o lichwie kwitnącéj w niéj, dostarczono mi ze źródła wiarogodnego dane dość ściste; obejmują one przeciąg czasu, od roku 1881 t. j. od chwili przeniesienia się mego informatora do téj gminy. W tym czasie istniał tylko jeden lichwiarz, znany powszechnie, a nawet upominany z ambony; pożyczał on zboże, groch, ziemniaki, piéniądze... słowem wszystko, co tylko nadawało się do pożyczki. Pobiérał on procenta w naturze, robociznie i gotówce; norma ich zwykła wynosiła 60—120%. Względem swoich dłużników zachowywał się bez żadnego miłosierdzia; wszelkie długi egzekwował z niesłychaną surowością i energią, a była to osobistość bardzo wpływowa w gminie. Około r. 1883 zaczął dawać pożyczki na zastaw ziemi ukazowéj w formie 12-letniéj umowy dzierżawnéj z opłatą, pobraną z góry, a z obowiązaniem się opłacania podatków i spełniania powinności naturalnych. Żaden grunt zastawiony nie został wykupiony; nie były to wprawdzie nadziały duże, ale w ten sposób stał się on faktycznym właścicielem folwarczku przeszło 6-o włókowego, bo swoich sąsiadów małorolnych wyzuł z ich posiadłości. Nawet niektóre zastawione grunty udało mu się nabyć na własność drogą dobrze znaną. Chłopi okoliczni zawiązali spółkę i nabyli w r. 1888 znaczny folwark, ale musieli dopożyczyć się, by zapłacić sumę szacunkową; pożyczono téż od niego parę tysięcy rubli. Z powodu przesilenia rolniczego nie mogli oni wypełnić swoich zobowiązań, przeto znaczna część ziemi po cenie bajecznie nizkiéj przeszła w jego ręce. Znaczna téż część ziemi, nabyta od osoby prywatnéj w inném miejscu, drogą niezupełnie jasną i prawną, stała się téż jego własnością. Słowem—zamożny chłop gospodarz w ciągu 10 lat wyrósł na średniego właściciela ziemskiego, ale w niczém nie zmienił uprzedniego trybu życia: pomimo napomnień duchownych, pomimo nawet groźb pozbawienia go sakramentów, pro-

ceder uprawia i nadal. Dotąd ani razu nie pociągnięto go do odpowiedzialności sądowéj: nie było możności, a zresztą żyje on w największéj zgodzie z potentatami miejscowymi. Drugi lichwiarz, chłop otarty i nieco cywilizowany, wykluł się z lokaja; ojciec jego także lokaj, otrzymał 3 dzies. ziemi jako należący do czeladzi dworskiéj. Chłopiec długi czas służył na probostwie; tam poduczył się i otarł się, a potém dostał się za lokajczyka do Kowna. Był on bardzo sprytny, zręczny, a wogóle umiał sobie dobrze radzić; wkrótce został lokajem, a potem przeniósł się do Petersburga. Po kilku latach wrócił z piéniędzmi i natychmiast rozpoczął operacye lichwiarskie, zamieszkawszy w miasteczku poblizkiém. Dla formy niby to trudni się szewctwem, ale nigdy nikt nie słyszał, by szył obuwie. Piéniądze pożycza tylko na zastaw ruchomości i pewne weksle: na ziemię nie łakomi się, bo to „wielkie głupstwo ta ziemia”. Bierze jednak w zastawy i skupuje wszystko, co tylko można: zboże, odzież, narzędzia rolnicze, sprzęty domowe i t. d. Każdy pożyczający musi mu wystawić na piśmie świadectwo o sprzedaży rzeczy; w ten sposób wykręca się zawsze szczęśliwie od wszelkiéj odpowiedzialności. Nie gardzi nawet drobnemi operacyami lichwiarskiemi; procenty pobiera od 120—360 rocznie. Wiedzie się mu bardzo dobrze: wiadomo dobrze, iż zebrał już kilka tysięcy rubli, które lokuje w Tow. wkładowo-zaliczkowych. Zdarzyło się jednak, że gmina groziła mu wysłaniem na Sybir, ale groza minęła... przy pomocy dobrych ludzi. Jest to osobitsość niezmiernie szkodliwa nie tylko ze względów ekonomicznych, ale nawet i społecznych; uprawia on téż z powodzeniem i adwokaturę pokątną. Wogóle w ostatnich czasach w téj parafii było 5 „znanych” lichwiarzy; jeden z pośród nich faktycznie wyzuł 11 gospodarzy z całego mienia. Są to jego sąsiedzi najbliżsi; wprawdzie siedzą oni w swoich chatach i uprawiają ziemię, ale połowę urodzajów muszą mu oddawać na spłatę procentów i długów. W téjże saméj parafii wioska złożona z 8 chat znalazła się w takiéj samej zależności od żyda lichwiarza wskutek rujnującego procesu z właścicielem ziemskim, ale żydek, nieco sumienniejszy, pobiera tylko $^1/_3$ część urodzajów. Wogóle zdarza się często, że chłop gospodarz, niby właściciel samodzielny, w rzeczywistości jest tylko dzierżawcą, któremu zostawiono tyle tylko, ile jest niezbędne do życia. Trudno, a nawet niemożliwie jest liczebnie określić ilość tych właścicieli nominalnych, wszakże obcując z ludem często, można słyszeć o nich. Co gorsza liczba ich ma wzrastać, a jest to bardzo prawdopodobne ze względu na przesilenie ekonomiczne, zmianę warunków życiowych oraz wzrost lichwy. Dziwna rzecz, że rozwój Tow. wkładowo-zaliczkowych, które jak sądzono, ograniczą lichwę, przeciwnie

przyspieszył jéj wzrost, wywołując śród ludu namiętność oszczędnościową; zdarza się téż, że chłop pożycza piéniądze w Towarzystwie, a potém je oddaje na lichwę. O ile cnota oszczędności rozwinęła się śród ludu, można sądzić z tego, że depozyty Tow. wkładowo-zaliczkowych, zwykle bardzo drobne, wynoszą około 3,000,000 rub.; rzeczywiście ta oszczędność byłaby wielką cnotą, gdyby zbierając piéniądze, posługiwano się tylko środkami godziwemi. Tak jednak w rzeczywistości nie jest; dość tu powiedzieć, że np. przemytnictwo, uprzednio proceder wyłącznie żydowski, od lat 10 stanowczo przeszło w ręce chłopskie; dziś już niema procederu, którymby chłop gardził, jeżeli daje on zarobek dobry: nawet szynki wiejskie powoli zaczynają przechodzić w ręce chłopskie! Tam nawet, zkąd wyrzucono żydów, sprzedających zwykle po wsiach potajemnie wódkę, wnet zjawili się szynkarze swojscy i proceder jak kwitł tak kwitnie. Wogóle można powiedzieć, sądzę, że lichwa jest koniecznym wynikiem naszych stosunków obecnych, opartych na drobném, a niedołężném gospodarstwie chłopskiém; mniemam jednak, że tani, a dostępny kredyt, zmniejszyłby ją znacznie, bo w skuteczność zakazów prawnych nie wierzę: codzienne doświadczenie życiowe przekonywa nas o tém dostatecznie, kredytu taniego, a dostępnego prawie nie mamy; istnieje wprawdzie 38 Towarzystw wkładowo-zaliczkowych, z pośród których 33 są dostępne dla wszystkich, Towarzystwa dostępne liczą około 18,000 członków, a ich obrót roczny wynosi przeszło 10,000,000 rub., ale to kropla w morzu, zresztą są one dostępne tylko stosunkowo zamożniejszym włościanom. Towarzystwa kredytu wzajemnego, których mamy 3—w Kownie, Szawlach i Poniewieżu, są absolutnie niedostępne dla chłopów, zresztą pierwsze jest wyłącznie żydowskie. Niema w całéj gubernii ani jednego lombardu, ani jednéj bodaj kasy pożyczkowéj; tylko urzędnicy mają w Kownie 4 kasy wzajemnéj pomocy. Ten brak kredytu tylko potęguje lichwę.

*J. W.*



# NARODZINY POETY-ROMANTYKA.

(Dokończenie).

III.

Nie sądzono było Sewerynowi wrócić po wakacyach do Winnicy. Ojciec tego lata porzuca znowu miejsce i powtarza się to samo, co było w r. 1811. Wtedy Goszczyńscy przenieśli się z Wołynia na Podole, teraz losy przerzucają ich na Ukrainę. Geometra Rembertowicz, którego, jak wspominaliśmy, poznali Goszczyńscy w Nowym Konstantynowie, mieszkał w tym czasie, jak się zdaje, w Białocerkwi; on to wystarał się o miejsce ekonoma dla Goszczyńskiego w dobrach hr. Branickiéj w Śmilańszczyźnie. W pierwszéj połowie października osiedli Goszczyńscy na nowém miejscu: w Chłystynówce pod Horodyszczem, w pow. czerkaskim. Wieś ta leży nad Olszanką, dopływem Dniepru. Na wschód równolegle do niéj od Śmiły aż do Moszen, wśród rozległych borów, ciągną się błota, zwane Irdyniem. Tajemnic tych borów nie mógł Seweryn poznać téj jesieni. Nieznane mu były wtedy

„Irdyń drzemiący w spleśniałej głębinie“,

ani Białe jezioro (*Biełozyrje*), opisane w Zamku Kaniowskim, leżące po drugiéj stronie borów irdyńskich. Zapoznał się bliżéj z tą okolicą w dziesięć lat późniéj, gdy bawił w Aleksandrówce nad Taśminą, wpadającą do Irdynia pod Smiłą.

Pola Chłystynówki sięgały do brzegów boru śmilańskiego, Jest to jedna z najbogatszych okolic Ukrainy. „Tłusty i płodny czarnoziem, niepotrzebujący nawozów ani troskliwéj uprawy, pokrywa tu po-

wierzchnię ziemi warstwą od jednego do dwóch łokci grubości. Z jednéj strony obramia ją Dniepr... a od południa do saméj krawędzi znojnych chersońskich stepów rozścielają się lasy czarne, zasilające w opał i budulcowe drzewo. Mnóstwo rzek pomniejszych, obfitujących w młyny i stawy przerzyna ją w różnych kierunkach; nad brzegami Irdynia, Olszanki i Rosi szumią majestatycznie bory, a łany nieobejrzane rozścielają się przez równe przestrzenie, poprzecinane smugami dąbrów i lasów... Pszenica rodzi tu najobficiéj, łąki rokrocznie pokrywają się aromatyczném kwieciem, na basztanach dojorzewają wybornie kawony i melony, a tysiące sadów, rozrzuconych w poetycznych futorach, darzą najwyborniejszemi gatunkami owoców" [1]).

Pierwotny właściciel Śmilańszczyzny, Lubomirski, odprzedał ją ks. Potemkinowi. Po jego śmierci przeszła ona w posiadanie ośmiu spadkobierców, w których liczbie była Branicka. Dziedzicząc ósmą część, stawała się właścicielką 14 tysięcy dusz włościańskich; to daje miarę rozległości dóbr dawnych, skupionych w rękach jednego magnata. Inne działy téj schedy topniały, rozprzedawane szlachcie. Ta bowiem, wycofawszy fundusze z kas magnackich, około których dawniéj się grupowała, kupuje wioski, dorabia się, puszczając do szeregów obywatelstwa ludzi pochodzenia nie szlacheckiego. Stosunki ziemiańskie ulegają coraz większemu przeobrażeniu. Największe zyski ciągnął z ziemi „dorobkiewicz, który w płóciennym kubraku krzątał się na swéj wiosce i ze wszystkiego umiał wycisnąć dochód" [2]). Zbogaceni oficyaliści stawali się posesorami, posesorzy — właścicielami. Józef Goszczyński nie miał jednak szans dorobienia się czegokolwiek; zacieśniał się nawet dla niego wybór posad, im więcéj właścicieli krzątało się osobiście „w płóciennych kubrakach" na swéj ziemi.

Pomimo przeszkód, jakie spotykali w kształceniu syna, Goszczyńscy trwali w zamiarach przeprowadzenia go przez szkołę. Postanowili oddać do szkoły w Humaniu od Bożego Narodzenia, aby nie stracić roku szkolnego. Niewątpliwie marzyli o tém, że chłopiec przez edukacyę zdoła sobie wyrobić stanowisko w świecie. Przez szkołę humańską prosta droga do uniwersytetu. Były przykłady, że uczniowie téj szkoły, nizkiego pochodzenia, biedni, kończyli uniwersytet, poczém w charakterze lekarzy, prawników wybijali się na wyżyny społeczne, ratując rodzinę z ubóstwa i poniżenia. Tém więcéj spodziewać się tego mogli Goszczyńscy od syna, który dotąd tak dobrze się uczył, był tak zamiłowany do książek i tyle zapasów życia posiadał. Rodzice, ma-

---

[1]) Tadeusz Padalica. Opowiadania i krajobrazy. Wilno 1856, II, 12.
[2]) Tamże, 15—16.

rząc o jego karyerze, nieraz pewno zawieszali przed „myślą młodzieńczą” tęczę rozkosznego życia patryarchalnego:

Rajskie miało być ustronie,
A w niém żywot pełny, cichy
U ogniska własnéj chatki;
Wieńczyły je siwe skronie
Zgrzybiałego ojca, matki;
Rozpromieniały uśmiechy
Żony istoty anielskiéj;
Pustowało grono dziatek;
Jak rzeka płynął dostatek.... [1])

Nie mogli przeczuć, że ta szkoła wyrwie go rodzinie, że wskazawszy mu, po za rodzinnemi, ideały szersze, pociągnie go na fale poezyi w życiu i sztuce tak, że życie jego będzie „wieczną pastwą rwącéj fali”.

Zakładem naukowym, najwięcéj uczęszczanym przez młodzież ukraińską, była szkoła powiatowa księży Bazylianów w Humaniu. Tenże zakon utrzymywał szkołę w Kaniowie, leżącym znacznie bliżéj od Chłystynówki, niż Humań, odległy o mil 12, lecz Goszczyńscy woleli oddać syna do szkoły, za lepszą uznanéj.

Humań, dziś jedno z pierwszorzędnych miast powiatowych pod względem ludności i handlu ożywionego, był wtedy niewielką mieściną, zaludnioną przeważnie przez żydów [2]). Znaczenie swoje zawdzięczał Bazylianom, mieszczącym się w dużym klasztorze niepowabnéj struktury [3]), a zwłaszcza téj okoliczności, że był stolicą niezmierzonych włości Potockiego, t. zw. Humańszczyzny. Miasto leży w stepach, w najpiękniejszym czarnoziemie, który w mieście samém objawiał się po deszczach w postaci błota ogromnego, czemu nie zapobiegały wtedy bruki. Przez miasto przepływa Umańka w licznych zakrętach, tworzy tutaj staw, a za miastem łączy się z rzeką Kamionką. Położenie okolicy bardzo malownicze, dzięki bujnéj roślinności oraz wyniosłościom i skalistym urwiskom, wśród których płyną rzeki i strumienie. Cudzoziemiec na widok téj okolicy w latach 1771—73 wykrzyknął: „*Rien au monde de plus beau et de plus délicieux que se pays-là*” [4]). Cóżby powiedział później, gdyby zobaczył Zofiówkę, założoną pod Humaniem

---

[1]) Z wiersza Goszczyńskiego, p. n. Zasłona oddalenia.

[2]) J. U. Niemcewicz. Podróże historyczne. Paryż-Petersburg 1858, str. 334. Obecnie Hłumań liczy 21,150 mk., w téj liczbie 6,109 prawosławnych, 1,073 katolików i 13,911 żydów („Słownik geogr”).

[3]) Ob. rycinę w „Kłosach“, 1872, XV, Nr 381.

[4]) „Słownik geogr,“ pod wyr. Humań.

w r. 1795! Ogród ten, uchodzący w swoim czasie za cud świata, urządził z przepychem właściciel Humańszczyzny, Stanisław Szczęsny Potocki, znany nam dobrze z dziejów politycznych kraju. Posiadał on w swych włościach, uszczuplonych już po śmierci ojca, przeszło 200 tysięcy dusz włościańskich (męzkich). Z Zofiówki, ktora go kosztowała 15 mil. złp., zrobił prezent trzeciéj żonie swojéj Zofii, poprzednio generałowéj Wittowéj. Z pochodzenia greczynka, imieniem Czelicze, nabytą została podobno na targu w Stambule; słynna z urody i rozpusty ukoronowała swoją karyerę, idąc za Potockiego. Po jego śmierci w r. 1805, potrafiła przez stosunki osobiste zagarnąć nieprawnie część Humańszczyzny, stając do równego podziału spadkiem z synami Potockiego [1]). W chwili nas interesującéj żyła jeszcze, rezydując w Tulczynie. Była protektorką szkoły humańskiéj, na popisie własnoręcznie rozdawała uczniom nagrody, jedném słowem wszystko działo się w myśl przepowiedni Trembeckiego.

A póki między rodem ludzkim raczysz gościć
Pół świata czcić cię będzie, drugie pół zazdrościć.

Kierownicy szkoły humańskiéj, Bazylianie, naogół mieli opinię pedagogów mniéj wytrawnych w porównaniu z Pijarami. Do czasu kasaty Jezuitów trudnili się oni wychowaniem początkowém, utrzymując szkoły niższe w różnych punktach, między innemi i w Humaniu. Trudno więc im było stanąć odrazu na wysokości zadania w szkołach średnich dla braku rutynowanych pedagogów w zgromadzeniu, a także dla braku funduszów, potrzebnych na środki pomocnicze; jak biblioteki, zbiory przyrodnicze, narzędzia i t. p. Uważano, że pierwsze miejsce w szkolnictwie zajmują szkoły świeckie, jak winnicka, drugie — Pijarzy, trzecie dopiéro —Bazylianie [2]). Bądź co bądź, zakonnicy humańscy zrobili ze swojéj szkoły wszystko, co mogli, aby wyrównać szkołom świeckim, a postawić szkołę o całe niebo wyżéj od ortodoksyjnych szkół jezuickich w Połocku, toczących zajadłą walkę ze szkołami okręgu wileńskiego [3]). Doszli do tego Bazylianie przez staranne dobieranie nauczycieli, zwłaszcza prefektów, faktycznych kierowników szkoły.

---

[1]) A. Mieleszko-Maliszkiewicz. Dziedzictwo Humańskie w Dodatku do „Przeglądu Tygodn“., 1881, II, 81, 233.

[2]) M. Grabowski. Pamiętniki domowe. Warszawa, 1845, str. 163.

[3]) Wskutek specyalnych warunków kasata nie dotknęła Jezuitów na Białorusi. W r. 1812 otworzyli akademię w Połocku. O ich działalności w stosunku do szkół okręgu wil. ob. studyum prof. P. Chmielowskiego „Obskurantyzm i liberalizm na Litwie i Rusi“ w „Ateneum“, 1883, I, od 86.

Rektorem zakonu w Humaniu w pierwszych latach bieżącego stulecia był ks. Julian Michalewski, słynny mówca, niepośledni też literat. Wykładał on w szkole humańskiéj wymowę i język francuski. Dzięki jego staraniu powstała w klasztorze piękna biblioteka i zbiór narzędzi fizycznych. Tłumaczenia tragików włoskich: Metastazego, Alfieri'ego i in., przez niego dokonane, miały powodzenie wśród młodzieży [1]. W mowach swoich, nie taił sympatyi dla Rouss'a; w mowie, mianéj przy otwarciu szkół w Barze, znajdujemy ustęp, który godzi się przytoczyć, jako próbkę wolnomyślności, panującéj nawet między Bazylianami: „Ani sławny Rousseau w nieśmiertelném swojém o edukacyi dziele, tak wiele użytecznych dla ludzi prawd objawiwszy, nie pociągnie przekonania mojego, abym wierzył, iż światło nauk samo z swej natury kiedykolwiek było, lub kiedykolwiek w najpóźniejsze czasy dla narodów szkodliwém być mogło; owszem są ozdobą, są podporą, są szczytem rodzaju ludzkiego wielkie nauki [2].

Prefektem szkoły w czasach pobytu Seweryna w Humaniu był ks. Leoncyusz Skibowski. Specyalnością tego wszechstronnie wykształconego zakonnika była „historya naturalna", którą wykładał w klasach wyższych. Zwolennik utylitarnego kierunku wykształcenia i doświadczalnego poznawania zjawisk, urządzał z uczniami wycieczki przyrodoznawcze, skłaniając ich do kolekcyonowania okazów. Józef Jeżowski, przyjaciel Mickiewicza, przywiózł z sobą ze szkół humańskich dwa tomy zielnika przez siebie zebranego i na chlubę szkoły złożył ten dowód pracy ks. Skibowskiemu w bibliotece uniwersyteckiéj [3]. Jako zwierzchnik, ks. Skibowski odznaczał się surowością, dla któréj, jak zobaczymy niżéj, przez uczniów nie był lubiany. Nadzwyczaj czynny i czujny utrzymywał w szkole ład i karność. Wpłynął zapewne niemało na wziętość szkoły wśród szlachty, niechętnie patrzącéj na liberalne stosunki, panujące w szkołach świeckich na Wołyniu. W roku szkolnym 1816/17 szkoła humańska liczyła 504 uczniów, w następnych latach — do 600 [4].

W zakładzie tym kształcił się Seweryn Goszczyński cztery lata: od klasy drugiéj do piątéj włącznie. Na tém zakończył edukacyę

---

[1] S. Groza. Pamiątki i wspomnienia rozmaite, 36.

[2] Tamże, 43.

[3] „Dziennik Wileński", styczeń 1817.

[4] Wiadomości co do frekwencyi szkolnéj i charakterystyki ks. Skibowskiego znajdują się: w „Dzien. Wileń." l. c; w „Kłosach", 1872, XV, Nr 381 i w sprawozdaniu szkolném p. n. Ogłoszenie nauk i umiejętności w szkole powiatowéj Humańskiéj X.X. Bazylianów od 1 września 1815 do 30 czerwca 1816 (b. m. i r.).

Ze względu na list pochwalny, otrzymany w klasie pierwszéj, przyjęto Seweryna bez egzaminu, w środku roku, do klasy drugiéj. Przedmioty w téj klasie były prawie te same, co w pierwszéj w Winnicy, w dalszém tylko rozwinięciu. Głównych nauczycieli było dwóch. Ks. Anatoli Ochrymowski wykładał katechizm (tego w programie winnickim nie widzieliśmy), naukę moralną, arytmetykę i gieografią; drugą grupą nauk (języki starożytne i polski) kierował ks. Józefat Kisielewicz. Po za tém nauczyciel świecki, Wincenty Pełczyński, dawał początków języków rosyjskiego i francuzkiego.

W dalszym tedy ciągu uczył się Seweryn z nauki moralnéj o powinnościach między nauczycielem i uczniem, między sługą i panem; z arytmetyki przechodził teoryą ułamków; z gieografii — Azyę, Afrykę i Amerykę. Do łaciny przybyła w téj klasie nauka greckiego, zakończona w tym roku na deklinacyach imion i czasowaniu; z łaciny zajmowano się w dalszym ciągu ćwiczeniem w przekładaniu z polskiego. Z rosyjskiego na język polski tłumaczono bajki Kryłowa, Chemnicera i wyjątki z dzieł Cheraskowa; w języku francuzkim postąpiono z pomocą gramatyki ks. Kamieńskiego tyle, że czytano i tłumaczono Lafontaina [1]).

Klasa trzecia należała już do klas wyższych. W niéj zaczynała się młodzież uczyć fizyki i nauk przyrodniczych; miejsce gramatyki zajmowała retoryka; zwiększała się też liczba nauczycieli. Kiedy Seweryn był w téj klasie, fizykę wykładał ks. Julian Lubczański, historyę naturalną—prefekt Skibowski, matematykę—ks. Tymonowicz, autor rozprawy o liniach krzywych [2]), retorykę—ks. Klemens Hryniewiecki. W klasie czwartéj na miejscu ks. Tymonowicza widzimy ks. Czerniewicza; fizykę zamiast Lubczańskiego wykładał ks. Hołowiński; z nowych zaś przedmiotów przybyły historya i prawo wykładane przez ks. Rolińskiego. Te same przedmioty istniały w klasie piątéj, któréj kurs trwał dwa lata. Goszczyński przerwał naukę w połowie drugoletniego kursu téj klasy. W zestawieniu ogólném podczas pobytu swego w klasach wyższych szkoły humańskiéj mógł skorzystać najwięcéj w dwóch

---

[1]) Ogłoszenie nauk i umiejętności... j. w. 1815/16. Sprawozdań z lat następnych nie posiadamy. O tém, czego się uczył Seweryn w klasach wyższych, można sobie wyrobić dobre pojęcie z tegoż spraw. za r. 1815/16, jak również ze spraw. za lata 1826/27 i 1827/28 (p. n. Materye nauk i umiejętności...). Z porównania wszystkich trzech widać, że program się nie zmieniał zasadniczo. Niektóre nazwiska nauczycieli znamy z notatek autobiograficznych Goszczyńskiego.

[2]) „Kłosy“, l. c.

kierunkach, najstaranniéj w szkole uprawianych: 1) w matematyce i naukach przyrodniczych, 2) w „wymowie i poezyi”.

Zakres nauk matematycznych do klasy V włącznie obejmował, prócz arytmetyki, algiebrę, gieometryę i początki trygonometryi. W klasie IV uczył się już Goszczyński o postępach i logarytmach, poznał cztery działania algebraiczne; w klasie V rozwiązywał równania pierwszego stopnia z wielu nieznanemi. Gieometryę wykładano wedle Euklidesa; jak w innych wykładach, tak i tutaj starano się dać teoryi praktyczne zastosowanie, wciągając do lekcyi gieometryi naukę miernictwa. Dążenie do wychowania praktycznego szczególnie było widoczne w nauce historyi naturalnéj. Ks. Skibowski w kl. III obok zoologii wykładał zasady ogrodnictwa; pouczał o gatunkach ziemi, o robieniu płotów, o zakładaniu szkółek owocowych. W kl. IV uczył fizyki; obok tego wykładał gieografię fizyczną, naukę o roli, o jéj uprawie. W kl. V uczniowie pierwszoletni uczyli się od niego mechaniki i mineralogii, drugoletni—o powietrzu, meteorach, wodzie, a w związku z tém pozostawała zawsze agronomia.

Co do czasu, jaki szkoła poświęcała na wykłady przedmiotów, zauważyć trzeba że na historyę (starożytną) przeznaczano minimalną ilość godzin. Tygodniowo lekcye trwały w szkole 20 — 21 godzin; z téj liczby w klasach wyższych III — V poświęcano średnio $^1/_3$ czasu na matematykę, $^1/_3$ na nauki przyrodnicze i $^1/_3$ na naukę wymowy i poezyi. Nauka języków nowożytnych i innych przedmiotów dodatkowych udzielana była po za temi godzinami.

Co się tyczy retoryki, wiemy ze sprawozdań, że w klasie trzeciéj uczniowie przechodzili składnią, iloczas polski i łaciński; w znajomości łaciny byli tak posunięci, że tłumaczyli już niektóre ody Horacyusza. W następnych klasach uczyli się zasad stylu (o rodzajach wymowy, o zaletach i wadach stylu, o stylu listowym i historycznym i t. p.), poczém przechodzili do poezyi. Wykładano im o początkach, celu i powszechnych poezyi zasadach, o stylu poetycznym, i rodzajach rymotwórstwa, a więc przechodzono z kolei teoryę wiersza bohaterskiego, prawidłowego, lirycznego, żałośnego, teoryę poezyi dramatycznéj (tragiedyi, komedyi, opery), zasady pisania bajek, sielanek, satyr, epigramatów. Uczniowie tłumaczyli stosownie do wymagań kursu Cicerona, Wirgiliusza, Horacego, słuchając zarazem objaśnień estetyczno-filologicznych, przytém w przekładach z łaciny na język polski mieli obowiązek stosować się do ducha mowy polskiéj. Im wyższa klasa, tém większy nacisk na wypracowania piśmienne w języku własnym; do wypracowań tych młodzież używała wedle możności formy wierszowanéj, zalecanéj przez kierowników, jako szczyt zdolności pi-

sarskiéj. Zadawano więc uczniom dla wprawy przekładanie wierszem poematów łacińskich, lub podawano tematy do poezyi oryginalnych. Pod tym względem system w Humaniu był ten sam, co np. w szkole Berdyczowskiéj w r. 1802, gdzie uczniowie tłumaczyli wierszem ody Horacego lub „z podanych myśli własnym wynalazkiem robili bajki, epigrammata, epitafie". A owe „podane myśli" były takie: Do strumyka na zmianę przyjaciela, Porównanie życia ludzkiego do strumyka, Utyskiwanie na trudność w pisaniu wierszy, Przykro być starym [1]) i t. p. Duch Horacego pokutował w ten sposób we wszystkich szkołach ówczesnych, więc i w Humaniu. Tutaj uprawa klasyków i rymotwórstwa kwitnęła podówczas dzięki umiejętnemu kierunkowi ks. Klemensa Hryniewieckiego, znanego w literaturze z rozprawy bardzo specyalnéj p. n. „Wykład części kalendarza rzymskiego, ułatwiający rozumienie w pisarzach łacińskich dni miesięcznych datę oznaczających pod imieniem *Kalendae*, *Nonae*, *Idus*" etc. Wilno 1853 (u Rafałowicza). Uczniowie jego tłumaczyli klasyków wierszem wcale poprawnie, on zaś dla zachęcenia uczniów i dla chwały zakładu posyłał udatniejsze przekłady do druku w „Dzienniku Wileńskim".

W ten sposób szkoła, można powiedzieć, brała bezpośredni udział w piśmiennictwie. Dla młodego poety, siedzącego na ławie szkolnéj, nie mogło być wyższéj nagrody nad to ogłoszenie jego pracy w piśmie, wychodzącém w stolicy okręgu naukowego, przez całą inteligencyę czytaném. Goszczyński będąc w klasie trzeciéj mógł czytać w „Dzienniku Wileńskim", za styczeń 1817, dwie produkcye poetyckie uczniów humańskich, którzy świeżo ukończyli szkołę. Wydrukowano tam mianowicie przekłady z Wirgilego: Pochwałę życia wiejskiego, przez Teodora Krasińskiego oraz Ustęp o Orfeuszu i Eurydyce, przez Jana Jurkiewicza. „Dziennik" nie poprzestał na wydrukowaniu poezyi; dodał do nich objaśnienie, w którém podnosi zasługi szkoły i nauczyciela i przyklaskuje młodocianym próbom poetyckim. Jest tam mowa, że ks. Hryniewiecki „skutkiem przykładnéj prawdziwie gorliwości i gruntownego przewodnictwa potrafił w licznéj dla nauk tam (w Humaniu) zbierającéj się młodzieży zaszczepić gust i najszlachetniejszy zapał do poznawania klasyków łacińskich, do napawania się ich słodyczą i do ćwiczenia, na wzór ich, własnéj zdolności... Tym sposobem po chwalebném ukończeniu nauk w téj szkole, zostawili w niéj znakomite owoce szczęśliwéj pracy w tłumaczeniu przedniejszych poetów pp. Teodor Krasiński, Jan Jurkiewicz, Józef

---

[1]) Popis uczniów szkół Berdyczowskich z nauk wciągu roku 1802 dawanych odprawiony (b. m. i r.)

Jeżowski, Augustyn Gołębiowski, Antoni Rohoziński, Władysław Bentkowski i Jan Żebrowski".

Jak widzimy, szkoła zbierała bogaty plon poetycki, skoro w jednem gronie kończących zakład wychowańców odznaczono publicznie, w druku, siedm talentów! Prawdopodobnie większość kolegów, którym nie udało się tak pomyślnie zabłysnąć wprawą rymotwórczą w szkole, będzie się starała zdobyć tę wprawę w uniwersytecie, bo trudno w tych warunkach przypuścić, że którykolwiek z nich o ten laur poetycki nie konkurował. Nic dziwnego, że we wszechnicy wileńskiéj atmosfera poetycka była panująca. Jeden z pomienionych wyżéj tłumaczów, Jeżowski, zajmował się przytem gorliwie botaniką i, jak wiemy, przywiózł z sobą zielniki, które złożył w bibliotece uniwersytetu, lecz niewątpliwie u czytelników ówczesnych „Dziennika" większą chwałę zdobyli Krasiński i Jurkiewicz niż Jeżowski jako botanik.

Utworów poetyckich pełno było wówczas w czasopismach wileńskich. Prof. Chmielowski obliczył (uprzedzając, że nie wyczerpał materyału dokładnie), iż między r. 1815 a 1822 w czasopismach tych drukowało poezye 71 osób [1]). Z osób tych zaledwie parę jest nam teraz znanych z nazwiska, lecz bynajmniéj nie dla zasług na polu poezyi. W społeczeństwie, posiadającém kulturę świeżą, do tego niejednolitém etnograficznie, uprawa języka i literatury bujniejsze wydawała plony, niż uprawa nauk ścisłych lub przyrodniczych, pomimo że to powodzenie szkoły w kierunku pomnażania poetów nie leżało bynajmniéj w planach ludzi, którzy do reform szkolnych przykładali rękę. Pragnęli oni, aby szkoła produkowała jaknajwięcéj trzeźwych i światłych pedagogów, lekarzy, prawników, rolników i zrobili wszystko, co było można, aby nie kształcić w młodzieży pierwiastku uczuć i fantazyi. Praca nad mową, jako organem myśli, miała na celu wyrobienie sprawności w operowaniu pojęciami, ścisłości w logice, niezbędnéj dla racyonalistycznego sposobu myślenia. W nauce wymowy i poezyi zastosowano najsuchszy ze znanych kierunek estetyczny, pasujący doskonale do filozofii racyonalistycznéj i nauk doświadczalnych, kierunek wytknięty przez Arystotelesa, Horacego, Boala, Laharpa. Pomimo to wszystko, zamiast profesyonistów, ufających „szkiełku i oku", wychodziły ze szkół zastępy poetów.

Kiedy z zachodu powiał nowy prąd filozoficzny — metafizyka z posiłkującemi ją zasadami odpowiedniéj estetyki,—na te gotowe za-

---

[1]) Adam Mickiewicz, I, 9.

stępy zstąpił nowy duch w postaci t. z. romantyzmu. W walce o idee, jaka się z tego powodu wywiązała, nie było komu stanąć w obronie Kanta lub Fichtego; cała walka skoncentrowała się na arenie poetyckiej. Była to walka domowa (w obrębie szkoły), w któréj pociski uczniów krzyżowały się z gromami wychowawców. Starszyzna szkolna z astronomem na czele stanąć musiała z urzędu w obronie dawnej „wymowy i poezyi".

## IV.

Goszczyński liczył czternaście lat skończonych, kiedy wstępował do klasy drugiéj szkoły humańskiéj. Wobec przepisów szkolnych wiek ten uchodził za normalny, lecz można twierdzić, że należał Goszczyński do uczniów najstarszych w klasie [1]. Mamy w literaturze pamiętnikowskiéj parę rysów do portretu Goszczyńskiego z czasów humańskich. Młodszy od niego klasami i wiekiem Aleksander Groza pamięta, że Seweryn był „wzrostu wyższego" (niż Zaleski, a ten był „wzrostu miernego")... blondyn, twarzy ospowatéj jak on nazywał rabej, ale przyjemnéj, oczów niewielkich, żywych... nosił bajówkę koloru piernikowego"... Groza widywał Goszczyńskiego w mecie i palancie i pamięta, że „piłka silną jego dłonią puszczona, leciała trafnie i daleko"; a kiedy wbiegał do jego gospody, przed którą leżał duży kamień, „zawsze musiał skrzesać ognia podkowami"... [2]. Pośrednio od B. Zaleskiego mamy wiadomość, że Goszczyński „ostry w obejściu z kolegami, otrzymał od nich w szkole nazwę Nerona za to, że ich czubił bez ustanku" [3]. Miano to jednak nie świadczy bynajmniéj, że go koledzy nie lubili. Posiadał wszystkie warunki zucha, jakich potrzeba, aby się kolegom podobać. Imponował im siłą fizyczną, zręcznością i energią; to wystarczało, aby go szanowano i szukano z nim przyjaźni. A kto go bliżéj poznał, wchodził z nim rychło w ścisły stosunek dla jego zalet koleżeńskich i osobistych. Pomimo krewkości temperamentu i „nerońskich" jego objawów, był to chłopiec w gruncie dobroduszny i altruista. Jak „ciocia Dosia" w czasach dziecinnych

---

[1]) Komisya Eduk. przepisywała wiek 9 do 12 lat dla uczniów klas przygotowawczych.—Bogdan Zaleski ur. 1802 r., był wyżéj od Goszczyńskiego o jedną klasę; kolegowali z Gosz. w klasie: Jan Krechowiecki, ur. 1803, Józef Mianowski, ur. 1804, Michał Grabowski, ur. 1805 (?).

[2]) Al. Groza. Mozajka kontraktowa. Wilno 1857, str. 97 i 126.

[3]) Seweryna Duchińska. Bogdan Zaleski w „Bibl. Warsz.", 1886, II, 245. Autorka trzymała się w téj biografii wspomnień Zaleskiego, osobiście jej opowiadanych.

kochała go, pomimo że ją czubił i chciał topić w rzece, tak i tutaj garnęli się do niego koledzy, bo w tém czubieniu nie widzieli złośliwości. Jak zobaczymy niżéj, był entuzyastą w uznawaniu wyższości duchowéj innych, w ocenianiu zaś siebie samego nie był skłonny do zarozumiałości. Na przyjaciół poszukuje się właśnie ludzi z takiemi zaletami. W szkole humańskiéj poczucie koleżeńskie było nadzwyczaj rozwinięte. Przyjaźń uważano za najwyższy bodaj czynnik życia towarzyskiego; raz ślubowana na ławie szkolnéj, obowiązywała całe życie. Że miała ona duże znaczenie w życiu Goszczyńskiego, widzimy to z jego utworów poetyckich [1]), a potwierdzą fakta biograficzne.

W dobre stosunki z kolegami wszedł odrazu w klasie drugiéj. W klasie téj siedział w pierwszéj ławce na drugiém miejscu. Pierwsze miejsce w téj ławce zajmował Józef Mianowski, celujący uczeń w klasie, późniéj znakomity lekarz, rektor uniwersytetu warszawskiego. Sąsiedzi odrazu zawiązali między sobą przyjaźń. Seweryn, aczkolwiek wstąpił do klasy w połowie roku, nie tylko nie czuł się przez kolegów w naukach wyprzedzonym, lecz stanął zaraz na ich przodzie, między uczniami celującymi, do których, prócz Mianowskiego, należeli Józef Hromowicz i Józef Szumakowicz. Czwórka ta trzymała się na tém stanowisku i w następnych klasach, idąc razem na przodzie klasy.

Tegoż roku przed wakacyami zapoznał się Seweryn z uczniem klasy trzeciéj Józefem Zaleskim (drugie imię jego Bohdan nie było wtedy kolegom znane). Podług Grozy był to „blondyn, twarzy białéj, pięknéj, oczu błękitnych, wzrostu miernego" [2]). Wkrótce Zaleski stał się najbliższym przyjacielem Seweryna. Obaj nie mieli w szkole nikogo, do kogo mogliby się w tym stopniu zbliżyć. Zaleski, chłopiec delikatnéj budowy, łagodnego usposobienia, charakteru słabego, był kontrastem Seweryna. Wrodzona łagodność, skłonność do marzycielstwa, oraz zamiłowanie w poezyi wyrobiły mu w szkole opinię poety [3]). Staranniéj i w lepszych warunkach, niż Goszczyński, chowany, chociaż młodszy, wyżéj stał w tym czasie od niego pod względem umysłowym. Interesował się już literaturą, odbierał czasopisma wileńskie i warszawskie, które go wciągały po trochu w ówczesny

---

[1]) Ob. utwory: Wianek przyjaźni, Dobranoc z oddalenia, Rozstanie się z przyjaciołmi.

[2]) Mozajka kontraktowa, 97.

[3]) Zaleski podobno w siódmym roku życia pisał już wierszyki: w klasie II rywalizował na tém polu z uczniami klasy V (Duchińska l. c., 245).

ruch literacki. Goszczyńskiemu niezwykle zaimponowała jego subtelna natura, Zaleski zaś uwielbiał w przyjacielu siłę i energię, których jemu brakowało.

I na stancyi wszedł w dobre stosunki z kolegami i z dyrektorem. W klasie drugiéj będąc, mieszkał na przedmieściu Turku w dworku siodlarza Huczyńskiego. Dyrektorem był Jan Tomaszewski, współtowarzyszami — bracia Tarkowscy i Grozowie, Augustyn i Pius. Aleksandra Grozy w tym roku nie było jeszcze w Humaniu. W następnym roku Grozowie zamieszkali gdzieindziéj, bo Seweryn po wakacyach nie zastał ich w dworku Huczyńskiego. Tomaszewski był ich dyrektorem i nadal. Aleksander Groza wspomina o nim, że był „łagodny, rozsądny i szlachetny”, że utrzymywał stosunki przyjacielskie z Goszczyńskim, dawniejszym uczniem swoim [1]. Najmniéj dwie klasy dzieliły Seweryna od Tomaszewskiego; w stosunkach szkolnych jest to przedział wielki; że nie był on przeszkodą dla stosunków przyjacielskich, dowodzi to wczesnéj dojrzałości Seweryna.

W pierwszym również roku poznał się z Janem Krechowieckim, który jako młodzieniec zamożny mieszkał w konwikcie. Na lekcyach języka francuzkiego, gorliwie przez Seweryna uczęszczanych, a odbywających się pod kierunkiem Franciszka de Lins'a, zaprzyjaźnił się z Józefem Chrząszczewskim. Późniéj jednak wszedł z obu w bliższą zażyłość, o czém niżej będzie mowa.

Już w drugiéj klasie lekcye Pełczyńskiego dawały pole do popisów pisarskich. Jeden z kolegów, Hieronim Tarosiewicz, pisywał wiersze. Potrafił np. zadawane na wypracowanie listy przeplatać, na wzór Krasickiego, wierszem, czém wzbudzał uznanie nauczyciela, a podziw kolegów. Goszczyński, odznaczający się wygórowaną ambicyą, martwił się, że nie może się zdobyć na wiersze. Nadomiar kolega Jan Dworzycki, pełen uznania dla prozy Goszczyńskiego w rozmowie zadał mu cios twierdzeniem: „Już tobie nie być poetą. Będziesz pięknie pisać, ale prozą; Tarosiewicz co innego—on poeta!” Seweryn wziął te słowa do serca i zwątpił o sobie. Trzeba było dłuższego wpływu B. Zaleskiego i książek, aby w nim odżyła w głębi serca tajona nadzieja, że i on kiedyś będzie poetą.

Zaleski dostarczał mu książek, od niego dostał Iliadę, nieznaną mu dotąd; jak sam się wyraża, zrobiła ona na nim „nadzwyczajne wrażenie”. Z książkami pożyczonemi od Bohdana, jedzie na wakacye. W następnym roku szkolnym młodzi ludzie czują taką potrze-

---

[1]) Jan Tomaszewski, po ukończeniu wydziału medycznego w Wilnie, osiadł jako lekarz praktykujący w Humaniu (Groza l. c., 125); jak można wnosić ze sprawozdania szkoły humańskiéj z r. 1827, wykładał w téj szkole hygienę.

bę obcowania z sobą, że Seweryn przenosi się na stancyę do Zaleskiego (za miastem ku Zofiówce). Razem czytają, zachwycają się poezyami; o godzinie czwartéj rano wybiegają już z domu do Zofiówki, aby tam błądzić po parku i marzyć. Goszczyński, ulegając wpływowi otoczenia, czuje popęd do tworzenia wierszy, ale tworzyć jeszcze nie może. W czasopismach wileńskich i warszawskich, jakie przychodzą do Zaleskiego, widać coraz więcéj poezyi; dokoła niego wszyscy tworzą, niektórzy zyskują rozgłos na całą szkołę. Ludwik Bentkowski, mieszkający z nimi na jednéj stancyi, napisał sławną w Humaniu wówczas: Odę do myśli; jeszcze znakomitszymi poetami okazali się uczniowie klasy V, Szeling i Michał Gałęzowski. A Goszczyński skończył już klasę trzecią i do czwartéj przeszedł, pracuje gorliwie nad wypracowaniami, tymczasem natchnienie poetyckie nie przychodzi. Na nabożeństwach porannych, na które uczniowie codzień się zgromadzali w kaplicy klasztornéj, klęcząc przed sławnym obrazem Matki Boskiéj [1]), zanosił niefortunny poeta modły do Boga, aby mu pomógł zrównać się w poezyi z kolegami.

Nareszcie i on doszedł do tego, że go miano za poetę i ogłoszono nawet za takiego w czasopiśmie. Nauczyciel wymowy i poezyi zadał uczniom klasy czwartéj na wypracowanie przekład pieśni XIII z księgi Epodon Horacego. Tłumaczenie wierszowane Goszczyńskiego uznał nauczyciel za najlepsze. Wiersz ten — jak to wiemy ze wspomnień samego Goszczyńskiego — zrobił mu „wielki rozgłos poety” pomiędzy kolegami i nauczycielami. „Ztąd poszły pochwały, zachęty, a następnie ośmielenie do puszczenia się w dalszą drogę poetycką”. Ośmielono go przedewszystkiém do tego, żeby przekład swój oddał do łaskawego dla szkoły humańskiéj „Dziennika Wileńskiego”. Zaleski pośredniczył w téj sprawie i posłał do druku wiersz Goszczyńskiego razem ze swoim przekładem innéj pieśni. Widocznie nie zaopatrzył przesyłki w dostateczne objaśnienie, bo „Dziennik” wydrukowawszy w zeszycie marcowym z r. 1820 przekład Goszczyńskiego Do przyjjaciół, podpisał pod nim nazwisko Zaleskiego [2]). Horacy nie pisał tego wiersza dla młodzieży szkolnéj, lecz dla hulaków, żyjących hasłem:

Héj! użyjmy żywota!
Wszak żyjem tylko raz...

---

[1]) Ob. podobiznę tego obrazu w „Kłosach“, 1872, XV, Nr 381.

[2]) Por. Giller. Sobótka, 5; Piotr Chmielowski. Studya i szkice, II, 348; „Dziennik Wileński“ 1820, str. 319.

Jednak w szkołach klasycznych dochodzi się do takiego spoufalenia z poetami starożytnymi, że na treść nie zwraca się uwagi. W innym razie nauczyciel-zakonnik nie dawałby chłopcom do wierszowania podobnego tematu:

W dniu dzisiejszym spocznijmy na rozkoszy łonie,
Niechaj się umacniają drżące starca nogi:
Młodości! uwieńcz wiekiem poorane skronie,
Dajcie wina, Torkwata czasów pomnik drogi;
Polejmy na się wdzięczne Achemonu wonie
I dźwiękiem boskiéj lutni słodźmy smutek srogi,
A o resztę nie dbajmy; może się złe skróci,
Gdy je do swego źródła Bóg łaskawy zwróci.

Przekład, jak widzimy, dosyć swobodny, nie bardzo krępujący się oryginałem. Pierwsza część, dzięki odpowiedniemu tematowi, przypomina trochę temperament Goszczyńskiego, tak wybitnie zaznaczający się w poezyach późniejszych.

Niebo wokrąg posępne nawałnice kryją,
Zagrzmiały z strasznym trzaskiem ogniste obłoki,
W dłoni gniewnego Boga pioruny się wiją,
Lecą śniegi, lunęły deszczowe potoki.
Wśród głuchych borów trackie Akwilony wyją,
Ryczy wzdęty wichrami Ocean głęboki i t. d.

I oto stoi już przed nami poeta. Ośmielony powodzeniem zabiéra się do poezyi oryginalnych. Zapewne pod wpływem Iliady marzy o epopei. Materyału historycznego nie posiada, historyi polskiéj nie miał jeszcze w ręku, a w szkole nie uczyli jéj go dotąd, lecz ma żywo w pamięci to, co opowiadał mu ojciec w czasie podróży do Nowego Konstantynowa — materyał niewielki, lecz mający tę wyższość nad wyczytanym, że serdecznie odczuty, z życia ojcowskiego wyjęty. Pisze więc epopeę snując wątek, przekazany mu przez ojca. Nie doprowadził jéj do końca i próbki tego, co pisał, nie doszły do nas. W pamiętniku z powodu tego utworu zanotował: „Była to pierwsza próba epopei... i kierunek najprawdziwszy; gdybym miał wówczas to wyobrażenie o poezyi, które mam dzisiaj (1859), byłbym może lepszym poetą niż jestem. Ale atmosfera nie była przychylną takiéj poezyi prawdziwéj. Nie zapominajmy, że to było w r. 1817 i nie w Warszawie, lub w Wilnie, lub w Krakowie, ale w Humaniu pod kierunkiem ludzi, którzy nic nie widzieli nad klasyków greckich i rzymskich i nad poetów polskich edycyi Mostowskiego“.

W życiu ówczesném Goszczyńskiego daje się zauważyć fakt taki, że im daléj posuwał się w aspiracyach poetyckich, tém mniéj znacze-

nia przywiązywał do pierwotnego celu edukacyi — dyplomu szkolnego i do edukacyi saméj w tej formie, jaka nie była w szkole udzielana. Poezya naderwała jego stosunek do szkoły; widocznie przekroczył granicę, do któréj pisanie wierszy w szkole było obowiązkiem.

W klasie drugiéj dostał na popisie nagrodę, w postaci obrazu Matki Boskiéj Poczajowskiéj na białym atłasie; otrzymał ją z rąk własnych Zofii Potockiéj. Nie mamy wiadomości, czy odbierał nagrody w klasach trzeciéj i czwartéj, lecz są dane, że do końca klasy czwartéj uczył się dobrze i z zamiłowaniem. W ostatnim kwartale klasy IV-éj zaczął zaniedbywać łacinę i matematykę, bo te przedmioty wydały mu się (wobec odsłoniętego świata poetyckiego) niezmiernie nudne. Do zaniedbania się w naukach przyczyniła się niemało choroba palca, stłuczonego podczas świąt Wielkanocy w domu rodzicielskim. Z powodu téj choroby, która dopiéro w jesieni (1818) zakończyła się operacyą, opuszczać musiał lekcye. Wolne od nauki chwile pozwalały mu oddawać się tém swobodniéj poezyi, a ta sprawiała, że te wolne chwile stawały się coraz bardziéj pożądanemi. W tych warunkach lekcye o ile nie zostawały w związku z umiłowaną przezeń dziedziną poezyi, stawały się dla niego nieznośnym przymusem; szczególnie matematyka wydawała mu się godną lekceważenia. Nauczyciel tego przedmiotu, widząc zaniedbanie się ucznia, przez życzliwość dla niego (i dla jego rodziców, których znał), pragnął go w jakikolwiek sposób pobudzić do pracy. W téj myśli, kiedy razu pewnego wszedł na jego lekcyę prefekt Skibowski, poskarżył się przed nim na Goszczyńskiego. Prawdopodobnie prefekt miał na takie skargi gotowy stereotyp i tego w tym razie machinalnie użył: „A to w skórę!” Dla ambitnego chłopca było to powiedzenie za silne. Zaciął się, ślubując sobie w duszy, że odtąd umyślnie matematyki uczyć się nie będzie przykładnie; tyle będzie robić, żeby przejść do wyższéj klasy, więcéj nic nad to, bo dążenie do celującego stopnia oznaczać by mogło, że ta nauka obchodzi go choć cokolwiek. Od téj również chwili poczęła się w jego sercu nienawiść do prefekta Skibowskiego. Ten drobny na pozór wypadek, odegrał, jak zobaczymy niżéj, ważną rolę w losach Goszczyńskiego.

W takim nastroju ukończył nasz poeta klasę czwartą. Upodobania literackie zmieniły jego usposobienie i cały tryb życia. Dawniéj oddany całkowicie mięśniowym zapasom z otoczeniem, korzystał z godzin rekreacyjnych i wakacyi na to, aby bezmyślnie bawić się i bujać na swobodzie; teraz używa tych chwil na czytanie, kompozycye, obserwowanie przyrody. Przeobrażenie to odbywa się w nim jednocześnie

z szybkiém dojrzewaniém fizycznėm. Podczas wakacyi uprawia już miłostki z dziewczętami wiejskiemi.

Na lato i podczas świąt jeździł do Chłystynówki do rodziców. Gdy wracał ztamtąd do klasy trzeciéj, rodzice oddali pod jego opiekę młodszego syna, Władysława, który z nim razem miał się kształcić w Humaniu. Władysław rok tylko uczył się z bratem; widocznie zabrakło rodzicom pieniędzy na kształcenie dwóch synów, bo następnéj jesieni Seweryn wrócił z wakacyi sam. Wakacye te spędzał w Chłystynówce po dawnemu, dziecinnie przejmując się wiejskiemi uciechami. Dopiéro po roku, gdy się zjawił na wsi, jako piątoklasista, rodzice mogli w nim zauważyć zmianę w kierunku upodobań literackich. Gdy jechał do domu na te wakacye, przez całą drogę układał w myśli — nie plany zabaw w Chłystynówce, jak dawniéj, lecz — poemat Sobieski pod Wiedniem...

W domu rodziców doznał silnych wzruszeń. Na chrzciny najmłodszego brata, Cyryla, który wtedy na świat przyszedł, przyjechał Rembertowicz, dobry znajomy i protektor Goszczyńskich, z córką Petronelą. Seweryn kochał się w niéj jeszcze w Nowym Konstantynowie; teraz gdy już nie obce mu były namiętności człowieka dojrzałego, spotkanie to jeszcze silniéj roznieciło w nim miłosne dla Petroneli uczucia. Urocze chwile tego spotkania zakłócone zostały w przykry sposób nagłą śmiercią księdza, który chrztu udzielał. Silne wrażenie musiał sprawić ten kontrast urodzin i śmierci na tle uroczystości domowéj.

Jak tylko uspokoiło się w domu, Seweryn wziął się do pracy literackiéj. Nie było na nią miejsca w ciasném mieszkaniu, więc ulokował się na strychu i tam tłumaczył cieszący się powodzeniem (stosunkowo słusznėm) romans Numa Pompiliusz, którego autorem był Jan Piotr Claris de Florian (zm. 1794). Już poprzednio, jak wzmiankowaliśmy, tegoż autora Gonzalw z Korduby wielce się podobał Goszczyńskiemu; Numa musiał mu również przypaść do smaku, skoro go przekłada, nie bacząc na istniejące tłumaczenie Staszyca, które wyszło w Warszawie w 1816 r. w szóstém wydaniu [1]). Drugą pracownię urządził w ogrodzie: rozpiął prześcieradła w kształcie namiotu i tam przesiadywał, otoczony dokoła książkami, w których panowała wielka rozmaitość. Była tam Historya o Magellonie królewnie Neapolitańskiéj (bardzo rozpowszechniona), jakieś dzieło Buffona (zapewne tłumaczenie Staszyca, 1786), jakaś praca historyczna

---

1) P. n. Numa Pompiliusz drugi król Rzymu. Przekładania X. Stan. Staszyca, t. 2. Wydania: 1787, 1788, 1789, 1808, 1816 i Wilno 1801.

Karola Rollin'a (zm. 1741), obok zaś tych książek leżały dzieła historyczne polskich pisarzy z XVI w.: Janickiego i Orzechowskiego.

Zajęcie na strychu i w namiocie przeplata spacerami po łąkach nad Olszanką. W spacerach tych szuka samotności, układa w dalszym ciągu zaczęty w podróży poemat i marzy, otoczony piękną przyrodą. Spać długo nie może; trawiony żądzą tworzenia, zrywa się bardzo rano i pisze.

Z tego zapału poetyckiego wytrzeźwiła go na jakiś czas przykra rzeczywistość. Ojciec stracił posadę w Chłystynówce. O dymisyi téj z pamiętnika wiadomo nam tylko tyle, że Goszczyński dostał ją „z powodu pobicia mieszczanina Krzyżanowskiego i procesu z nim". Było to nieszczęście dla rodziny tak licznéj. Odtąd zaczęło się jéj tułactwo w poszukiwaniu chleba, którego Józef Goszczyński zdawał się nie cenić. Trudno dojść z pamiętników, co było tego powodem.

Drugim faktem przykrym była choroba palca, ciągnąca się od Wielkanocy. Ból wzmagał się stale, trzeba było się leczyć. W tym celu pojechał do Korsunia, gdzie chirurg Fuld zoperował palec przez wyjęcie kostki. I tam podczas kuracyi nie zapomina o zajęciach literackich: tłumaczy z francuskiego pierwszą pieśń Iliady, a kiedy błądzi po lesie korsuńskim lub po wybrzeżu Rosi, układa w głowie fantazye na temat Wernyhory. Tegoż lata bierze się jeszcze do przekładania melancholijnych Nocy Edwarda Younga, w którym bardzo zagustował; czyta Tymona Zaborowskiego Dobremir i Aniela, oraz dzieła Łomonosowa.

## V.

Po powrocie z wakacyi, Goszczyński zamieszkuje na stancyi razem z Bogdanem Zaleskim w dworku siodlarza Tereszki. Od tego Tereszki, poeta marzący o epopei narodowéj, nasłuchał się opowiadań o buncie hajdamaków, szczególnie o rzezi humańskiéj. Zaważyły te opowiadania więcéj w poetyckiéj karyerze Goszczyńskiego, niż niejedna książka przeczytana. Opowiadania naocznych świadków zastępowały brak wiadomości książkowych z dziedziny historyi miejscowéj. Ta bliska przeszłość, odsłaniana przez starców, zmazana krwią, oświetlona płomieniami pożarów, wywierała swemi efektami grozy niezatarte wrażenie na młodzieńcu, którego olśniło odkrycie, że i tutaj, na téj ziemi, tak dobrze mu znanéj, działy się niedawno rzeczy godne utrwalenia w epopei.

Nastały dla młodych adeptów poezyi czasy niepokoju. Do cichego portu życia szkolnego, w którym dotąd wespół z zakonnikami

pracowali nad Wirgilim i Horacym, zalatywać zaczęły fale niezwykłe. Udzielało się od nich poczucie siły, pragnienie pomknięcia na pełne morze. Duchy poetyckie w szkołę wyszukiwały się wzajemnie, skupiały w oczekiwaniu zdarzeń. Stosunki między nimi miały pozór zwykłéj przyjaźni dobranych kolegów, lecz przy bliższem wejrzeniu można było poznać, że lęgnie się w nich zarodek przyszłego „spisku" literackiego.

Jeszcze w drugim czy trzecim kwartale klasy czwartéj (1817/18) przybył Goszczyńskiemu kolega w osobie Michała Grabowskiego. Doskonale był przygotowany do téj klasy, przytém zdolności miał niepospolite. Zamożny z urodzenia, wychowany został na francuszczyźnie, jak to w domach bogatych było zwyczajem. Nawskroś nią przesiąknięty, z trudnością przychodził do poczucia języka rodowitego, nawet wtedy, gdy był już literatem. Wówczas w klasie czwartéj zrobił na Goszczyńskim wrażenie „ładnego dziecka, mającego w powierzchowności i ułożeniu więcéj dziewczęcia, niż chłopca. Niewinny, rumieniący się, a przytém zamknięty, poważny, arystokrata zwrócił na siebie uwagę kolegów i wielu podbił, jak kobiéta". Zaleski zakochał się w nim, jak w dziewczynie, i zawiązał z nim odrazu stosunek bardzo przyjacielski; Goszczyński stanął z nim „na stopie męzkiéj przyjaźni", pozbawionéj afektacyi, lecz, jak zobaczymy, bardzo twardéj. W klasie piątéj Zaleski, Goszczyński i Grabowski zawiązują formalny tryumwirat, wynajdując nazwę: Za-Go-Gra. Spółka ta została na gruncie interesów czysto dlań nawet literackich. Pierwszém jéj zadaniem miało być wydawanie czasopisma (rozumié się rękopiśmiennego) p. n.: Ćwiczenia umysłowe na wzór Ćwiczeń naukowych, wydawanych w Warszawie przez młodzież krzemieniecką. Trójka ta rozczytywała się pilnie w czasopismach literackich, przez które dochodziło do nich światło z ognisk literatury w Warszawie i Wilnie: „Pamiętnik warszawski", „Dziennik Wileński", „Wiadomości brukowe", organ „Szubrawców", i in. Z rozpraw, jakie w tym roku (1818) u nas się drukowały, rzecz prosta, najwięcéj uwagi ich zwróciła Rozprawa o klasyczności i romantyczności Brodzińskiego [1]). Nie na wszystkie wywody autora zgadzał się tryumwirat Za-Go-Gra, widzieli tam trochę „niemczyzny" i to nie podobało się im; nie wszystko zrozumieli, lecz z zachwytem przyjęli wszystko to, co autor przytaczał „przeciwko klasyczności", a zwłaszcza myśli jego o potrzebie emancypacyi poezyi polskiéj. Goszczyński, wspominając o lekturze z tych czasów, nadmienia, że daleko lepiéj pojął zasady nowéj poezyi z utworów Brodzińskiego i Antoniego Goreckiego, niż z téj rozprawy, a nadewszystko trafił mu Brodziński

---

[1]) „Pamiętnik Warszawski", 1818, styczeń—maj.

do przekonania tłumaczeniem Barratonu Ossiana [1]). Odtąd zaczyna się kult Goszczyńskiego dla Ossiana, najwidoczniejszy w utworach jego młodzieńczych; owocem tego kultu był późniéj całkowity przekład Ossiana, dokonany przez niego w r. 1832 [2]).

Jednocześnie zaszedł drugi wypadek literacki, ważny ze swoich następstw — wyjście Jagiellonidy, poematu rycerskiego Dyzmy Bończy Tomaszewskiego [3]). Poeci nasi wiedzieli już o tym poemacie ze streszczeń i uwag nader pochlebnych, ogłoszonych w „Dzienniku Wileńskim" jeszcze w r. 1817. Spodziewano się epopei narodowéj, która stworzy epokę w poezyi polskiéj. Spotkał ich zawód, pomimo że z egzaltacyą wczytywali się w każdy wiersz nowy. Wiała z poematu suchość, nie przemawiał on do czucia; dla tego Goszczyński stawiał go niżéj od dawniejszego utworu Tomaszewskiego Rolnictwa. Jagiellonida zyskała poklask gorący pokolenia starszego. Uniwersytet wileński przesłał autorowi w hołdzie dyplom na członka honorowego uniwersytetu. Tymczasem uczeń tegoż uniwersytetu, Adam Mickiewicz, podniósł chorągiew opozycyi, ogłaszając w zeszycie styczniowym z r. 1819 „Pamiętnika Warszawskiego" surową krytykę poematu p. n. Uwagi nad Jagiellonidą. Sprawa ta wywołała w kółku naszych poetów wielką sensacyę. Była to dla nich bardzo korzystna lekcya poetyki; „zaczęliśmy być surowsi w zapatrywaniu się na poezyę"—pisze Goszczyński. Być może między Zaleskim i Goszczyńskim była pewna różnica poglądów na Jagiellonidę, może rzeczywiście Zaleski uczył się jéj na pamięć, lecz żeby „wpadał w furyę na krytyka" [4]) (Mickiewicza), jak to przypisuje mu pani Duchińska, jest

---

[1]) Tamże, XII.

[2]) Pisma Seweryna Goszczyńskiego. Lwów 1838 (Piller i sp.) t. II i III.

[3]) Berdyczów 1818.

[4]) „Bibl. Warszaw." 1886, II, 248. Oto jéj słowa: „Młodzież zachwycała się poematem... Wśród téj gorączki humańskiej ukazuje się dnia jednego w wileńskiem (!) piśmie ostra krytyka, wyśmiewająca (?) niemiłosiernie ów ulubiony utwór; napisał ją Adam Mickiewicz. Zaleski przeczytawszy ów palący artykuł, wpadł, jak mówił nam, w furyę (!) na krytyka. Okoliczność ta była jednym z powodów, że postanowił po ukończeniu (?) szkół humańskich, udać się na wyższe nauki uniwersyteckie (?) raczéj do Warszawy, aniżeli do Wilna"... Zobaczymy późniéj, że wybór między Wilnem a Warszawą odbywał się na innéj zgoła podstawie: gdyby zresztą krytyka Mickiewicza miała rozstrzygać o wyborze, to pojechałby właśnie do Wilna, bo w Warszawie ją drukowano, o czém Zaleski wiedział, prenumerując „Pamiętnik Warsz." Jeżeli z powodu Jagiellonidy poeci nasi złorzeczyli Wilnu, to chyba dla tego dyplomu honorowego, ofiarowanego przez uniwersytet Tomaszewskiemu (Por. P. Chmielowski. Studya i szkice II, 349).

rzeczą nieprawdopodobną, nie pasującą w każdym razie do zeznań Goszczyńskiego.

W następnym tomie „Pamiętnika" zjawiła się Odpowiedź na uwagi nad Jagiellonidą, w której stary Tomaszewski polemizuje z Mickiewiczem, obrażony srodze za niegrzeczny ton krytyki. Artykuł ten dla przyzwoitości podał do „Pamiętnika" i podpisał swemi inicyałami, krewniak Tomaszewskiego, Antoni Chrząszczewski [1]).

Rodzi się przypuszczenie, że sprawa Jagiellonidy zajęła tak żywo uczniów humańskich dla tego także, że uważali ją poniekąd za lokalną. Sam Dyzma Tomaszewski mieszkał gdzieś niedaleko, w Popówce. Znał go dobrze Humań, jako przybocznego klienta Szczęsnego Potockiego i politycznego wyznawcę. Prawdopodobnie znajdował się z nim w pokrewieństwie były dyrektor Goszczyńskiego i Grozów, Jan Tomaszewski, tak jak przyjaciel ich Józef Chrząszczewski blizkim był Antoniego, obrońcy Jagiellonidy.

Sprawy literackie nie zajmowały wyłącznie naszych poetów, przynajmniéj nie przykuwały ich stale do książek. Zajęcia szkolne i literackie przeplatali zabawami, gimnastyką, grą w piłkę „na cegielni", figlami, zmowami na profesorów, a zwłaszcza spacerami, które z upodobaniem odbywali. Goszczyński od Wielkanocy (1819) był dyrektorem na stancyi w domu Lichtańskiego; musiał chodzić na spacer z urzędu ze swymi uczniami. Organizują się spacery gromadne, na których spotykają się koledzy starsi, przewodzący młodszym. Najczęściéj kierowano się ku Zofiówce. Nie trzeba było być poetą, aby z brudnego miasteczka wyrywać się przy byle sposobności do wspaniałego parku, pełnego przepysznych drzew iglastych, rozrzuconych po skałach i dolinach, gdzie otaczały spacerujących „przezroczyste, obszerne wód kryształy, szumne, wspaniałe tychże wód spady, wysokie na 40 łokci wodotryski, chłodne i pięknie zasadzone gaje, pyszne przysionki, obeliski, kolumny... [2]) Wiele kolumn stało bez napisów, przygotowano je na zapas. Lecz nie było kogo wpisywać, że—jak mówi Niemcewicz—„wspak obrócone okoliczności, zamiast potęgi i sławy, poniżenie i wstydne zawody zostawiły", więc stały te kolumny niezapełnione, nieme. Młodzież, igrającą koło nich, nie zaciekała się w przeszłość, z marmurów bijącą; interesowała ich piękność przyrody. Umarł założyciel Zofiówki i jéj piewca Trembecki, żył jeszcze

---

[1]) Por. K. Wł. Wójcicki. Warszawa... (1800—1830). Warszawa, 1880, str. 62—63.

[2]) J. U. Niemcewicz. Podróże historyczne, 332. Por. artykuł i rysunki w „Tygod. ilustr.", 1869, 2, IV, str. 4.

przyjaciel ich, drugi Delille polski, autor Jagiellonidy, lecz trzeba było tego młodego pokolenia, z ducha czasu czerpiącego zamiłowanie do natury, aby ten ogród doczekał się wielbicieli szczerych. Ten sam ogród, który, jako owoc zachcianki magnata, był wyrazem patologicznych stosunków w społeczeństwie, dla téj młodzieży jest źródłem wzruszeń estetycznych, jak zaklęty w kształty przyrody poemat w guście „szkoły jezior". „Na przechadzkę—pisze Groza—najczęściéj chodziliśmy do Zofiówki. Panowie dyrektorowie, będący z sobą w przyjaźni, zazwyczaj szli razem, to téż i ich uczniowie jedną grupę składali, nierzadko kilkadziesiąt osób liczącą. Dla mnie ta przechadzka najmilsza była w sobotę, bo wtedy Zofiówkę nie przepełniał tłum spacerujących; jej piękność wielka, cicha, samotna coś miała w sobie dziwnie uroczego. Raz w taką sobotnią wiosenną przechadzkę [1]) Goszczyński i Zaleski sprzeczali się, zkąd widok był piękniejszy: czy od posągu Belizaryusza, czy od wazonu? Za pierwszym był Goszczyński, za drugim Zaleski. Tomaszewski i Gałęzowski (Seweryn) mieli spór rozstrzygnąć; szli naprzód do Belizaryusza, a my drobiazg szliśmy za nimi. Wspaniały posąg stał w cudowném miejscu. Nad nim wznosiła się góra w połowie lasem okryta, przed nim ślicznego strumienia zwierciadło i ściana olbrzymich skał, zwalonych na siebie w najpiękniejszéj perspektywie, a przybranych jodłami, świerkami, dębami; na prawo wielka fontanna, na lewo wielka kaskada, daléj trawnik z sadzawką i wazon granitowy z kwiatami. Czarowny kraj, odłamek Edenu, bo na naszéj zwyczajnéj ziemi nic piękniejszego być nie może. Ten biały posąg Belizaryusza, to jakby biały cień na elizejskiém polu. Jakże tu wszystko grandioso! Wielki mistrz użył wielkich środków dla sprawienia najpiękniejszych, najpotężniejszych wrażeń. Nie dziwię się, że poeta, co napisał Zamek Kaniowski, Król Zamczyska, ten widok nad inne upodobał".

„Poszliśmy do wazonu postawionego w sadzawce, obłożonéj różowym szlifowanym granitem; ogromny wazon także z różowego granitu zawsze napełniony najpiękniejszemi kwiatami. W sadzawce igrają złote, srebrne, czarne, pąsowe rybki chińskie; na około sadzawki

---

[1]) Musiało to być w r. 1818 (w tym samym kiedy Niemcewicz zwiedzał Zofiówkę), kiedy Seweryn był w kl. IV; przypuszczenie to rodzi się ze względu na udział w przechadzce Tomaszewskiego. Był on dyrektorem Gosz., gdy ten znajdował się w klasie II, był więc co najmniéj uczniem klasy V wtedy; najprawdopodobniéj ukończył klasę VI (V była dwuletnia) w lecie 1818. Groza zestawia (str. 125) nazwiska Tom. z Grabowskim, który przybył do Humania na wiosnę lub w zimie 1818, mamy więc dowód, że Tom. był jeszcze w tym roku w Humaniu.

zielony dywan trawnika, rozścielający się do strumienia. Z jednéj strony ogromne skały i las, na prawo widok na wielką kaskadę i most wiszący, wprost—na biały posąg Belizaryusza i górę, lasem okrytą. Ustronie to jakby wyjęte z Arkadyi, ciche, piękne, urocze, jak muza Bohdana, harmonijne jak jego wiersze. Złote i srebrne rybki—to jego dumki, piosenki, przebłyskujące najświetniejszémi barwami" [1]).

Owe spacery zaliczyć trzeba do rzędu wpływów, które w Goszczyńskim wyrobiły cześć dla natury, stanowiącą najwybitniejszą cechę jego twórczości. Z tego, co w tym roku pisał, nic do nas nie doszło; wiemy jednak z pamiętnika, że pisał wiele, a co do Zaleskiego—że ten tworzył „daleko więcéj" od niego. Sława ich poetycka miała rozgłos w szkole. Ks. Skibowski zobowiązał ich do złożenia w archiwum szkoły próbek talentu, co téż uczynili. O swoich utworach z tego czasu Goszczyński zanotował: „Zasiłkiem moich natchnień głównym jest natura otaczająca mnie: wiosna, jesień, niebo pogodne lub chmurne, lasy, wody, pola" i t. p. Grabowski, zdaje się nie pisał wierszy, a jeżeli pisał to nieudatne; [2]) natomiast rodził się w nim przyszły krytyk. Odznaczał się już wtedy poczuciem poetyckiém i oczytaniem, co sprawiało, że doskonale pasował do towarzyszy poetów, z którymi tworzył spółkę Za-Go-Gra. Stosunek ich przyjacielski przetrwał długie lata; Zaleski tak go wspomina w *Pyłkach* swoich:

Bohdan, Seweryn, Michał—między nami trzema
Odgrywa się osobna niejako poema,
Wszyscy trzej bo rówieśni, z jednego my gniazda
Porwali się do lotu i jedna nam gwiazda
Mrugnęła w drogę z góry ku ziemskiéj zamieci...

Spółka ich szkolna została przerwaną wraz z nadejściem wakacyi 1819 r., z powodu porzucenia szkoły humańskiéj przez Grabowskiego. Pod koniec roku szkolnego pomiędzy nim a ks. Rolińskim nauczycielem prawa zaszło jakieś nieporozumienie, skutkiem którego Grabowski skazany został na klęczenie w klasie. Stosunki z przełożonymi, postępującymi, pod kierunkiem prefekta Skibowskiego, despotycznie z uczniami były bardzo naprężone. Grabowskiego, który uważał się za człowieka dojrzałego, kara ta oburzyła i zniechęciła do szkoły. Po wakacyach więc nie wrócił, wstąpił natomiast do liceum Richelieu'go w Odessie.

---

[1]) Al. Groza. *Mozajka kontraktowa*, 127—128.

[2]) Ob. jego wyznania w początku powieści *Koliszczyzna i stepy* (pod pseud. Edwarda Tarszy). Wilno 1838, str. 2—4.

Goszczyński nie pojechał na wakacye do rodziców, bo ci po utracie miejsca w Chłystynówce, nie mogli mu dać przytułku, mieszkając na łasce znajomych w poblizkim od Chłystynówski Wieszówku. Prefektowi Skibowskiemu widocznie nie było obce ich położenie, bo na wakacye wynalazł Sewerynowi miejsce guwernera u państwa Chaborskich, dzierżawców Hordaszówki nad Tykiczem, nieopodal Talnego. Z miejsca tego Seweryn był bardzo zadowolony. Miał tutaj dużo swobody i towarzystwo dobre a liczne. Starszy syn Chaborskich, Zenon, był jego kolegą i przyjacielem od klasy trzeciéj, uczniem zaś jego podczas wakacyi był młodszy brat Zenona, Floryan. Gdzieś w pobliżu mieszkali państwo Newlińscy, posiadający dwie córki: Teklę i Karolinę, Chaborscy mieli również dwie córki, Teofilę i Ewelinę. Panny przyjaźniły się wzajemnie, ztąd częste stosunki towarzyskie między temi dwoma domami, co sprawiało, że „hajdamaka" Goszczyński doznawał całe lato nieznanych mu dotąd słodyczy towarzystwa damskiego.

Ma swoją drogą wiele czasu na czytanie, pisanie i spacery samotne, nieodzowne dla poety. W domu Chaborskich było kilka najpoczytniejszych czasopism, obok tego przywiózł z sobą z Humania tragedye Rasyna i Woltera. Lecz imponuje mu wtedy tylko jeden Ossian; wszystko, co pisze wtedy (ale nie wykończa), nosi na sobie jego piętno. Dla spacerów samotnych i marzeń piękne to było ustronie te brzegi Tykicza! Można tam widziéć z jednéj strony piękną równinę, otoczoną pasmem gór. Olbrzymie skały wydają się zdaleka na kształt miasta; daléj futory, a w nich sadki, ogrody warzywne... Z drugiéj strony góra, najeżona kamieniami nad samą drogą „przeraża strachem podróżnego". Na brzegu rzeki wierzby i inne krzewy, przeglądając się w wodzie, „zdają się nieba dotykać". Nagle rzeka zakręca, zdaje się niknąć... „Co za widowisko przepyszne: skała nad samą wodą!... Ściana wysoka około pięciu sążni, ułożona z różnofarbnych kamieni, przerośnięta mchem, krzewami i drzewami, podpierająca ogromną górę, okrytą obszernym lasem, wśród którego widać chatkę". Tu na skale spinają się rośliny. „Liście drzew różnych (jesienią) bogatemi popisują się farbami purpury, pomarańczy, opalu i szkarłatu... Wśród przykrych gór i skał dzikich ukazuje się rozkoszna dolina: w téj mieszają się razem skały pomiędzy lasy". Taki mniéj więcéj opis tych okolic ogłosiła w r. 1817 pani T. Kr...a w „Dzienniku Wileńskim"[1]. Wyjęliśmy z tego opisu rysy malarskie, bo co do osobistych wzruszeń estetycznych autorki do opisu wplecionych, Goszczyński, patrząc na

[1]) 1817, V, 440—443. Opisanie okolicy Talnego.

te same krajobrazy, uczuwał je pewno nie w téj formie; jeżeli jeszcze nie potrafił wytworzyć w sobie samoistnego pojęcia o pięknie, roztaczającém się do koła, to nie patrzył już na nie oczyma Delille'a [1]. Przejęty Ossianen błąkał się nad Tykiczem niewątpliwie wieczorami, doszukując się ostrych kontrastów w grze cieniów i świateł i czarnych podłużnych cieniów na tle krajobrazu z księżycem wśród chmur ciemnych a złowieszczych.

Po powrocie do Humania (na drugoletni kurs klasy piątéj), Goszczyński nawiązuje stosunki z Zaleskim; brak Grabowskiego daje mu się uczuć na każdym kroku. Poszukują w gronie kolegów towarzyszy pracy literackiéj. Grabowskiego jakiś czas zastępował im Faustyn Kamiński, którego Goszczyński poznał bliżéj w roku poprzednim. Kolegowali z sobą od klasy trzeciéj. Goszczyński cenił w nim dobre serce, pracowitość, dążenie do udoskonalenia się wewnętrznego. Był to umysł pozytywny, odznaczający się skłonością do matematyki i fizyki, pozbawiony jednak bystrości. Nie miał w sobie nic poety, że jednak duch czasu zmuszał do poezyi, i jemu laury poetyckie kolegów spać nie dawały. Związawszy się z Zaleskim i Goszczyńskim odczytywał im dramaty i mowy pochwalne własnéj roboty. Do kółka tego przyłączyli się w tym czasie wzmiankowani już wyżéj Jan Krechowiecki i Józef Chrząszczewski, młodzieńcy obdarzeni wybitnemi zdolnościami pisarskiemi, wreszcie Wacław Pilawski, krewny Bohdana Zaleskiego. Przybył on w tym roku do Humania ze szkoły w Lubarze. Goszczyński był jego wielkim przyjacielem; uważał go za człowieka „zdolnego i rzadkiéj dobroci”.

W gronie téj młodzieży rozwija się wraz z wolnomyślnością filozoficzną (Goszczyński zarzuca praktyki religijne) niezadowolenie ze szkolnego porządku rzeczy. Jak dawniéj w szkołach jezuickich, młodzież, ćwiczona w klasach niższych (na kobiercu lub bez kobierca), czekała dojścia do takiego wieku i rozwoju sił fizycznych, aby mogła powetować sobie dawny ucisk i wtedy toczyła formalną wojnę ze zwierzchnością [2], tak samo i tutaj młodzież czuła się zniecierpliwioną „despotyzmem” prefekta Skibowskiego. Charakter rządów prefekta uważali oni przytém za anachronizm, szkoły bowiem świeckie rządziły się zasadami liberalnemi. W głośnym na cały okręg Krzemieńcu ob-

---

[1] Charakteryzuje to gust ówczesnéj epoki, że gdy autorce braknie farb do opisu, ucieka się do zaklęć na Delille'a: „Nie, nie zdołam godnie tego opisać widoku. O naturo! i cóż kiedy podobnego ręka ludzka utworzyć zdoła? Boski Delillu! twojego by tu potrzeba pióra! albo raczéj czemuż sam tego widzieć nie możesz? gdyż tu się znajduje rzeczywiście utworzony w twoich ogrodach obraz”.

[2] H. Kołłątaj. Stan oświecenia w Polsce (1750—1764), I, 120 i 129.

chodzono się z młodzieżą dorastającą, jak z ludźmi dojrzałymi, do tego stopnia, że późniéj osoby niechętni liberalizmowi, utrzymywał, że Krzemieniec „był rozpustno-liberalny, gdzie uczniowie nieograniczoną mieli wolność i żadnych nad sobą oczu stróżliwych; gdzie cukiernie, bilardy były miejscem uczenia się lekcyi, gdzie wieczory tańcujące, wizyty... odrywały od nauk" i t. p. [1]). Michał Grabowski, który porzucił Bazylianów dla tego, że mu klęczéć kazali w klasie piątéj, przynaje, będąc w wieku dojrzałym, że niekarność uczniów szkół zakonnych zależną była od tego wpływu szkół świeckich. „Pamiętam sam — są jego słowa — jak u Bazylianów, u których się uczyłem, studenci przyjeżdżający z Winnicy, albo Krzemieńca, opowiadali nam o swobodach tamecznych, szczepiąc niecierpliwość, któréj dawaliśmy i my zaraz próbki" [2]). Im bardziéj formułowano sobie powody niezadowolenia, tém silniéj skupiała się młodzież koło przewódzców — i odwrotnie. Przewódzcami byli Goszczyński i Zaleski. Ci co należeli do ich partyi nosili czapki „czworogranne z zielonego manchestrzu". Jednocześnie do poezyi swoich wprowadza Goszczyński melancholję i żółć. Jak sam przyznaje, nie miał powodów do zgryzot, ani nie zaznał podobnego uczucia, odznaczał się zdrowiem, nadmiarem energii i nadziei na przyszłość; dobroduszność i brak miłości własnéj stały na straży jego duszy, tak że „nic nie zaburzyło się w niéj aż do dna": a jednak nastrój pożyczony od Younga i Ossiana wydawał mu się odpowiednim do chwili ówczesnéj. Napisał między innemi gwałtowną satyrę na ks. Skibowskiego, D u m ę n a g r u z a c h i in.; poematy te miały wielkie powodzenie. Gdy była mowa o uniwersytetach, młodzież zżymała się na Wilno; wszysey decydowali się jechać do Warszawy. Wilno, w ich przekonaniu, było ogniskiem karyerowiczów, kształciło fachowców, dla poezyi nie było tam miejsca.

Czapek zielonych używało kilkunastu kolegów, lecz ludzi konsekwentnych znalazło się między niemi dwóch: Goszczyński i Zaleski. Jeśli niezadowolenie ze szkoły, stale wzrastające, miało wydać jakiś owoc, to należało opuścić ją gremialnie, bo nic innego nie pozostawało do zrobienia młodzieży, żądnéj czynu. Goszczyński i Zaleski uczynili to w końcu r. 1819 (w połowie r. szkoln. 1819/20); pierwszy porzucił

---

[1]) M. Grabowski. P a m i ę t n i k i d o m o w e (Micowskiego), 189.

[2]) Tamże, 196. Grabowski uległszy reakcyi anti-liberalnéj, kajał się swéj niecierpliwości ówczesnéj. Wyznawał, że „karność szkolna, gdyby tylko wdrażała do p o k o r y i łamała przyrodzoną krnąbrność, oddawałaby już niewypowiedziane usługi ludzkości". Uważa, że do najzdradliwszych fałszów należy godło: u c z u c i e w ł a s n é j g o d n o ś c i i pochwala kary cielesne. (Tamże, 197 i 198).

klasę V drugoletnią, drugi — szóstą. Reszta zielonych czapek pozostała, aby daléj stanowić opozycyę w szkole [1]).

Porzucając szkołę przedwcześnie, Goszczyński stracił pewną sumę wiadomości naukowych, którą mógł otrzymać w klasie szóstéj dla zaokrąglenia edukacyi. Prawdopodobnie miał jeszcze przed sobą: z algiebry równania drugiego, trzeciego i czwartego stopnia, z nauk przyrodniczych — chemię ogólną i roślinną, z historyi — dzieje wieków średnich, z literatury — jaki taki wykład dziejów piśmiennictwa polskiego podług Bentkowskiego. Podług programu komisyi, w klasie téj uczeń spotykał się także z logiką, prawem, historyą sztuk i kunsztów i in. Wiadomościami temi Goszczyński wzgardził, lecz ta strata nie była wielką, łatwo bowiem mógł ją sobie wynagrodzić za pomocą samouctwa. Nierównie więcéj zaszkodził swojéj edukacyi przez to, że utrudnił sobie dostęp do uniwersytetu. Kursów uniwersyteckich nie daje się tak łatwo zastąpić samokształceniem: w najlepszych warunkach nawet pozostawia ono na umyśle piętno niedouczenia, pochodzącego głównie z braku metody naukowéj; tém trudniéj będzie je zastąpić Goszczyńskiemu w warunkach, nie sprzyjających systematycznéj pracy umysłowéj, w warunkach, które, jak on sam określił, robiły go „wieczną pastwą rwącéj fali”.

*Zygmunt Wasilewski.*



[1]) Wypadek, który tu przytaczamy z pamiętników Grozy, musiał zajść w Humaniu już po wyjściu ze szkoły Goszczyńskiego, bo w jego pamiętnikach niema o nim wzmianki. Charakteryzuje on stosunki, panujące w szkole, b. dosadnie. Groza wspomina mianowicie o katastrofie „X. Proniewicza profesora piérwszéj klasy, który odważył się dać piąto-klasiście Kuflewiczowi siedm batogów, a za to dostał od piąto-klasistów na korytarzu przed pierwszą klasą plag trzydzieści. Za ten exces połowa piątéj klasy otrzymała exkluzyę ze szkół i na drogę od 30 do 40 boćkowców na osobę. Jaką tu dyplomacyę X. prefekt Skibowski rozwinął, jak zbuntowaną piątą klasę upokorzył i rozgromił, opowiedzą kiedyś pamiętniki“ (Mozajka kontraktowa, 97).

# O ETYCE CHIŃSKIÉJ.



Wszystko, cokolwiek robimy, ma cel jakiś, wszystkie myśli nasze są skierowane do pewnych celów, każdy zaś cel osiągnięty może być uważany za szczebel niższy pomagający do osiągnięcia wyższych, aż nareszcie w szeregu tym celów dojdziemy do ostatniego, właściwego celu życia, po za którym już nic nie żądamy innego. Cel ten najczęściéj pozostaje ideałem nieurzeczywistnionym w życiu, i dla tych ludzi, których pragnienia nie są bardzo ograniczone. Ponieważ aby wybrać sobie cel i obmyślеć środki, trzeba rozwoju umysłu i uczuć niezwykłego u większości ludzi, wszędzie potrzebni byli prorocy, mędrcy, kapłani lub politycy, którzy dla innych stawiali cele życia i podawali środki do osiągnięcia tych celów. Ztąd powstały różne religie, systemy filozoficzne lub partye polityczne. W religii każdéj, w systemie filozoficznym lub w partyi politycznéj, cele działania i godziwe środki stanowią przedmiot etyki czyli nauki moralnéj danego kapłana, polityka lub filozofa. Etyka nie jest nauką w tym sensie jak matematyka lub fizyka, gdyż zadaniem jéj nie jest stwierdzenie tego co jest, tylko określenie tego co być ma; z tego punktu widzenia mogłaby istnieć tylko jedna etyka prawdziwa. Ale doświadczenie nas uczy, że u różnych ludzi, w różnych epokach, u różnych narodów cele działania, przekonania religijne i polityczne były tak dalece różne, że najdłuższe i najkrwawsze wojny, jedynie wskutek różnicy etycznych pobudek były toczone. Rzymianie ciemiężyli chrześcian, Mahometanie uważali

za największy obowiązek szerzenie zasad Mahometa ogniem i mieczem — toż samo katolicy czynili późniéj względem innych, a gdy powstał protestantyzm znowu straszne walki się wszczęły o wiarę, i dziś jeszcze, jakkolwiek w słowach się uznaje tolerancyę — wciąż jesteśmy świadkami walk i prześladowań religijnych, choć już nie tak krwawych jak dawniéj, to nie mniéj niesprawiedliwych. Protestanci prześladują katolików, katolicy żydów, żydzi swoich współwyznawców, przyjmujących chrześciaństwo.

Wobec tych różnic, które nie tylko do krwawych walk prowadzą, ale téż wiele za sobą pociągają strat moralnych i materyalnych, upragnionym wydaje się stan taki społeczeństwa, w którym by walk religijnych nie było, a wszystkie siły ludzkie kierowały się ku wzajemnéj pomocy i wspólnemu postępowi, zamiast wyczerpywania ich na niszczenie dobytku materyalnego i moralnego innych ludzi. Stan taki na pozór jest tylko możliwym wtedy, gdy według przepowiedni Chrystusa jeden pasterz będzie i jedna owczarnia. W tym celu robili w średnich wiekach Papieże ogromne wysiłki: za pomocą wojen krzyżowych i inkwizycyi chcieli ujednostajnić w świecie wierzenia religijne, i cel był bardzo pięknym, chociaż środki oburzają nas dzisiaj. Gwałtowne te i okrutne środki okazały się jaknajzupełniéj bezskutecznemi: upadła władza papiezka, zniesiona została inkwizycya, a ilość sekt, i różnic religijnych jest dziś większa niż dawniéj, bo ciągle się nowe sekty tworzą, coraz to większe są różnice. Aby jeden pasterz mógł wszystkimi ludźmi kierować, musieliby ludzie więcéj mieć przymiotów owiec, a jakkolwiek większość ludzi lubi naśladować innych, to także ilość umysłów niezależnych ciągle wzrasta, i można się spodziéwać, że gdy wychowanie staranne coraz to większą ilość dzieci będzie prowadzić po drodze do samodzielności umysłowéj, coraz to więcéj będziemy mieli wśród niezależnych umysłów ludzi dojrzałych i wtedy także etyczna kwestya „co należy czynić”, „jak trzeba żyć?” co raz to więcéj będzie znajdować odpowiedzi, stosownie do osobistych a niezależnych zapatrywań jednostek. Jeśli dziś jeszcze wielkie grupy jednostek o różnych religijnych przekonaniach bój z sobą wiodą ciągły — co będzie wtedy?

Aby ułatwić sobie odpowiedź na to pytanie, warto zbadać warunki, wśród których ludzie o różnych przekonaniach religijnych zgodnie żyją z sobą i poszukać takiego narodu, takiéj epoki, w któréj różne przekonania etyczne w tym samym kraju istniały bez walki, bez prześladowań. Taki naród istnieje — i celem obecnego artykułu jest zaznajomienie słuchaczy z głównemi systematami etycznemi, które wydał naród ten, Chińczycy.

Ponieważ zaś wiadomo że chrześciańscy misyonarze nieraz byli prześladowani w Chinach, trzeba będzie wytłomaczyć przyczynę dla czego Chińczycy, pełni tolerancyi dla budyzmu i innych religii oddawna tam ustalonych, z taką surowością wystąpili przeciwko chrześcianom. Nareszcie może znajdziemy i dla nas samych praktyczne wskazówki, jak postępować należy aby uniknąć tych smutnych następstw, jakie zawsze za sobą pociąga nietolerancya religijna. Tém więcéj etyka chińska zasługuje na naszą uwagę, że Chińczycy z pomiędzy wszystkich narodów nam znanych są najstarszym, i o tyle oddzielonym od innych narodów granicami naturalnemi i obyczajami swemi, które utrudniają wszelkie stosunki z cudzoziemcami, że zasady etyczne, jakie u Chińczyków znajdziemy, stanowczo możemy uważać za rozwinięte niezależnie od etyki innych narodów. To, co w nich znajdziemy zgodnego z naszemi własnemi zapatrywaniami, możemy poczytywać za część tych cech wspólnych, które określają gatunek ludzki niezależnie od rasy i klimatu.

Wszak wiemy, że jakkolwiek ludzie różnych ras, różnych stref bardzo się różnią, to jednak mają wiele cech wspólnych—i to nie tylko fizycznych ale też umysłowych i moralnych. Jak cechy fizyczne, znamienne dla gatunku ludzkiego, poznajemy przez porównanie osobników różnych ras i różnych epok—tak samo i cechy moralne ogólnoludzkie możemy jedynie poznać przez porównanie moralnych pojęć różnych narodów w różnych wiekach. W Chinach, gdzie autentyczna historya rozpoczyna się 4,000 lat temu, panują dwa kierunki religijne, których początek bywa przypisywany dwóm cesarzom bardzo dawnym. Fo-hi, który według chińskich źródeł miał zacząć swe panowanie w roku 3468 przed Chrystusem, utworzył podstawy religii państwowéj. Głównym jéj przedstawicielem był trzy tysiące lat późniéj Kongtse w Europie znany pod nazwaniem Konfucyusza; nadał on formę ostateczną, księgom świętym taką jaką dziś mają. Późniéjszy cesarz chiński Hoangti, który panował od roku 2637 przed Chrystusem, bywa uważany za ojca religii, któréj wyznawcy nazywają się Taosse, a któréj głównym prorokiem w czasach historycznych był Lao-tseu, starszy o pół wieku od Konfucyusza.

## I.

Lao-tse, urodził się w 604 roku przed Chrystusem, i był przez czas jakiś bibliotekarzem cesarskiéj biblioteki, potem resztę życia przepędził w samotności, na prowincyi, rozmyślając nad życiem ludzkiém. Wtedy napisał księgę Tao te king, czyli księgę o drodze dobréj i cno-

cie. Księga ta do dnia dzisiejszego się przechowała i została przetłómaczona dwa razy na francuski, dwa razy téż na język niemiecki; — pomimo tego zawiera wiele miejsc niejasnych, bo Lao-tseu, jakkolwiek twierdzi, że powtarza tylko dawno już znane prawdy, oddala się jednak bardzo od wyobrażeń w Chinach najwięcéj rozpowszechnionych, i wskutek tego walczy z trudnością wyrażenia abstrakcyjnych bardzo pojęć w języku chińskim, najmniéj podobno zdatnym do metafizyki. Oto początek księgi dobréj drogi i cnoty, który da słabe pojęcie o stylu najdawniejszego ze znanych nam filozofa chińskiego: „Droga, która może być wyrażoną słowami, nie jest drogą wieczną. Imię, które można wymówić, nie jest imię wieczne. Istota, któréj nazwać nie można, jest początkiem nieba i ziemi, istota nazwana jest matką wszystkich rzeczy w świecie".

Ten początek wszechrzeczy nazywa się Tao, co dosłownie znaczy droga, a w przenośném znaczeniu określa rozum, mądrość, która po właściwéj drodze ludzi i świat prowadzi. Aby poznać tę mądrość wszechświata, trzeba być wolnym od namiętności, gdyż ani okiem zobaczyć, ani uchem usłyszéć, ani ręką dotknąć wiecznego Tao nie można. Ten co ma wiele wiadomości nie pozna Tao —ten co wié mało, je pozna. Tao istniało wcześniéj niż ziemia i niebo, bez żadnéj zmiany w ciągu czasu, wszędzie i nigdzie, bez początku ani końca. Lao-tse, porwany rozkoszą medytacyi téj nad wszechrozumem, wykrzykuje: „Jakże spokojne, jakże wzniosłe, jakże głębokie, jakże czyste, jakże ciemne, jak nieokreślone jest Tao! W niém są wszystkie istoty ale dopiéro w zarodku, wszystkie z Tao pochodzą, wszystkie istnieją przez Tao, a jednak Tao jest bez woli i myśli, wcale nie jest świadomym duchem.

Tajemnicza siła Tao i cnoty wszystko utrzymuje i udoskonala. Tao nie robi wysiłków, nic nie działa, a jednak przezeń się wszystko dzieje. Tak samo mędrzec powinien uczyć milczeniem, i zastosowywać się do porządku ustalonego; zapanować należy nad zmysłowością: kto nie rozumuje, ten jest wolnym od słabości. Kto poznał nicość, jest spokojny i bezczynny, i nie ulega zmianom ani niebezpieczeństwom. Ciało nie zginie chociaż się oswobodzimy od ciała. Kolory światła olśniewają wzrok — dźwięki osłabiają słuch, i dla tego mędrzec zajęty jest duszą swoją, a nie tém co oczy zobaczyć lub uszy usłyszéć mogą. Sławę nienawidzi mędrzec tak jak hańbę, ciało swe uważa za ciężar. Gdy kto sławę osiągnie jest pełen obaw, gdy straci, również jest przestraszony. Gdyby kto ciała nie miał, nie mógłby doznawać żadnych przykrości. Tylko takiemu można powierzyć państwo, kto gardzi władzą i nie troszczy się o rządy.

Zaniedbajcie wiedzę, a nie doznacie rozczarowań. Kto siebie w światło nie stawia na swój własny blask, kto siebie nie chwali, wyższym jest od innych, kto nie walczy, nie ma przeciwników, kto jest doskonałym, temu się wszystko poddaje. Nie wychodząc z domu można świat poznać, nie wyglądając przez okno można odkryć drogę do nieba. Im daléj kto szuka, tém mniéj się nauczy. To téż mędrzec wielkich rzeczy dokonać może bez żadnego działania, w prostocie ducha i czystości serca, bez pragnień i dążeń osobistych, bez namiętności można uszczęśliwić lud wyrzekając się rozumowań przebiegłości i materyalnych korzyści.

Prawdziwie oświeconym jest ten, co zna siebie samego, prawdziwie silnym ten, co sobie samemu wystarcza. Kto zabardzo do życia jest przywiązany, prędko się zbliża do śmierci.

Już w téj dawnéj chińskiéj ewangelii, znajdujemy zasadę wybaczania win i obraz: „jeśli kto jest cnotliwym, należy się obchodzić z nim jak z cnotliwym, jeśli przestępnym, to pomimo tego trzeba się z nim obchodzić jak z cnotliwym. Jeśli kto jest uczciwym, należy poważać jego uczciwość, jeśli nieuczciwym, nie podejrzywać go o nieuczciwość". Cnotliwy człowiek robi to, co jest jego obowiązkiem, bez gwałtów, bez próżnéj namiętności, bez zarozumiałości. Wszelkie gwałtowne czyny sprzeciwiają się wiecznéj naturze, i trwają tyle ile sen poranny.

Lao-tseu za cel życia uważa spokój i brak wzruszeń. Jako środki do osiągnięcia tego celu może tylko podać czysto ujemne wskazówki — to też w téj etyce więcéj spotykamy rzeczy zabronionych niż zaleconych. Niektórzy uczeni europejscy, między innymi Abel Remusat i Pauthier upatrywali w nauce Lao-tse wpływ budyzmu, ze względu na podobieństwo niektórych twierdzeń. Ale budyzm w Chinach zaczął się dopiero rozpowszechniać w 65 roku po Chrystusie, i nie ma danych poważnych, aby można przypuścić, że Lao-tseu, który żył w tym samym czasie co Buddha, tak prędko dowiedział się o naukach budyzmu. Zresztą, jeśliby budyzm tak wcześnie już znalazł przedstawiciela w Chinach, i jeśliby Lao-tse był uczniem Buddhy, niezrozumiałém pozostałoby, dla czego dopiero w sześć wieków późniéj budyzm zaczął się rozpowszechniać w Chinach i dla czego w ciągu dwóch tysięcy lat zwolennicy nauki Lao-tseu nazwani Taosse zawsze byli odróżniani od chińskich budystów.

Prawdopodobniejszém więc jest, że filozofia Taosse jest wytworem czysto chińskim, tém bardziéj, że istnieją w niéj wielkie różnice w porównaniu z budyzmem. Nie zna ona ani wędrówki dusz przez różne ciała ani indyjskiéj Nirwany. Człowiek cnotliwy, który wypełnia wszystkie przepisy mistrza, osiąga jako nagrodę długie życie, a na-

wet nieśmiertelność. Aby zdać sobie sprawę z tego jaką formę przybrała obecnie religia Taosse założona przez Lao-tse, trzeba przeczytać katechizm téj sekty, do dnia dzisiejszego wydawany bardzo często i bardzo w Chinach rozpowszechniony. Katechizm ten nazywa się księgą nagród i kar, i został wydany przez Stanisława Julien wraz z tłomaczeniem na język francuski i obszernym komentarzem. Rozpowszechnianie tego dzieła jest uważane za obowiązek i zasługę religijną, każde wydanie powstaje przez dobrowolne składki i ofiary w naturze papieru, rysunków, i t. p. Egzemplarze są rozdawane biednym darmo.

W wydaniu, które tłomaczył Julien, wyliczono 142 osoby, które się przyczyniły do tego wydania, wraz z pobudkami, które je do tego pobożnego uczynku skłoniły; jeden dla tego aby ojciec jego wyzdrowiał, drugi dla tego aby mieć dzieci i t. d.

Oto treść tego katechizmu:

„Księga nagród i kar, najwyższego księcia Lao. Lao-tse mówi: nieszczęście i szczęście ludzkie nie jest z góry oznaczone; człowiek sam na siebie ściąga uczynkami swemi jedno lub drugie. Nagroda towarzyszy dobrym a kara złym uczynkom, jak cień towarzyszy ciałom. Dla tego istnieją w niebie i na ziemi duchy, które mają obowiązek rozpoznawania grzechów ludzkich, i które, stosownie do tego, czy te grzechy są cięższe czy lżejsze, odejmują od długości życia po 100 dni. Gdy w ten sposób długość życia jest skróconą, nędza człowieka podkopuje powoli, narażonym jest na wiele przykrości i nieszczęść, prześladowanym nienawiścią wszystkich innych, ciągle mu towarzyszy męka i nieszczęście, ucieka odeń szczęście i radość, złe gwiazdy przynoszą mu katastrofy.

Gdy cały czas życia jest przez odjęte dni wyczerpanym, człowiek umiéra. Oprócz tego są jeszcze różne gwiazdy, i książe duchów, nad głowami ludzi. Zapisują do ksiąg ich przestępstwa i błędy, i odejmują po 12 lat lub po 100 dni. Także wewnątrz naszego ciała są trzy duchy, które co 60 dni udają się do pałacu nieba, aby zdać sprawę ze zbrodni i błędów ludzkich. Raz na miesiąc duch ogniska domowego czyni to samo. Za wielkie zbrodnie odejmuje się 12 lat od długości życia, za małe przewinienia po 100 dni. Istnieje kilkaset wielkich i małych win. Trzeba wszystkich unikać starannie, jeśli kto pragnie być nieśmiertelnym. Posuwajcie się naprzód po dobréj drodze, cofajcie się przed złą drogą, nie chodźcie drogami krzywemi, nie oszukujcie siebie samych w głębi domów. Gromadźcie cnoty i zasługi, bądźcie ludzkimi względem zwierząt. Bądźcie uczciwymi i dobrymi synami względem waszych rodziców, miejcie przywiązanie do braci młodszych a poważanie dla starszych. Oczyśćcie własne serce, aby nawracać

drugich. Miejcie litość nad sierotami i współczucie dla wdów. Poważajcie starców i kochajcie małe dzieci, nie róbcie nic złego, nawet owadom, roślinom i drzewom. Miejcie współczucie dla nieszczęśliwych, cieszcie się szczęściem innych, pomagajcie ludziom w ich potrzebach, ratujcie ludzi w niebezpieczeństwie, radujcie się nad powodzeniem innych a smućcie się ich niepowodzeniem, tak jak byście byli na ich miejscu.

Nie rozgłaszajcie błędów cudzych, nie wychwalajcie waszéj wyższości, powstrzymujcie wszystko co złe, podnoście to co dobre, ustępujcie wiele a zachowujcie mało dla siebie samych, nie gniewajcie się gdy was kto obrazi, obawiajcie się łask monarszych, róbcie dobrodziejstwa nie oczekując nagrody, dawajcie nie żałując.

To się nazywa być człowiekiem cnotliwym, wszyscy ludzie go poważają, opatrzność nim się opiekuje, szczęście i urzędy towarzyszą mu, złe duchy uciekają od niego, a dobre go otaczają i bronią, wszystkie jego przedsięwzięcia mu się udają.

Jeśli kto chce być nieśmiertelnym nieba [1]) powinien zrobić 1,300 dobrych uczynków — jeśli kto chce zostać nieśmiertelnym ziemskim, wystarczy 300 dobrych uczynków.

Teraz się zaczyna wyliczenie win i przestępstw.

Mieć myśli niesprawiedliwe i działać przeciwko rozsądkowi, uważać złośliwość za dowód zdolności, mieć serce nieludzkie i obchodzić się z innymi okrutnie, tajemnie szkodzić ludziom złośliwym, gardzić ukradkiem swym księciem lub swymi rodzicami, nie mieć poważania dla swych nauczycieli, powstawać przeciwko tym, którym się służy, korzystać z głupoty ludzkiéj aby ich oszukiwać kłamstwami. Obmawiać swoich kolegów, wynajdywać rzeczy fałszywe, używać sztuki i oszukaństwa, rozgłaszać błędy rodziców, być surowym, gwałtownym i nieludzkim, zadowolniać swoje kaprysy z uporem złośliwym, gwałcić sprawiedliwość w ocenianiu tego co dobre i złe, nie umiéć odróżniać osób, których należy unikać, od tych których należy poszukiwać, szkodzić podwładnym, aby wydawać się zasłużonym, pochlebiać zwierzchnikom, i starać się im przypodobać, nie być wdzięcznym za otrzymane dobrodziejstwa, myśléć wciąż o zemście, lekceważyć lud, wprowadzać nieporządek do administracyi państwowéj, udzielać nagrody tym, którzy na nie nie zasłużyli, karać tych, którzy nie popełnili żadnéj zbrodni, zabijać ludzi aby ich ograbić, obalać innych aby pozyskać ich miejsce, zabijać nieprzyjaciół, którzy się poddają, skazywać

---

[1]) Nieśmiertelny nieba jest ten, co może wznosić się do nieba i latać w powietrzu, nieśmiertelny ziemi pozostaje na ziemi i nie ulega śmierci.

na wygnanie ludzi cnotliwych i pozbawiać urzędów mędrców, obrażać siéroty i uciskać wdowy, gwałcić prawo i przyjmować łapówki, obwiniać niewinnych i usprawiedliwiać winnych, powiększać znaczenie przestępstwa, unosić się gniewem przeciwko skazanym na śmierć, znać winy swoje i nie poprawiać się, znać obowiązki swe i nie wykonywać ich, zwalać swe winy na innych, powstrzymywać przemysł i sztuki, wyśmiewać się i obmawiać świętych i mędrców, obrażać i obchodzić się surowo z tymi co poświęcają swe życie badaniu rozumu i cnoty, polować na ptaki i zwierzęta. Drażnić owady, straszyć ptaki uśpione na drzewach, zamykać otwory, w których żyją owady, niszczyć gniazda ptaków, zabijać samice w czasie ciąży, rozgniatać jaja ptaków. Życzyć innym strat, niszczyć zasługi innych, narażać ich na niebezpieczeństwa, aby siebie ochronić. Szukać swéj korzyści w stratach innych, dawać zły towar za dobry, być niesprawiedliwym i stronnym, przyswajać sobie zasługi pracy innych, ukrywać zalety bliźnich, a rozgłaszać ich wady. Wyjawiać tajemnice innych ludzi, pochłaniać ich majątek, oddalić męża od żony lub dzieci od rodziców, pomagać innym grzeszyć, oddawać się gwałtowności charakteru i szukać panowania przez władzę, obrażać ludzi aby ich upokorzyć. Niszczyć zasiewy lub nasienie, zrywać małżeństwa, być dumnym z bogactw nabytych nieprawnie. Nie wstydzić się swych zbrodni gdy kto na śmierć zasłużył, przypisywać sobie dobrodziejstwa innych a innym swe własne przestępstwa, wciągać innych do swego własnego nieszczęścia i do odpowiedzialności za nasze zbrodnie, kupować kłamliwe pochwały, ukrywać serce przewrotne, poniżać ludzi zasłużonych, ukrywać swe wady, korzystać z władzy aby uciskać podwładnych, oddawać się okrucieństwu, ranić i zabijać, niszczyć tkaniny bezpożytecznie, zabijać zwierzęta domowe i gotować je, nie będąc przymuszonym do tego przez innych, męczyć ludzi i zwierzęta, niszczyć mienie innych i przywłaszczać sobie ich bogactwa, spowodowywać wylewy rzek przez nieopatrzne otworzenie śluz, podpalać domy innych ludzi. (Nie było wtedy towarz. ubezp. dla tego wolno było podpalać własne domy). Przeszkadzać innym w ich planach i projektach, niszczyć narzędzia rzemieślników aby nie mogli ich używać. Pragnąć wygnania tych co są pełni sławy i uznania, pragnąć, aby ci co mają bogactwa utracili je. Ulegać pragnieniom lubieżnym na widok osób pięknych. Pragnąć śmierci naszych wierzycieli, nienawidziéć i przeklinać tych, którzy nie zadosyć uczynili naszym pragnieniom, ośmiészać kaléków, przeszkadzać powodzeniu ludzi uzdolnionych,... nienawidziéć swego nauczyciela, opiérać się rodzicom i starszym braciom i obrażać ich otwarcie. Brać przemocą to co się nam nie należy, wzbogacać się kradzieżą. Przez podstęp i oszu-

kaństwo starać się o dobre miejsca, oddawać się bez miary rozkoszom i przyjemnościom życia. Źle się obchodzić z podwładnymi i odszukiwać najmniejsze ich wady, narażać innych na obawy i przestrach, skarżyć się na niebo lub na ludzi, przeklinać deszcz i wiatr, budzić niezgodę i procesy, brać odział w towarzystwie złych ludzi, postępować według rad żony lub kochanki, przeciw życzeniom ojca lub matki, lekceważyć rzeczy stare wtedy gdy mamy nowsze; mówić inaczéj niż się myśli, pragnąć bogactw ze ślepą zazdrością, wymyślać plotki, aby zgubić ludzi uczciwych; obmawiać innych i udawać człowieka szczerego; bluźnić przeciwko duchom i mówić, że się jest cnotliwym; zaniechać obowiązków, które przepisuje rozum, a robić wszystko, co rozum obraża; odwracać się od własnych rodziców i zbliżać się do krewnych dalekich, używać imienia nieba i ziemi w próżnych przysięgach miłości, ściągać uwagę bogów na złe swe postępki fałszywemi przysięgami, żałować jałmużn lub darów udzielonych. Nie zwracać zaciągniętych pożyczek, starać się o los lepszy, niż ten, który nam niebo przeznaczyło. Używać wszelkich środków, aby osiągnąć swoje cele, oddawać się bez miary rozkoszy. Mieć dobroć na twarzy a okrutne serce, dawać jeść innym obrzydliwe pożywienie, łudzić tłum fałszywemi naukami, używać w handlu miar fałszywych, fałszować towary dobrego gatunku, starać się o zyski nieczyste, zmuszać ludzi szlachetnego pochodzenia do niskich usług, oszukiwać prostaków i zastawiać na nich sidła, pragnąć własności cudzéj z nienasyconą zazdrością... Lubić wino namiętnie i oddawać się nieporządkom, kłócić się ze swymi bliskimi krewnymi, nie żyć w zgodzie z żoną, nie poważać męża, chwalić się przy wszelkiéj okazyi, być zazdrosnym, nie obchodzić się rozumnie z żoną i dziećmi, uchybiać obowiązkom względem ojca i matki męża, lekceważyć dusze zmarłych, nie wykonywać rozkazów zwierzchników, robić rzeczy bez pożytku, być niesprawiedliwym w miłości lub nienawiści, skakać przez studnię lub ognisko, deptać pożywienie, zabijać dzieci przed urodzeniem lub po urodzeniu, bawić się w dnie postu,... pokazywać palcem tęczę, pluć na spadające gwiazdy, patrzéć się długo na słońce lub księżyc, zabijać żółwie i węże.

Bóg, który kieruje życiem, zapisuje wszystkie te przestępstwa, i skraca życie ludzi według wagi ich win. Jeśli przed śmiercią człowiek nie odpokutował za wszystkie swe zbrodnie, spada nieszczęście na dzieci i wnuki jego. Jeśli kto sobie nieprawnie przywłaszcza mienie innych, duchy oceniają wartość tego co ukradł i stosownie do tego odejmują mu mienie, dzieci lub żony. Jeśli domownicy jego nie umierają, wtedy woda i ogień, złodzieje, oszusty, choroby, obmowa lub denuncyacye narażają go na straty równe temu, co sobie przywłaszczył.

Człowiek, który okrada drugich podobnym jest do tego co chce głód swój uspokoić mięsem zepsutém lub pragnienie nasycić winem zatrutém. Chociaż na chwilę zaspokoi głód lub pragnienie, wkrótce śmierć go dosięgnie. Jeśli serce twoje tworzy dobre postanowienie, chociażbyś go jeszcze nie wykonał, dobre duchy ci towarzyszą, jeśli złe jakie robisz postanowienie, zaraz ci złe duchy towarzyszą. Jeśli człowiek wyrazi żal za grzechy i skruchę, i poprawi się, jeśli wstrzyma się od złych uczynków i będzie wypełniał różne uczynki dobre, osiągnie radość i szczęście. To się nazywa zmienić nieszczęście na szczęście. Człowiek dobry jest cnotliwy w swych słowach, w swych spojrzeniach, w swych czynach. Jeśli codzień te trzy rzeczy w nim duchy zauważą, zawsze po trzech latach niebo go wynagrodzi. Człowiek zły jest bezbożny w słowach, w spojrzeniach i w czynach. Jeśli codzień w nim te trzy złe rzeczy duchy widzą, zawsze nań po trzech latach niebo ześle nieszczęście. Jakże można nie starać się czynić dobrze!

Oto jest cały katechizm sekty Lao-tse. Przepisy powyższe są wyjaśnione 400-ma przypowieściami, pomiędzy któremi znajdują się bardzo ciekawe i dowiadujemy się z nich szczegółów o etyce Taosse. Widzieliśmy jaki nacisk kładą Taosse na kradzież—otóż z jednéj przypowieści dowiadujemy się że także kradzież literacka jest karana śmiercią. Moglibyśmy streścić całą tą moralność w słowach przypisywanych Chrystusowi „Kochaj bliźniego twego jak siebie samego” — ale miłość ta wymagana przez Laotse odnosi się nie tylko do ludzi ale i do zwierząt, owadów, roślin i wszystkiego co żyje. To prowadzi Taosse do wegetaryanizmu. Dziwném się wydaje, że chociaż ogłaszają równość niewolników i wolnych, przez co wznoszą się wielce po nad polityków greckich, nie dochodzą do pojęcia równości kobiéty i mężczyzny—i w wielu komentarzach, w opowieściach widać wielkie lekceważenie kobiety, wyraźne uznanie jéj niższości.

Jesli porównamy ten katechizm z dziełem samego Lao-tse, Droga do cnoty, łatwo się przekonać, że niesłusznie bywa księga nagród i kar przypisywaną wielkiemu filozofowi. Kiedy Laotse w swéj Drodze do cnoty jako cel stawia spokój zupełny, obojętność, odosobnienie, widzimy w księdze nagród i kar, że nagrodami są zaszczyty, urzędy, potomstwo liczne, stopnie naukowe i wpływowe stanowiska. Jednak w charakterze ujemnym, wciąż zabraniającym etyki Taosse widać wpływ Lao-tsu.

Kary za przestępstwa są również materyalne jak i nagrody — nawet z jednéj przypowieści dowiadujemy się, że jeden Chińczyk po śmierci za grzechy dostał sto kijów. Nie trzeba jednak brać zbyt dosłownie obiecywanej nieśmiertelności, ani wyobrażać sobie, że ta chiń-

ska nieśmiertelność jest podobna do téj nieśmiertelności jaką nam obiecują nasi księża. Brak wszelkich szczegółów o zajęciach pośmiertnych, i widać z wielu przykładów, że mowa ta o długiém życiu, czyli o nieśmiertelności zupełnie ziemskiéj. Widać to także ztąd, że kary za nasze grzechy spadają na potomstwo; gdyby w oczach Taosse istniał jaki świat inny, w którym można pokutować za grzechy, nie potrzebowałoby cierpiéć potomstwo. W nauce Laotse o wynagrodzeniu właściwego postępowania nieśmiertelnością trzeba widzieć zrozumienie prawdy fizyologicznéj dobrze nam dzisiaj znanéj, że im mniéj sił wydajemy, tém dłużéj nam trwają; naturalnie, że człowiek który niczego by nie nadużywał, tak jak wymaga Laotse, wolny od namiętności, mógłby doczekać późnego wieku. Wyraźnie téż widać w samych dziełach również jak i w komentarzach, że za największe dobro Taosse uważają życie długotrwałe, a przy patryarchalném pojmowaniu ściśléj łączności między rodzicami a dziećmi, szczęście dzieci uważają za nagrodę pośmiertną dla rodziców.

W każdym razie system Laotse tém więcéj zasługuje na uwagę, że jakkolwiek powstał zupełnie niezależnie w Chinach, ma wiele podobieństwa do innych systemów etycznych podobnych w Indyach, Persyi i także w późniejszym świecie chrześciańskim. Pogarda dla ciała, pragnienie spokoju prowadzi do zakładania klasztorów i do życia bezczynnego, ogólnéj naturze ludzkiéj przeciwnego. To téż jakkolwiek sekta Taosse od tak dawna trwa i dotąd jeszcze istnieje w Chinach, nie ogarnęła ona nigdy ogółu chińskiego narodu. Panują dziś głównie budyści i wyznawcy Konfucyusza. Budystów pomijam, bo religia ta gdzieindziéj niż w Chinach powstała — pozostaje więc wykład etyki Konfucyusza i ogólne wnioski z tego przeglądu etyki chińskiéj.

## II.

Jakkolwiek Taosse istnieją w Chinach od więcéj niż 2000 lat, i oprócz bardzo rzadkich wyjątków nie doznawali nigdy żadnych prześladowań—nie odegrali oni głównéj roli w rozwoju tego narodu, gdyż większe daleko znaczenie mieli i mają obecnie zwolennicy Konfucyusza.

W ostatnich wiekach budyzm wprawdzie coraz to więcéj się rozpowszechniał w Chinach, jednak nie można zaprzeczyć, że religia Konfucyusza miała i ma jeszcze największy wpływ wśród najliczniejszego narodu ziemi. Imię Kongtse jest czczone w niezliczonych świątyniach całego Niebieskiego państwa—a także i dla Europejczyków nieodłącz-

nie imię to z cywilizacyą chińską jest połączone. Historycy Chin od Konfucyusza liczą nową epokę, literaci chińscy żadnego stopnia naukowego osiągnąć nie mogą bez znajomości dzieł Mistrza. Zachodzi więc pytanie—kim był Konfucyusz i jakie są jego zasady etyczne?

Nie był on filozofem, nie stworzył żadnego nowego poglądu na świat, ani żadnéj teoryi którą by warto zaznaczyć w historyi myśli ludzkiéj. Nie był reformatorem religijnym —i nie można go stawiać obok Mojżesza, Buddhy, Chrystusa lub Mahometa, gdyż nie jest on twórcą żadnéj nowéj wiary, któraby dla wyznawców dawała odpowiedź na najtrudniejsze pytania istnienia, na kwestyę początku świata, przyczyn życia, następstw śmierci. Nie przypisują mu cudów jak innym prorokom różnych narodów, ani téż nie wielbią go jego wyznawcy jak świętego lub Boga. Kiedy budyści, chrześcianie, mahometanie Buddzie, Chrystusowi, Mahometowi nadludzką naturę, nadludzką władzę, nadludzką doskonałość przyznają jednogłośnie—Konfucyusz dla Chińczyków jest prostym śmiertelnikiem, człowiekiem — jakkolwiek człowiekiem na największe uwielbienie zasługującym. Na pytanie, kim był Konfucyusz, trudno odpowiedzieć, bo u nas człowiek podobny istniéć by nie mógł — i tylko wśród narodu chińskiego taka osobistość mogła dojść do takiego znaczenia. Ze wszystkich bardzo obszernych i bardzo autentycznych wiadomości jakie o Konfucyuszu mamy, i które w każdéj historyi Chin, w wielu dziełach o dziejach religii, i w specyalnych rozprawach różnych europejskich znawców literatury chińskiéj znaleźć można—wynika, że Konfucyusz był przedewszystkiém filologiem, który, jak wielu filologów po nim, ze szczególném zamiłowaniem poświęcał się pedagogice, i może jest najstarszym przedstawicielem tego klasycyzmu, który w naszych dzisiejszych szkołach panuje.

Jak dziś wielu filologów mniema, że niczém tak się nie kształci umysłu i serca jak poznawaniem dawnych autorów, tak samo i 2300 lat temu Konfucyusz był przekonany, że nic tak dobrze nie wpłynie na obyczaje Chińczyków, jak studyum dawnych autorów klasycznych. Głównem téż dziełem życia Konfucyusza było wydanie i komentowanie tych dawnych dzieł różnéj treści, które podzielił na sześć ksiąg: Pierwsza Iking czyli księga przemian, w któréj 64 tajemniczych znaków jest objaśnionych sentencyami treści moralnéj przez cesarza Wenwanga i syna jego Czenkonga, w 12-ym wieku przed Chrystusem. Druga księga Szuking zawiera historyę państwa chińskiego od 2337 roku (za cesarza Jao) przed Chrystusem do 624 roku przed Chrystusem, spisaną przez różnych dawnych historyków, zredagowaną ostatecznie przez Konfucyusza. Trzecia księga Sziking zawiera 311 poezyi lirycznych

bardzo dawnych, które Konfucyusz wybrał z pomiędzy daleko większéj ilości. Czwarta księga klasyków chińskich jest Liki czyli zbiór ceremonii i zwyczajów dawnych. Piąta księga jest Czuntsien, historya państwa Lu, w którém się urodził Konfucyusz, od 723 r. do 479 roku przed Chrystusem. Szósta księga Joking o muzyce dawnéj, zaginęła, i tylko z drugiéj ręki wiemy dziś o jéj treści.

Te sześć ksiąg wydał Konfucyusz; w wielu miejscach zaręcza on i powtarza, że nic nowego nie wymyślił, tylko wiernie zebrał dawne teksty i tradycye. Dzieł samodzielnych Konfucyusza nie posiadamy: etyka nosząca jego imię cała zawarta jest w tych przezeń wydanych dawnych księgach i w dziełach jego uczniów. Aby sobie wytłumaczyć jakim sposobem filolog ten nietylko za życia doznał największych zaszczytów, był ministrem wszechwładnym w państwie, w którém się urodził, nauczycielem wielu książąt i możnych—ale i po śmierci został uznany za największego, najcnotliwszego mędrca, za powagę również wielką ale trwalszą niż Arystoteles na Zachodzie—aby sobie wytłumaczyć, dla czego filolog ten nieskończenie więcéj jest znany niż autorowie dzieł, które wydawał i komentował, musimy zwrócić uwagę na dwie okoliczności, na znaczenie filologii w Chinach i na wpływ pedagogiczny Konfucyusza. Chiny są i były od wieków krajem tradycyi i konserwatyzmu. Wskutek tego, i zawiłéj metody pisania, filolodzy umiejący tłumaczyć i komentować dawne teksty, zarówno przez wzgląd na wiek i powagę tych tekstów, jak i z powodu trudności tego zadania, większe musieli mieć poważanie niż gdzieindziéj. W kraju, w którym od najdawniejszych czasów żaden obowiązek nie był uważany za ważniejszy niż zupełna uległość rodzicom i kult przodków — w takim kraju człowiek, który ciągle się powoływał na przodków a który przy tém miał tyle wrodzonych zdolności pedagogicznych jak Konfucyusz—musiał wywrzeć wpływ ogromny i niezatarty, mając trzy tysiące uczni, którzy sławę jego po całém państwie roznieśli. Największa pochwała, na którą Konfucyusz zasłużył jest, że życie jego było zgodne z zasadami które głosił, i zgodne z etyką którą wykładał. Dla tego chcąc dać pojęcie o etyce Konfucyusza, trzeba przedstawić przebieg jego życia.

Urodził się w roku 551 przed Chrystusem, wtedy kiedy Chiny były podzielone na małe państwa, wskutek coraz to większéj władzy podległych cesarzowi książąt. Ojca wcześnie stracił, i matka go wychowywała do 7-go roku życia—potem oddała do szkoły. Już w młodym bardzo wieku odznaczył się sumiennem wykonywaniem obowiązków jako urzędnik w zarządzie rolnictwa. W 19-ym roku życia ożenił się, a w 24-ym stracił matkę, do któréj bardzo był przywiązany. Wskutek tego porzucił urząd i trzy lata żałoby poświęcił rozmyślaniom

i badaniom dawnych autorów. Już wtedy wskutek zamiłowania swego i znajomości dawnych zwyczajów i autorów był znanym, tak że pierwszy minister państwa Lu, w którém żył Konfucyusz, powierzył mu wykształcenie swoich synów.

W 34-ym roku życia odbył podróż do państwa Czen, w którém podówczas cesarz chiński panował. Wtedy też odwiedził on starego Laotseu, aby i od niego, jako od dawnego bibliotekarza cesarskiego się dowiedziéć czegoś o dawnych zwyczajach i o dawnych księgach. Według wiarogodnych źródeł Laotseu mu odpowiedział: „Ludzie, o których mówisz, dawno poumierali i kości ich spróchniały, tylko ich mowy są jeszcze zachowane. Jeśli mędrzec trafi na właściwy czas, idzie w górę, jeśli nie, to tuła się bez celu jak roślina pustyni Pung, którą wiatr powiewa. Słyszałem, że dobry kupiec starannie ukrywa swoje bogactwa, tak jakby był biednym – że doskonały mędrzec na pozór się wydaje obojętnym. Porzuć twoją ambicyę i dalekie plany, oto wszystko co ci mogę powiedziéć". Po tych odwiedzinach Konfucyusz do swych uczniów miał rzec: „o ptakach wiem jak latają, o rybach jak mogą pływać, o zwierzynie jak może biegać, zwierzynę można łapać w sieci i sidła, ryby można łowić na wędkę, a do ptaków strzelać strzałami, ale smoka nie umiem złapać, bo leci przez wiatr i chmury, w górę do nieba—dziś widziałem Laotseu—on jest jak smok. W 516 r. przed Chr. książe państwa Lu został wskutek rewolucyi zmuszonym do szukania przytułku u sąsiedniego księcia państwa Thsi. Konfucyusz udał się za swym panem. Wtedy dostał się do dworu księcia Thsi który chciał mu ofiarować wysokie urzędy—ale wskutek zawiści ministrów nie mógł tego uczynić, i dla tego Konfucyusz w 42 roku życia powrócił do rodzinnego swego państwa Lu. Tam uzyskał wysoki urząd, został gubernatorem, a późniéj ministrem, i najwyższym sędzią. Przytém zawsze był otoczony licznymi uczniami, i przez nich wpływ wywierał nie mały. Także jako sędzia wzbudził wielki podziw i postrach przez to, że odważył się skazać na śmierć jednego z największych magnatów, za nadużycia władzy. Wtedy też Konfucyusz swemu władcy poradził dla poskromienia możnych, zniszczenie fortyfikacyi trzech miast, które posiadali trzej magnaci podwładni królowi państwa Lu. Gdy to zostało uskutecznionem, i przy sprawiedliwéj administracyi Konfucyusza książe Lu coraz to większego nabierał znaczenia, sąsiedni książe Thsi przez zawiść i obawę postanowił przeszkodzić dalszym rządom Konfucyusza, i wybrał ze swego państwa 80 najpiękniéjszych muzykantek, które posłał w podarunku księciu Lu. Od chwili ich przybycia książe Lu do tego stopnia zaniedbał sprawy publiczne i tak zaczął lekceważyć surowego swego ministra, że Konfu-

cyusz oburzony i obrażony, opuścił swe stanowisko, i wraz z liczną rzeszą uczniów udał się w 56-ym roku życia do państwa Wei, i tam zamieszkał w domu krewnych jednego ze swoich uczni. Wciąż otoczony uczniami zwiedził też i kilka innych państw, na które podówczas były podzielone Chiny, wszędzie zbierając dane o dawnych obyczajach i dawnych autorach. Był ugaszczany przez możnych i książąt, otoczony już wtenczas ogólném poważaniem i sławą jako najlepszy znawca starożytności.

Nareszcie w 68-ym roku życia, po kilkunastu latach tułaczki, powrócił Konfucyusz do swéj ojczyzny Lu, gdzie spędził ostatnie cztery lata życia, pracując nad wydaniem sześciu ksiąg klasycznych nazwanych King, które od tego czasu stały się księgami świętemi etyki chińskiéj. W tych księgach, i w czterech innych, napisanych przez jego uczniów, zawiéra się etyka Konfucyusza, która w niczém się nie różni od etyki dawnych chińskich cesarzy i prawodawców, co nadali chińskiemu narodowi kierunek zachowany przezeń w ciągu 4000 lat. Mówiąc o etyce Konfucyusza trzeba zawsze miéć na uwadze, że on jest tylko wiernym nauczycielem etyki narodu swego, i dla tego dzieła jego i jego uczniów są niezmiernie interesujące, bo przedstawiają nam obraz pojęć wyrobionych w jednym narodzie, bez wpływów zewnętrznych, bez żadnego odrębnego stanu duchownego, bez bajecznych podań o objawieniu boskiém. Jedyna to może wśród wielkich religii ludzkości, w któréj zasadom moralnym nie dają boskiego i nadludzkiego pochodzenia.

Oto podstawy etyki, jak je Konfucyusz daje:

„Prawo etyki polega na rozwoju i oświeceniu rozumu, który otrzymaliśmy od Nieba, na ulepszaniu ludzi, i na tém aby za cel ostateczny uważać doskonałość, czyli dobro najwyższe. Trzeba znać cel ostateczny, i według tego powziąć postanowienie; gdy postanowienie jest powzięte, umysł może być spokojnym; gdy umysł jest spokojnym można doznać odpoczynku niczém nie naruszonego; gdy się osiągnie ten odpoczynek niezmienny, który niczém nie może być naruszony, można medytować i utworzyć sobie sąd o istocie rzeczy; gdy utworzyliśmy sobie sąd o istocie rzeczy, możemy osiągnąć upragnioną doskonałość.

Istoty natury mają przyczyny i skutki, czyny ludzkie mają zasadę i konsekwencye: znać przyczyny i skutki, zasady i konsekwencye, to jest zbliżyć się do racyonalnéj metody, za pomocą któréj można osiągnąć doskonałość. Dawni książęta, którzy pragnęli rozwinąć w swych państwach światłą zasadę rozumu, którą otrzymaliśmy z nieba, najprzód starali się dobrze rządzić państwami swemi, ci którzy starali się dobrze rządzić swojemi państwami przedewszystkiém starali się wpro-

wadzić dobry ład i porządek do swoich rodzin, ci którzy starali się wprowadzić ład i porządek do swoich rodzin, przedtém starali się dać szczerość swojéj duszy i udoskonalić swe wiadomości moralne. Udoskonalić swe wiadomości moralne można jedynie starając się zbadać zasady działania".

W ten sposób opierają Chińczycy moralność swoją na rozumie a nie na uczuciu, ale przytém zupełnie nie badają rozumem przekazanych im przez przodków ceremonii i zwyczajów, które ślepo wykonywać nakazuje etyka Konfucyusza. Obowiązki są pięciorakie—tyczące się stosunku między królem a jego ministrami, między ojcem a dziećmi, między mężem a żoną, między braćmi starszymi a braćmi młodszymi i między przyjaciołmi. Dla wykonywania tych obowiązków służą trzy główne cnoty: sumienie, które odróżnia dobro od złego, ludzkość i odwaga moralna. Panujący ma dziewięć obowiązków: udoskonalać siebie samego, czcić mędrców, kochać rodziców, szanować swych ministrów, być w zgodzie ze wszystkimi urzędnikami, kochać lud jak syna, przyciągać do siebie i opiekować się uczonymi i artystami, dobrze przyjmować obcych, i przyjaźnie się obchodzić z magnatami.

Nie wystarcza być samemu doskonałym, trzeba także się starać udoskonalać innych; nagrodą za wszystkie cnoty jest wewnętrzne zadowolenie tego co je wykonywa. Podstawą wszystkich cnót jest uległość rodzicom — ztąd wypływa poważanie dla ceremonii ustanowionych przez przodków. Do jakiego stopnia miłość ku rodzicom była doprowadzona, widać z jednéj przypowieści chińskiéj o biednym człowieku, który miał jedno dziecko i matkę starą przy sobie. Wskutek nędzy babka dzieliła swój udział w jedzeniu z wnukiem. Pewnego dnia syn jéj powiedział do swéj żony: jesteśmy tak biedni, że matki nie możemy wyżywić, bo dziecko jé potrawy dla niéj przeznaczone. Dla czego nie mamy pochować naszego dziecka? Dzieci urodzi nam się więcéj—a matki drugiéj miéć nie będziemy. Zaczął kopać grób dla dziecka i wtedy natrafił na garnek pełen złota z napisem: „niebo daje ten skarb posłusznemu synowi".

Cztery są główne wady, których zawsze się trzeba wystrzegać, próżność, przesądy, upór i egoizm. Inne grzechy, wady i przestępstwa znajdujemy wzmiankowane okolicznościowo w formie przypowieści, poezyi lub krytyki historycznéj. Konfucyusz nie zostawił nam takiego treściwego katechizmu, w którym byłyby wyliczone lub systematycznie rozdzielone grzechy ludzkie. We wszystkich księgach, które wydał, i w dziełach jego uczniów więcéj mowy jest o cnotach i doskonałości niż o grzechach pojedyńczych i przykazaniach.

Nigdy nie chciał mówić o duchach i życiu pośmiertném. Ponieważ zaś we wszystkich dawnych przypowieściach moralnych chińskich mowa jest tylko o życiu ziemskiém, więc należy przypuszczać, że pojęcie nieśmiertelności duszy w tym sensie, w jakim istnieje u chrześcian, obce było Chińczykom całkowicie. Pojęcie Boga było także nie zupełnie rozwinięte, jednak wszystko odnosi Konfucyusz do nieba, w dosłowném znaczeniu tego słowa. Sklepienie niebieskie, materyalny przedmiot, naszych zmysłów, widzi wszystkie nasze czyny i cnotliwych nagradza a złych ludzi karze, ale nie po śmierci, tylko za życia. Tego rodzaju wyobrażenie jest wyższym stopniem rozwoju pojęć religijnych niż pierwotny fetyszyzm, ale nie oddala się bardzo od fetyszyzmu, bo nakazuje uwielbiać przedmiot materyalny. Niebo lubi cnotę i sprawiedliwość, w swych przykazaniach jest pełne mądrości i niezmienne. Niebo jest straszne, ale pomaga tym co mają czyste serce i ma przywiązanie do ludów, wymaga od władców posłuszeństwa. Niebo i ziemia jest początkiem wszystkiego — jednak człowiek doskonały może stanąć jak trzecia potęga obok nieba i ziemi. Widzimy tu także rodzaj trójcy, która człowieka bardzo wysoko stawia. Dla tego też cnota ludzkości jest jedną z wielkich cnót dla Konfucyusza. Według niego, nie jest trudno iść za przykazaniami nieba, ale też nie należy się spodziewać, że Niebo zawsze ku cnocie pomoże. Jeśli ludzie grzészą giną — ale to nie niebo ich niszczy, tylko oni sami gotują sobie upadek, przestępując wieczne przykazania. Dopóki człowiek postępuje według tych wiecznych przykazań, ma spokojne sumienie i jest szczęśliwy — gdy się im oprze, wpada w nieszczęście i nędzę. Niebo wymaga wielu ofiar krwawych. Dwa razy do roku, przy porównaniu dnia z nocą ginie w Chinach około 30,000 zwierząt jako ofiary kultu Konfucyusza, co stanowi wielki kontrast z wegetaryanizmem sekty Tao-sse. Mięso tych zwierząt bywa zjadane i posyła się także różnym osobom, które przy ofierze nie były obecne, aby mogły brać udział w dobrodziejstwach, jakie towarzyszą ofierze.

Ofiary nietylko niebu bywają składane ale także i przodkom. Każdy zamożniejszy Chińczyk ma osobne miejsce poświęcone przodkom — tam im składa ofiary, tam im donosi o ważniejszych zmianach jakie w rodzinie zachodzą. Pojęcie udziału tych przodków w sprawach ludzkich nie jest zupełnie jasném, i Konfucyusz nie chciał odpowiadać na odnośne pytania swych uczni. Bezmyślne ceremonie też zupełnie odpowiadają charakterowi Chińczyków, tak że można połączyć te ofiary przodkom z brakiem wiary w ich pośmiertne istnienie Zasada rodowéj arystokracyi, przywiązywania wielkiéj wagi do genealogii nigdzie tak nie jest rozwinięta jak w Chinach. Każdy zamo-

żniejszy Chińczyk ma galeryę z obrazami swoich przodków, których czci wielce, a ci co dzisiaj wyprowadzają ród swój od Konfucyusza, wyliczają więcéj niż 80 pokoleń w ciągu 2,300 lat od śmierci mistrza. Bezwątpienia żaden arystokratyczny ród europejski tylu przodków wyliczyć nie może—pomimo tego Chińczyk nie uważa się nigdy za uprzywilejowanego wskutek pochodzenia — i nie ma tam tego rodzaju arystokracyi lub szlachty co u nas. Najboższy, najniższy wyrobnik może przez łaskę cesarza i wyroki Nieba być wezwany do najwyższych urzędów.

Kto chce być doskonałym i wyrównać Niebu i ziemi, nie powinien ani na włos się oddalać od drogi cnoty, ani na chwilę zapomnieć o swych obowiązkach. Dla tego człowiek cnotliwy ciągle zważa na głos tajemniczy swego sumienia, gdyż zgodność sumienia z czynami naszemi jest ogólném prawem moralném świata. Tylko człowiek doskonały jest w stanie określić obowiązki dla każdego, i rozpoznać zasady własnych swoich czynów. Życzliwość jego dla wszystkich ludzi jest bardzo wielka, siły jego potężne, wiedza obszerna.

Człowiek z natury jest skłonny do dobrego a nie ma grzechu pierworodnego, i jeśli się zwraca ku złemu dobrowolnie szczęście od siebie odpycha. Skłonność do dobrego jest w człowieku taką siłą jak siła, która każe wodzie spadać z góry. Człowiek odznacza się przed wszystkiemi stworzeniami darem rozumu, a rozum jest nieodłączny od cnoty. Przytém ma wolną wolę i skłonność do życia towarzyskiego, zdolność odróżniania i wybierania środków do celu prowadzących. Wskutek tego ma obowiązki względem siebie samego, bliźnich, i Nieba. Jest to ten sam podział, który znajdujemy w naszych dzisiejszych katechizmach. Wychowanie człowiekowi nie daje zdolności do myślenia, sądzenia i wolnego działania, tylko pomaga rozwojowi tych zdolności, i ułatwia im ich użytek. Rozum, wolną wolę i sumienie zawdzięcza człowiek Niebu, i winien jest z tych podstaw korzystać, aby w ciągu życia nie opuszać ani na chwilę drogi cnoty, którą mu rozum wskazuje.

---

To są główne zasady etyki Konfucyusza a co za tem idzie, wogóle etyki chińskiéj, z któréj Konfucyusz czerpał swoje zdania. Jeszcze pozostaje do wyjaśnienia w téj etyce stosunek płci. Konfucyusz wielki nacisk kładzie na ciągłe i zupełne oddzielenie płci. Przed ślubem narzeczony nie widzi swéj narzeczonéj — do mieszkania kobiéty żaden mężczyzna prócz jéj męża wejść nie może — i nawet, gdy królowa jedna zapragnęła poznać Konfucyusza — pomimo żądania jéj męża, pomimo namowy dworzan, Konfucyusz odmówił, obstając przytém, że się to sprzeciwia obyczajom. W nieobecności męża żona gościa żadnego

przyjmować nie może. Mężczyzna nie ma prawa siedzieć nawet obok matki lub siostry swojéj żony, ale za to może miéć kilka żon.

Jak wszędzie, gdzie panuje wielożeństwo, kobiéta w Chinach i według etyki Konfucyusza najpodrzędniejsze zajmowała stanowisko. Już przy urodzeniu otaczano chłopca daleko większém staraniem niż dziewczynkę; chłopca ubiérano w kosztowne tkaniny a dziewczynkę kładli na ziemi.

Potém aż do ślubu kobiéta zależna wciąż od ojca, po ślubie od męża, po śmierci męża od syna — nie ma prawa nigdy wtrącać się do spraw publicznych. Cała jéj działalność ograniczona do wnętrza domu, do przygotowywania jedzenia. We wszystkiém powinna kobiéta postępować według rozkazów ojca, męża lub syna.

Małżeństwo poważane jest przez Konfucyusza bardzo i wiele spotykamy u niego przepisów odnoszących się do tego stanu. Nie są dozwolone małżeństwa między krewnymi nawet bardzo dalekimi, i żaden trybunał nie może ustanowić wyjątku od tego prawa, jak u nas papież. Nawet po 100 pokoleniach osoby téj saméj rodziny nie powinny zawierać małżeństw między sobą.

Także nie wolno się żenić z kobiétami takich rodzin, w których panują dziedziczne choroby, fizyczne lub które pod względem moralnym są do potępienia, jeśli np. członkowie tych rodzin brali udział w powstaniach lub opierali się władzy rodzicielskiéj, lub byli karani za przestępstwa kryminalne.

Do rozwodu podaje Konfucyusz 7 przyczyn: nieposłuszeństwo żony względem rodziców męża, bezdzietność, niewierność, zazdrość, choroby zaraźliwe, nieznośna gadatliwość, kradzież. Pomimo tych przyczyn, mąż nie powinien oddalać żony, jeśli już nie żyją jéj rodzice, jeśli ona nosiła żałobę trzechletnią za rodziców męża, lub jeśli pochodzi z rodziny ubogiéj i nizkiéj a przez małżeństwo weszła do rodziny bogatéj i poważanéj.

Pomimo tego podrzędnego stanowiska, kobiéty jako matki korzystały z tegoż poważania i kultu względem rodziców, który w Chinach jest najważniejszym obowiązkiem religijnym. Nietylko matka i ojciec, ale téż starszy brat był do tego stopnia poważany, że brak w chińskim języku wyrazu dla określenia pojęcia brat lub siostra, gdyż pojęcia starszy brat i młodszy brat są uważane za tak przeciwległe jak ojciec i syn.

W kraju, w którym ludzie nigdy do pełnoletności nie dochodzą, i aż do śmierci ojca, ojcu zupełną winni uległość, potém zaś względem władzy państwowéj taką samą dziecinną uległość okazywać winni, pedagog-filolog Konfucyusz, wychowujący starych i młodych, tłomaczą-

cy przepisy zmarłych przodków, krępujące każdy krok w życiu różnemi ceremoniami — taki pedagog-klasyk musiał wywrzeć wpływ, o którym słabe tylko pojęcie powziąć możemy, jeśli weźmiemy na uwagę jaki do dnia dzisiejszego mają wpływ na młode pokolenia filolodzy. Wpływ ten u nas jest przymusowy — wynika z praw obowiązujących i nieraz możemy przynajmniéj w duchu się odeń uwolnić. W patryarchalnych Chinach wpływ podobny był naturalnym, i wszyscy mu chętnie ulegali. Aby mieć zupełne pojęcie o téj bezmyślnéj uległości, trzebaby poznać tysiące przepisanych ceremonii, które zachowywane są przy różnych uroczystościach, a które muszę pominąć, aby nie narazić na zbyt ciężką próbę cierpliwości czytelnika. Umysł chiński lubuje się w drobnostkach — unika wszelkich abstrakcyi i pojęć ogólnych. To téż wszystkie szczegóły są przepisane w księdze obyczajów, zebranéj przez Konfucyusza. Dla każdego urzędu inny rodzaj składania ofiar jest dozwolony — urząd się nazywa po chińsku c z i n i od c z y n u zależy także treść modlitw, forma ofiar i t. d.

Wobec téj drobiazgowości zadziwiającą jest rzeczą, że w Chinach nie wytworzył się odrębny stan duchowny — Chiny, są krajem w którym księży nie ma! Cesarz i wszyscy urzędnicy państwowi pełnią obok administracyjnych także funkcye religijne. Cesarz jest zarazem głową kościoła — cesarz chiński urzeczywistnia ten ideał, do którego napróżno dążyli nasi papieże — zupełnego połączenia władzy świeckiéj i duchownéj.

Pomimo téj centralizacyi władzy, prześladowań religijnych prawie nie było w Chinach i kraj ten może wszystkim służyć za wzór tolerancyi. Łatwo sobie to wytłomaczyć, jeśli porównamy etykę chińską z etyką narodów chrześciańskich i mahometańskich, w których tyle walk religijnych zatruwało pokój. Największe dysputy, najostrzejsze walki u nas toczyły się o takie kwesye, jak np. czy Chrystus jest Bogiem czy człowiekiem, i t. d. Nigdy protestanci z katolikami ani też katolicy z mahometanami nie kłócili się o to, czy trzeba kraść czy nie, lub czy dobrze jest kłamać czy téż mówić prawdę. To téż większa część sporów religijnych, prześladowań, krwawych walk, toczyła się o kwestye dogmatyczne a nie o kwestye etyczne. Inkwizycya święta nie paliła złodziei ani morderców tylko tych, co mieli mniemanie, że ziemia się kręci naokoło słońca, albo że Bóg jest w jednéj osobie, chociażby ci heretycy w życiu swojém najmniejszego przestępstwa nie popełnili, chociażby odznaczali się miłością bliźniego, chociażby słynęli z dobrych uczynków moralnych.

Dla tego, że głównem źródłem sporu zawsze były kwestye dogmatyczne, a nie kwestye etyczne, naród w którym tylko etyczna strona

jest głównie uwzględniona, i strona zewnętrzna obyczajów, a który dogmatyki nie posiada prawie, naród którego główny pedagog nie odpowiada na kwestye o życiu przyszłém, o Bogu i duchach, na te kwestye tak obszernie traktowane przez naszych teologów — taki naród nie ma powodu do prześladowań innych wierzeń, jeśli tylko wyznawcy tych wierzeń żyją zgodnie z powszechnemi zasadami moralności. Powszechne zaś zasady moralności są do tego stopnia ogólne i zależne od samej natury człowieka, że prawie wszędzie są też same i dla wszystkich ludzi i narodów, które doszły do tegoż samego stopnia rozwoju.

Poznając etykę narodu chińskiego, o którym według najwiarogodniejszych świadectw wiemy, że w historycznych czasach z żadnym innym narodem nie miał stosunków, musimy dojść do przekonania, że istnieje wielka bardzo ilość praw moralnych wspólnych nam z Chińczykami. Pycha, nieczystość, gniew, łakomstwo, obżarstwo, zazdrość, lenistwo są grzechami głównémi dla Chińczyka również jak dla chrześcianina, tylko że Chińczyk słusznie w dodatku uważa za grzechy najważniejsze: kłamstwo, kradzież i egoizm.

Mniemane różnice w etyce różnych narodów, co niektórych doprowadziły do powątpiewania o jedności moralnéj gatunku ludzkiego, są różnicami albo w dogmatyce albo w obrzędach, nie w moralności.

Czy mamy naśladować Chińczyków, i aby uniknąć walk i prześladowań, zupełnie zaniedbać dogmatykę, poprzestając na etyce? Byłaby to najprostsza rada wobec niepewności wszelkiéj dogmatyki. Ale nam, śmiałym obywatelom XIX wieku nie wolno zaniechać kwestyi najwięcéj z natury rzeczy obchodzących rozwiniętego człowieka. Naiwna dogmatyka została zburzoną przez Kanta krytykę czystego rozumu, ale przedmiot dawnéj dogmatyki, zagadka istnienia, pozostał—i do dalszych badań zachęca. Byt jest najogólniejszém pojęciem, jakie dotychczas człowiek wytworzył, i dla tego, nigdy człowiek nie powstrzyma się od rozmyślań nad bytem, nad istnieniem — czyli od metafizyki. Gardzić metafizyką mogą ci tylko, co znaczenia tego wyrazu nie rozumieją, albo którzy cierpią na to kalectwo umysłowe, że nie są w stanie tworzyć i łączyć pojęć ogólnych, rozpoznawać przyczyny i skutki.

Pozostawmy więc Chińczykom ich etykę bez podstaw, a starajmy się dla nas nie tylko o to, aby żyć moralnie, ale téż aby wiedzieć, dla czego moralnie żyjemy, czyli o metafizykę moralności.

*W. Lutosławski.*



# PRZYSŁOWIA.

KARTKI Z DZIEJÓW LITERATURY I KULTURY POLSKIÉJ.

(Dokończenie [1]).

## VIII.

Zcharakteryzowawszy korespondencyą XVI wieku, jej styl i treść, jej doniosłość jako źródła dla dziejów kraju i oświaty, korzystaliśmy z listów Sierotki, Zamojskiego i Sapiehy, jako z kopalni przysłów i zwrotów przysłowiowych. O ten główny zrąb listów opiéramy jeszcze krótkie wyciągi z kilku zbiorków drobniejszych, grupujących się przeważnie około wypadków r. 1581; zaczynamy jednak od wcześniejszych.

W listach królowéj Barbary znajdziemy tylko w poufalszych do rodziny zwroty przysłowiowe, np. obawia się ona, czy się téż we wszystkich, czczących ją teraz, serca z usty zgadzały, a zwłaszcza w tych, którzy d l a m a ł é j p o w o d z i n i e p o t r z e b n e s o b i e ł ó d k i n a p o w i e t r z u b u d o w a l i, wszakoż tak się nam zda, g d y g ł o w a b ę d z i e z d r o w a, ł a t w i é j b ę d z i e i n s z e c z ł o n k i l e c z y ć; o tym panie (Grzegorzu Chodkiewiczu) można tak rzec j a k o o n o m ó w i ą w i l k c h o w a n y a R u s i n c h r z c z o n y (t. j. rzymskiéj

[1]) Patrz „Ateneum" lipiec, str. 157 i sierpień, str. 278.

wiary) dyabłu się godzi, ostrzega brata by u niego nie jadał, bo wenecką pigułkę trudno przechować, gdy ją komu w polewce zadadzą; jeśliby pan krajczy wedle obyczaju swego w stare strzemiona wstępował, by tym obyczajem WM. na hak przywieść miał. W listach jéj brata, Mikołaja Rudego, znacznie więcéj takich zwrotów, lecz listy te znamy tylko z odpowiedzi, Barbary lub króla, zaczepiających o jego wyrażenia, np. co WM. pisał panie Mikołaju sukienki nie maju (że znaczne poniósł wydatki dla posług królewskich); jako piszecie iż wiotesz na sługi (starzyzna dla służby), teraz to inaczéj idzie, bo rzymscy ludzie przyszli na ruskie ćwiczenie, kościół omijają a do miasta jeżdżą—niewadziłoby mu o to uszu słowy natrzeć, gdy przyjedzie; Chodkiewicza owego dawno wiatry weneckie napuszyły; kasztelanowi wileńskiemu Wirszułowi, człowiekowi szalonemu tak przystoi ś. Małgorzaty hetmanowi (z upałów lipcowych) około spraw hetmańskich przyjeżdżać kiedy téż tej ś. Małgorzacie święto obchodzą... usłyszyć on takową odpowiedź, po którą mógł tu tak daleko nie jeździć; iżeście dołożyli, iż tu (w Krakowie) na Radziwiła, zwłaszcza w Górce albo na Wiśniczu (u pp. z Górki lub u Kmity) łacno radę należć; iż tam drudzy niepomału się w łeb jako nam piszecie skrobią; że tam grożą do Rzyma jachać, (przez to) onym ziemiam nic za łaską Bożą szkody nie uczynią, owa jako mówią ni zgości (z nich, niby z gości jakich, nie ma korzyści, por. przysłowie u Rysińskiego ni z gościa korzyści i w Wizerunku Grzegorzkowica z r. 1616 ba niż biesa gości); jeden z opiekunów bardzo gorliwy, podobno nie tak opiekanie jako przypiekanie go w tém rusza; co nam piszecie około Wirszuła, iż tylko w kącie śmiały a w oczy nic; cudzemi pieniędzmi handel najlepiéj wieść; aby nie po ogień tam przyjeżdżał; nie będzie wadziło jako WM. (Radziwił Czarny, jak i w następnych listach) piszesz, iż ten Kobuz będzie te skowronki straszył (pisarz żołnierzy popisem); tenże się uskarżał, że bez guńki stoi; niewdzięczność ludzka i pokazanie wilczego zębu za dobrodziejstwa nasze; żąda, żeby unia z Litwą taka była, żeby ręka rękę myła; dodaje raz królowi lepszéj otuchy co do rzeczy litewskich z przypomnieniem onéj pospolitéj przypowieści iż jeszcze chromego wilka z liszkę stać może (wilk acz chromy liszce wyrówna); przypomina co do obrony Litwy ono stare adagium Boh wysoko a pan daleko; wiara z symulacyą w jednéj przeworze stać nie mogą.

Z listów od Jagielonek polskich, Zofii i Anny, córek Zygmunta I, i pisanych do nich, głównie przez znanego nam już referendarza Czarnkowskiego, wypisujemy np. pewnie byśmy się zlecieli do WKr Mi jako ptacy do cudzéj pszenicy; żął kiedy nie siał; Francuzowie (Henryka) podzielili się między nie papiérem, więc nie wiem, jeśliż nie wiatrem się zapłaci; (o tych samych ludziach mówi Ciekliński w Potrójnym, r. 1597): ci dym przedawali tamtym a tamci zasie wiatrem im płacili); ci stracyuszowie już tak na czwał wszystko im przypuszczali. Cóż rzec, pisze Zofia o Annie do referendarza, gdy się JKr. M. baczyć nie chce a pospolicie to mówią, kto się na ukropie sparzy na zimną wodę dmucha, sparzyła się była JKr M. niedawno... a to sekretarki przygotowały jej były tę łaźnię... mogłać nie za malowane tam mieć posłańce nasze; Anna frasuje się niezdrowiem Zofii, nie może się w wodę krew obrócić (nie może być nieczułą). Cnoty w panu (Gostomskim) o kości (bardzo mało), nie ma komu wierzyć, gdyż on nie jednego zdradą zemknął z tego świata; łacno teraz każdemu kuglować, aleby był za nieboszczyka (Zygmunta Augusta) i gęby rozdziawić nie umiał; źle mówić hop aż się przepłynie. Zborowski pisze Chodkiewiczowi, że niecnotliwego Monluka takby trzeba wyłuszczyć jako na on czas Szweda, on go już u króla (Henryka) nie najgorzéj jako niemieckie przysłowie *aus dem Sattel gehoben* ale trzeba tak go dorazić jakoby i strzemienia potém niedosiągł; inny radzi mu, racz WM. postępować jako raczysz, wszakeś WM, był między Hiszpany, (ja służyć będę) a jeszcze jeśliżeby z téj skóry dostało się na trzewice, tedybych i Duszaniszek nie żałował... daj mi WM. znać jeśli *vult cudere ferrum dum candet* (chce kuć żelazo póki gorące), jednoby też mnie sługi swojego od nakowalni nie odpychać. Skargi na króla (Henryka) częste, w radzie jeno się swarzą a król na nie patrzy jako malowany, sprawiedliwości nie masz, jeno kto mocniejszy, ten lepszy, choć Pan Bóg mocen wszystko jeszcze w dobre obrócić; (groźby pana Czerskiego przeciw Annie nic innego byle wymywał gębę; król obiecał ustyma a sercem nic, bo głodny pan w piéniądze, Boga się też nie bardzo boi; po jego ucieczce zaś taka mieszanina wszystkich rzeczy była, by w kotle jakim; już się wszyscy jako ptacy raczyli rozbieżeć; owo po staremu Piast we łbie niejednemu czwała, co nas pewnie ku zgubie przyprawi.

Listy lat następnych do Jana Chodkiewicza, kasztelana wileńskiego, dowodzą, jak dzielnie ci litwini władali piórem polskiém; widząc ze wszech stron nieprzespieczne rzeczy, pisze Hlebowicz, rady

dodać nie mogę, bo prawie jako mówią że łacna w małych rzeczach rada najść może się a o wielkich żadna dać się nie może; tak teraz na targu słychać, żeby wojska wielkie ciągnąć miały... podobno by się z tego rychło szczytów nadziewać (wojny). Usposobienie Litwy przeciw Koronie charakteryzuje rada; tak się trzeba starać jakoby na naszym a nie na ich (Koroniarzy) stanęło, mówiąc tak jako mazur zabiwszy jednego mówił wolę bratku że ty leżysz niżli ja; na nas zmierzają by na żubry a im najwięcéj z WMią bracą się, tém najbardziéj pod WMią doły kopają... oni mocnią się a jako żubra w ostępie tak tam osadzają, to w ławicach to w urzędzie... to ich spowinowacenie jeśli dojdzie, ku niezgodzie przywiedzie bo jako Rej napisał o nierównném ożenieniu, tak tam prawie będzie; opowiada niezłe anegdoty, gdy powiedział kanclerz (Walenty Dębiński) że Węgrzynowi wierzyć nie trzeba, ażby miał trzy oka (podobne przysłowie u Czechów, twierdzą że z XV wieku: Węgrowi żadnemu nie wierz chyba m'a trzy oczy w czole), na to poseł Batorego: prawda, i jam to słyszał, ale pan mój ma cztery oka; oni się zdumieli, aż nierychło pytali go, jakoby mieli to rozumieć; a on, u mego pana oczy dwie a u królewny drugie (u Anny, bo się jéj jako dyabła boją; jako chłopa dopadła, gębę nosi wysoko i hardo, ale widzi mi się, że chłop—Batory—sobą nie da tak bardzo hybać), co inym było tak miło jakoby ich po sercu drapał; barzo sam (tu) cesareanowie (zwolennicy cesarza) poczują huk a bodaj i nie hak a zwłaszcza... Dulski, tego zmyć chcą; byś WM. tu był tedybyś w rożek wszystkich wsadził, porządku by kąsek (niema); (o obietnicach królewskich dla Litwy) będzieli kuku może być w ruku, nie będzieli, i ja z góry nie pociągnę. Karnkowski opisuje Zborowskiemu, jak królowi stronników werbuje, takeśmy tam siecią ułowili tego wieloryba (wojewodę Gostomskiego), to też niezły a niekrwawy hamulec (nadanie starostwa)... ja jako ona kokosz z każdym pod płaszcz prowadzę, łaskę u króla jednam... niech idą za drugimi pod pomyk; Hozyusz pisze, że mi się nie godzi, jako to mówią na dwuch stołkach zaraz siedzieć (i Cesarzowi i Batoremu ślubować).

Śmieliśmy się do zdechu wszyscy, pisze Piotrowski o nieforemnéj wieści; król rozumie aby się na to morze bez wiosła puścić (pójść wbrew sejmikom); równie poufale wyraża się wojewoda Mielecki, jedzie poseł turecki zły by pies... owa mają ci Tatarowie siewkę; Gdańszczanie zbyli posła cudnemi słowy, ale o daninę portową Boże uchowaj, jako we wrzód tknąć się nie

dali; wojewoda Zborowski od dworu jadąc mówił, nu jużci widzę żeć próżno, fartuchem ci się przyjdzie opasać a doma siedzieć, jać wżdy wywiozę ale mi o brata idzie; po śmierci jednego z Chodkiewiczów pisze książę Sierotka do kasztelana wileńskiego, wszyćka Litwa może w kapturze chodzić (w żałobie)... owo jako Litwa szwankować poczęła tako na nogi przyjść nie może. Piotrowski cieszy się, iż się przeciwnikom czyście od spasi zabiega... wszakciby niewiedzieć co pachali (broili), co też tu na nasze skrzydło padnie, uczynimy wedle sił; dziękuje Opalińskiemu za łaskawe obietnice: prostom teraz by owa panna co jej więc powiadają, że cię za mąż za pięknego i bogatego panicza zmówić mają, ona wzdycha, godzina się jej rokiem widzi, duszkoż by rychléj... a zaś dziecię Król JM., nieda nikt pewnie jemu węża za węgorza; Ryżanie nie po Gdańsku (zuchwale) poczynali sobie, lecz pospólstwo ich, te Niemcy, coś zawsze krótką suknię a niż długą radziej widzą (Polaków nie lubią)... rodzina (Radziwiłów) za tarczą z p. Kanclerzem (Zamojskim) radaby mu by jako nieprzyjacielowi podszyta... raczéj o to, że nie pożarli tych grzybów w Inflanciech, na które byli gardła swe nagotowali, więc wrzeszczą.

Przy stole rozmawia z nim Zamojski o rzeczach ślązkich, nie seryo, więc to wszystko było jako więc on owo uśmiechając się i t. d.; wszak mi z mej własnej skóry wolno sobie but i co chcę uczynić (z łacińskiéj przemowy Batorego); uciekali z Tatar (carzyki tatarscy, których Kozacy pojmali) a nic z dyabła gościa; Bóg wie, jako ta biera padnie, zima za pasem, bośmy teraz w tych ciemnych puszczach jak w głębokie piekło zabrnęli. Gdy się raz Zamojski na podskarbiego rozgniewał, siła mówił, przesiodłam go, (częściej mówią ażby mu dobrze przysiodłał), odepnę mu ten popręg a innego podepnę, wyjeżdżę go. Patrzymy już na Psków, o Jezus! toć wielkiego coś, by drugi Paryż; zasadzka pod miastem nie udało się, bo Węgrowie, nie mogąc się odzierżeć (wstrzymać), wymknęli się przede swaty; mieliśmy się w obóz ruszyć, ale nie był kto tocząc (ktoby go zatoczył; ci którzy się tego podjęli) nie wiedzieli gdzie trzy; lecz rychło odkryło się i Piotrowskiemu, że się z motyką na słońce puszczamy, nie tak się nam było na Psków nagotować; Zborowski kontent, że kanclerz hetmanem, ja czołem dworowi uderzywszy będę też swemu pokojowi rad; Szwed upatrzył dobry czas i nie szwagierską sztuką postępuje, co o nim mówią—słuchać nie bolą uszy; 30 września pierwszy

mróz, gruda prawie rzadna, n a u c z y tu drugich nas n i e w o l a r o b i ć; (należy karać występki w obozie bo) się JMi (hetmanowi) n a k o ł a p o ś l e d n i e o g l ę d a ć t r z e b a; Litwa (w radzie wojennej) duże r u s z a l i d z w o n k a (wytykali), lecz gani im Piotrowski, że lubują się nadto w ceremoniach, już nie ujrzę, jako ta Litwa n a f u m y z d e c h ł a (morze na fumy, ceremoniuje się). Zborowski oświadcza publicznie, że hetmaństwa nigdy nie pragnął, ukazowałem natenczas (w Niepołomicach) p i ę d ź s w ą WKrMi, że się jeszcze umiem s w ą p i ą d k ą p o m i e r z y ć... nierad się podejmuję czemu sprostać nie mogę wiedząc p r z y p o w i e ś ć onę: n i e p o d e j m u j s i ę s z a s z k u (piesek pokojowy) l e g a w e g o p o l a; dójdzieli pokój, żołnierzów k i n ą p r z e z n o g ę (na nic wystrychną) r w i e s i ę d r u g i z a łeb że na téj wojnie był, d r a p i ą s i ę w g ł o w ę, Mikuline mrozy jako przydą, pozna żołnierz wojnę. Niekontent p. hetman z Possewina, niedowierza mu; że inni go prosili, aby pokój jakokolwiek być może uczynił, w s a d z i l i g o t y m n a b a r z e g o; jam mówił, że to nierozumnie uczynili, bo choćbyśmy radzi pokojowi wszyscy, przecie nie pokazując tego ręką grozić mamy, j a k o o n k s i ą d z z k a p i t u ł y w y c h o d z ą c g d y g o t a m w i ę z i o n o; nam podejrzany ten ksiądz, c h c ą c w i l k a u k r ó c i ć i o w c e u s z a r p n ą ć c h c e powtarza Piotrowski (str. 170) za Zamojskim (str. 394). Hetman szwedzki chytry, ale też n i e n a p r o s t a k i t r a f i ł, Moskiewski m r z e n a Szweda i radby się z nami uspokoił, żeby się mógł z nim stoczyć a co mu pobrał żeby zaś wydarł; s o b i e k a ż d y w o l i; Szwed pobrał zamków co przedniejszych nie mało, m y g r y z i e m ł u s z c z y n y a o n j ą d r a j e (str. 174, i tu się Piotrowski zapożyczył u Janusza Zbaraskiego str. 432), za naszą strażą spokojno s o b i e p o b r z e g u ł o w i a m y p o m o r z u w i e l k i m, na sobie dzierżymy wszystko; mortyfikujem się w tym obozie; być li nam do tego w czyśću, nędzna kondycya nasza, z a s ł u ż y l i b y ś m y z a r a z d o n i e b a, mrozy haniebne nigdy nam niewidane i t. d... jeszcze się posłowie targują, j e m u s i ę n i e c h c e o ś c i ę t ą s z y j ę z I f l a n t a na Szweda w ę d z i d ł o g r y z i e, byle tylko z nami dokonał się pokój, być mu u niego; w ł o s k i e t o s z t u k i (Possewina).

Przedtym pisał ks. Baranowski do marszałka, że Łascy starają sę o Spiskie starostwo, aby z Ruberem j e ś ć k w a ś n e j a b ł k a, bo Kieżmark trzyma, którego im się zachciewa; teraz n a k r ó t k i e m t o p o r z y s k u więc rzeczy tych posłać nie mogę; (o interesie u króla) raczysz WM. wiedzieć, jeśli że m a k s i a ć, w pogotowiu (tém bardziej) w tej mierze p o g o d y b a r z o t r z e b a p a t r z y ć, sy-

nowiec (Batorego) przyjechał (tu) chudo, ale już obrasta pierzem nienajgorzéj. Zamojski radzi posłom, nie zda mi się (dla zamku Wieliża) pokoju rozerwać i już bywszy u brzegu zaś na głębokie morze odepchnąć się, aby tym czasem za strażą naszą cicho łowił (powtórzył to wyżéj Piotrowski). Warszawicki ujmuje się za Possewinem, podobno bez niego żegluga nie byłaby łatwia, iedno już WM. racz tym żaglom które się rozpędziły wiatrów nie uchylać; nam teraz cierpliwość najpotrzebniejsza, gdy i niewczas się przykrzy bez miary i gdy do brzegu się człowiek przypycha, aby nie w ostrogach iak ono mówią, i ufam Bogu, że tego człowieka staranie i żegluga wedle wiatru potrzebna daremna nie będzie. Lecz Zamojski nie tak ufny jak Possewin: barwierza teraz, ranny będąc, wozi na wózku, skoro zdrów będzie, barwierzowi iść do domu nazad piechotą, zawiesiwszy somki (sakwy) na grzbiecie... księdzu się nie chce autoryzować poświecie jeżdżąc, radniejbym na tym przestał, ale już wilkowi nie dać i stopki grzać w Inflanciech; rozchodzi się o szczegóły, trudna to kłoda na nich (posłów) aby ją mieli dać zwlec z siebie, czas jako woda płynie, jeszcze nie jesteśmy u samego brzegu; jako ono mówią wilk choć z siebie sierzchl wymiece przecię obyczaju swego używa także i oni swych po staremu się targów dzierżą... poszło to na to jako ktoś z jednéj wioski zwał się w Polsce grafem, kogoś téż zwano u nas w Bełzkiéj ziemi królem Żacharańskim; ci komornicy będą im za Aarony do Faraonów; kto mu będzie śmiał urągać, weźmie kijem na bęben; ci co się o nosy boją, chocia już zamieszkają mięsopusta, maja by się chcieli udać, jać się już po dyable udam, utraciłem już do końca swojéj gładkości, radniéj będę śmiał teraz zimie jeździć a niże maja. Kanclerz zły, to iuż *fatale*, że już sprawy wszystkie w Polszcze tak (niedbale) idą; o biskupstwo przemyskie aż i owa truchna (trusia) już trzeci raz w tym gmerze, ale to nie będzie, skarży się na księży pańczeszkowych; biada na obłudę, przyjdzie li na rug obaczym kto nań (na Ługowskiego) kamień rzuci; radzi by tu nogę włożyli rzymianie, ale to nie będzie; zwłoka króla jedno je wsadzi barziej na barzego.

Arcybiskup (Karnkowski) pisze Opalińskiemu, co ludzie o téj wojnie mówią, jedni chcą jej popierać, bo począwszy nie dokonać znaczy owego złego gospodarza naśladować, który z wielką pracą zasiawszy, przed samymi żniwy dał sobie zboże popaść; inni

niechcą o to co lepszego na szaniec sadzić, (bo łatwo wolność szlachecka) ta szpica, zdruzgotać by się musiała; (sława wojenna wnet minie, zostawiwszy w zysku) jedno twarzy posiekane, suknie zdrapane, szkornie dziurawe a szkapy chrome; obawiać się trzeba, by się wolności w łeb dać nie musiało... przyjdzie li do sejmu, dopiero by szyto buty radzie, urzędnikom, a JMi księży liedwa by nie ukleśniono... jeźli by się jednemu panu żupa otworzyła przed sejmem, ledwie by znacznie nie chciał zamącić.

Urywamy na tém wyciągi z listów, gdyż i tak już nadużyliśmy cierpliwości czytelnika, wyzyskanie listowania XVII wieku pozostawiamy innym, tém bardziéj że i co do mów sejmowych ograniczyliśmy się byli również do XVI wieku. Nadmienimy tylko, że znaczna część téj korespondencyi spoczywa dotąd po rękopisach, szczególniej Ces. Biblioteki w Petersburgu; że jędrném wysłowieniem i ważną treścią wyszczególniają się listy kasztelana krakowskiego Zbaraskiego, że między listami wiele w stylu tak niepohamowanym, uszczypliwym, grubiańskim, iż je chyba za podrzucone paszkwile, nie za listy autentyczne uważać należy, a właśnie takie odpisywano najczęściéj, jak wszelkie pamflety i satyry lub drwiny. Tu należy np. korespondencya między Jazłowieckim a Stadnickim (dyabłem); mazurskie listy Wołuckiego do (Lamparta) Sierakowskiego; biskupa Sokołowskiego; walka na listy między Prażmowskim a kasztelanem Warszyckim i Kochanowskim i t. d.

W późniejszych listach jednak styl coraz więcéj jałowieje, przysłowie polskie wyrugowane sentencyą łacińską; jeszcze później wygładza hebel francuszczyzny poprawnéj wszelką chropawość a zarazem dobitność i malowniczość stylu polskiego w poezyi i prozie, w mowie i liście; dawne zwroty i słowa nikną zapomniane, język ubożeje; jędrne wysłowienie, posługujące się tak chętnie przysłowiami, ustępuje przed frazesami stereotypowemi, zachowuje się chyba u starego Jowialskiego lub u nieucywilizowanego chłopka. Żeby różnicę, jaka zaszła między dawnym językiem a nowszym, między polskim a innym słowiańskim, np. ruskim, należycie ocenić, wypada porównać np. listy Mickiewicza, Słowackiego lub Krasińskiego z listami XVI wieku lub z listami Puszkina albo Turgieniewa; czytając np. listy do Aksakowa ojca, odnieśliśmy wrażenie, jakoby kilka ich stronic więcéj zwrotów przysłowiowych zawierało, niż cała tomowa korespondencya Słowackiego; wystarczy nawet porównać dla stylu zwykły feljeton lub kronikę „Słowa” lub „Kuryera Warszawskiego” z kroniką jaką w „Nowoje Wremia” lub „Nowosti”. Zmiana na lepsze staranie o większą

jędrność, dobitność, obrazowość stylu, datuje od niezbyt dawna; widoczne one najbardziéj u mistrzów słowa, np. u Sienkiewicza; odczytywanie dawnych pism, Reja, Kochanowskich, Wacława Potockiego, może w tém odnowieniu, odświeżeniu stylu, ważną przysługę oddać, chociaż bynajmniéj nie myślimy o jakiémkolwiek sztuczném wskrzeszaniu staropolskiego toku mowy, zapomnianych słów i zwrotów, dawnych konstrukcyi. W procesie tym i używanie przysłów, którego nasz styl książkowy i dziennikarski niemal unika, odzyszcze może na znaczeniu.

## IX.

Najcenniejszém źródłem przysłów są więc dawne mowy i listy — innego zdania byli zbieracze nasi, którzy nie w nich, lecz po drukowanych dziełach, u kaznodziejów, moralistów i gramatyków, u historyków, poetów i po fraszkach za przysłowiami gonili. Pilność ich ogarnęła rzeczywiście wiele dawnych pomników, zasobów jednak bynajmniéj nie wyczerpała; praca ich dotąd całkiem niezupełna; lecz co wadliwsze, w zbytniej gorliwości posunęli się zadaleko, wciągnęli do literatury przysłowiowej autorów, dzieła i ustępy, które nam znowu wydzielić wypada, jeżeli nie chcemy przez przysłowie rozumieć każdej, byle jak przez byle kogo wypowiedzianej sentencyi, jeżeli nie chcemy kategoryi przysłowiowej rozszerzać w nieskończoność i przez to ją wszelkich właściwych cech pozbawiać. Objaśnijmy przykładami, o co nam chodzi.

Wobec nieprzejrzanéj niemal obfitości materyału, dotąd nie zużytego, wystarczy powiedzieć, że nie ma prawie książki, broszury, świstku, że nie ma rękopisu, urywku, kartki, od XVI do XVIII wieku, które by znanego materyału nie pomnażały, nie uzupełniały, nie poprawiały; wystarczy więc sięgnąć do książek i rękopisów, nie wymienionych po spisach naszych zbieraczy, aby pracę ich posunąć i ulepszyć; nie myślimy tu wcale wyliczać takich książek i rękopisów, nie wiedzielibyśmy bowiem, od czego zacząć, na czém skończyć; zadowolimy się wskazaniem choćby kilku rzeczy XVI wieku.

Luteranin Seklucyan wydrukował w Królewcu w r. 1545 książeczkę, Oeconomia albo gospodarstwo, pierwszą polską tego rodzaju, poprzedniczkę Żywota poczciwego człowieka i licznych traktatów, oryginalnych czy tłómaczonych, Lorichiusza, Szotena i innych; wykład jego jasny, przystępny, chętnie posługuje się przysłowiami lub zwrotami przysłowiowemi, np. mówią niewstydliwi, by to grzech był (żyć nierządnie) złowiłby nas P. Bóg

jako ptaki na lepie; jest pospolita a prawdziwa przypowieść, że młodych nałóg, starszych jest uczynek; jako pospolicie mówią, gdy drzewo w jego starości szczepić mają, nigdy się z niego owocu nie doczekają; rzadko pochybia ona przypowieść Kto łże ten i kradnie; (o tych, którzy się ciągle innych rzemiosł i t. p. chwytają) są też około tego i insze przypowieści pospolite, jako ono siedm rzemięsł czternaście nieszczęścia, ten nie może przed wielkiem bogactwem być bogatym, jako o ośle powiadają, który gdy się dobrze ma, idzie na lód spaciatum, a prze krotochwilę złamie nogę; jest między nami Polaki pospolita przypowieść, że za ciężką pracą dom i stodołę podnoszą; z tem się zgadza i przypowieść pospolita wiernych przyjaciół w potrzebie siła ich wchodzi na łut w wadze i t. d.

Najdawniejszy traktat o fizyologii, higienie i fizyognomice, Gadki (problemata) Andrzeja Glabera, z r. 1535, ucząc jak ludzie, czasy, pokarmy i t. d. poznawać, powtarza wedle dawnej przypowieści chceszli swego dobrego, strzeż się zawsze łysego, więcej lisowatego (rudego), nad wszytkie szepietliwego; pospolicie dzieciom mówią: pij wodę, iż ci bieleją ząbki; pospolicie mówią: zdychał od śmiechu; jako więc mówią ciężka boleść gdy się chce jeść; swój z swoim łacno się zgodzi; otrujesz się chlebem niedopiekłym; dawna przypowieść szkoda chłopu świeżego jaja (por. też nie stoi za jaje, mało co lub nic nie warte, częste w XVI wieku); lepiéj jest pierwej piwa wypić potym winem przyłożyć a wsadzić pana na pachołka (możemy dodać, chłopa na pana nie godzi się wsadzać, z Rysińskim); co żadne (brzydkie), trudno ma być dobre; iżby nauka szła jakoby po sznurze; kto chce mieć włosy dobre, aby mu ich jak pospolicie mówią, móle nie gryzły; j. p. m. od złości aże zbladł; p. m. co cudne (piękne), to też dobre bywa; p. m. na czele a w oczu srom siada; nos czerwony ukazuje człowieka uczciwego, t. j. wybornego pijaka, iż sobie nie da suknie zedrzeć gdy go proszą na cześć; mówią (o tych co czystość stracili) ona śmiotanę zlizała albo on sadło zjadł (wedle kazań z XV wieku, mawiano podobnie, straciłam wianek lub pod kożuchem spałam) i t. d. Wymienimy jeszcze najdawniejszy, po Ezopie i po Kole rycerskiem (Paprockiego) zbiór bajek, Setnik przypowieści uciesznych, z włoskiego przez nieznanego nam autora, jakiegoś wielkiego pana, wytłómaczony a przez Marcina Błażewskiego ułożony i r. 1608 wydany; dziełko przytacza zawsze najpierw polskie przysłowie, dalej tytuł odpowiedniéj bajki, bajkę samą

w obszerném opowiadaniu i również obszerną moralizacyę, w trzynastozgłoskowym wierszu, jakiego dla bajek już Paprocki używał; np. Co głowa to rozum. Ojciec, syn i osieł (następuje bajka, znana choćby z Lafontaina); Bóg nie rychły ale łuczny. Orzeł i liszka; Ze złego targu z uszyma do domu; Szkoda psu białego chleba; Milczaną gdzie chcesz obrócisz; Jakby trzeci dzień z Bogiem gadał; Kto dał zęby da i chleb i t. d.; w samym tekście znajdują się naturalnie również przysłowia, np. za cyfrę (zero) jest poczytan dworzanin nie mowny; łyczkoć było (o kwaśnych winogronach liszki) i t. d.

Na chybił trafił przytoczyliśmy trzy dziełka, zamiast trzechset lub trzech tysięcy; notujemy jeszcze mimochodem, że np. Reja Krótka Rozprawa i i., rękopisy Wacława Potockiego, szczególniej tegoż Moralia i Ogród nie plewiony, obfity, nowy plon wydadzą; tak samo wszelkie dzieła polemiczne, dysputy z różnowiercami, spory o dogmata, o poprawę kalendarza i t. p. Takie np. pisemko, jak Piotrowskiego Pogrom lewartowski z r. 1592, zawiera na kilkunastu stronicach przysłowia od kart i kostek i inne, np. nasza jako rożkowa, miasto zezu częstokroć cynek ci usiędzie, boję się, że nam kostka w dobrym esie stanie, gorąco kąpany, czarny zatkać Jezuitą komin, wszędzie zajdą od spasi, chcesz zaraz w rumel i t. d.; albo Jana Białuskiego łupieże martwe i t. d. r. 1599, używa najrozmaitszych przysłów, np. znać na nim jak na murzynie mydło albo na borsuku grzebło, widziałbyś te twoje gniłki na goli, jechać z muchami do domu, wolałbym cudzić kozła niż..., kozica rzesko patrzy, trzymano o tobie jako o starych kurpiach, izaliż się nie tym więcéj szerzy jego perz nim go skubiesz i t. d. Również dosadnemi zwrotami odznaczają się pisma Smotryckiego, np. Exethesis r. 1629, gdzie między wielu innemi czytamy np. wyprawiłeś się jak skurat na ogniu (u Rysińskiego wyprawuje się by rzemień w ogniu, tak samo i u Czechów, tyle co poprawił się z pieca na łeb czyli na szyję), lub Zwierciadło Woyny Orańskiego z r. 1645, Notii pięć Łazarza Baranowicza i i.

Dalej cała literatura dramatyczna dawna, mianowicie owe intermedya, sceny komiczne po dramatach szkolnych, wywodzące często chłopów z ich mową i przysłowiami, np. Jako mówią z smyczy pies a dobry człek z żaka Nigdy dobry nie będzie jako i z dworaka; Wszak jest rytm pospolity, kto zabity ten zabity; Chceć mi się ciebie jak ciepłego chleba; Dobra nasza jak z mlekiem kasza i t. d. Również z całéj literatury satyrycznéj

i obyczajowéj, dotąd nie wyzyskanéj zupełnie, przytaczamy tylko jeden przykład, Babę abo stary inwentarz Prokopa Matlaszewskiego z Babożenic, obfitującą w przysłowia, np. Do bokowéj kości nawiększe schadzają się złości, Wół rogami baba językiem kole, U rozkosznych białychgłów pan zawsze należy, Słońce u złego wójta i w południe gaśnie, Co gospodarz wozem luśniowanym do stodół naprowadzi, to niewiasta garścią wywlecze, U ludzi nie widzisz tego, aż dopiero na własnym chlebie, Mąż żony głowa, co znaczy bez serca głowa, Błądzi tam zegar gdzie go często nakręcają i t. d.

Z rękopisów wymienimy tu choć jeden, Ces. Biblioteki w Petersburgu (sygn. Różnych języków XVII, Quarto Nr 47, ze zbiorów Załuskiego) z czasów około r. 1640. Są tam przysłowia i wiersze z sentencyami polskie, po których następują zawsze łacińskie objaśnienia, dykteryjki odnośne i t. p., np. Jak dyabeł Chomka tak jego żonka, albo Chociaj straszna szubienica Przecię złodziéj kradnie Hryca, I ty mówisz: zła niewiasta, Przecie ty z nią, choć cię szwasta i i.; między innemi czytamy co Polak, to szlachcic, co Niemiec, to kupiec, co Włoch, to rzemieślnik, co Hiszpan, to żołnierz, co Francuz, to doktor, co Węgrzyn, to zdrajca, co Mazur, to wojewoda, co cygan, to łazęka. Przy końcu rękopisu Czwartak Żabczyca (zob. niżéj) a przed tym (str. 403) Trzeciak, zbiór co trzech rzeczy w jednym wierszu, np.

Wdowa, przerwa, gościniec: ci trzéj nie chcą grodze.
Mór, głód, wojna: to troje wydziwiają srodze.
Złoto, srebro, porada: nie bywają w trwodze.

albo:

Łaźnia, wino, Kupido: ci trzéj wysuszają.
Piekło, skarb i prokurat: ci trzéj w lot zdzierają.
Malarz, poeta, gwiazdarz: trzéj wolno kłamają.

i t. d.

Z przytoczonych kilku przykładów wynika chyba dostatecznie, jak dalecyśmy jeszcze od należytego wyczerpania dawniejszéj literatury; lecz co do korzystania z téj literatury, nasuwa się nam jeszcze inna uwaga.

Książeczka, około r. 1570 z włoskiego wolnie wytłómaczona przez ks. Jakóba Górskiego, p. t. Rada Pańska, obfituje w przysłowia i sentencye, jak rzadko która; jest i dobra cytata z Reja, choć to baba

Rejowa śpiewała przedsię i to prawda Miły synu, to ma rada ucz się sprawy u sąsiada; Górskiego sentencye, osobnym wyrażane drukiem, są często rymowane, np. mowa zawdy okazuje, co kto w sercu buduje; strzeże się drugi trzeciego, nie chcąc aby wiedział o tajemnicach jego; z mistrza godnego łacno poznać i ucznia jego; cnota i godność w kim się najduje, w tym się sama rada miłuje; jako ogień wszytko pali, tak zły człowiek żadnego nie chwali; hardość gdzie panuje, tam rozum zamków nie buduje; kto więcéj przynosi, ten też więcéj odnosi i t. d., w sentencye podobnego składu obfituje i zbiór Knapiusza. Otóż w Księdze Przysłów znajdziemy kilka cytat z Rady pańskiéj, lecz najczęściéj ani śladu ich niema, oczywiście dlatego, że to pseudoprzysłowia, ukute przez Górskiego; on je w obieg puścił, lecz się nie przyjęły. Wobec setek innych pseudoprzysłów nie zachowano jednak w Księdze téj saméj ostrożności, stąd owa pstra mieszanina, obok przysłów prawdziwych tyle pozornych; właśnie dziełka, które dla Księgi zużyto, owe Flores Gamiusza, Gemmae Zawadzkiego, Adagia Żeglickiego, Żabczyc i i., zawierają częstokroć tylko sentencye, z łacińskich świeżo a źle wytłómaczone (np. nad możność nikogo nie pociągają = *ultra posse nemo obligatur* i i.) lub od autora wymyślone, jak niemal wszystkie Żabczyca, co to cały talent pisarski na układanie podobnych rzeczy wysilił, np. Ethyka dworskie i Politica dworskie (r. 1616 i częściéj), Czwartak nowy, po rękopisach i drukach (np. r. 1629), w których po trzy lub cztery rzeczy, skłonności i t. d. w dwuwierszu lub prozą omawia, np.:

To czworo rycerskiego człeka hydzi prawie:
Skępstwo, a przytym kłamstwo, nieśmiałość, bezprawie:
Iałat [1]) to a nie junak, kto niesprawiedliwy,
W życiu marny, w potrzebie tchórz, w mowie kłamliwy.

albo:

Przy paniej nie uściskać, nie urznąć palcata
W lesie, mieć chléb a nie jeść, poszło na jałata;

albo Usarzu na koń ciżma, kozakowi bót, ajdukowi trzewik, burkownikowi baczmagi (co kto obuwa); albo Kto się wadzi a nie bije, obiecuje a nie daje, powiada a nie wie, taki niepewny chłop i t. d., wszystko moralno-satyryczne przestrogi i zdania, które się wtedy tak podobały, że je nawet spółcześnie na ruski język przetłómaczono, że niejedno Rysiński i inni powtórzyli — mimo to wszystko, przysłowiami nie są i do Księgi przysłów nie należą.

---

1) Iałat, t. zn. łotr, błazen.

Również nie wszystkie uwagi i nauki, jakie np. w bajkach Krasickiego znachodzimy, na przysłowia się godzą, takim sposobem nie ostałaby się żadna sentencya ani cytata; należałoby wszystkie wliczyć między przysłowia i zasób ich powiększyć do rozmiarów potwornych. Nie przeczymy, że nie zawsze łatwo oznaczyć granicę między przysłowiem a sentencyą, gnomą lub cytatą; nie przeczymy, że sentencya i cytata zawsze w przysłowie przejść mogą; decyduje tu jedynie zwyczaj, używanie; zadaniem księgi przysłów, rejestrować tylko przysłowia, jakie *były* lub *są*, nie zaś, jakie *mogłyby* być w używaniu.

Lecz zatrzymaliśmy się już zbyt długo przy wyłączném badaniu źródeł, z których wiadomości o przysłowiach i ich stosowaniu czerpać należy; zapytajmy teraz przysłowia same, na jakiéj niwie, wśród jakich okoliczności się rodzą, jakie ich działy i różnice, jak je rozumiéć należy.

Obserwacya życiowa, wywodzenie z codziennego trybu — reguł ogólnych, z przypadków — nauk lub przestróg, gróźb lub zachęt, pociechy lub skargi, wypowiedziane krótko a dobitnie, wprost lub obrazowo, w formie sentencyi czy opowieści lub dyalogu, stanowią przysłowie. Z masy przysłów wyróżniają się najpierw *historyczne*, nazwane tak mniéj od historyi a raczéj niby ów bohater w Martwych Duszach, z którym się ciągle jakieś historye wydarzały; one obudzają najwięcéj naszą ciekawość, chociaż w istocie żywot ich najniklejszy.

Każde przysłowie „historyczne” jest jednodniówką; z faktem, zdarzeniem powstaje, z pamięcią o niém ginie na zawsze; gdyby nie literatura, zapisująca je z urzędu lub trafu, najmniéj byśmy o nich wiedzieli; twórca ich, naród, wié o nich najmniéj. Przypatrzmy się np. przysłowiom ruskim, sławnym z obfitości, z dosadności rysów, z ciętości wyrażenia — na tysiąc znajdziemy jedno historyczne, i to późne; najdawniejsze, dwa, trzy, sięgają napadów tatarskich to zn. XVI wieku; byle jaka anegdota sielska wyryje niezrównanie głębsze wrażenie w pamięci przysłowiowéj, niż największy przewrót dziejowy. Jeżeli zaś właśnie w literaturze ruskiéj posiadamy kilka najstarszych historycznych przysłów słowiańskich, zawdzięczamy je tylko sumienności kronikarza, który je w jedenastym wieku zanotował, inaczéj byłyby zaginęły bez najmniejszego śladu; i nie dziw, bo tylko nowość bawi fantazyą ludu. Obserwacye ogólne, ważne w każdéj strefie i o każdéj dobie, narzucają się pamięci jego same przez się, lecz co traf lub zdarzenie historyczne przyniosły, z trafem, zdarzeniem odchodzi; nowa fala życiowa pochłania je zupełnie. Wobec tego faktu, musi się nam co najmniéj dziwaczném wydawać, jeżeli ktoś w ludowych przysłowiach szuka mitycznych, pogańskich wyobrażeń, w ruskich przy-

słowiach odnaleziono je, „mityczne" figurują po dziś dzień na czele każdego odnośnego rozdziału po dziejach literatury, z tą samą racyą, jak nasze lelum polelum, które również za mitologiczne uchodzi, chociaż w niem tyle mitologii, co w fistum pofistum, krętu wętu, ciapugroch ciapukapusta i podobnych; nawet z Markiem co po piekle się tłucze, trafiono szczęśliwie do mitologji słowiańskiéj! i Dosiego roku tamże zabrnęło.

Niema przysłów, któreby zawierały jakieś wzmianki, wspomnienia czasów przedhistorycznych, pogańskich, pierwotnych chrześciańskich; przysłowia historyczne bywają świeżéj daty; omawiając je teraz, wybieramy naturalnie przeważnie takie, o których przed nami nie miano szczegółów żadnych, które tylko mylnie lub wcale nie umiano tłumaczyć.

## X.

Najciekawsze, powtarzamy, wydają się te przysłowia, które z jakiegoś zdarzenia, prawdziwego czy zmyślonego, domowego czy obcego, dawnego czy świeżego, z jakiejś anegdoty lub bajki urosły, pod takim obrazkiem ludzi lub zwierząt, miejsca lub czasu, przysłowie niby legenda podpisane a ujęte zwykle tak, że rozumiemy i bez obrazka, że odczepiona legenda żyje samoistnie; obrazek do téj legendy albo zawsze obecny w naszéj pamięci, albo może się z czasem zupełnie w niéj zatrzéć, mówimy wtedy, że początku przysłowia już nie znamy.

Takie przysłowia zapoznają nas z każdym stanem i wiekiem; z niemi stoimy przed tronem lub zchodzimy w pałace, domy, chałupy i kleci; w pokoju i boju, na polu i w lesie, w radzie i zwadzie, w kościele i szkole, jak się tam żyło i myślało, czuło i czyniło — kalejdoskop przysłów historycznych lub anegdotycznych przesuwa to wszystko przed naszemi oczyma. Przypatrzmyż się kilku obrazkom.

Po smacznym kąsku i wody napić się nie wadzi: przysłowie jakieś prozaiczne bardzo, filisterskie — a co za dramat za nim ukryty, godny pióra autora Hernaniego! opowiemy go jak najkrócéj, nie wymieniając nazwisk, należących do rodzin książęcych w kraju. W tatarze zamkowym, Janie Smólskim, zakochała się księżna pani; gdy związek mężowi zdradzono, uciekł tatar, bogato od niéj obdarzony; pogoń księcia schwyciła go we Lwowie i powróciła z nim do zamku; gdy go przeprowadzano przez dziedziniec zamkowy, by go utopić, stała księżna w oknie, na kolanach wzywał Smólski jéj wstawienia, ona zaś z najzimniejszą krwią owych słów użyła; była ta długo przypowieść *in vulgo*, dodaje Księga Chamów; niemal o cały wiek późniéj

Wacław Potocki, nazwisk nie wymieniając, historyę w krótkich wierszach przerobił; fakt sam egipską Kleopatrę lub gruzińską Tamarę przypomina, czyli raczéj to co o nich podania i poeci wymarzyli.

Od dramatu przejdźmy do sielanki. Przetociem nie ryczy ano go doma nie zapisał Rysiński, nie objaśnili zbieracze. W Gospodarstwie dla młodych a nowotnych gospodarzów przez M. W. z r. 1596 (pierwszego wydania nie znamy), broszurze wierszowanéj, zawierającej obszerny rozdział o kobietach i ożenku, pyta Maciek leniwą Maśkę umyślnie, czy już bydło karmiła, Maśka naturalnie odpowié, że tak, Maciek zaś jeszcze przed dwoma dniami bydło był sprzedał i wywiódł z obory, przetociem (t. j. dlatego) nie ryczało cielę ano go doma nie było, albo jak odmianka tego przysłowia brzmi, czemu krowa nie ryczy? bo jéj w domu niema; śliczne zalecenie pilnej gospodyni. W téj saméj broszurze czytamy dalej, jak głupiego Maćka Kaśka za łeb tarmosiła, on ciągle nie radzisz (nie przemożesz) wołał, aż wyrwawszy mu włosy przez próg wypadła; on całkiem dumny, że go z izby nie wywlekła, chociaż mi w poroże doczochrała. Są tu i ciekawe przysłowia, np. Kto zasiewa rad odłogiem, ten więc psie góry miewa pod brogiem, lub ostrzegając przed wdawaniem się w zbytnie utraty dłużéj panu dostanie szarłatu niźli tobie kawaszku szkurłatu i i.

Otóż tobie byśku mazia tłómaczą o byku i mażach (wozach), mylnie, bo mazia nie maża. Ponieważ Knapiusz wyraźnie zaznacza, że przysłowie odnosi się do ogólnie znanéj anegdoty o chłopie, widzimy więc w Byśku raczéj chłopa, a mazia małmazyą nam znaczy, całe przysłowie zaś tyle co masz babo reduty. Przysłowie to, przerobione w jakiém komiczném intermedyum, może się jeszcze odnajdzie; przynajmniéj w „Komedyi dworskiéj" Piotra Baryki Z chłopa król (r. 1637) w ostatniéj scenie wytrzeźwiony i obity chłop skarży się: atoż tobie nieboże Matysie mazia; w intermedyum Jezuity Rudnickiego (z końca XVII wieku) przynosi mazur „pełniuterno" mazi, zamiast małmazyi, i napełnia „bukłacek międzyrzeckiego piwa" wodą z rzeki; i w Poselstwie z dzikich pól (r. 1606) wychwalają obfitość Podola, gdzie wszystko dostanie, i „maziją tam morzem lądem woźną." Intermedya bowiem, rozwijają nieraz dane przysłowie, np. Rysińskiego żydzie kup ten kij, widzisz jako smagły, tworzy osnowę aż w czterech intermedyach XVII wieku, Skoczylas „borowy kozak" żydowi kij przedaje (drugie intermedyum w owéj komedyi Baryki; mniéj poprawnie w rękopisie chełmińskim) lub Dworzanin; oni wychwalają przymioty kija, który dodaje żonkom wiary a w szkole rozumu żakom, i zmuszają żyda do kupienia go lub przyjęcia w zastaw;

gdy żyd ze złości kij połamał, upomina się dworzanin zastawu i zmusza żyda do nowego, większego okupu. Lub z rejestru służyć: pan (lub żyd) wpada do rowu i woła pachołka by go wyciągnąął; niezadowolone ze służby pacholę, szuka najpierw w rejestrze, czy też do takiéj służby obowiązane, nie znajduje tego i pana w rowie opuszcza (opowiadają téż o mężu a żonie i teściowéj, które mężowi rejestrem obowiązków dokuczały); podobnie z rejestru czynić, gdy Hanusz na wojnę się zbrojąc, buty na ostrogi wdziewać kazał, ponieważ w rejestrze najpierw ostrogi, potem buty wymienione były. Anegdoty te znano w Polsce w XVI wieku, a w XVII częste one po intermedyach.

Nie mów królowi beszte, bo cię zetną jeszcze, znaczy, z królem szkodliwy żart, a datuje od węgierskiéj Batorego piechoty, wnoszącéj obce stroje, mustry i wyrazy do Polski; starowęgierskie, beszte (ztąd nasze besztać) znaczy bestya i nieraz po intermedyach, np. chełmińskich z XVII wieku, je spotykamy, np. w znanym jeszcze i dziś wierszu beszte bizun i t. d. (bizonya za prawdę); albo we wierszu, Uchwała dworska na Tatary r. 1614, gdzie o węgierskiéj piechocie przestrzegają, nie mów beszte bizą, o ich nędznym żywocie, jak czosneczku przegryzując przed pokojem pańskim leżą, o *uram* (mój panie!) *uram mit vadium sagwa*, złoty na tydzień odnosząc; za to porządek u nich znakomity, za najmniejsze wykroczenie patrz „byś zaś ochmalony nie był obuszkiem albo harum palcat"; gdy się na ich grabieże skarżono, miał Król powiedziéć, tyle ich zysku co w gębie odniosą.

Z chłopskiego bytu przytoczmy jeszcze dwie anegdoty, z których przysłowia urosły, choć obie obcego pochodzenia. Wie Pan Bóg czyj baran a czyja owca: „gdy pan, opowiada Brat Czeski, niósł koziołka na ofiarę, a ujrzał chłopa swego z baranem, wziął barana a dał chłopu kozła; chłop nie śmiał panu nic rzec, wszakże potém przy ofiarowaniu rzekł te słowa i tém się pocieszył, że Boga nikt nie oszuka; przetoż i teraz jeśli kto uciśniony i bez winy, winnym osądzony, może się podobnie tak przejrzeniem a wszechwiedzą boską pocieszyć." Apteka gnojkowi śmierdzi o tych, którzy dobrego i pięknego, do czego nie przywykli, cenić nie umieją, którym to wadzi, ze średniowiecznéj facecyi o chłopie, który przechodząc w mieście (Montpellier lub Erfurcie) przed apteką (dawniéj parfumeryą zarazem) ze subtelnych jéj zapachów omdlał, tak, że dopiero na gnoju go otrzeźwili. Z przywoźnych facecyi średniowiecznych powstały również dźwięk za węch, tyle co wet za wet; gdy się ktoś (wedle innych, Sowizdrzał) delektował samym zapachem pieczystego, a kuchmistrz zapłaty żądał, kazał mu sędzia zadowolić się samym brzękiem dukata;

najwięcéj doktorów na świecie, żart znany powtórzył Stańczyk za słynnym błaznem Gonellem (w XIV wieku), „który rzekł, że z żadnego kunsztu tylu by nie było co z lekarskiego i chodził tak od domu do domu" (zapiska na deskach wrocławskiego egzemplarza Kazań Pawła Zatorskiego), inne przysłowie twierdzi, nim doktór jednego uleczy, dziesiąci ich umorzy, czyli wedle Czeskiego Brata, nowy lekarz musi wpierw trzy cmentarze obsadzić, nim dobrym a doświadczonym będzie; już starożytni (Pliniusz) uczą, co u nas powtarzano, lekarza o zabój nie pozywają, lekarze mogą bez kaźni człowieka zabić. Ubogiemu wszędy piskorz, cytowane tyle razy w XVI wieku po listach, z anegdoty jak ksiądz z klechą ryby dzielili: a toż tak, tobie piskorz a mnie węgorz, albo tak, mnie węgorz a tobie piskorz, a klecha na to, a mnie przecie zawsze piskorz — podobny żart np. u Czechów, najpierw ja będę jadł a ty się przypatruj, potém ty się będziesz przypatrywał a ja będę jadł i i.

Z przysłów o miasteczkach, najsłynniejsze sprawa jak w Osieku; o niém już wiele pisano, tu przytaczamy nieznane szczegóły. W bibliotece petersburskiéj czytaliśmy broszurę z r. 1626 p. t. „Judicium Ossecense." Sprawa w Osieku, ale broszura zawiera tylko trzy sprawy osieckie w wierszach łacińskich; w spółczesnych rękopisach znajdujemy i wiersze polskie pióra Hieronima Morsztyna. Sprawy osieckie w nich takie; pierwsza o niewinnym ślusarzu, którego za stalmacha obwieszono; w drugiéj sławetny sąd nie chce kazać w lecie wieszać, bo widzowie zboża depcą, odkłada więc egzekucyę po żniwach, lecz żeby przez ten czas złodziéj nie męczył się w zimnéj a brudnéj wieży, wypuszczają go i zbierają nań datki, by żebrać nie potrzebował, po żniwach on pewnie na egzekucyę sam przybędzie; w trzeciéj jednego obiesiwszy dopiero po ortel i okazało się, że należało go ściąć; wisielcowi ścinają głowę. Do tych trzech przybywa sprawa świeża: pijany Osieczanin dał obcemu w twarz i zemknął, obcy skarży o to przed wójtem, a gdyż policzek w Osieku grosza kosztuje, uderza wójta, grosz odbierzesz od swego, ja czekać nie mogę — poczém w rękopisie (np. Różnych języków XIV, folio, Nr 9, str. 807—813) czytamy „Koniec spraw osieckich, z których ona przypowieść urosła Sprawa jak w Osieku."

Z przytoczonych dotąd historyjek i anegdot, z których przysłowia urosły, nie wszystkie, jak widzieliśmy, polskie; powstałe na obczyźnie zawędrowały do nas tradycyą ustną lub pisaną, np. przez powieści lub książki ludowe, dziś nieraz zapomniane a niegdyś belletrystykę dla wszystkich zastępujące. Fortunatów mieszek np., obok

czego Rysiński „złote runo” stawia, urósł z romansu o Fortunacie i sakiewce, do któréj tylko sięgać należało, by dobywać złotych, kursujących w danym kraju; Marchołtowe drzewo mawiano na ciągłe wymówki, bo gdy król Salomon Marchołta obwiesić kazał a za osobliwszą łaską drzewo mu obrać pozwolił, Marchołt każdemu drzewu miał coś do zarzucenia; Sowizdrzałowe żarty nazywano żarty bardzo nieskromne, wstrętne, jakie wszeteczny Sowizdrzał wszystkim broił; tu należą przysłowia pośpieszył się jak Sowizdrzał z młodziami i wiezie jak Sowizdrzał matkę, nawet życzenie (u Rysińskiego) uchowaj Boże zdrowych potraw (t. j. w aptece), wielkiego szczęścia (t. j. gdy mi cegła omal na głowę nie padła) i cnotliwéj żony kiedykolwiek, należy do „zasad” Sowizdrzała (tylko zamiast żony chowa on się mocnego napoju t. j. wody, która i koło młyńskie obraca). Z powieści o Szlarafii poszło owe już to lata nie one, kiedy z kiełbas płoty pleciono a połciami i gomółkami domy pobijano a mleko i miód rzekami płynął, lub owe w Paryżu rzeka mleczna brzegi jaglane a wół pieczony nad nią i nóż w nim. Gaszczyn testament zaś, mylnie zamiast Gąszczyn, od słynnego, za czasów Kochanowskiego Jana, błazna Gąski, A. T. (Tyszka, nie Trzecieski!) pisząc Poswarek wina z wodą o swém dziełku się wyraża, ni to Gąszczyn testament, ani tragedya.

Więcéj takich przysłów urosło z powieści ascetycznych, jakie ksiądz w XV i XVI wieku na Kazaniach z Historyi rzymskich i innych podobnych zbiorów powtarzał; np. gdzie dyabeł nie może, tam babę poszle: gdy dyabeł nie mógł ku wielkiemu frasunkowi swemu, rozerwać wzorowéj zgody pobożnego stadła małżeńskiego, podjęła się tego baba za parę trzewików, umiała w mężu i w żonie wzniecić podejrzenie, nienawiść, aż mąż żonę zabił; przerażony dyabeł trzewiki babie na długim patyku podał. Albo byś swemu psu i nogę uciął, przecie on za tobą pójdzie, wzięte z próby o wierności: żonę mąż lekko uderzył, zaraz go niecnie zdradziła; psu nogę uciął, skomląc przecież za nim pobieżał. Albo przeszłéj rzeczy nie żałuj, niepodobnéj nie wierz, o nierówną się nie kuś, tedy sobie głowy nie sfrasujesz, są te złote nauki, któremi ptaszek wypuszczony ptasznikowi się odwdzięczył i i. Tą samą drogą przedostało się wiele bajek i apologów do ludu. I ciepło i zimno z gęby mu idzie, wzięte z bajki Aviana (z V wieku po Chr.) o satyrze, który z człowiekiem nie chce się bratać, gdy widzi, że ten i na gorące dmucha i w zimne chucha (o „obojętności” t. j. o obłudzie ludzkiéj, raz tak, drugi raz siak, pomyślane); dąb się powalił a trzcina

została; węża (zmarzłego) w zanadrzu odchować (o niewdzięczności); baran wodą mąci (por. tyle mu zawinił co baran wilkowi lub łacno wilk na barana najdzie przyczynę); napominała raka jego matka, aby przed się lazł, a nie wspak, znane powszechnie z Ezopa; z anegdoty w średniowiecznym żywocie Ezopa poszło też nie wszystko jednéj głowie umiéć dano, drugim też nieco zostawić kazano (gdy panu, najmującemu niewolników, jeden że wszystko umié powiedział); z Ezopa poszło, co w Scilurusie Jurkowskiego (r. 1604) czytamy, bezpieczniejszy bór mrówce niż musze dwór strojny, bezpieczniejsza mysz leśna niż dworska w czci hojnéj (tamże o szczęściu ślepém, podobném baniom krzewistym jak prędko się wznieci, tak prędzéj się z chłodników od mrozu rozleci, co i w Setniku przypowieści się znajduje); daléj znalazł kogut perłę, chciały żaby króla, dostały bociana i i.

Żadne z tych przysłów nie jest oryginalném, polskiém, choć się niejedno znakomicie przyjęło, np. mów wilkowi pacierz a wilk woli kozią macierz (lub: a on przecie owca, baran; w czeskiém, *rci wlku paterz a on wżdy k owci* i t. d.), przyszło do nas z zachodu, gdzie po raz pierwszy, papież Urban II w r. 1096, godząc zwaśnionych mnichów i księży w Poitiers, użył go przeciw ostatnim, wyrzucając staranie o rzeczy doczesne, jako ów wilk, którego na naukę abecadła oddano, gdy mu mistrz *a* mówił, on zaraz *agnellum* (baranka) a gdy mistrz *b* mówił, on *porcellum* (wieprzaka). Inne nie przyjęły się, choć tą samą drogą szły, np. co autor Narzekania Korony z r. 1549 wspomina o kapeluszu kardynalskim, którego się biskup krakowski dobijać ma, w takiej czapce lupa gęsiom kazał, ptaki głupie społu z liszką zdradzał, gdy liszka i wilk jako pielgrzymi, w owych kapeluszach, chodziły, *lupa* — to nie p. Lupa Podlodowski, poseł sejmowy, jak wydawca domniemywał się, lecz wilk, por. w Myśliwcu Bielawskiego z r. 1595 wlawszy (wlazłszy) wzgórę jak lupka młodziuchny skowyczy. Wilka potkać szczęście, kiedy nie ukąsi, a zająca nieszczęście kiedy się nie uszczuje, to stary dowcip kaznodziei i pisarzy, którzy w ten sposób znany przesąd wyszydzali, np. Maciéj Policzansky w książce czeskiéj z r. 1613, *Pokuty a trestani* (kazanie). Polska odmianka bajeczki o kwaśnych winogronach: lis nie mogąc kiszki dosiąc rzekł odchodząc, powrózci też był albo łyczkoć było, jak w Setniku przypowieści czytamy. Niektórych nie znajdujemy, np. bity niebitego niesie i i. Natomiast zwrot jakoby o żela-

znym wilku bajał (gadał), powtarzający się już u Reja, odnosi się do powieści o żelaznym wilku (smoku) i królewiczu, który go zabija, znanéj u nas, na Rusi i indziéj; słyszy kiedy (jak) trawa rośnie (u Czechów: ten słyszy trawę rość) o chełpliwych, poszło z bajek o trzech niezwykłych osobach, o wypijającym rzekę, o nienasyconym i o słyszącym jak trawa rośnie; u Reja czytamy też, wieprz powiadają, iż kiedy trawa roście tedy słyszy (chociaż mi się tego żaden wieprz nigdy nie zwierzył).

Od pojedyńczych osób i zdarzeń pochodzą daléj liczne przysłowia historyczne; znanych powszechnie nie myślimy tu powtarzać, np. polegać jak na Zawiszy, Król dał a Gasztołd wziął (odmianka z Witoldem, co Witold dał i t. d., niemożliwa), co sobie Spytek nagotuje to pan Krakowski zje, o Gamracie i Maciejowskim, za króla Olbrachta wyniszczona szlachta, Krupa Jagłą być nie może (o prawowaniu się p. Krupy z krzyżakami, który ich nie pobije jak Jagiełło, w epigramatach polskich Jezuity Wojciecha Inesa, wydanych przy jegoż łacińskich przez Jana Borkowskiego r. 1655), plecie jak Piekarski na mękach, za króla Sasa, jedz, pij a popuszczaj pasa, akademja smorgońska, monitor Boćkowski, pustki jak po Tatarach, siedzi jak na niemieckiém kazaniu (z czasów, gdy po kościołach miejskich po niemiecku kazano, w bocznéj kaplicy po polsku, na co Ostroróg utyskiwał); podrwił świętopietrze, należałoby do najdawniejszych, gdyby je odnieść wolno do grudnia r. 1381, gdy proboszcza Gnieźnieńskiego Mikołaja ze Strosberga, poborcę świętopietrza, za zdefraudowanie i pofałszowanie kwitów w ilości 12,000 zł. na wieczne więzienie skazano, fakt, który swego czasu wrażenie wywołać musiał, zapisali go téż Długosz i Miechowita. Prawdopodobniéj jednak należy przysłowie inaczéj pojąć: wedle wyraźnego świadectwa Dyalogu o kompozycyej z r. 1582, należało świętopietrze, ze stołowém i z kolędami do drobnych i przestarzałych opłat, które wtedy już w zapomnienie przechodziły, łatwo się więc stać mogło, że ktoś podrwił świętopietrze, lub wedle innego przysłowia, pomieszał świętopietrze z kolędą.

Niektóre „przysłowia historyczne” są tylko paszkwilami, jakie chwila wywołała. Np. po ucieczce króla, donosi ks. Płaza biskupowi Kromerowi, piszą rymy rex Henricus wyrządził Polakom psi kus, w nocy obran, w nocy przyjechał, w nocy jako zdrajca uciekł. Podobnie powiadają w obozie pod Pskowem niechętni kanclerzowi Litwini paszkwil na niego, z łotra pan, z klechy pleban, żak sądzi, desperat rządzi, klecha hetmani,

Panie Boże racz być z nami: pytał brat ks. Piotrowskiego, któż żak? Bech (sędzia obożny); a klecha kto? kanclerz, wszak rektorem był w Padwi; dowiedziawszy się o tym, kazał kanclerz Bechowi odpisać na Litwę, bo od nich ten wiater leci, a każe mu pisać w ten sens, że każdy Litwin abo *b*, abo *z*; Bech się skarżył, wié dyabeł, jako to mam pisać, co ja za poeta? Również śmiano się w obozie, choć nie bardzo smaczno, gdy nikt dłużéj trwać w nim nie chciał, trębacz hasło hetmańskie trąbi — pieszczony do domu, skąpy do domu, leniwy do domu.

Przysłowia „historyczne", często linieją, t. j. przybierają wedle nowych podobnych faktów nowe też nazwy, bo człowiek odmianę lubi. Weźmy np. znane powszechnie wyszedł (wskórał, zyskał i t. p.), jak Zabłocki na mydle; odmianki jego znajdziemy niemal w każdém stuleciu i w każdéj okolicy. Najstarszą może zarobił jak Michałek na wieprzach (por. stracił na wieprzach), przynajmniéj opowiada Brat Czeski o praskim piekarzu Michale, który za króla Wacława, a więc około r. 1400, kupił od czarnoksiężnika Żyty wielkie wieprze bardzo tanio; przestrzeżony, by ich do wody nie puszczał, gdy na to pędząc je w gorąco do Pragi, nie zważał, wieprze w wodzie w wiechcie słomiane się odmieniły (to samo opowiada Srnec w zbiorku z r. 1582, wygrał jak Michał na świniach a on z tyłu bieży). Najnowszą zaś odmianką będzie może wyszedł jak Sołtan na gęsiach, znana dawniéj w Pińskiém i na Wołyniu: gdy się p. Sołtan dowiedział, że w Moskwie dobry zbyt na gęsi, wysłał wielką ich partyę (w 5-ym dziesiątku stulecia o kolejach i mowy nie było); cały zaś zysk jego był, panoczku, wsie izdochli. Podobne przysłowia odmieniają się więc wedle czasu i miejsca; był kto w XVI wieku bogaty jak Fukar, w XVIII będzie jak Teper, a w XIX jak Rotszyld; przysłowia jak: kto ma Bejsce, Podolany może siadać między pany, w każdym powiecie inaczéj brzmiéć będą, powtarzają je o Połoczanach, Kobylanach, Odolanach, Nacpolsku, Księczynie, Markowicach i t. d.

Wkładają przypowieść w usta osób historycznych nieraz w tym sensie, jakoby osoba ta autorem jéj była, co nigdy nie trafne, np. król Olbracht mawiał, że gdyby moja koszula albo sekret mój wiedziała albo go wyjawiła, zaraz bym ją spalił, inni odnoszą to do brata, do króla Aleksandra — lecz przed nimi rzymski cezar tak mówił i tak czynił. Podobnież nie rektor krakowski Marcin Wadowita (r. 1567—1641) „dał początek przysłowiu" dziękuję ci aksamicie, kłaniają się Wadowicie lub niech cię raczą aksamity, gdy nie

znają Wadowity (nie chciano znać odzianego skromnie, uznano zaś odzianego w aksamity); odpowiednia anegdota krążyła od dawna po całym świecie, nim ją u nas do Wadowity dla tego przyczepiono, że imię jego rymowało z aksamitem; opowiada ją o „Homerze" Dominikan Etienne de Bourbon w XIII wieku (skromnie odzianego nie wpuszczono nawet do pałacu, bogato ubrany otrzymał i wstęp i o co prosił, podziękował więc za to nie królowi lecz swym szatom), opowiadają o błaznach na Zachodzie i Wschodzie, powtarzają nawet o Dantem. Albo cesarzowi Zygmuntowi przypisują Czesi przysłowie gdzie nie możesz przeskoczyć tam trzeba podléźć, gdy mu się wojny husyckie nie wiodły, również czeską, pseudohistoryczną dykteryjką o powstaniu przysłowia drży baran gdy owce strzygą, przytoczyliśmy wyżéj. Przysłowia dlatego kowal ma kleszcze, żeby go nie ugarało, używali niby biskupi o swych wikaryuszach, ale mistrz Jan Hus dołożył, cóż zaś gdy czart niechając kleszcze, kowala wziął (czyli, jak u Knapiusza czytamy, powié: o kowalać mi tylko idzie nie o kleszcze), opowiada Brat Czeski. Natomiast w Przestrodze o tytułach Mac. Dargodzkiego z r. 1634 czytamy, że pewien wysoki dygnitarz o królu szwedzkim mawiał Gustaw poprawi Polakom ustaw; to może być historycznėm, jak i inne tego rodzaju.

Z czasem może się łatwo wydarzyć, że tradycya, towarzysząca pierwotnie przysłowiu, zatrze się i zaginie; nie wiemy pewnie skąd urosło np. nasza (lub nasza rzecz) jako Rożkowa; Rysiński przypomina przytém Mandrabula, wiemy zaś z Lucyana, że Mandrabul znalazłszy skarb ofiarował z wdzięczności bogini pierwszego roku posążek złoty, drugiego srebrny, trzeciego ołowiany, więc im daléj tém gorzéj; w Grzeg. Piotrowskiego Pogromie lewartowskim, t. j. o wygranéj X. Adryana Radzimińskiego *Soc. Jes.* dysputacyej r. 1592, mówią o swéj przegranéj aryanie: nasza jako rożkowa; wedle spółczesnego listu, rzeczy króla Zygmunta w Szwecyi jako Rożkowe. Czy nie należy tu wspomniéć i o Ambrożym Korczboku (herbie niemieckim) Rożku, pod którego imieniem Rej Krótką Rozprawę r. 1543 wydał? bo rzeczy, o których tam Rey traktuje, rząd, obyczaje i t. d., wszystkie iście Rożkowe, coraz gorzéj idą? Inni łączą to wyrażenie ze zwrotami: wsadzono go w kozi rożek, ledwie w kozi róg nie wlazł (gdy z kim bardzo krucho, gdy go do muru przyparto, podobnie i u innych Słowian, np. na Rusi, u Czechów *do chobotu vehnati*. Takich przysłów więcéj, np. Rysińskiego pewny by Turski z ogary a Szufnarowski z karaśmi (ironicznie, spuścić się na kogoś a on zawiedzie) i własny Pępowskiego

piesek (który za tym wnet bieży, od kogoby co dostał) — o pierwotnéj anegdocie zapomnieliśmy, lecz sens przysłowia jasny; mniéj jasny w innych, np. łępaj wałacha Parulu (nazwa rodowa), własny nieboszczyk Dąbek co w stojączki zdechł (nie zawadzi może przypomniéć, że Sowizdrzała w stojączki pochowano; przypuszczenia Darowskiego najmylniejsze); własny Trębeckiego dyabeł trudno się go skropić, znaczy może, nie skropisz tego święconą wodą (nie odbędziesz byle czém); prszto Kłysiu oto pień, wyraża pewnie tylko, stój Kłysiu, zawadziliśmy o pień. Nie brój Rachembergu przed czasem zginiesz, jasne co do znaczenia; wywody Lipińskiego i Darowskiego mylne; raczéj tu mowa o Szlązaku Janie Rechenbergu, z którym miał wielki zatarg p. Żychliński, w skardze starosty głogowskiego (do A. Opalińskiego, z 27 czerwca 1581) czytamy wyraźnie, że się Żychliński codziennie Rechenbergowi odgrażał.

Ponownie jednak powtórzymy, że odnoszenie przysłów do nazwisk lub faktów historycznych, nieraz bardzo myli. Powszechnie znany wywód wyrwał się jak Filip z Konopi (upoetyzowany z taką rzewnością przez Syrokomlę), od nieforemnego wotum jakiegoś szlachcica, upadł dawno, Filip bowiem, nazwa zająca; stroi baba firleje (kiedy sobie podleje), lub, jak w Rozmowie M. Bielskiego o kobietach czytamy, popiwszy się to stroją rozliczne fierleje, nie odnosi się do rodu Firlejów i Bony, firleje nazwa tańca, poszła z niemieckiego *virley*, *firlefei*, a to z francuskiego jak inne nazwy tańców; combrzyć za głowę (targać) nie od jakiegoś burmistrza krakowskiego, Combra, ale od miejskiéj zabawy zapustnéj, combru, niemieckiego *Zampern;* jeden do Sasa drugi do Lasa odnoszono do elekcyi Augusta i Leszczyńskiego, lecz przysłowie, bez pierwszego *do*, istniało już dwa wieki przed tą elekcyą; przybyło dnia na kurzą stopę nie od wieży na zamku Wawelskim, lecz od częstéj przenośni tego rodzaju urosło i powtarza się się po całéj Europie; przysłowia o łaźni, sprawić komu łaźnię, dać komu ścierkę po łaźni, znane ogólnie w XVI wieku (np. na sejmie będą mieć łaźnią poborce, łaźnią dać i t. d.), najdowolniéj odnoszą do Bolesława Chrobrego, podobnie spił się jak bela, do króla węgierskiego tego imienia, jakby domowych opojów nie było, bela oznacza pakę. Również i przypuszczenie, że skoro w przysłowiu wymieniono osoby lub miejscowości, ono tém samém „historyczne" i odnosi się do téj osoby lub miejscowości, byłoby najmylniejszém; najczęściéj wymienione osoby lub miejsca z przysłowiem w żadnym związku się nie znajdują, są przyczepione dowolnie,

dla rymu: fakt, z którym nasi badacze przysłów dotąd za mało się liczyli.

Od dawna układa się bowiem przysłowie w pewną miarową formę, wiersz, którego części rymem spajano; co z początku raczéj przypadkowém było, podobało się i ustaliło tak, że tworząc nowe lub przerabiając dawne przysłowia, chętnie je rymowano; dla rymów dobierano zaś, co popadło. Np. pierwotna forma przysłowia brzmi kiedy zakstą (zakwitną) kije t. j. nigdy, bo cud z kwitnącemi kijami chyba w starym testamencie z Aronem, po apokryfach o dzieciństwie Maryi lub w legendach o Madeju pojawić się może; u Rysińskiego już dorobił „kuchenny" łacinnik dla rymu *in diebus Eliae* (na św. Eliasza). Przyjechała nędza do Swarzędza wywołało kontrowersye; z dziejów miasteczka, położonego pod Poznaniem, koniecznie chciano uzasadnić przysłowie—nadmienię, że już Orzelski w makaronie (około r. 1620) o massie żydów tam zamieszkałych wspomina; niezręczne tłómaczenie Rysińskiego rzecz pomieszało więcéj; w istocie nazwa miasteczka wprowadzona tylko dla lepszego rymu; sens zaś, za swarem, niezgodą, nędza rada zawita i naodwrót; Czech mówi, *rada pani nuze do Svarova zajizdi*, podobne przysłowia gdzie niezgoda tam pewna szkoda, albo w chałupie masz swar kiedy niemasz co wsypać w gar, albo ubogie stadło i mucha powadzi.

Nie będziemy więc pytali, czy w uciekaj Marku Antoni nim cię wiekiera (pałka) dogoni, mowa o Marku Antoniuszu i bitwie pod Actium, Marek Antoni wlazł tu dla rymu, jak Piłat w *Credo;* dobrze mówił Seneka, trzymaj świnię zdaleka, data z Mikstata, to mi polityka, z Radomia do Przytyka, Mazaraki ladajaki nie bądź taki daj tabaki, mówił kleszcz będzie deszcz i t. d., wszystko to bez sensu, sklecone dla rymu; w pozna Witold po czemu funt licha oczekiwalibyśmy Wicha, Witold w polskich przysłowiach nie możebny; wara Matysku od cudzego pysku, przyjdzie kréska na Matyska; nalazła Marta Gotarta (lub każda Marta ściągnie swojego Gotarta); każda Maryna może mieć syna; każdy Walenty (lub Wincenty, lub święty) ma swoje wykręty, każda Teresa ma swe interesa, każdy Teodorek ma swój wzorek, otóż tobie Klimku guzy w upominku, mówiła Gertruda (lub chuda, ruda, Juda) jak się uda, łapaj Tomku póki na pomku, pociecha z pana Wojciecha, ale ale panie Michale, fikmik Dominik (figi migi u Jadwigi), jazda

panie gwiazda; lepszy rydz niż nic lub lepszy gil niż motyl (kuchenni łacinnicy mawiali: *melius il quam nil*). Tu należą liczne żarty zagonowéj szlachty, np. skąd waspan? z Wierzejk; to się waspana P. Bóg wyrzekł — a waspan skąd? z Popław; to się waspan popraw; mowa (głowa) kiepska, musi być z Witebska, lub też kiedy sprawa kiepska, odesłać ją do Witebska, które nam się wcale nie zdaje „niewiadomego początku"; kiepsko koło Witebska, u Orsze gorsze a u Mińsku po świńsku; o dla Boga co się dzieje za Pułtuskiem Bartodzieje; czy po prusku czy po rusku najlepiéj w Pułtusku (żartem też mówią: niegdyś był cały tusk, teraz puł tusk); tylko dla rymu dodaje się napisano we Lwowie pod figurą lwa lub Krakowie, albo mawiano za króla Leszka, powiedział król Leszek i t. d.; o wszystkich tych i wielu innych przysłowiach można powtórzyć: jechał do Wilna bo była potrzeba pilna, a dla rymu zajechał do Rzymu, do Rzymu przez Wilno bo mu w rymie pilno. Weźmyż przysłowie nie stoi lasze za nasze (z XVII wieku): nie stoi za nasze, t. j. nie opłaci, powetuje naszéj pracy lub straty, jest najzwyklejszym zwrotem dawnéj mowy, lasze więc wsunięto tylko dla rymu; strachy na lachy również nie z historyi, z któréj koniecznie je wywieść chciano, z wojen Chmielnickiego i t. d., ale z rymu urosło, zamiast prostego strachy, strachy na nas; jeżelibyśmy mimo to przysłowie do pewnego okresu odnieść mieli, przypisalibyśmy je najrychléj jeszcze czasom Zygmunta ojca lub syna, kiedy to szlachtę Tatarami i t. d. straszono, by tylko pobory otrzymać na sejmie, by wierdunek wystraszyć, jak wówczas nieraz skarżono. Biedzą się nasi zbieracze przysłów nad przysłowiem u Rysińskiego jeden Wiedeń, Praga maga, Kraków miasto, które nic innego nie znaczy, tylko co tam Wiedeń, co tam Praga — Kraków miasto, jeden i maga dla rymu dodane; nie do korda panie horda (orda) nie odbiegło w gruncie daleko od przysłów, jak: widzisz Jurku szpek na murku i podobnych; próżno w nich szukać jakiejś głębszéj treści. Podobnie w przysłowiu chłop z Dysa przedał psa żydowi za lisa jądrem tylko przedał (lub kupił) psa za lisa; ono należy więc podkupić lub przedawać (kota, lisa w worze), nie pod Dys.

Niektóre przysłowia, pierwotnie anegdotyczne, dziś tę formę zupełnie straciły, mówimy np. tylko im daléj tém gorzej, nie pamiętamy już że to baba ze wschodu lecąc tak wołała (por. czeskie u Srneca r. 1582 i i.); anegdotą było, co przytoczył wyżéj Łukasz Sa-

pieha a powtórzył Knapiusz dał mi w łeb aż sto złotych z czapki wypadło o niepewnym opowiadaczu i świadku i tyle a tyle innych.

Inną „historyczną" anegdotę czytamy w tłumaczeniu polskiém Kroniki Sarmacyey Gwagnina (z r. 1611), o Turkach, goniących uciekającego a uciekających przed odważnie się broniącym: nie darmo o nich on dawny wiersz z przypowieści złożono:

Gonił Turczyn Mazura, bo się bał zawoja;
Gdy mu spadł, rzecze Mazur: O już dobra moja;
Nie ciebiem ja się mydłku! bał ale twego pudła.
Przypadszy utnie mu łeb, pójdźże panie Kudła!

Z ludowego opowiadania urosło na współce z babą to i dyabeł źle wyszedł (chociaż gdzieindziej to samo o chłopie opowiadają) i inne. W dysputacyi Lubelskiéj z r. 1592 czytamy o przeciwniku, wykład dzierżysz jako więzień Tatarzyna (nibyś go pojmał ale on cię nie puści, por. Rysińskiego) gdzie indziej o niedźwiedziu i in.

Na zakończenie tego ustępu o przysłowiach historycznych zestawiamy kilkanaście dawnych przysłów, które więc wiekiem swym do „historycznych" zaliczyć możemy, z Rysińskiego głównie, dotąd wcale nie lub mylnie objaśnianych. Paparona gąska domator gniazdosz jest zbiorem jednoznacznych słów, bo jak paparona (nazwa herbu, gęś w polu) gąskę oznacza, tak domator gniazdosza; domator, dawniej domak, książe Sierotka nazywa się w liście ja domak hrydniej. Równy święty przestęp znaczy, ziele przestęp jest równej siły co niejeden święty, bo służy przeciw czarom i piorunom, wyciąga kości połamane, leczy zawroty głowy, posila serce i t. d; zamiast cytat z zielników XVI wieku przytoczę, co ks. Pleszczyński o Koziarach (szlachcie zagonowej w parafii Zbuczyńskiej i i.) zapisał: wielce jest szanowany przestęp, *bryonia alba*, roślina podobna do chmielu, z długim i grubym korzeniem, ulubiona roślina doli, gospodarz za nic jej się nie pozbędzie a jeżeli wypadnie jej korzenia ukopać, kładzie w to miejsce pieniądz i kromkę chleba, żeby doli nie rozgniewać; piszący to widział zadziwiającą skuteczność leczniczą przestępu (Wisła, VII, 734). Ważono miła żono u Rysińskiego, w przedmowie do przekładu Nowego Testamentu Simona Budnego (z r. 1574) czytamy: *semel iacta est alea*, Polacy mówią ważono żono. Mawiamy dziś tylko o słomianych wdowcach (*Strohwittwer*) lub o słomianej zgodzie, dawniej byle co niezupełnego pozornego, słomianém nazywano, mawiano o słomianych (niegorli-

wych) chrześcianach, Marcin Bielski w Rozmowie (wydanej r. 1587) skarżąc się na uciski starostów nad ubogimi ziemianami pisze: sieje, orze na cudzem słomiany starosta, żelazny ziemianinie tu stój końca mosta, stąd przysłowie u Rysińskiego, słomiany starosta dębowego ziemianina zwalczy. Kręci się jak lalka w wertepie, tu wertep nie „droga kręta, spadzista", lecz nazwa małoruska jasełek, szopek.

W maju się rodził harpakiem się bawi (tak w wydaniu pierwszém z r. 1618), w późniejszych mylnie harpapiem) znaczy rodził się w maju, kwiatkami, ziółkami się bawi, harpak tyle co charpak, bławat, czeskie *chrpa*. Widzę że nie peć tyle co że nie żart, peć, słowo narzeczowe, u pisarzy XVII wieku, Gawińskiego i W. Potockiego używane, dziś jeszcze znane na Podgórzu i indziej. Karlińskie książki u jurysty, są *Carolinae confirmationes*, cesarza Karola IV. Kto chce zniszczyć Bastylię niech to zleci polskim starostom, powiedział kasztelan Jezierski nie, że ci starostowie lud ciemiężyli, lecz że najwarowniejsze zamki, jakiemi oni zawiadywali, wszystkie niszczały; koncept zresztą starszy o dwieście lat, bo już u Skargi we Wzywaniu do pokuty (z r. 1610) czytamy: sąsiedzi Niemcy o nas mówią, chcesz zamek mieć pusty, porucz go Polakowi. Pobożny Luter sam zjadł jajko a ubogiemu dał polewkę przeniesione, może u nas, z pewnego świętego, który jaja na twardo gotując „polewkę" ubogim rozdawał, na Lutra. Bywszy w Rusi do domu musi może nie znaczy że każdy ciągnie do swoich, lecz raczej że zażywszy dobrego bytu na bogatej Rusi, w obczyźnie, wracać musi na piaski mazowieckie albo wielkopolskie. Namacał go po skrach (iskrach) t. j. doszedł rzeczy lub dopiekł mu, skry (iskry) nie znaczą iskier (od ognia), bo cóżby to był za sens, lecz tyle co kry, kra t. j. wszelkie nabrzmienie, stwardziałość, jak często po Lekarstwach doświadczonych Siennika z r. 1563, np. opuchnienie śledziony nasze baby zwą krą, śledziona spuchła jest kra mężczyńska, maciczna kra jest ze krwie która słusznego czasu nie wyszła i t. d. Trafił, ugodził lub przyszedł na prask nie znaczy pierwotnie, przyszedł w samą porę, lecz przyszedł na (zasłużoną) karę, na cięgi, baty (prask, praszczęta). Strzelać by w żubra nie o celnych, ale o licznych, gęstych strzałach mawiali. Dryja w Szmiglu konia wygrała a chłopa obwieszono odnosi się może do jakiej historyi z koniokradem, co to konia niby w kostki wygrał, lecz wymówka mu się nie udała. Dodamy ze Zwierzyńca Rejowego zwrot z pochwałą o niegłupim: wierz mi, on wié poczemu w Sulejowie mąka; z Obrony Chrzą-

stowskiego (1619 r.), Jezuici na dysputacye z ministrami jak na koweński miód barzo radzi pobieżą; ze zdania p. M. Smoguleckiego O Exorbitancyach (1619 r. i częściej) skarga, że jeśli się ma sprawę z jakim możnym panem, jak na Podole tak się na poroczki, na sądy wyprawować należy (tłumnie i zbrojno) by na niedźwiedź, jak o tém w Rozmowie Polaka z r. 1566 czytamy tamże świadczą, że w sądzie duchownym dekreta nie przez widzimisię Marcowe jak kostki rzucał padają (co w świeckich się dzieje, gdzie sędziowie czasem ledwie czytać umieją) i t. d.

## XI.

Zapoznawszy się z przysłowiami historycznemi i anegdotycznemi, z ich wątkami i tradycyą, z liczniejszymi pseudohistorycznemi, przejdźmyż do innych kategoryi.

Jeżeli badanie przysłów ma na celu wydzielenie z całéj ich massy tych, które, jako rodzime, lud polski, jego sposób myślenia i zasady charakteryzują, jeżeli więc najpierw co obce, naniesione, zapożyczone, uprzątnąć należy, przysłowia biblijne, z ewangielii lub z ksiąg Salomonowych pochodzące, na pierwszym planie staną. Powtarzane od XV wieku z kazalnicy, polecone świętością ust z jakich pierwotnie wyszły a polecające się same formą i treścią, utkwiły głęboko w pamięci warstw szerokich, nawet ludowych; powtarzamy je dziś na równi z innemi, nieraz ani pomnąc o ich pochodzeniu.

Wymieńmyż kilka, nie przytaczając odmianek, w które się niejedno obficie rozrosło; owe altruistyczne co tobie nie miło tego drugiemu nie czyń, niech nie wie lewica co daje prawica, jaką miarką mierzysz takąć odmierzą, nie sądź a nie będziesz sądzony, oko za oko ząb za ząb, komora przecedzacie a wielbłąda połykacie, w cudzém oku źdźbło upatrujemy w naszém balki nie widzimy; inne, jak kto mieczem wojuje od miecza ginie lub jakim orężem wojujesz od takiego zginiesz, dziecku i szalonemu miecza nie dają (szalonemu miecz w ręce), trudno dwiema panom służyć, nie zbierają z ostu (z ciernia) fig, przeciw Kosturowi (osnowi) wierzgać próżno, (źle na sztyk wierzgać), ciska perły przed świnie, lekarzu uzdrów samego siebie, na piasku budować, nikt nie jest prorokiem

w swojej ojczyźnie, wiele powołanych a mało wybranych, pragnie jako jeleń żywéj studnie, ptacy ani sieją ani orzą a téż żyją, cudzymeś wołem orał, nie godzien rozwięzać rzemyka u trzewika jego, kto bez grzechu niech kamień rzuci, od Annasza do Kaifasza (w dyaryuszu sejmu z r. 1548 czytamy, wszytcy wiedzieli iż biegano *ab Anna ad Pilatum cum tabellis*), zły jak Herod i Herod baba, nie na to światło aby go kryć pod korcem, ślepy ślepego prowadzi (obadwa w dół wpadną), wiara bez uczynków martwa, wiara i góry ruszy (por. wierzy jak w ewanielią, jak w artykuł wiary), czterych rzeczy trudno zataić ognia (w zanadrzu, por. Przypow. Salomon. 7, 25, świerzbiączki, kaszlu i kochania), co Bogu to Bogu co cesarzowi to cesarzowi; przysłowia o Judaszu (np. mina Judasza i t. p.), o dolinie Józafata, o zamieszaniu jak w Babilonie, o Łazarzu, o Adamie (stary Adam, żebro Adamowe, począwszy od Adama i t. p.), Abrahamie (pójść przed Abrahama t.j. umrzeć), Absalonie (czupryna jak u Absalona), egipskiej niewoli, silnym Samsonie, mądrym Salomonie; czasem między ostem i między pokrzywami lilja roście (z pieśni nad pieśniami, *sicut lilium inter spinas*), z świętym obcując świętym się staniesz, z dobrego drzewa dobry owoc (ze złego zły), kto pod kim dołek kopa sam weń wpadnie (kto na inszego sidło stawia sam w nim zginie), *ave rabbi* (a za płotem drabi), wlazł jak Piłat w kredo, za miskę soczewicy, a to Sodoma i Gomora i t. d. Te i podobne przysłowia należało w księdze przysłów wyróżnić dopiskiem bibl., by nie mieszać ich z własnemi, szczególniéj wiele można ich znaleść pod wyrazem Bóg.

Lecz o wiele większym jest zasób przysłów klasycznych. Przy wiekowym a intensywnym wpływie literatury łacińskiéj na umysłowość polską przeszło wiele cytat z klasycznych autorów, wiele przysłów średniowiecznej łaciny, wreszcie wiele wymysłów szkolarskich w mowę warstw wykształconych a z niéj niejedno zstąpiło i wsiąkło w lud— i te przysłowia należy od rdzennego zasobu potrącić, umniejszyć rozmiary własnego zbioru, nie stroić go w cudze pióra. Tu należą nieraz najzwyklejsze przysłowia, których forma tak polska, że się trudno i z myślą pogodzić by to miał być towar przywoźny np. przysłowie, z ust ludu nadrabskiego zapisane, w tem się polu dobrze rodzi co po niem gospodarz chodzi, jest to odmianka zapisane-

go w wieku XVI przysłowia najlepszy gnój na rolę pańskich stóp ślady a to wzięte wprost z Ekonomik Arystotelesa. Albo oko pańskie tuczy konia, w XVI wieku wprost z Ksenofonta przeniesione; jako włoskie przysłowie przytacza je Teodor Zawacki w *Memoriale* z r. 1616. Kuj żelazo póki gorące przetłumaczono z łaciny, po polsku mówiono kiedy się łyka drą wtenczas je drzyj. Starość sama choroba lub sama starość stoi za chorobę, z łacińskiego *senectus ipsa morbus*, Mikołaj Siennicki w mowie z r. 1553 wyraził się nieco inaczej: starości swéj, która sama pewnym wrzodem jest.

Najłatwiéj poznać przybyszy, jeżeli zachowali imię mitologiczne lub historyczne, rys zdradzający pogaństwo lub południowe kraje. Dwiema i Alcyd nie zdoła (lub i sam Herkules), być między Scyllą a Charybdą (srogę Scyllę minął a w Charybdę zapłynął), lwa z pazura poznać, gdzie lwia skóra nie pomoże więc się w lisią obszyć, do Koryntu przyjść nie każdemu snadnie (u Reja i Birkowskiego z mylném tłumaczeniem o trudnych do Koryntu przejazdach), fortuna kołem się toczy, fortuna ślepa, łapaj fortunę z przodu z tyłu niemasz za co (bo łysa), nie bądź mi stryjem (Rzymianie mawiali), co wolno Jowiszowi tego nie wolno osłowi, przysłowia i zwroty mowy z Homerem, Bachusem, Wenerą, Marsem, Troją, Pryscyanem, z gęsiami rzymskiemi i t. d. same o sobie świadczą dostatecznie, gdzie zaś cech takich nie ma, trzeba wiedziéć, co wzięte z Cycerona, Horacego lub innego autora.

Każdy wié najlepiej gdzie go trzewik ciśnie, przysłowie w całej Europie znane; gdy Emiliuszowi, pragnącemu rozwodu, przyjaciele wyrzuty czynili, żonę jaka piękna i dobra wychwalali, on nogę wyciągnął, na trzewik wskazał: czyż nie piękny, czyż nie nowy a przecież żaden z was nie wié, gdzie mię ciśnie. Będzie śpiewał próżny przed zbójcem podróżny, dosłownie wytłumaczone z wiersza Juwenala (*cantabit vacuus coram latrone viator*); czego się zrazu skorupa napije to się z niej potém nigdy nie wymyje (lub tém na starość trąci) z Horacego; bierze wilk i liczone przypomina wiersz eklogi, *non curat numerum lupus*; znał kto kiedy poetę trzeźwego? nie uczyni taki nic dobrego (porównać Rymopis co się wodą częstuje takowy więc nie smaczno rymuje u Knapiusza, lub odwrotnie: Gdy rymopis więc sobie podleje na ten czas wiersze najlepsze leje u tegoż i inne podobne); wolne tłumaczenia z greckiego i łacińskiego (*nihil boni paries aquam bi-*

*bens*), taksamo jak wierszopisom i malarzom wszystko się godzi i i. Jadłby kot ryby ale nie chce ogona maczać przetłumaczone z *catus amat pisces sed non vult tingere plantam*, o tém zaś jak koty chciwe na ryby i jak je łowią, pisze np. S. Aksakow (dzieła tom V, str. 161); darowanemu koniowi nie patrzą w zęby, ze słów ś. Hieronima; głód jest najlepszą przyprawą (przysmak wyborny głód i robota, głód stanie za kuchmistrza i t. p.) z Cycerona (*condimentum optimum fames*); zwyczaj druga natura z Galena; każdy kogut na swych śmieciach śmielszy (*gallus in suo sterquilinio plurimum potest*) i t. d. Znane cytaty odnajdujemy w głos ludu głos Boga; człowiek Boże igrzysko; człowiek człowiekowi wilkiem — Bogiem (*homo homini lupus* i t. d.); miło szaleć kiedy czas po temu (*dulce est desipere in loco*); mężnemu (śmiałemu) szczęście dopomaga; równy z równego się weseli (rad równemu); z kłótni dwuch korzysta trzeci lub podobne; zgodą małe rzeczy rostą a niezgodą wielkie się rozpraszają; co ma być osęką zaraz rośnie krzywo (po polsku, z młodu się tarnek ostrzy); orzeł gołębia nie lęgnie; nie dlatego żyj abyś jadł lecz dlatego jedz abyś żył; kto brzuch nazbyt tuczy nie barzo się uczy; chcesz pokoju gotuj się do boju; kogo Bóg chce skarać tedy mu rozum odejmie (*quem Deus perdere vult, dementat*); złotą wędką ryb nie łowić (przypowieść grecka); czasu szczęścia bój się nieszczęścia (*cum fueris felix quae sunt adversa caveto* w dystychach Catona); każdy jest swego szczęścia kowalem i t. d. i t. d.—wszystko tłumaczone, często i dosłownie, z odnośnych łacińskich, nietylko klasycznych lecz i średniowiecznych; słowa: ogólna, stara przypowieść, jak dawni mówili i t. p. u naszych starszych pisarzy wskazują téż częściej na przypowieść łacińską, niźli na polską.

To samo należy sądzić o przysłowiach jak sęku w sitowiu szukać (*nodum in iunco querere*); lepiéj pierwszym w mieścinie jak ostatnim (sic!) w Rzymie (Juliusza Cezara *dictum*, nie przysłowie polskie); nie wraca się nazad upłyniona woda; dwa razy daje kto prędko daje; głupie słysząc pytanie nie odpowiadaj na nie (*inutilis questio silentio solvitur*); pszczoła z kwiatów miód wysysa a osa jad (pająk jadu szuka ale pszczoła miodu i i.); nic po cierniu kiedy róża spadnie (z Owidiusza,

*contemnunt spinam cum cecidere rosae*); co komu rzecze białogłowa pisz jej na wietrze i na wodzie słowa (z tegoż, *mulier quod dicit... in vento et rapida scribere oportet aqua*); śmierć dla ojczyzny miła chwalebna (Horacy); kto mi mówi co chce, usłyszy czegoby nie rad (*qui dicunt quod volunt audiunt quae nolunt*); kto milczy zezwala (i liczne odmianki do których i kto nic nie mówi na wszystko pozwala ze znanej anegdoty średniowiecznej należy); śpiesz się powoli; prawda nienawiść rodzi (*veritas odium parit* Terencyusza); kto nie gasi ognia u sąsiada jego się ściana prędko zajmie rada, czyli, wedle słów podkanclerzego P. Myszkowskiego w propozycyi sejmowej 1564 r., kiedy u sąsiada gore tedy i u siebie trzeba się ognia obawiać; zdarto mu pypeć; garncarz garncarza nie nawidzi (zajrzy i cieśla jeden drugiemu, *figulus figulo invidet faber fabro*), słodki dym ojczyzny (cytowane i u ruskich pisarzy, np. w komedyi Gribojedowa, z Odysei); wąż pod tą trawą dyszy (*latet anguis sub herba*, tai się jako wąż pod trawą, u Reja i i.); hańba bohatyrskie dzieci (mówią Grekowie!); komuż będzie dobrym kto sobie dobrze nie uczyni (*quis enim alteri bonus si sibi malus)*; góra mysz porodziła; cokolwiek czynisz (roztropnie czyń) a patrz końca; przy starym wole uczy się orać młody (ze starym wołem młody orze społem), ze średniowiecznego Ezopa; wart czarnej kokoszy (o szalonych); kleryk na kleryku dziesięciny nie bierze (reguła prawa kanonicznego, *clericus clericum non decimat*); osieł osła skrobie; osieł do lutni; co na sercu to i na języku; niema żadnego człeka bez wady (*nemo sine crimine vivit*, z dystychów Catona); cudze wady widzimy, swe na plecach nosimy; czego kto pragnie na jawi to mu sen przed oczy stawi u Rysińskiego a osiemdziesiąt lat przedtém, u Mimera cociem na jawie żądają ludzie to we śnie widają (z dystychów Catona, *cum vigilat sperans per somnum cernit id ipsum*), krócej co na jawie to we śnie; honory często zmieniają humory (*honores mutant mores, raro in meliores*); lepsze wojsko jeleniów pode lwem hetmanem niż wojsko lwów pod jeleniem (*dictum* Chabryasza), kozła doić próżno (*hircum mulcere*); kiedy pieska biją i lewek się boi (*percutitur catulus ut leo timeat*); kóżdy Piotr dziwny; nawet jak se Pioter do dwora dostał Luter się z nieho zrobieł nie kaszubski dowcip, ale średniowieczny łaciński, por. np. Gabr. Dobrowieyskiego historya

rewolucyi niebieskich z r. 1753 (Piotr u dworu) tylko co w sieni stanął w wierze zbłądził przecie cóż dopiro gdyby był choć raz w gabinecie (*quid si diu ibi mansisset* w łac. źródle XV wieku).

Niemal wszystkie tu przytoczone przysłowia—dosłowne tłumaczenia z łaciny; książkowe ich pochodzenie zdradza się tém, że się w gruncie nie przyjęły; rzadko kto ich używał, najczęściej jeszcze gramatyk, wrażając młodzieży szacowną sentencyą łacińską a nie oddając jéj, jak należało, przysłowiem własnego języka, lecz zadowalając się, nieraz dosyć lichym, przekładem; lub poeta-humanista, np. Kochanowski, naśladując boskie wzory niewolniczo; lub autor jakiś przytaczając obcą sentencyą, np. owo Polska była niebem dla szlachty, czyśćcem dla mieszczan, piekłem dla chłopów a rajem dla żydów z długiego „napisu”, *Polonia est paradisus Judeorum, infernus rusticorum, purgatorium plebeiorum* itd.

Mądrości szkolarskiéj, żakowskiéj, podobały się jeszcze więcéj przysłowia makaronizujące, pół łacińskie pół polskie, z dźwięcznym rymem; dorabiała też ona do gotowych polskich przysłów łacinę lub na odwrót. Np., znane powszechnie *male parta dilabuntur*, po polsku (u Czechowica w Rozmowach chrystyańskich z r. 1575) nie długo się zbędzie co nie z Boga będzie, przeszło w ustach „kuchennych” łaciników—termin, znany już w XVI wieku—w powszechnie używane *male parta* do czarta; tak powstały *non omnibus omnia apta* nie wszystkim gruszki drugim jabłka; to jest panem *qui mihi dat panem* „dawna to *phrasis* łaciny staropolskiej” (w r. 1712)—i Rusin we fraszce z XVII wieku, cieszy się we Włoszech że chleb panem nazywają (a pana świniorem); mów ty ścienie *salus* zbawienie; *cum potentiori ne litiges* bo na tym nie utyjesz; *in diebus Elie* kiedy zakstą kije; *redde quod debes* albo idź do wieże; *labor* chłop, *avaritia* pop itd.

Oczywiście, że niejednę z wyżéj przytoczonych sentencyi, greckich lub rzymskich wodzów, filozofów, poetów, z naszych zbiorów wykluczyć należy; inne, które się rozkrzewiły, należałoby, jako obce, np. cyfrą *klas.* oznaczać, nie mieszać ich z polskiemi. Obok klasycznych znajdziemy daléj między przysłowiami polskiemi nie jedno ruskie. Iluż to naszych pisarzy urodziło się lub żyło na Rusi, cóż więc dziwnego, że tradycyą piśmienną i ustną przedostało się kilkadziesiąt ruskich przysłów do naszych; jeszcze częściéj natrafiamy w zbiorach małoruskich i białoruskich na przysłowia polskie, których tu wyliczać nie będziemy. Przysłowia ruskie po dawnych polskich autorach, mają i skądinąd pewną wartość. Ruska paremiografia datuje od czasów Piotra Wielkiego, starszych zbiorów — prócz pojedyńczych przysłów,

zapisanych u kronikarzy lub po okładkach rękopisów — nie mamy, otóż zapisany u autora polskiego tekst z XVI lub XVII wieku, dla historyi ruskiego przysłowia nie bez wartości; pomijamy tu przysłowia w mowie nibyto sejmowéj kasztelana Mieleszki z r. 1589 i w ciekawych nadzwyczaj listach Filona Kmity z r. 1574 do panów rad litewskich, ponieważ mowa i listy pisane po rusku (wydane w polskiéj transkrypcyi u Wiszniewskiego i przez Malinowskiego, graždanką, ale w skróceniu, w Aktach do historyi zachodniéj Rosyi). Kilka ruskich przysłów użył Radziwiłł Mikołaj w listach do Barbary i króla, któreśmy wyżéj przytoczyli; inne byłyby serdyt a ne duż (po polsku sierdziwy lub sierdzisty a nie silny; por. też serdyt i duży oberwie guzy); łacno durować koli przystępuje u Kochanowskiego (u Reja w Józefie, łacno mędrować; u Rysińskiego, łacno przebarszczać kiedy dostawa); szywrót na wywrót, aboje raboje, od terema do terema, na bezludziu i pop człowiek, cichszy od wody niższy od trawy, wilka nogi karmią i i. wzięte niedawno; starszéj daty są jeden idzie k lesu drugi czesze k biesu (Klonowic), co lach to pan, zdorowa hołowa kłobuka (kołpaka) nabudet (Petrycy), niewczas dają chleba husto kiedy zębów w gębie pusto (Rysiński); u durnej hołowy nohom bieda w broszurze Matlaszewskiego Baba i t. d. (z XVII wieku) — są i liczne polskie odmianki, przy głupiej głowie nieszczęśliwe nogi, w nogach błąd, gdy w głowie nierząd i t. p. Najdzie swadźba soroczkę, cośmy już w liście Sapiehy spotkali, powtarza się w Dworzankach Stan. Seraf. Jagodyńskiego (z r. 1621), który jako Litwin nieraz ruskich słów i przysłów używa, np. było do jedzenia, ale nie było przynuki (tamże wypisujemy: Polak żyw grochem; z chłopa pan, z klechy pleban, rzadko co dobrego i z wilka chowanego i z żyda chrzczonego i i.), zdrowa głowa kołpaka nabędzie i i. W szkolnych intermedyach XVII wieku czytamy, barada jak les a rozumu i niebyło, kalib na pańskuju mudrość nie mużyckaja chytrość, dawnob mużyki pahybli; razum do haławy idzieć, hłupi dajeć a mudry biareć, kupić nia kupić a patarhawać wolno i t. d. Że w polityce włoskiéj Jabłonowskiego (z r. 1715) często ruskie przysłowia wspomniane, powiedzieliśmy wyżéj. W Gorzkiéj Wolności czytamy: Ruś mówi, na moi hołowie niech i wuł trawu ji. W Księdze przysłów czytamy z broszurki z r. 1790 drze łozę koza, kozę wilk, lecz w Refleksyach duchownych ks. Mik. Juniewica z r. 1753, dotąd chyba nieznanej a z Baką rywalizującej książce, znajduję ustęp o sprawie-

dliwości polskiej: Jest to przysłowie W podolskiej mowie, Drze koza łozę, Wilk zaś drze kozę, A chłop dla żyda Z wilka drze skurę I wnet na lurę Do karczmy wlecze, Gdzie żydek z chłopka Jak wróbeł z snopka Kłosy osiecze; Żyda zdzierają panowie, Panów zaś drą patronowie; Patrona zasię Bierze czart na się i t. d. Nakoniec i kuku w ruku, na rachmańską wielkanoc zrobić (z mylnemi szczegółami w Księdze) i i. są ruskie, nie polskie.

Lecz i temi wskazówkami nie wyczerpaliśmy jeszcze materyi wpływów i wzorów obcych; i sąsiedztwo czeskie i niemieckie odbiło się również w przysłowiach. Więc przedewszystkiém obfitują zbiory prowincyonalne, np. szląskie lub kaszubskie, w obce przysłowła; z czeskich zachowują nieraz całe zwroty lub wyrazy, zbiory Ciencialy, Lompy i innych, np. głowa żywa kłobuka nabywa (w zbiorze Srneca z r. 1582 *hlawa żywa klobouczku dobywa*), ojciec był ściskała a syn wyskała lub ściska ściskała przydzie na to wyskała (czeskie r. 1582 *co nashromaždzil steyskal to prowrhal weyskal*, *wyskati* tyle co wykrzykiwać) i t. d., lecz i po za prowincyonalnemi zbiorkami odnajdziemy nieraz Czecha, choć nie zawsze łatwo go odróżnić; jeśli Mączyński (r. 1564) dla człowieka, któremu pstro w głowie, użył zwrotu koczki w głowie, to czeską formą koczki zamiast polskiej kotki zdradził źródło, lecz w innych razach takiego kryteryum nie posiadamy, np. nie trwam o gwiazdy. kiedy księżyc świeci (po czesku w r. 1582 *nedbam na miesic ani hwiezdy kdyż mi slunce switi*), zarobił jak Michałek na wieprzach (p. wyżéj), bliższa koszula niż suknia (u Mączyńskiego 1564 r. i i., niż kabat lub kaftan, kożuch u późniejszych, po czesku w r. 1582 *než suknie*), gdzie miło tam oczy, gdzie boli tam ręce (czeskie *kde milost tu oczi kde bolest tu ruce*) i t. d. Niemieckie poznać w tłómaczeniu, tak Rysińskiego upierz mi kożuch a wełny nie maczaj zbyt przypomina oryginał, lub rzemiosło ma złote dno, trafił gwóźdź w wierzch (z pierwszéj połowy XVI wieku), może też Zborowski nie przypadkowo użył niemieckiego tekstu, *aus dem Sattel gehoben;* lub z wielkimi panami niebezpiecznie wiśnie jadać, bo pestki w oczy rzucają; dwie baby a jedna gęś gotowy jarmark i i. Charakterystyczne dla polskiego zbioru przysłów są, przy stosunkach naszych nieodzowne, żydowsko-niemieckie i żydowsko-polskie przysłowia i wyrażenia, *pikes Małachowskes*, *gib łapkes Malinowski* (o przechrzcie) i inne z mowy potocznéj. Nadmieniamy jeszcze, że szląskie nimasz wsi bez kiermasza a stadła bez kłopotu, skrócone z czeskiego, *neni toho kosteliku aby*

*w niem jednau do roka poswiceni nebylo ani toho manželstwi aby se w niem neco odporneho neprzihodilo;* nie ma za czeski Filipa w głowie, czeskie *nemiti Filipa* (o głupim) i i.

Osobny dział przysłów, meteorologiczny, przepowiednie urodzajów lub pogody wedle pojedyńczych świąt dorocznych i jakichkolwiek oznak, również nie polega zawsze na własnéj obserwacyi ludowej; po części i to towar przywoźny z zachodu, od Czechów i Niemców, z kultem świętego i z łączonymi z nim zwyczajami i zabobonami lub przesądami, przychodzą i przepowiednie, niestosujące się nieraz do naszego klimatu a po reformie kalendarzowéj opóźniające się o dwa tygodnie, np. jak na całym zachodzie tak i nas Święta Łuca dnia przyrzuca lub święto Łuci noc króci, chociaż dziś tego o 13 grudnia bynajmniéj twierdzić nie wypada. Wystarczy wziąć do ręki byle jaki zbiór takich „*Bauernregeln*", np. niemiecki Reinsberg-Düringsfelda (*Das Wetter im Sprichworte*, 1864) lub angielski Swainsona, *Weather folklore* (1873), żeby się przekonać, jak ogólnie te przepowiednie powtarzają się, jak mało między niemi oryginalnych; dla ich odrębności polecałoby się może, wydzielić je z całości Księgi przysłów i w osobnym dodatku zestawić; reguły te wkraczają nieraz w dziedzinę prostego przesądu; ulubiona ich forma, rymowana. Przykładów nie przytaczamy, odszukać je można w Księdze łatwo pod nazwą świętego lub święta; dodamy tylko, że już w XVI wieku skarżą się, że „już nam chybieją one wszytkie praktyki gburskie" o czasie i pogodzie, jakie od przodków za pewne uchodziły, przypisują to karze Pańskiéj za skąpienie przeciw kościołowi (Dyalog o Compozycyey r. 1582).

## XII.

Dobijamy do brzegu.

Rzućmy jeszcze raz okiem na drogę, którąśmy przebyli. Zaczęliśmy od dziejów paremiografii; pytaliśmy, dlaczego i od kiedy zaczęto u nas przysłowia spisywać i objaśniać; przystąpiliśmy do źródeł, do mów sejmowych i listów prywatnych XVI wieku, by z nich czerpać materyał, po części nieznany; wskazaliśmy dawne książki i rękopisy, z których materyał uzupełniać należy. Zwracając się do przysłów samych, wydzieliliśmy tak zwane historyczne, t. j. przysłowia łączone, istotnie lub pozornie, z pewnemi faktami, miejscowościami lub osobami; daliśmy dla nich wyjaśnienia, ogólne i specyalne; nakoniec wykazaliśmy obce żywioły w naszych przysłowiach i zbiorach, głównie biblijne i klasyczne, nieco ruskich, czeskich i niemieckich. Uprzą-

tnęliśmy tém drogę ku dalszemu badaniu, chcąc bowiem z przysłów wyrokować o ludziach i stosunkach, należy przedewszystkiém usunąć, cokolwiek z obczyzny naleciało.

Jakiż kierunek dalszego badania?

Zwykłe systematyzowanie przysłów niezupełnie do celu prowadzi. Dotąd bowiem, kto nie grupował przysłów wedle prostego szyku alfabetycznego, ten rozbijał je na działy i szemata dobre chyba dla etyki lub katechizmu, zestawiał osobno przysłowia o Bogu, o obowiązkach względem bliźniego, o gościnności, o przyrodzeniu i ćwiczeniu, o doli i niedoli i t. d.; działy takie można dowolnie pomnażać, mimo to zasób przysłowiowy z trudem się w nie układa, a zwroty przysłowiowe całkiem z nich wypadają.

Proponujemy inny układ, jakiego już zresztą, jeśli się nie mylimy, Komeniusz przed nami użył. W naszych oczach charakterystyczne nietylko to, co przysłowie oznacza, poucza, lecz i to, kto przysłowie stworzył i w jakich okolicznościach, czy rycerz, czy rolnik, czy żak, czy rzemieślnik, czy strzelec, czy pastuch, czy ksiądz, czy kupiec, w wiekach dawnych, czy nowszych, w domu, czy na obczyźnie? W naszych oczach staje się przysłowie bezpośrednim świadkiem historycznym, nie ze względu na wiekową mądrość i obserwacyę codzienną, jakie wyraża, lecz ze względu na okoliczności, wśród których samo powstało, o których więc świadczy. Zadowolimy się kilku wskazówkami.

Kto chce określić ducha przeszłości, niech się między innemi zastanowi nad licznemi przysłowiami, że tak powiemy, r y c e r s k i e m i. Nie myślimy ich tu wszystkich wyliczać; ograniczmy się do kilku, wziętych z doświadczenia i obserwacyi jeźdźca; wiek XVI w nie obfituje, jak żaden inny, dowodząc, jakiego znaczenia rzemiosło rycerskie zażywało. I tak należą do najzwyklejszych przenośni „wsadzić kogo na barzego” albo na „bystrego” t. j. konia (dodać animuszu, rozumienia o sobie), odwrotnie „przysiodłać komu dobrze, wyjeździć go, odpiąć mu popręg”; „mówić z swoich koni” t. j. od siebie, niby na owych konnych sejmach, należących więcéj do tradycyi niż do historyi; na kieł wziąć; zarozumiałych często „z inochody zbijają” albo „z jednochody zsadzają”, radzą im „bachmaciego”, nie zawsze bystro, „bo komu inochody nie sstawa więc grędą”; chociaż znowu nie należy się wszędzie zbyt kryć, jak my z własnym językiem niegdyś, że nic o nas nie wiedziano, że nam „jakoś w tym barzo inochody nie sstawało”; niepoprawni zawsze „wstępują w stare strzemiona”; innego chcą u króla tak z siodła zsadzić, „jakoby i strzemienia potém nie dosiągł”; innego nie wstrzymują, „nie na krok ale w cwał mu przypuszczając”;

inny na nieprzyjaciela „wędzidło gryzie”; „na chromym do domu” radzą; tu należą zwroty i przysłowia od munsztuku, poboczy, krygu i t. d.

Przeciw rycerskim najsnadniéj wystawić warsztatowe, od rękodzieł i rzemiosł pochodzące, np. „siedm rzemiósł czternaście nieszczęścia”, „po snaści (narzędziach) rzemieślnika poznać”, przysłowia o szewcach, krawcach i t. p. O wiele liczniejsze są przysłowia gospodarcze, od pojedyńczych przyborów począwszy do całego domostwa z oborą i polem, gumnem i łąką; na niektórych można wyśledzić pewne zmiany w wiekowym trybie gospodarczym, np. koza odgrywa w przysłowiach o wiele większą rolę, niżliby z rozmiarów dzisiejszego jéj chowu wnioskować można; nietrudno przypuścić, że chów tego, dziś żydowskiego dobytku, był niegdyś znaczniejszy; na kozę—więzienie (siedzieć w kozie i t. p.) wpłynęło też obce *kloza*, więzienie, częste w XVI wieku; również w przysłowiach łowieckich znajdziemy zwierzęta, które już dawno łowić przestano, np. żubra i tura. Jak ptasznictwo i rozmaite tegoż rodzaje w XVI wieku były rozpowszechnione, jak ogólną a ulubioną rozrywkę, dziś prawie nieznaną, stanowiły, dowodzą liczne przysłowia ptasznicze, gęste u Reja, ale i u innych autorów nie rzadkie, np. dudka za wiechą łowić (o głupim), zlecieli się jak ptacy do cudzéj pszenicy, rozbieżeli się jak ptacy, w ptaki skoczyć (dać się uwieść), skrzydła lub barki im opłonęły, złowiłby nas jako ptaki na lepie, trudno sklabiony (spłoszony) ptak potym wpędzić w siatkę, siedzieć na sparze i t. d.

Gdy tak ci ludzie nie między murami domu lub miasta, lecz na wolném powietrzu żyją, nie dziw, że nawet rybackie przysłowia i zwroty w mowę ich wsiąkają. Tu należą znane ogólnie: przed niewodem (sakiem, siecią) ryby łowić, w odmęcie ryby łowić, dnem chodzić jak okuń, w kacerz (sieć) wpędzać; ulubiona gra słów z wiersza (siecią) i wierszami (np. w epigramatach Inesa: bez płotek albo plotek wiersze nie bywają, lub, główne ryby w wierszach nie bywają i t. p.), zrzucić jak żabę z wierszy i i.; lecz osobno warto wspomnieć o jednym terminie, pierwotnie rybackim, dziś ogólnym. Nasze z g o n, znaczy dziś tyle co s k o n, mówimy o przedwczesnym zgonie człowieka, zgon jego zasmuca nas i t. p., już w Potrójnym Cieklińskiego z r. 1597 czytamy o starcu: jużem ja na zgonie jest niemal wieku swego. Tymczasem zgon lub zgona, termin rybacki, znaczy spędzanie, zganianie, ryb do sieci; gdy więc ryby na zgonie, już z niemi krucho, stąd urosła przenośnia, np. Przylepski opisując w Dysputacyi Lubelskiéj z r. 1592 jak nowochrzczeniec Niemojowski naciąga racyi (chociaż mu więcéj „niż zgniła bednarzowi obręcz trzeszczy”) dodaje, widząc, że mu już na zgonie i do sieci go przypądzają; ks. Baranowski

usprawiedliwia się przed Opalińskim, że mu nic nowego donieść nie może, bo na tej zgonie więcej człowiek u kałamarza tkwiał i t. d.; stąd zgonny, o toni (sieci) „na zgonnej toni” o ostatecznej zgubie lub trwodze używają Rej, Bazylik (w Szkanderbegu) i i.

O wiele znaczniejszą rolę odgrywa naturalnie myśliwstwo z ogary i sokoły w żywocie ziemiańskim, stąd w mowie i literaturze ziemiańskiej XVI i XVII wieku te liczne przenośnie, porównania, zwroty, przysłowia łowieckie; nie myślimy ich tu wyczerpywać, zapiszmy mimochodem takie jak „sokół niełowny za prostą kanią stoi, gdy sokół spieszeje bije go i wrona, biada tej kokoszy, na któréj jastrzęba zaprawują; młodzik niewolnik, maiż towarzysz, ćwik pan (gatunki sokołów)” albo „daleko kęsy zająca, o szaszku i legawém polu, zbić z tropu; iż Polak jest teskliwy a wielki zabawca na tropie, pisze Rej o ziomkach, których uwagę lada co odwiedzie, zabawi; jakoś sieci miotał tak ci skolić będą — ogary; jako może legarta ciekawy celować—o psach” i t. d.

Również mnogie i charakterystyczne przysłowia od gier, tańców, zabaw, owe trafić w rumel (u kart), od kostek i kutów, od gier towarzyskich, jak sitko lub siewka, od tańców, gdy komu „bębenka podbijają”, skarży się Górski w Radzie pańskiéj, że umieją tylko tańcować, a przecież żal się Boże tym tanecznikom, dobrze grają, nie ugoni żołnierz drzewcem tego (np. starostwa), co drugi doskoczy dziurlą. W Zielone Świątki wychodzą mieszczanie za miasto strzelać kurka i obierać króla kurkowego, więc powiedzą u Reja o Józefie, jakoby kurka strzelił chodząc się nadyma i t. d. Król Filip, pisze tenże Górski, który pół świata rządzi, jako panna siedzi, nic nie czyni, rada wszytkie rzeczy opatruje: dla historyi kobiety polskiéj i to nie bez znaczenia.

Na dawne barbarzyństwo, karzące (powtórzone) złodziejstwo szubienicą, wskazują przysłowia „od łyczka do rzemyczka, od rzemyczka do stryczka, od rzemyka do kozika, od kozika do konika a potym na szubienicę”, a jak Rej się wyraża, złodziéj ma wiedzieć, iż pewno będzie na skrzypcu albo na gałęzi. Tu wspomnimy jeszcze o dwóch innych karach obszerniéj, ponieważ w literaturze XVI wieku ciągła o nich mowa, wzmianka lub aluzya, których nowsi wydawcy i czytelnicy zwykle wcale nie rozumieją; mówię o c i ą g n i e n i u k o t a i r z e z a n i u s i ę w k o s z u, niezapisanych i w Księdze Przysłów, chociaż kilkadziesiąt razy się powtarzają; inne kary, jak wybicie płucami, wyświecanie z miasta tym razem pomijamy.

Lżejsze winy lub przestępstwa karano u rzemieślników rzezaniem się w koszu, u dworzan, szlachty, ciągnieniem kota; obie kary były na

całym zachodzie rozpowszechnione, znajdujemy je w Anglii *tear the çat* (u Szekspira), w Niemczech (np. u satyryka Fischarta, *wer da ist am meisten schwach, der zieh die Katz dann durch den Bach*, inne cytaty zobacz u Grimma w słowniku pod wyrazem *Katze*). Rzezano się w koszu—karano tak np. kradnących owoce lub jarzyny, najczęściej zaś piekarzy za złe lub zbyt lekkie pieczywo — tak: nad wodą lub moczarem wystawiano słup z poprzeczną belką, z której zwieszano w koszu winnego; w Pradze np., koło mostu nad Mołdawą stała taka niby szubienica, z któréj np. piekarzy zanurzano w rzece po kilka razy; indziej albo wymykano z pod niego dno kosza albo zostawiano w koszu winnego dopóty, póki się nożykiem nie oderznął i w błocie nie popluskał; ztąd urosły też nasze zwroty zostać (ostać) na koszu i i.

I przy ciągnieniu kota główną rolę odgrywała woda: winnego opasywano powrozem i przeciągano mimo wszelkiego oporu przez wodę lub błoto— obok kary bywały też takie zapasy o zakład, kto silniejszy, kto kogo przez wodę przeciągnie; wzmianka o kocie jest tylko figuralną, chociaż pierwotnie, może dla większego ośmieszenia, i kota do drugiego końca powrozu przywiązywano i tak z nim, jak by to kot ciągnął sam, winnego wleczono (czeskie *Kocura tahati* niemieckie *Strebe katze ziehen* i t. d., stąd unas jeszcze znany zwrot, koty z kim drzeć, spierać się z nim, iść na udry. Kara więc kosza i kota była dosyć dotkliwą, okrywała przedewszystkiém śmiesznością i dla tego się jéj tak obawiano i tak nią grożono lub szydzono. Kilka przykładów rzecz wyjaśni.

Między fraszkami Kochanowskiego czytamy jednę o Mikoszu:

Mikosz kota przeciągnął, Jan się rzezał w koszu,
I rzecze ten pośledni: Powiedz mi, Mikoszu!
Wówczas, gdyś kota ciągnął, albo snadź kot ciebie,
Gdzieś był stryczków tak prędko dostał ku potrzebie?
Mikosz na to: Dadzą mnie powrozów, gdy proszę,
Bo pięknie wysuszywszy cało je odnoszę;
Lecz ty bracie inaczéj z ludźmi się sprawujesz,
Pożyczywszy porzeżesz wszytko i popsujesz

Albo w Sobótce, trzecia panna śpiewa:

Wystąp ty, coś ciągnął kota,
A puść się na chwilę płota;
Uchowa cię dziś Bóg szkody,
Bo tu opodal do wody.
Ciągnie go drugi na suszy,
Tobie trzeba aż po uszy;
Nieboże mój! kto cię zbłaźnił,
Żeś tak srogie zwierzę draźnił?

Nie znasz ludzi co przed kotem
Pierzchają nawiętszem błotem
A na jego głos straszliwy
Ledwie drugi będzie żywy...
Zły z nim pokój, gorsza zwada
Jeszcze i dziś strach sąsiada...
A może być i w tem stadzie
Co już myśli o zakładzie.

Jeszcze częstsze wzmianki u Reja w Figlikach np. opowiada o jednym co kota ciągnął; siedział on sobie zadumany a obok zaczął inny żałować, że twarda zima zwierzynę przerzedzi, rysiom wprawdzie, zdbiom i wiewiórkom ona nie zawadzi, te sobie wszędzie po szelinie skaczą—tu szepnął nasz rycerz do sąsiada, patrz co to szalbierz, już wiem co on chce powiedzieć, jakoć załawia by wspomionął kota. W dyalogu dla dobrych towarzyszów, Kot ze lwem, kot chlubi się przed lwem, jak jeden z przodków iego „u Jacymirza zbodł był czystego rycerza" i t. d. W Żywocie Józefa Zefira mniema, że Achiza błądzi co do Józefa, i ty wierz mi ciągniesz kota i t. d. O. Strumieński w sprawie stawów (r. 1573) mówiąc o sługach i panu wyraża się, a pan w tej mierze barzo ciągnie kota (myli się ze swą stratą); Marcin Bielski w Rozmowie dwuch baranów, ostrzegajże się mężu byś nie ciągnął kota, i w Sejmie niewieścim, chocia przed drugim stoi służebników rota wżdyby nalazł takiego coby ciągnął kota. Paprocki poświęcił w Kole rycerskiém dwie oryginalne bajki (120 i 121) ciągnieniu kota i rzezaniu kosza, lecz wierny alegoryom i wprowadzaniu mówiących zwierząt lub żywiołów, zmienił nieco ich znaczenie: „chłop" (dworzanin) chcąc kota u pana z łaski wysadzić wyszydza go i wyzywa; pan spuszcza obu do boju i widzimy na rycinie, jak kot przeciąga chłopa przez wodę; nauka, strzeż się małego lekceważyć, wspomnij Dawida i Goliata. W drugiej bajce kusi błoto wiszącego nad niém w koszu chłopa, aby się oderżnął i złota z niego do woli nabrał, upadnie miękko—głupi chłop usłuchał, zwiedziony żądzą zysku. Piotrowski w liście do Opalińskiego mówi, że dalej musi kota ciągnąć (być w próżnej stracie); A. Tyszka w Atalancie (z r. 1617) wspomina o tym, który ma zakład przegrać, co się przez potok miał przeciągać z kotem i t. d.

Oto próby rzeczowego komentarza do dawnych przysłów. Lecz nie rozszerzając go dalej powtórzymy, że przysłowia nie wyjawiają nam tylko wiekowych obserwacyj i doświadczeń; one staną nam nieraz same za dzieje kultury ojczystej: należy tylko umieć w nich czytać, nie gardzić żadnym, choćby najdrobniejszym szczegółem; nawet takie jak np. pali jak cynamonem (t. j. skąpo opala) i cynamo-

nem w piecu pali (o bogaczu) zawierają rys historyczny wskazują XVI wiek, kiedy cynamonem rzeczywiście dla zapachu palono.

Lecz nietylko treść, i sama forma przysłów zasługuje na uwagę; przedewszystkiém chodzi o ustalenie najdawniejszego ich brzmienia, zmienionego nieraz już u Rysińskiego a jeszcze znaczniej u późniejszych, o porównanie z przysłowiami pokrewnych języków, mianowicie czeskiego i ruskiego.

Podobieństwo naszego przysłowia bowiem z czeskiém lub ruskiém nie dowodzi bynajmniej zapożyczenia, chyba że podobieństwo zbyt rażące i odnosi się do niepolskich szczegółów językowych lub bytowych; mamy więc i przysłowia oryginalne polskie a mimo to niby odmianki do czeskich lub ruskich. Np. kocieł garcowi przygania a oba smolą, czeskie *hrnec kotel kara czerna sta oba*; albo nowe sitko na nowym kołku wieszają (u Rysińskiego, lepiej np. w Teologii szkolnej W. Wcisłowskiego z r. 1742 nowe sitka na kołek stawiają a precz stare za piec zarzucają), czeskie *za nowa rzeszatko powiesi, stare pod lawicy hodi* (ztąd szląskie u Cinciały, nowe rzeszotko itd.), bojąc się wilka albo przed trzaskiem do lasa nie iść, czeskie *kdo se chrzestu boji ne chod do lesa*; i wilk syt i owce całe — *dobrze bywa gdyż su wlcy syti a kozy cele*; nosi wilk ale poniosą i wilka — *dotud wlk wlaczi aż ho taki powleku*; o wilku mówią a wilk przede drzwiami — *wilka mini a wlk za humny*; trudno wilkiem orać — *darmo wlkem worati*; urostą wilczkowi zęby — *take sztieniatkum zuby dorastaji*; wilkowi owcę poruczono — *porucz wlku berana*; każda liszka swój ogon chwali — a błazen cepy, dodaje Czech; nie dał Pan Bóg świni rogów boby bodła — *aby netrkala*; chuda fara sam pleban dzwoni — *sami mniszi zwoni* i t. d.

W taki sposób dałyby się zebrać i przysłowia wspólne ludom słowiańskim; pokazałoby się, jak ich niewiele. Ustalonoby daléj formy pierwotne, w tradycyi często rozchwiane, gdyż przestarzały zwrot, mniej zrozumiałe słowo zastępują innym a nieraz bez téj przyczyny podstawiają dowolnie nową rzecz lub imię i psują pierwotny układ; nakoniec forma gminnieje w ustach rubasznych nieraz tak dalece, że jéj już i powtórzyć drukiem nie wypada. Więc dawniejsze przeciw prawdzie rozumu nie, trafne motto ksiąg u starego Bielskiego, lub mądréj głowie dość dwie słowie zmieniają się na przeciwko prawdzie rozumu nie masz, mądrej głowie dość na słowie; obok dawniejszego wymknął go jak filipa z konopi nowsze wyrwał się jak filip z konopi;

w dobry żart tymfa wart starą nazwę monety zastąpią inną (dukata itp.); w nie dał Pan Bóg żabie rogów boby bodła żaba najniesłuszniej miejsce świnki zajęła itd.

Otóż z tylu rozmaitych stron możnaby badać przysłowia, lecz głębiej po wskazanych ścieżkach nie myślimy się puszczać — i tak już praca nasza przekroczyła granice zakreślone jéj pierwotnie. Zaznaczymy tylko, że wszelkie badania tego rodzaju umożliwia teraz świeżo wydana Księga Przysłów Polskich pana S. Adalberga; że zyskaliśmy w niej nareszcie trwały podkład polskiej paremiografii, jakim literatura innych języków słowiańskich potąd szczycić się nie może; dzieło jego nie jest wprawdzie skończoném, dla wieków minionych znaczne w niém luki i tłumaczenia nieraz mylne; brak wielu potrzebnych wskazówek; lecz wszystko wynagrodzone sowicie tém, żeśmy się doczekali nakoniec obfitego i starannego zbioru ułożonego najtrafniej, do którego łatwo wnosić uzupełnienia i poprawki; nam samym stało się pojawienie tej książki pobudką, by zredagować i skontrolować materyał własny, dawno przygodnie uzbierany. Pracownikowi zaś, który z zaparciem własnej osoby całe lata mozolnego trudu bezinteresownie dziełu poświęcił, należy się najwdzięczniejsze uznanie; o co się przed nim inni, bogatsi w zasoby i środki, próżno kusili, dokonała, w krótkim stosunkowo czasie, jego nie znużona wytrwałość.

Lecz zapyta może w końcu czytelnik, czyż zasługują te lakoniczne, nieraz trywialne, zdania i uwagi na tyle czasu i miejsca, na tyle zachodu i pracy, jakie im poświęcono?

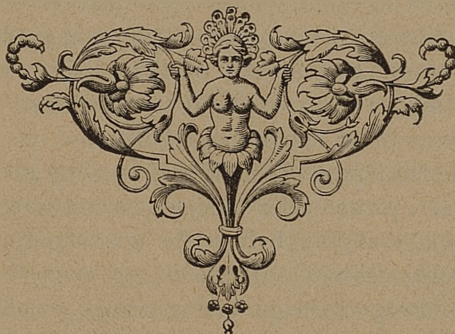
Odpowiedź łatwa. Nie ma się co łudzić, z całéj literatury ludowéj przysłowia część jéj najoryginalniejsza, właściwy skarb umysłowości narodowéj. Zagadki lud sam przeznacza głównie dzieciom; w bajkach, klechdach i powiastkach nigdy nic oryginalnego nie bywało, motywa wszystkie obce, tylko wyrażone własnym językiem i czasem oryginalnie splecione; wątek pieśni epicznej, balady czy legendy, również zapożyczony; pieśń liryczna wylała się z własnego uczucia, z przepełnionego serca, ale tém samém odpowiada tylko pewnéj chwili, pewnemu nastrojowi. Obok indywidualnéj pieśni lirycznéj, staje więc przysłowie jako stały i ogólny wyraz stałych i ogólnych stosunków, wyłączywszy wyżéj pierwiastki obce zaznaczamy tu tém usilniéj rodzime jego cechy, na których psychologią ludu najpewniéj oprzeć można.

I nasuwa się jeszcze uwaga: wobec głębokiego rozdwojenia między literaturą ludową a literaturą klas wykształconych stanowi właśnie przysłowie pole, na którém wszelkie stany i warstwy się schodzą i zlewają; wyżej wskazywaliśmy, jak każde rzemiosło, rycerskie czy

gospodarskie, uczone czy warsztatowe, wnosi do ogólnego skarbu właściwe sobie zwroty i uwagi; trafność i siła ich decydują, czy się powszechnie przyjmą, bez różnicy stanu, płci lub wieku, od którego wyszły lub do którego się odnoszą, przysłowie nie jest tylko gałęzią literatury ludowéj; ono należy do narodu całego, jako skarb, którym szczycić się warto. W mniéj słowach więcéj wyrazić, niepodobna; antyteza umożliwia ujęcie charakterystyki ludzkiej w kilka wyrazów, takie jak m a c h l e b r o g i a n i e w o l a n o g i; b a b k o, d z w o n i ą — n i e s ł y s z ę, b a b k o, g r a j ą — c h a, c h a (liczne odmianki, zwykle dłuższe, np. Bartosz ano dzwonią do kościoła—nie pójdęć ta, niemam ci butów, Bartosz ano graju w karczmisku — toć choć matusine buty wezmę a pobiegnę itp.) i tyle a tyle innych mogą uchodzić za wzór lakonicznego a trafnego wyrażenia wiekowej mądrości.

Oto główne przyczyny, dla których nad przysłowiami zastanawiać się warto, dla których je cenić należy.

*A. Brückner.*



# Rozwój pieniężny.

(Dokończenie).



Formy ewolucyjne. Pieniądz powstał na tle wymiany towarów w czasie, w którym nie może być jeszcze mowy o znaczeniu jego jako płacy roboczéj, kiedy pracujących wynagradzano w naturze. Był on niegdyś wprost przedmiotem użytku, ogólnie pożądanym. Do pojawienia się pieniądza potrzeba, by taki przedmiot użytku, przy odpowiednim stopniu rozwoju społecznego ludzi, był w stanie zaspokoić jakąś powszechnie istniejącą ich potrzebę, oraz by go możliwie łatwo było przechowywać i przenosić z miejsca na miejsce. Rzecz prosta, że takich przedmiotów użytku było wiele a występują one na arenę dziejową nieraz równocześnie. Działo się to w myśl zasady, obowiązującéj dla żywiołowego rozwoju biologicznego, wobec któréj nowe formy rozwijają się z dawnych, mających całkiem odmienne przeznaczenie, dzięki jedynie warunkom, pozwalającym odgrywać im jednocześnie i inną rolę (tą drogą np. rozwinęły się płuca z pęcherza płucnego). Embryon pieniężny można odnaleźć z chwilą pojawienia się najpierwotniejszéj wymiany, w postaci przedmiotu najbardziéj wymienianego. Wyłonienie się ostatniego, ułatwiając wymianę, musiało wpłynąć na większy jéj rozwój, co się odbiło na produkcyi i urządzeniach społecznych, wszystko zaś to odbywało się na tle rozwoju pojęć ludzkich, które występować mogą zarówno w charakterze przyczyny jak i skutku. Wszystkie te zmiany, wywołane rozwojem właściwości wymiennych pewnych produktów, musiały, dzięki osiąganym stąd ko-

rzyściom, oddziałać na dalsze ich wzrastanie, aż nareszcie niektóre z nich wyspecyalizowały się jako towary przeważnie pośredniczące w wymianie innych.

W charakterze takim występują woły (Grecya starożytna), skóry zwierzęce (Słowiańszczyzna. Pęk ich zwał się grzywną i nazwa ta przekazaną została pieniądzom metalowym), krusze soli (Polska), metale i t. d., jedném słowem przedmioty, które każdy chciał miéć, a wskutek tego łatwe do wymienienia w potrzebie na wszystkie inne. Z procesem powyższego specyalizowania się tych przedmiotów użytku łączył się rozwój pojęć o nich człowieka. Dawniéj np. na pojęcie wołu składała się suma wyobrażeń o smaku, woni i kolorze jego mięsa, użyteczności skóry, sile pociągowej i t. d., t. j. o jego fizycznych właściwościach, ale z chwilą, gdy stanie się on towarem pośredniczącym, z widokiem jego skojarzą się pojęcia o wszystkich innych zań wymienianych, jak o zbożu, odzieży, winie, złocie, niewolnikach i t. d. oraz o stanie zadowolenia, jakie daje posiadanie wołów, zabezpieczające byt, wywyższające posiadacza w hierarchii społecznej, dające szacunek, honory, poważanie i t. d. i t. d. Siła zaakcentowania w umyśle człowieka tych różnych pojęć staje się zależną od stopnia zapanowania stosunków wymiennych i od szerokości związanych z niemi przejawów życiowych. Gdy np. potrzeba wymiany wołu na inne produkty będzie dość rzadką—w pojęciu o nim wystąpią najwyraźniej wyobrażenia o użyteczności jego cech fizycznych, w przeciwnym zaś wypadku, górować będzie świadomość właściwości wymiennych i płynących stąd korzyści.

W miarę więc specyalizowania się danego produktu na towar pośredniczący w wymianie innych—wzrasta zakres płynących z posiadania jego użyteczności oraz potęga wywieranego przezeń na umysł człowieka wrażenia, wzmaga się zatém wartość użytkowa i stopień żądzy jego posiadania. Jeżeli przytém odpowiednie zwiększenie produkcyi tego przedmiotu spotka jakie przeszkody, — wzrośnie i jego wartość zamienna. Woły np. używane były dawniej głównie na pokarm, i do tego potrzeba było hodować pewną ich liczbę; następnie zaczęto ich używać do pośrednictwa w wymianie innych przedmiotów i ażeby nastarczyły tym dwom zadaniom, musiano by wychowywać ich więcéj, jeżeli zaś dążność ta napotka przeszkody — musi wzrosnąć wartość wymienna.

Wśród towarów specyalizujących się na pośredniki wymiany, musiał zajść proces przetrwania form najodpowiedniejszych i zwyciężania innych. Ostatecznie w dziedzinie wymiany zapanowały metale. Można przypuścić, że kruszce szlachetne w czasach przedhistorycznych,

t. j. w chwili pierwszych przejawów wymiany, były używane więcéj na przedmioty codziennych potrzeb niż na ozdoby, wartość zaś ich zamienna, względnie do późniejszej, była nizką. Złoto np. znajdywane w samorodnych bryłkach, nie mogło początkowo wywierać silnego wrażenia estetycznego na umysły ówczesnych ludzi, ale było pożądane z powodu łatwości zrobienia z niego użytecznych przedmiotów, i dopiéro następnie, gdy oceniono te zalety, z widokiem jego mogły się kojarzyć wyobrażenia o tych użytecznych, przyjemnych cechach, a więc mogło już ono wywierać wrażenie estetyczne.

Wraz z potęgowaniem się znaczenia wymiennego szlachetnych kruszców, musiała wzrastać ich wartość; ilość tych metalów była ograniczona, a tymczasem potrzebowano ich już nie tylko na wyroby, lecz i do czynności wymiennych. Jednocześnie wzmagała się potęga wywieranego przez nie estetycznego wrażenia, gdyż pojęcie ich ogarniało coraz więcéj przyjemnych wyobrażeń, wskutek zwiększającej się roli wymiennéj tych kruszców i związanego z nią rozwoju stosunków ludzkich. Zaczęły one olśniewać człowieka, i coraz ponętniejszemi stawały się robione z nich ozdoby, zapotrzebowanie zaś na kruszce wzrastało i wartość ich wskutek wszystkich powyższych przyczyn, dosięgła nareszcie tak wysokiego poziomu, że wobec istnienia tańszych materyałów, zaprzestano prawie zupełnie używać tych metalów do wyrobu przedmiotów codziennego użytku, lecz wyspecyalizowały się raz jako przeważnie wymienny środek i materyał na ozdoby, których potęga estetycznego wrażenia wypływała głównie z roli wymiennéj kruszców. Zresztą w czasach owych kruszcowe przedmioty zbytku mogły w każdéj chwili spełniać czynności wymienne.

Kruszce więc w drodze specyalizowania się na piéniądz, zatraciły w znacznym stopniu charakter materyału na wyroby przedmiotów codziennych potrzeb, który był początkową przyczyną procesu, i nabyły właściwości specyalnie wymiennych, polegających na wyrobionych pojęciach o nich człowieka, zdolność zaś służenia jako ozdoby jest przejawem wtórnym.

W umyśle ludzkim zanikła świadomość użyteczności tych jego cech, niegdyś podstawowych — potęgowało się zaś uznanie nabytych na tle rozwoju stosunków, dla których podścieliskiem był rozwój pojęć. Człowiek pożądał złota lub srebra, ponieważ było ono uosobieniem wszystkich użytecznych dlań przedmiotów, a nie dla tego, że można z niego zrobić tarczę lub miskę. Z cech fizycznych tych kruszców potrzebna była do jego funkcyi pieniężnych już tylko trwałość i podzielność (łatwość przenoszenia, jako zależna od wartości, jest wynikiem rozwoju pojęć i stosunków). Metale utrzymywały się nadal

w swojej roli siłą przyzwyczajenia, potęgą wywieranego na umysły ludzkie wrażenia i prawem ogólnego uznania ich jako pośredników w wymianie towarów.

Wzmagający się coraz bardziej na tle rozwoju środka wymiennego handel, rozbił tamujący jego rozrost komunizm archaiczny pierwotnych ludów i przygotował grunt do powstania silnego państwa. W procesie tym rozszerzały się coraz bardziéj pojęcia o wymiennych właściwościach kruszców — rozwijała się ich dusza piéniężna. Pierwotna gmina komunistyczna ze swojém wspólném władaniem mało się nadaje do stosunków wymiennych; muszą więc one wzrastać powoli, wciągając w swój zakres coraz nowe produkty. Ziemia na sprzedaż pojawia się dopiéro z upadkiem téj gminy. Każdy taki nowowciągnięty do wymiany produkt, potęguje znaczenie środka wymiennego, jako przedstawiciela większéj ilości użytecznych przedmiotów, a rozszerzenie się handlu na dalsze przestrzenie, utrwala coraz bardziéj społeczne znaczenie kruszców. W dalszym ciągu stają się one narzędziem pewnych wypłat, jak daniny, kary, procenty i t. d. i nabierają przez to nowych cech użytecznych.

Konieczność ważenia i próbowania jakości kruszcu przy wymianie i płynące stąd trudności przy handlu detalicznym sprawiają, że kruszce pojawią się w sztukach określonéj wielkości i formy, która ustala się w postaci okrągłych tarcz. Ale zachodzi jeszcze potrzeba poważnéj rękojmi jakości i wagi tych sztuk. Z powstaniem silnego państwa, daje ono taką rękojmię, biorąc na siebie zadanie bicia monety i odtąd piéniądz pojawia się w formie, która przetrwała do dzisiejszych czasów: z odpowiednim odciskiem i napisem, określającym jego wartość. Powoli umysł ludzki przyzwyczaja się widziéć środek wymienny tylko w kruszcu o danej pieniężnej postaci, inne zaś jego formy, możliwe są do pośrednictwa w wymianie jedynie przy zakupach na wielką skalę, z handlu zaś detalicznego wycofały się zupełnie. Następuje więc tu zróżniczkowanie się w zakresie danego kruszcu i wyosobnienie części piéniężnej, wobec któréj pozostała masa kruszcu występuje w charakterze towaru. Ale towar to wysoce uprzywilejowany, którego wartość zdobyta została w pochodzie rozwojowym środka wymiennego i zapewniona całą wartością masy piéniężnéj, nadto zaś otoczony niezwykłą aureolą uroku, wynikającą ze skojarzonych z jego widokiem wyobrażeń sławy, potęgi, rozkoszy i t. d. To téż zjawia się on jako nieodłączny towarzysz zarówno tronu i świątyni, a zadaniem jego tam jest spotęgowanie wywieranego na widzów wrażenia. Logicznem następstwem otaczającéj kruszec aureoli, jest pojawienie się jego maniackich wielbicieli—skąpców. Uczucie ich jest

silne jak miłość i posiada z nią pewien rys wspólny, zarówno bowiem oba te uczucia czerpią swoją siłę w kojarzącym się z pojęciem uwielbianego przedmiotu szeregu przyjemnych wyobrażeń i gdyby uczucie skąpstwa okazało się użyteczne dla bytu i rozmnażania człowieka — stało by się tak pospolite, jak miłość.

W pierwocinach zatém stosunków wymiennych, wartość kruszcu specyalizującego się na pośrednika wymiany wzrastała, a jednocześnie zachodził proces rozwoju form społecznych i produkcyi. Stoi to w pozornéj sprzeczności z twierdzeniem poprzedniém, że ze wzrostem wartości piéniędzy łączy się zastój. Mówiliśmy tam jednak o specyalnym wypadku drożenia piéniędzy na tle zmniejszania ich masy, wobec czego, pomimo wzrostu wartości jednostki piéniężnej, ogólna suma wartości znajdujących się w kraju piéniędzy zmniejsza się, co właściwie jest kwestyą decydującą. Daléj rozumowaliśmy, odnośnie do względnie krótkiego okresu czasu i rozwiniętych do pewnego stopnia warunków gospodarki piéniężnej. W czasach pierwotnych, o których tu mowa, istniał zapas nagromadzonego kruszcu w postaci przedmiotów użytku i ich materyału nie obrobionego. Wartość kruszcu jako przedmiotu codziennego użytku i jako pośrednika wymiany, musiała być inna i zdobył on ją sobie w drodze specyalizowania się na piéniądz, który nie był jeszcze bezpośrednim organizatorem sił roboczych, gdyż płaca robocza w piéniądzach nie istniała. Rozwijający się więc piéniądz był ważny głównie dla wymiany wytworów, produkcya zaś na własne potrzeby, swobodna czy niewolnicza, oddawała do wymiany tylko nadmiar swoich wytworów, — sama zaś istniała niezależnie od tych stosunków wymiennych. Ostatecznie zaś wartość kruszcu pośredniczącego wzrastała nie wskutek zmniejszania się jego ilości ale dzięki odbywającemu się procesowi społecznemu, ilość zaś jego przeciwnie zwiększała się coraz bardziéj, zasilana masą stojącego po za wymienną metalu.

Po upadku gminy komunistycznéj, hamującej stosunki wymienne, ostatnie musiały się znacznie wzmódz i rozszerzyć, wobec czego okazało się korzystném produkować przeważnie na sprzedaż, i forma ta wytwarzania, jako dająca większe korzyści, coraz bardziéj się utrwala. Produkcya więc staje się zależną od zapotrzebowania rynkowego, które, po za istnieniem pewnych potrzeb ludzkich, jest zawisłe od posiadania odpowiedniéj ilości kruszcu; zjawia się więc dążność ku dalszemu rozwojowi produkcyi już na tle tanienia piéniędzy, związanego z przyrostem jego masy. Sprzyjają temu rozszerzone stosunki handlowe, pozwalające zdobywać zapasy nagromadzonego w odległych krajach kruszcu, nadto zaś podniesiona wartość ostatniego, wy-

wołana niegdyś specyalizowaniem się jego na pieniądz, sprzyja eksploatacyi mniéj wydajnych pokładów metalu. Wartość zatém środka wymiennego, dosięgłszy pewnéj wysokości w drodze swojego rozwoju,—następnie, wobec zaszłych zmian społecznych, zaczyna się zniżać na tle rozrostu masy pieniężnej.

W Rzymie cezarów spotykamy już bardzo wysokie ceny produktów—czyli nizką wartość pieniędzy. Jest ona tam już regulowana wzajemném oddziaływaniem na siebie cząstki towarowéj i pieniężnéj istniejącego kruszcu (według szematu E) i przekazaną została obecnéj erze dziejowej rodzajem dodatniego i ujemnego nawarstwowienia się, wobec czego usunięcie któréj bądź z nich sprawiło by, że wartość współczesna była by o takąż ilość wyższą lub niższą. Każda z tych warstw jest wyrazem odpowiedniego procesu w dziedzinie produkcyi i społecznego rozwoju.

Po okresie starożytnego niewolnictwa następuje epoka feodalna. Rozwój pieniężny wobec tego przełomu w produkcyi znajduje się w stosunku jednéj z koniecznych przyczyn, feodalizm bowiem jest prostą konsekwencyą rozszerzenia się produkcyi niewolniczej na rynek, która dobiegła do swojego kresu i przelała się w dogodniejsze w danych warunkach formy feodalne,—do rozkwitu zaś pierwszéj nieodzowny był rozwój środka wymiennego — pieniędzy. Bankructwo rzymskiego niewolnictwa stoi w związku z upadkiem rynku zbytu, którego zwężanie się musiało być złączone z odpływem sum pieniężnych. Rozpanoszony Rzym-sybaryta sprowadzał sobie przedmioty wyrafinowanego zbytku z dalekich krain,—wina z Cypru, drapieżne zwierzęta z puszcz dalekiego południa i wschodu, kosztowne owoce i t. d., w krajach zaś barbarzyńskich pieniądze były o wiele mniéj ruchliwe, posiadacze ich starali się przechować swój drogocenny nabytek jaknajdłużéj, zakopując go do ziemi, lub w inny sposób — i dla tego nie łatwo one wracały. O szerokości rozprzestrzenienia rzymskich i greckich pieniędzy świadczy istnienie ich na ziemiach polskich i znajdywanie w grobowcach różnych miejscowości. Zdobyte przez Rzymian kraje o niższéj kulturze powoli cywilizowały się pod ich wpływem i zaczynały ściągać dopływ pieniężny z Rzymu, przy pomocy rozwijającéj się produkcyi na rynek i handlu, napadający zaś barbarzyńcy uwożą ze sobą również zrabowane kruszce. Kurczenie więc rynku postawiło rzymską produkcyę niewolniczą, przypominającą już nieraz kompletne fabryki, w położenie, w którém wytwarzać daléj nieopłacało się. Jednocześnie na kresach państwa, wobec zdzierstw urzędników rzymskich, ludność oddawała się w opiekę barbarzyńcóom, zobowiązując opłacać im za to odpowiednią daninę. Dla produkcyi więc niewolni-

czéj było dogodném przelać się w te, wytworzone na kresach, nowe formy i pozostawić sprawę wytwarzania przemyślności usamowolnionych kolonów, którzy swoim dawnym właścicielom opłacać się zaczęli daninę. Wobec istnienia wytworzonego już gotowego typu produkcyi feodalnej, dalsze jéj rozszerzanie się w różnych krajach i czasach mogło miéć przyczyny różne.

Po upadku państwa rzymskiego jego cywilizacya, prawa i zwyczaje rozlewają się szeroko po barbarzyńskich niegdyś krajach, a jednocześnie towarzyszy im piéniądz, którego wartość znacznie wzrasta; o ile bowiem dochodził on drogą handlu—kupcom opłacało się nabywać towary w tak odległych krajach tylko po bardzo nizkiéj cenie i tą drogą piéniądz ustala swoją wysoką wartość, dalszy zaś rozwój produkcyi (obliczonéj na rynek), odbywa się na tle przyrostu piéniędzy i ich tanienia. W pochodzie tym ewolucyjnym powstają nowe miasta, rozszerza się zakres handlu, piéniądz zaś, w miarę zwiększania sfery jego działalności i znaczenia, kształci daléj swoją duszę — sumę przypisywanych mu cech. W okresie produkcyi feodalno-cechowéj, zjawia się nowa jego właściwość, która w czasach niewolniczéj starożytności istniéć mogła jedynie w formie zarodkowéj—znaczenie piéniędzy jako płacy roboczéj, a dalsze wzmaganie się téj cechy stanowi o zapanowaniu w przyszłości kapitalizmu.

Z czasem urok piéniądza na tyle wzrasta, że w oczach tłumu staje się czémś niemal czarodziejskiém, nadprzyrodzoném; mnożą się podania o rozmaitych skarbach zaczarowanych, którémi opiekują się czarne potęgi. Wśród ludów słowiańskich dotychczas istnieje mniemanie, że nad ukrytemi w ziemi piéniędzmi pali się w nocy płomień.

Odkrycie drogi wodnéj do Indyi wschodnich a następnie Ameryki, daje potężny dopływ piéniężny i na jego tle wzrostu przyśpieszoném tempem produkcya i jéj technika, a jednocześnie i możność dalszego rozwoju—potencya ekonomiczna. W państwach, zdobywających ów dopływ, piéniądz znacznie obniża swoją wartość; wobec jednak istniejącéj w innych krajach wyższéj, wskutek czego towary produkowane tam w przybliżeniu jednakowemi metodami technicznemi, były tańsze, zdobyta fala piéniężna rozlewa się w krótszym lub dłuższym czasie po wielu krajach i wartość piéniędzy wzrasta. Tym sposobem zdobywające prąd piéniężny państwa odgrywały rolę niby elewatorów, przenoszących piéniądze do innych. W każdym razie przepływał daléj tylko nadmiar kruszcu, którego w danym okresie czasu nie mógł pochłonąć rozwój miejscowej produkcyi. Państwa zdobywające bezpośrednio przyrost piéniężny, mając możność korzystania z odpowiedniéj do swéj potencyi ekonomicznéj jego części,—przodowały w rozwoju.

Rozwój na tle danéj fali pieniężnej i zachodzące wskutek tego zmiany społeczne wzmagały możność szybkiego dalszego rozwoju; a tymczasem odkryte źródła dopływu w postaci kopalni i rynków — wyczerpywały się po pewnym czasie, zdobyty przyrost był pochłaniany przez rozwój produkcyi i zachodziła potrzeba dalszego zwiększania ogólnéj sumy pieniężnéj. Dzięki téj potrzebie, narodziła się w dalszym ciągu nowa forma — pieniądze papiérowe. Zgodnie z zasadą biologicznego rozwoju, powstała ona wskutek przyczyn zgoła odmiennych, ale utrzymała się przy życiu przez to jedynie, że odpowiadała potrzebom produkcyi. Bezwiedne dążności w kierunku obcięcia towarowości pieniędzy, zaznaczyły się w rozmaitych czasach. Dosięgły celu usiłowania najbardziéj trafne.

Wielu panujących, do których należało bicie monety, w imię potrzeb swojego skarbu, pracowało usilnie nad wyzwoleniem pieniędzy od przewagi ich materyału, starając się dać wypuszczanéj monecie, jaknajmniéj kosztownego materyału. Odczuwali oni, że produkcya i handel nie zjadają pieniędzy w czasie swoich procesów, a więc i nie powinno im zależéć na materyale, z którego się ostatnie składają. Oprócz zwiększania pokryjomu lub jawnie ilości domieszek w monecie, starali się oni nadto zmniejszać jéj wielkość. Dość porównać grosz Kazimierza Wielkiego z obecnym, ażeby ocenić stopień jego zwyrodnienia, jako następstwo wskazanéj dążności. Wiek XVI i XVII zaznacza się ilością fałszowanéj przez państwa monety, ale praktykę tę prowadzono zarówno pierwéj jak i późniéj. W XII wieku wybijano w Europie zachodniéj cienkie pieniążki czyli brakteaty w postaci blaszek z wygniecionym wizerunkiem, wypukłym z jednéj a wklęsłym z przeciwnéj strony. W Polsce podobne pieniążki przezywano urągliwie „plewami". Mieszko stary puszczał ich w obieg wielką ilość, urzędnicy zaś jego przy poborze podatków kwestyonowali ich ważność. Kronikarz bardzo drastyczny obraz na tém tle kreśli. Brakteaty te, pomimo wypędzenia Mieszka, mnożyły się przez cały wiek XIII-ty. Fryderyk II-gi król pruski fałszował monetę bez skrupułu. Podrabiane w różnych czasach frydrychsdory jego produkcyi kursowały w Lubece jeszcze w 1876 roku i zamiast prawnéj normy 5 talarów 20 groszy większość egzemplarzy nie miała w sobie tego metalu wcale (t. j.) zrobione były z czystéj miedzi), niektóre zaś zawierały złota na 1 talar 15 gr. lub na 3 tal. 10 gr. W czasie wojny siedmioletniej, znalazłszy w Dreznie mennicę króla Augusta III-go, Fryderyk kazał bić fałszywą monetę znalezionemi stemplami; w latach 1757—1763 wysłano do Polski wyprodukowanych tam lichych augustodorów, szóstaków, groszy i tynfów zwanych bąkami na 200,000,000

złp. i dopiéro w 1761 r. poznał się na téj machinacyi podskarbi w. kor. Cała ta masa emancypującéj się z pod władzy materyału monety, spełniała przez pewien czas swoje funkcye wymienno-rozwojowe.

Oprócz dążności do pokątnego uszczuplania ilości szlachetnego kruszcu w monecie—zjawia się jawne zmniejszanie jego, wywołane potrzebami państw na tle wypadków politycznych. Piéniądzom takim nadawano t. zw. przymusowy kurs, znacznie różny od wartości mieszczącego się w nich kruszcu; zbliżają się one już poniekąd do późniejszych piéniędzy papierowych.

W Polsce również miało to miejsce. Tak np. w r. 1663 zaczęto bić złotówki o t. zw. przymusowym kursie 30 groszy, których wartość materyału nie przenosiła 13 gr. Na monecie téj wyryto napis: „Dat pretium servata salus, potiorq. metallo est.” t. j. „cenę nadaje ocalenie kraju a to lepsze jest od kruszcu”. W tymże czasie proces podobny wywołany tąż przyczyną—wojną, zjawia się i w Rosyi i akcentuje o wiele silniéj, w 1656 roku za panowania Aleksieja Michajłowicza, z powodu wojny z Polską i wynikłych ztąd kłopotów piéniężnych skarbu, rząd uciekł się do energicznego środka, puszczając w obieg monetę miedzianą o przymusowym kursie srebra. W ciągu lat dwóch rubel miedziany obiegał na równi ze srebrnym. Rząd jednak, odkrywszy taką kopalnię, zaczął energicznie z niéj czerpać, puszczając w obieg ogromną ilość miedzianych rubli, w czém znalazł gorliwych naśladowców w postaci całego zastępu fałszerzy. Można sobie przedstawić jaka masa tych podrabianych piéniędzy kursowała, kiedy w ciągu lat kilku za fałszerstwo monety ścięto 7,000 głów a 15,000 ludzi skazano na karę ucięcia rąk, piętnowania lub konfiskaty majątku. Zaczęto w końcu niechętnie przyjmować ruble miedziane, co wszystko skończyło się po 7-iu latach dewaluacyą tych piéniędzy i przyjmowaniem do kas państwowych po kopiejce srebrnéj za rubla miedzianego [1]).

Próby podobne odmateryalnienia piéniędzy wykazały, że moneta o nadanéj przez państwo wartości (wyższéj nad realną) może o tyle tylko istnéć, o ile nazbyt wygórowana wartość nominalna nie pozwala podrabiać jéj z korzyścią z właściwego jéj materyału, a wynikiem tych prób jest obecna moneta zdawkowa (w Rosyi zawiera ona 49% srebra—reszta zaś miedź). Dążność ku uzyskaniu mniej kosztownéj formy piéniędzy musiała się zwrócić w inną stronę.

Chęć ułatwienia przewozu piéniędzy i wypłat skłania kapitalistów do składania monety w instytucyach bankowych, które wydawa-

---

[1]) Brykner.—Miednyja dieńgi Rossii.

ły odpowiednie dowody z obowiązkiem zwrotu powierzanych sum za okazaniem kwitów depozytowych. Kwitami takiemi posługiwano się przy wypłatach. Z czasem, gdy zwyczaj podobnych wypłat dostatecznie wszedł w życie, bankom było korzystnem wydawać przekazy na siebie. Tą drogą pojawiają się banknoty w końcu XVII wieku, i początkowo są jedynie przedstawicielami istniejących, unieruchomionych sum brzęczącéj monety. W miarę jednak jak ludność przywykała do nowego typu pieniędzy i nie śpieszyła z wymianą—stało się możebném operowanie częścią depozytowych sum, pozostawiając tylko ilość ich, potrzebną według obliczeń, do wymiany kwitów. Zwyczaj ten staje się wkrótce powszechnym i zyskuje sankcyę prawną. W towarzystwie rozwijających się form papiérowych piéniędzy, produkcya weszła w swoją fazę kapitalistyczną.

Do dalszego rozmnożenia banknotów przyczyniają się potrzeby skarbów państw na tle wypadów politycznych; korzystają one z utartéj już zwyczajowo nowéj formy piéniężnéj, i w chwilach krytycznych puszczają w świat całe ich masy, nadając im t. zw. kurs przymusowy. Papiér okazuje się o tyle wyższym od kruszców, że trudniéj go sfałszować, kiedy bowiem podrabianie monety wymaga tylko małéj maszynki—banknot potrzebuje kompletnéj fabryki, co więcéj kosztuje i trudniéj ukryć.

W Rosyi piéniądz papiérowy rodzi się za Katarzyny II-éj, jako mała finansowa operacyjka, wywołana kłopotami skarbu. Polegała ona na tém, że przy dwumilionowém zabezpieczeniu w kruszcu, wypuszczono $2^1/_2$ miliony wymienialnych w każdéj chwili asygnat. Kurs ich z początku był wyższy od srebra. Potrzeby jednak piéniężne wzrastają stale a pokusa wypuszczania nowych asygnat zbyt wielka, ażeby jéj się oprzéć; idą więc w świat (przy tém samem zabezpieczeniu) coraz nowe emisye banknotów.

W roku 1817 ilość asygnat dochodzi sumy 836 milionów rubli, stają się one niewymienialnemi i kurs ich (wskutek dewaluacyi) spada do 25 kop. Państwo, raz wszedłszy na drogę papiérowych, niewymienialnych piéniędzy, musiało brnąć co raz daléj. Historya Rosyi w bieżącém stuleciu wykazuje nieustającą walkę z kursem swojego rubla; ciągle stara się ona uczynić go wymienialnym na brzęczącą monetę, ponosi w tym celu rozmaite ofiary, zaciąga pożyczki, podwyższa podatki, i wszystko to bez skutku. Każda wojna powodowała nowe emisye papiérowych piéniędzy i zrywała tylko co z wielkim mozołem nawiązaną nić ich wymienialności. W 1890 r. ilość niewymienialnych papierowych rubli wynosiła 1046 milionów.

W Austryi pojawiły się w roku 1762 najprzód wymienialne banknoty, ale wojny napoleońskie zmusiły wkrótce do nadania im przymusowego kursu. W 1808 r. krążyło już banknotów na sumę 706 milionów złr., w roku zaś 1811 ilość ich wzrasta do 1060 milionów, przy czém kurs tak spada, że za 100 złr. w srebrze płacono 1200 złr. w banknotach. Następują dewaluacye w latach: 1811, 13 i 16-ym a wymianę wznawia bank narodowy i kurs nowych banknotów wzrasta po nad srebro. Rewolucya 48-go roku wywołuje nanowo niewymienialność banknotów, która znika w 1858 r. Ale wojna krymska pociąga napowrót wstrzymanie wymiany i odtąd t. zw. kurs przymusowy, pomimo wszelkich usiłowań, ciągnie się aż do ostatnich czasów. Banknoty w tym okresie miały $^1/_2$% ażia po nad srebro, disażio zaś rzadko przekraczało 6—7%.

W podobnyż sposób potrzeby skarbów na tle wypadków politycznych wywołały rozrost pieniędzy papierowych w rozmaitych innych państwach. Nie będziemy tu się wdawać w ich szczegółową historyę, lecz zanotujemy tylko, że po różnych dość zawikłanych wypadkach i przejściach, pieniądz papiérowy błąka się po świecie w trzech typowych formach: wymienialnéj w każdéj chwili na brzęczącą monetę,—na wpół wymienialnéj (t. j. wymienialnej chwilowo) i niewymienialnej wcale. Dążenia wszystkich prawie państw skierowują się ku nadaniu swoim banknotom wymienialności w każdéj chwili, co bywa uwieńczane rozmaitym skutkiem. Jednakże najbogatsze nawet i najsilniejsze ekonomicznie, jak Francya, Anglia i Stany Zjedn. Am. półn. w chwilach krytycznych, np. wojny, stale uciekają się do łatwego sposobu zdobycia środków pieniężnych — emisyi niewymienialnych banknotów. Po wojnie usiłowania takich państw skierowują się zwykle ku nadaniu wymienialności tym pieniądzom lub wycofaniu ich z obiegu, co udaje się uczynić lub nie, zależnie od okoliczności. Silniejsze ekonomicznie osiągają cel ten łatwiéj, mniéj silne — trudniéj, inne zaś nie mogą wcale do niego dotrzéć i wszystkie usiłowania ich idą na marne. Włochy np. potrafiły tego dopiąć jedynie kosztem nędzy swoich mieszkańców—życie zaś ekonomiczne Rosyi od stu lat opiéra się na przeważnie niewymienialnym bilecie kredytowym, a próby wznowienia wymienialności zwiększały tylko ponoszone ciężary. Oto jedna z nich: w 1862 r. zgromadzono przy pomocy pożyczki zagranicznéj 175 milionów rubli w kruszcu, jako fundusz wymienny; suma ta odpowiadała czwartéj części krążących naówczas biletów kredytowych. Po upływie półtora roku, wzmiankowany fundusz wyczerpał się i z tego powodu wymiana została zawieszona. Dług państwa wzrósł blizko o 100 milionów, ilość zaś kredytowych rubli zmniej-

szyła się zaledwie o 15 milionów, przyczem w następnym już roku rząd zmuszony był uciec się do nowych emisyi papierowych piéniędzy.

Przeważnie więc pod wpływem potrzeb państwowych, wyrastających na tle wypadków politycznych piéniądz papiérowy rozszerza się coraz bardziéj na świecie. W umyśle ludzkim, przywykłym widzieć i uznawać piéniądz w jego kruszcowéj szacie, proces ten musiał wywołać odpowiednie zmiany. Rzecz szczególna, że pojęcia ludzi prostych prędzéj przystosowały się do nowych form piéniężnych—od sfer wykształconych, którym zawadzała teorya. Stanowisko ludu w téj sprawie scharakteryzował jeden z mówców w parlamencie angielskim; zaznaczył on, że lud prosty gotów jest uznać za piéniądze nawet świece łojowe, gdyby nie tajały w kieszeni. Fakt uznania przez rząd i przyjmowania przy opłacie podatków jest dlań wystarczającym. Wobec pytania, skąd państwo weźmie piéniędzy na potrzeby wojenne—człowiek prosty odpowie bez wahania: „narobi tyle, ile mu będzie potrzeba". Inteligent uśmiecha się na to ironicznie,—a jednak tak jest; rząd niemal fabrykuje w wypadku w o j n y t y l e p i é n i ę d z y, i l e m u t r z e b a. W poglądach ekonomistów rozmaitych obozów na piéniądz papierowy, panuje niezwykła zgoda; uznają go oni o tyle tylko, o ile po za nim ukrywa się gdzieś w kasach kruszec, względem zaś rozwijającéj się formy niewymienialnych banknotów, nie mogą wytrzymać, by nie kopnąć jéj mimochodem. Bo i jakże ma być? Piéniądz jest towarem—jego wartość i płynąca ztąd zdolność obiegowa stoi w pewnym stosunku do zużytéj na wytworzenie pracy—a tu raptem zjawia się jakiś przybłęda, bękart piéniężny, spłodzony bez ich błogosławieństwa, z nieprawego związku ojca—wypadków politycznych i matki—potrzeby piéniężnego wzrostu, który śmié nie przystosować się do wyznawanéj doktryny. Przezwali więc go bezprawiem i cząstkową grabieżą (Wagner), istotą najniebezpieczniejszą (Roscher), bezsensem ekonomicznym (Biliński), kontramarką teatralną (Marks), złém nie do zniesienia (J. St. Mill) i t. d.; pomimo tego jednak gradu obelg, piéniądz papiérowy nie tylko że nie zamierza ustąpić z widowni, ale przeciwnie rozrasta się coraz bardziéj. Po stronie waluty papiérowéj stanęli tylko nieliczni śmiałkowie, jak Fullarton, Dühring, Thurman, z polskich zaś ekonomistów świeżo Zygmunt Heryng [1]).

---

[1]) Dowodzi on, („Rubel"—studyum ekonomiczne) że banknot może doskonale się obejść bez rękojmi materyalnéj i oprzeć się w zupełności na moralnéj, jaką daje państwo, uznając go za piéniądz i przyjmując do swoich kas. Względnie nizkiego kursu banknotów nie uznaje za zło dla produkcyi,—lecz widzi je raczéj w wahaniach kursowych. Wykazując, że nizki kurs piéniędzy papiérowych zagranicą, działa na podobieństwo cła, utrudniając dowóz obcych towarów.

Biorę banknot i czytam: „okaziciel niniejszego otrzyma w każdéj chwili w kasach NN oznaczoną tu kwotę pieniędzy w brzęczącéj monecie". Z praktyki mi jest wiadomo, że w kasach tych wypłacą mi rzeczywiście wskazaną ilość srebra lub złota. Gdyby więc znajdowała się w nich naprawdę masa kruszcu, odpowiednia nominalnéj wartości wszystkich kursujących banknotów — ostatnie były by jedynie przedstawicielami monety, miały jéj cechy i podlegały obowiązującym dla niéj prawom pieniężnym. Wiem jednak, że w gruncie rzeczy tak nie jest, banki bowiem emisyjne zatrzymują dla wymiany tylko część złożonego w nich kruszcu, resztę zaś wypożyczają, zabezpieczając się jedynie wekslami.

Znajdująca się więc w obiegu suma pieniężna wzrosła; pieniądz metalowy spłodził papierowe potomstwo i sam ruszył w dalszą wędrówkę, potomek zaś taki jest już czémś różnem od swojego rodzica tak co do formy jak i treści. Nikt napewno nie wié, jakie są operacye danego banku i na ile tam istnieje rezerwa kruszcowa, a pomimo to pieniądz papierowy obiega kurs zaś jego może się niekiedy zdarzać nawet niższy od wyrażonego w nim metalu. Rękojmia wartości materyalna jest w tym pieniądzu znacznie osłabiona — natomiast występuje moralna, jako przeświadczenie, że dana instytucya finansowa nie nadużyje położonego w niéj zaufania i w operacyach swoich nie zapędzi się zbyt daleko.

Biorę inny banknot i znajduję takiż napis, obiecujący wymianę w każdym czasie na kruszec. Wiem jednak, że pomimo pięknego zapewnienia, nie dostanę we wskazanych kasach ani grosza. A jednak pieniądz ten obiega i kurs jego tylko niezbyt lub wcale nie jest niższy od nominalnéj wartości. Czém że się to dzieje, że pieniądz taki, pozbawiony podstaw gwarancyi materyalnéj, kursuje?

Zaznacza się tu jeszcze silniéj rękojmia moralna; z jednéj strony pozostaje nadzieja, większa lub mniejsza, że pieniądz ten stanie się wymienialnym kiedyś na kruszec, z drugiéj zaś przekonanie, że państwo uznawać będzie te swoje papiery za pieniądze, co da możność zaspakajania niemi jednéj z najogólniejszych potrzeb — opłaty podatków.

Mamy więc nową ewolucyjną formę pieniędzy opartą na rękojmi prawie wyłącznie moralnéj, uznania ich za środek obiegowy, i na wartości użytkowéj—opłacania podatków. Kurs ich w różnych krajach i warunkach bywa różny; w silniejszych ekonomicznie, stał na równi z kruszcem lub odbiegał tylko bardzo nieznacznie od nominalnéj wartości—w innych mniéj silnych, opada więcéj.

Biorę jeszcze inny pieniądz papierowy i znajduję tylko obietnicę

przyjmowania go we wszystkich kasach państwa na równi z brzęczącą monetą—o wymianie zaś na kruszec nie ma ani wzmianki (Austrya). Jest to więc forma jego najbardziéj wyemancypowana z pod władzy metalu, która po nim odziedziczyła tylko nazwę swojéj jednostki. Rękojmia wartości, oparta na materyale, z którego piéniądz się składa, usuniętą jest tu zupełnie, natomiast występuje samowładnie moralna—uznanie danego papiéru za piéniądz, oparte na wartości użytkowéj—możności opłacania podatków.

Poprzestaniemy na tych trzech formach rozwojowych piéniędzy papiérowych, pomijając inne.

Mimo istnienia różnic w szczegółach pomiędzy piéniędzmi metalowemi i papierowemi, posiadają one zasadnicze rysy wspólne, świadczące wymownie, że banknot jest tylko prostym potomkiem monety, który odziedziczył pewne właściwości swego przodka. Tak np. podstawą istnienia niewymienialnych piéniędzy papierowych jest t. z. kurs przymusowy i moralna rękojmia wartości opartéj na potrzebie płacenia podatków. Właściwie jednak, podstawą istnienia dla każdéj monety obiegowéj w daném państwie jest przymus prawny; nie przyjmować jéj według oznaczonéj wartości—nie wolno, bez względu czy wartość materyału różni się mniéj lub więcéj od nominalnéj. W piéniądzach srebrnych różnica ta zaznacza się obecnie z taką siłą, że ujawniły się podrabiania bez nadwyżki przymieszek. Kasy włoskie nie przyjmują srebrnych piéniędzy z datą 1886 i 1887 r., pomimo że posiadają one odpowiednią wagę i próbę, a to dla tego, iż w latach powyższych piéniądze srebrne nie były wcale bite. („Paris Bourse"). Daléj wartość wszelkiéj monety musi opierać się na pewnéj rękojmi moralnéj, t. j. na przeświadczeniu, że dany kruszec nie ulegnie jakimś szczególnym zmianom wartości, o ile zaś jest to przewidywane — może się odbić na jéj kursie; ostatecznie zaś państwo obecnie zajmuje tak silne stanowisko względem przemysłu i handlu, że bez jego uznania (przyjmowania do kas) żaden piéniądz obiegowy nie może się obyć, i w wypadku, gdy nie przyjmuje ono jakiéjś monety, równa się to dla niéj wyrokowi śmierci. Podobnież i wiele innych cech piéniędzy papierowych akcentuje się słabiéj lub silniéj w piéniądzu kruszcowym. Wobec tego wszystkiego i banknot wymienialny w każdéj chwili na kruszec staje się mniéj zależny od wartości ostatniego, gdyż wymieniana moneta może miéć nadwyżkę nominalnéj wartości po nad swój materyał.

Warto się jednak przyjrzéć, jakie znaczenie ma dla piéniędzy t. zw. przymus prawny, tak oburzający teoretyków towarowości piéniężnéj i na czém on polega. Nakaz przyjmowania danego piéniądza

w granicach państwa — jest to dodatek nadzwyczajny w wielu razach i... zbyteczny, wartość bowiem piéniądza względem towarów i jego kurs względem innych piénię̨dzy, określa nie nakaz prawodawczy, lecz wartość użytkowa (przyjmowanie do kas państwa w oznaczonéj wartości) a następnie procesy przemysłowo-handlowe. Nie ma takiéj władzy, która by mogła nakazać sprzedawanie wszystkich towarów po wskazanych przez nią cenach, jeśli produkcya wymaga innych (co by dopiéro równało się przymusowej wartości piéniędzy), lub branie piéniędzy w wyższéj wartości, aniżeli rząd je przyjmuje do swoich kas, (co było by tém samém). Fakt możności czynienia pewnych wypłat według oznaczonéj w pieniądzu wartości, jako specyalna wartość użytkowa, wystarcza w zupełności do jego istnienia i stanowi tło na którém wzrastają wszelkie inne cechy piénięźne..

O ile więc „kurs przymusowy" oznacza obieg przymusowy, istnieje on jako przepis prawny bez szkody i pożytku dla piéniądza, o ile zaś oznaczać ma wartość przymusową — staje się wyrazem bez sensu.

Na podstawie zatém wartości, opartéj na potrzebie czynienia opłat rządowi, (które każdy, bezpośrednio lub pośrednio, uiszczać musi) piéniądz papierowy zaczyna zataczać swoje kręgi organizacyjne według szematu *b* (podanego wyżéj) na równi z brzęczącą monetą, przyczém wartość tak jednego jak drugiéj obniży się jednakowo. Ale kruszec jest kosmopolitą, banknot zaś zdradza parafiańskie instynkta — krążenia jedynie w swoim kraju.

Spotęgowany rozwój przemysłowy, wywołuje również większe żądania produktów zagranicznych, ale nabyć je można jedynie za brzęczącą monetę, lub też wymieniając banknot miejscowy na zagraniczny. Wzmaga się więc zapotrzebowanie piéniędzy w kruszcu, które zaczynają występować względem banknotów jako towar, i wartość monety wzrasta. Kraje ościenne, dla których otwarły się upusty dopływu kruszcowego, nasyłają swoje towary i ściągają monetę; zaczyna ona masowo emigrować. Za piéniądzem kruszcowym podąża również w tym kierunku i papiér, ale znajduje przeszkodę w zniżającym się coraz bardziéj zagranicą, w miarę napływu, kursie. (Przy oznaczaniu kursu takiego banknotu, giełdy zagraniczne będą się liczyć z tém, ile brzęczącéj monety można zań dostać w kraju, z którego pochodzi, oraz ile można rachować na jego zapotrzebowanie w celu zakupów w tym kraju; w większym lub mniejszym stopniu wystąpi także i rachuba na wymienialność jego w przyszłości). Tym sposobem piéniądz metalowy zaczyna odgrywać rolę specyalnego środka wymiany z zagranicą i wartość jego względem papiérowego krewniaka zwiększa się. War-

tość jednak banknotów wobec krajowych towarów (jeżeli do ich produkcyi nie potrzeba materyałów, kupowanych zagranicą) pozostaje o tyle tylko zniżoną, o ile wywołał tę zniżkę sam rozwój przemysłowy, (mówimy tu o wypadku, gdy masa istniejących niewymienialnych banknotów nie przekroczyła pewnéj granicy) i społeczeństwo może nie nazbyt się martwić spadkiem jego wartości wobec kruszców.

Jeżeli pojawia się odrazu wielka masa papierowych pieniędzy (wywołana np. potrzebami wojennemi państwa), skutek będzie podobny, jak gdyby pojawiła się odpowiednia ilość pieniędzy w kruszcu, z tą jedynie różnicą, że kruszec łatwiéj odpływałby za granicę; będzie więc tak, jak gdyby jednocześnie ze wzrostem masy pieniężnéj w kruszcu, nastąpiły obostrzenia celne, utrudniające dowóz obcych produktów, połączone z opodatkowaniem wywożonych sum pieniędzy.

O ile więc nie zajdą jakieś specyalne przeszkody, nastąpi gorączkowy rozwój przemysłu, spowodowany zwiększeniem zapotrzebowania i zysków. Zachodzi tu jednak okoliczność, że każde społeczeństwo, zależnie od stopnia swego rozwoju i rozmaitych innych warunków, może jedynie z pewną określoną szybkością organizować się przemysłowo i rozwijać ekonomicznie. Każda bowiem budowa, — powstawanie jakiejbądź instytucyi wytwórczéj, jest w społecznem znaczeniu r o b o t ą n a k r e d y t, bez względu na to, czy się odbywa za pieniądze zrobione ze złota lub papieru. Chcemy przez to powiedzieć, że społeczeństwo musi najprzód oddać (zakredytować powstającéj instytucyi) pewną ilość produktów, jak materyały i środki przeżycia dla pracujących, zanim zacznie ciągnąć z tych robót korzyści, zanim wzniesione zakłady przemysłowe zaczną same produkować. Trzeba więc, by społeczeństwo było w stanie dostarczyć odpowiednią do intencyi i rozwoju na tle danéj fali pieniężnéj ilość produktów,—w przeciwnym bowiem razie, wartość pieniędzy może się znacznie obniżyć. W rachubę jednak brać tu należy nie wydajność produkcyjną społeczeństwa w danéj chwili, lecz możność jéj rozwoju w zależności od istniejących metod wytwarzania i wogóle postępu techniki, zaludnienia, urządzeń społecznych i t. d. W obecnych czasach trudno oznaczyć granicę téj potencyi ekonomicznéj społeczeństw, gdyż nie ma takiéj gałęzi wytwarzania, gdzieby, wobec sprzyjających warunków, nie mogła nastąpić w krótkim czasie nadprodukcya.

Pojawiająca się więc masa papierowych pieniędzy rozpocznie swoją organizacyjną wędrówkę, co będzie trwać dopóty, póki cała ich ilość nie osiędzie w utworzonych instytucyach, jako niezbędne kapitały obrotowe (według szematu *b* podanego wyżéj). Podczas tego krążenia wartość ich, z powodu ukazania się odrazu w wielkiéj ilości

(tak najczęściéj bywa), może się znacznie obniżyć; w procesie tym piéniądz kruszcowy ratuje od takiejże obniżki własnéj wartości nabyte znaczenie specyalnego środka wymiany z zagranicą. Dla produkcyi obniżenie się to nie jest jeszcze wcale złém. Stracą wprawdzie posiadacze kapitałów piéniężnych i czują to dobrze giełdy, wykazując spadkiem kursu każde polityczne zawikłanie, z powodu którego można się spodziewać nowéj emisyi banknotów i obniżenia się ich wartości,— ale produkcya na tle téj taniejącéj fali piéniężnéj rozszerzy swój zakres. Dla przemysłu klęskę stanowi dopiéro wyczerpanie się owego przyrostu piéniężnego, które zaznacza się łataniem znikających zysków kosztem własnéj ruiny i niszczeniem swojego rynku przez obniżanie płacy roboczéj, — co się kończy szeregiem bankructw, nędzą wśród robotników i ogólną stagnacyą. Towary by wtedy staniały a wartość piéniędzy wzrosła.

Skutek byłby podobny z puszczenia w obieg odpowiedniéj ilości monety brzęczącéj, złagodzony tém jedynie, że łatwiéj by ona odpływała zagranicę. Odczuły to przed laty Niemcy z powodu napływu miliardów francuskich, gdzie po okresie gorączki przemysłowéj nastąpiło przesilenie.

Jednoczesny przyrost piéniędzy papierowych w tak wielkich rozmiarach wywołują zwykle wojny. Tym sposobem animusz wojenny opłacać trzeba najczęściéj wstrząśnieniem ekonomiczném. Zresztą mało na tém zależy, czy na widownię wystąpi złoto czy papiér i dlatego bardzo jest wątpliwe, czy w razie orężnego starcia uratuje Niemcy od tych następstw gromadzony zawczasu fundusz wojenny.

Dla takiego chwilowego ożywienia w przemyśle na tle jednorazowego dopływu piéniędzy — istnieje utarty termin: rozkwit „s z t u c z n y." Właściwie wyraża on tylko, że do utrzymania danego tempa rozwoju czegoś zabrakło. Termin ten nie ma sensu, gdyż zarówno w świecie przyrody, jak i w żywiołowym rozwoju społeczeństw ludzkich, istnieją tylko działające przyczyny i wywołane skutki, rzeczy zaś ani nadnaturalnych ani sztucznych nie ma. Do utrzymania zaś danego tempa rozwojowego potrzeba jedynie, by wywołująca go przyczyna — przyrost piéniężny, nie znikała, i ażeby spożycie wzrastało wraz z wytwórczością (co zależy od warunków społecznych).

Piéniądz jednak w rozpatrywanym wypadku rolę swoją organizacyjną spełnił; pod jego tchnieniem powstały domy, fabryki, koleje i t. d., które stagnacyę przetrwają. Ogólny więc poziom ekonomiczny i kulturalny podniósł się.

Gdyby jednak banknoty wypuszczane były stale w nieograniczonych masach, to wobec ograniczoności potencyi rozwojowéj społe-

czeństwa, wartość tych pieniędzy spadła by do *minimum*. Po chwilowém ożywieniu w przemyśle, nadszedł by następnie zastój w taki sposób, jak gdyby wyczerpała się fala pieniężna; wobec bowiem zachwianego zaufania do pieniędzy i wyczekiwania ciągłéj zniżki i koniecznego następstwa — dewaluacyi — wartość pieniędzy nie spadała by odpowiednio do zwiększenia sumy pieniężnéj, lecz znacznie silniéj, wskutek czego ogólna suma wartości pieniędzy nie wzrastała by—lecz malała. Wypadków jednak takich, o ile przejawiały się w początkach obecnego stulecia, jako w pierwocinach rozwoju niewymienialnéj formy pieniężnéj, obecnie mniéj się można obawiać, gdyż państwa posiadają drogo nabyte doświadczenie, pozwalające im unikać minionych błędów, a przytém ludzie o wiele bardziéj przywykli do papiérowych pieniędzy i obdarzają je znacznie większém zaufaniem. Dewaluacyi banknotów od długiego już czasu nie widzimy, i zdaje się, że, przynajmniéj na gruncie europejskim, nie powtórzą.

Rolą historyczną papierowego pieniądza jest potrzebny dla produkcyi rozrost sum pieniężnych i połączony z tém rozwój. Zadanie to swoje spełnia on we wszystkich krajach cywilizowanych, gdyż wszędzie zyskał prawa obywatelstwa, a jak widzieliśmy, ogólną masę pieniężną zwiększa każden prawie banknot, bez względu na swoją wymienialność, jeżeli tylko fundusz jego wymienny jest mniejszy od sumy kursujących papierów. Rozwój zatem i kultura współczesnych społeczeństw dużo temu zawdzięcza. Zarówno jednak w przyrodzie, jak i w żywiołowym rozwoju urządzeń ludzkich — nie ma z góry celowo nadanych czynników i dróg, prowadzących jedynie do dobrego, lecz istnieją tylko zjawiające się nieświadomie i działające na oślep, które zatém obok cech korzystnych dla rozwoju, mogą miéć i niekorzystne. Podobnież i banknot dając z jednéj strony możność rozwoju — z drugiéj, przyczynił się do nadmiernéj wybujałości pewnych form organów społecznych, bez niego bowiem upadły by one niezawodnie, on zaś zasilił je w niezbędne do istnienia soki żywotne.

Znaczenie rozwojowe pieniędzy papierowych wzrasta jeszcze silniéj dla krajów spóźnionych w rozwoju, słabszych ekonomicznie od innych. Zaiste nie świetnym byłby widok wielu z nich, przygniecionych i wysysanych przez swoich silniejszych sąsiadów, gdyby nie znalazły ratunku w banknotach. Oprócz znaczenia środka organizacyi sił roboczych, grają one jeszcze tam rolę naturalnéj tamy dla zbyt wielkiego napływu obcych towarów.

Pieniądz papierowy w Rosyi uzyskał, być może, najszersze prawa obywatelstwa. Autor niniejszego, w ciągu całego życia spotkał się raz ze sztuką monety złotéj, 3 razy ze srebrną i raz z platynową,

a poza tem—widywał je tylko za szybami kantorów wymiany. A przecież Rosya posiada własne kopalnie złota na Syberyi i Uralu! Pieniądz papiérowy zapanował tu samowładnie a kruszec uciekł zagranicę (z wyjątkiem monety zdawkowéj, obciążonéj odpowiednią domieszką). Usiłowania rządu stale skierowują się ku podniesieniu kursu rubla i uczynienia go wymienialnym na kruszec, co się odbywa kosztem wielu ofiar. Rosya zajęta jest iście syzyfową pracą wtaczania na swoją papiérową górę nabywanych zagranicą brył złota, ażeby opromienić ją ich blaskiem; kruszec jednak, widząc się we wrogim sobie, papierowym obozie, przy pierwszéj sposobności ucieka zagranicę, zostawiając na pamiątkę niezapłacone procenta. Papiér stał się tak powszechnym środkiem wymiennym, że moneta brzęcząca (oprócz zdawkowéj) już nie jest w stanie służyć do codziennego użytku, a stała się specyalnym rodzajem pieniądza, służącym wyłącznie do handlu z zagranicą. Ażeby uniknąć nieporozumień przy zakupach, właściciel brzęczącéj monety musi ją pierwéj wymienić na kursujący w kraju papiér. Wartość banknotów, oznaczona w jednostkach metalicznych, stała się tu czémś symboliczném i opiéra się na uznaniu, że dana jednostka papierowego piéniądza posiada taką a taką względem rozmaitych towarów wartość, która do tego jest chwiejna; kruszce bowiem i papiér, jako posiadające odmienne przeznaczenie (do stosunków z zagranicą i wewnętrznych), ulegają niezależnym zmianom wartości i związek między niemi pękł wraz z wymienialnością. Co więcéj, papiér tu posiada względnie stalszą wartość od monety, (względem krajowych towarów); ogół przyzwyczaił się uważać za miarę wartości banknot a nie kruszec, w pojęciu zaś jego piéniądz obiegową posiada wartość stałą — tanieją zaś lub drożeją towary. Dlatego też zmiany kursu piénięDzy papierowych odnośnie do kruszców, pochodzą nie tyle ze zmian wartości ich względem miejscowych towarów, lecz głównie wskutek szczególnego wyspecyalizowania się monety i wynikających stąd zmian wartości metalu. Tak np. różnica kursu rubli papierowych i monety, przed paru laty pochodziła z tych właśnie przyczyn, — spadek zaś wartości srebra wytworzył obecną równię między niemi.

Piéniądz więc papierowy siłą żywiołową zapanował tu niepodzielnie, a każde wstrząśnienie polityczne powiększa jego ilość i wzmacnia stanowisko, i śmiało powiedzieć można, że nie da się on już wyrugować, wszelkie zaś usiłowania ku temu odbiją się tylko niekorzystnie na poziomie ekonomicznym kraju. Dla interesów miejscowego przemysłu, nietylko że wystarcza mu w zupełności, lecz nawet dzielnie się przyczynia do jego rozwoju przez swój rozrost, jako też dzięki téj ochronie od zalewu obcych towarów, jaką daje przez obniżanie swojéj

wartości zagranicą w miarę napływu. Wobec téj ostatniéj swojéj cechy, nabiera on znaczenia regulatora — równowagi bilansu handlowego. Oprócz tego przyczynia się on jeszcze do napływu zagranicznych, fachowo uzdolnionych, przedsiębiorców i sił roboczych, którzy zajmują się rozwojem miejscowego przemysłu, dając nieraz początek rozmaitym jego gałęziom. Wobec bowiem napływu papieru zagranicę i spadku jego wartości — kapitalistom korzystnie jest nabyć tanio banknoty obcokrajowe, by puścić je następnie w obieg w ich ojczyźnie. Tą drogą powstało wiele fabryk w Królestwie Polskiém, i pochód ten obcych kapitałów posuwa się coraz śmieléj w głąb państwa; wyssane niegdyś przez zagraniczną produkcyę, — piéniądze wracają nazad, by pod wodzą obcego kapitalisty organizować miejscowy przemysł.

Z rozrostem masy papierowych piéniędzy łączy się proces rozkładu w sferze brzęczącéj monety. Papiér nie znosi współzawodnictwa kruszcu i dąży do samowładztwa. Piéniądz metalowy, wobec rozszerzania się swojego papierowego potomka, specyalizuje się na środek wymiany z zagranicą i wypychany jest z kraju; na obszarach np. Rosyi musiał całkowicie ustąpić rublowi papiérowemu. Napływa więc do krajów ościennych i znajduje tam również miejsce swoje zajęte do pewnego stopnia przez banknot. Pomimo więc, że w kraju, z którego odpłynął, miał dość wysoką wartość — musi teraz uledz jéj zniżce, a wobec tego część monety użytą będzie na wyroby kruszcowe, zmniejszona zaś wartość metalu zwiększy w dalszym ciągu zapotrzebowanie na wyroby z niego. Tymczasem produkcya kruszców, wydobywa coraz nowe ich masy, które z powodu nizkiego poziomu wartości skierowują się przeważnie w stronę towaru a nie piéniądza, — zwiększając masę metalowych wyrobów, wobec zaś nizkiéj wartości producenci jego zmuszeni są wysilać się na coraz lepsze metody wytwarzania, które w dalszym ciągu zmniejszają cenę kruszcu i zwiększają ilość wyrobów z niego. Tą drogą rozrost piéniędzy papiérowych wywołuje potęgowanie się części towarowéj monety, wskutek czego ulega ona silnym wahaniom wartości i coraz mniéj odpowiada swojemu przeznaczeniu.

Ofiarą takiego procesu padł najprzód piéniądz srebrny, w walce zaś z nim chwilowym sprzymierzeńcem papieru zjawiło się złoto. Produkcya srebra stale się potęguje, miejsce zaś jego w obiegu piéniężnym zajął papiér; musiało więc z konieczności zasilać coraz bardziéj ilość towarów srebrnych i cena jego spadała. Masa wydobytego srebra w 1873 roku stanowi zaledwie 40% produkcyi jego w 1892 r., wahania zaś ceny były tak znaczne, że, według Joh. Schneidra, w roku 1877 uniemożliwiało handel zewnętrzny między krajami o różnéj wa-

lucie metalicznéj. Państwa więc pośpieszają na pomoc pieniądzom srebrnym, wspierając nadwątloną ich materyalną rękojmię wartości — swojém uznaniem, czyli tak zw. kursem przymusowym, który w wypadku tym był w stanie nadać trwalszą wartość monecie, inne zaś wprowadzają u siebie walutę złotą, spychając w ten sposób srebro do ościennych krajów. Główny rynek zbytu na srebro — Indye Wschodnie — ustanawiają prawny stosunek wartości złota do srebra, jak 1 : 15 — kiedy na rynku przedstawiały się one jak 1 do 25, przyczém wolno tam było każdemu oddawać do mennicy swoje srebro dla przebicia na monetę o wskazanéj, nadanéj wartości; podobnież Stany Zjednocz. Am. Półn. zatwierdzają sławny bil Shermana, mocą którego państwo zobowiązało się zakupywać od producentów srebra miesięcznie po 4½ mil. uncyi tego kruszcu i wydawać w zamian certyfikaty, obliczone w złocie, — w Europie zaś powstała t. zw. monetarna unia łacińska, do któréj składu weszły: Francya, Włochy, Belgia, Szwajcarya i Grecya, zobowiązując się bić monety srebrne i złote na jednakowych podstawach i przyjmować je w nieograniczonéj ilości, bez względu z jakiego kraju układowego pochodzą.

Powyższa działalność państw wynikała z chęci podtrzymania upadającego znaczenia monety srebrnéj — i odbywała się w myśl interesów producentów towarów, przeznaczonych na wywóz, przeważnie rolników; zwykle rządy same ciągną korzyści z nadanéj przez się wartości pieniądzom, tutaj zaś zrzekły się ich na rzecz przemysłowców. Wynikiem téj działalności w Indyach i Ameryce był potężny rozrost masy pieniężnéj i ożywione tempo przemysłowe. Niestety jednak historya wykazała już nieraz, że pieniądz metalowy nie może zbyt długo istnieć z nadaną mu przez państwo, wyższą nad realną wartością i musi wreszcie upaść.

W Stanach Zjedn. Am. Półn. bil Shermana dał ogromne korzyści producentom srebra, którzy wytwory swoje wymieniali na certyfikaty. Jednocześnie moneta srebrna zaczyna zewsząd napływać, gdyż wartość jéj tam jest wyższą, niż w wielu innych krajach, wobec czego wytwórcy mogą sprzedawać zagranicą swoje towary względnie drogo i ciągnąć znaczne zyski. Masa więc monety srebrnéj wzrasta, złoto zaś ucieka. Wśród gorączki przemysłowéj wzmaga się rozbieżność między wytwórczością a miejscowém spożyciem, i nareszcie rynki zewnętrzne nie mogą już pochłonąć masy wytwarzanych towarów. W miarę wzrostu zysków przedsiębiorców zwiększa się ich apetyt. Wyszli oni dawno z okresu, gdy produkowali po to, by wyżyć; bogacze amerykańscy przy największych zbytkach, spożywają zaledwie cząstkę zdobywanych bogactw, — a wzrost ostatnich potrzebny im już tylko

dla zdobycia coraz większéj władzy, potęgi, znaczenia... To też nie chodzi im o zdobycie obcych towarów przez wymianę swoich wytworów na rynkach zewnętrznych, lecz głównie pieniędzy; radziby więc tam sprzedawać tylko, lecz nie kupować. To też bil Mac Kinley'a, wstrzymujący dowóz produktów europejskich, jest prostém następstwem téj dążności; wznosi on cenę towarów i pobudza produkcyę. Rozdźwięk jednak między wytwórczością a spożyciem rośnie, towary nagromadzają się w ogromnych masach, i dochodzi do tego (jak zapewnia Krzywicki), że niektóre fabryki produkują w r. 1892 dla zaspokojenia przewidywanych potrzeb rynkowych w 1896 r.

Pomimo nagromadzenia wielkiéj ilości monety — rozwój przemysłu pochłania ją w zupełności; pieniądz krąży z nieznaną w Europie szybkością — całe szeregi wielkich zakupów załatwiają banki przez kompensatę, moneta nie spoczywa ani chwili, i nawet robotnik swoją płacę roboczą oddaje natychmiast do instytucyj kredytowych na procent.

Wśród tego wiru pieniężnego zaścigła Amerykę znaczna zniżka cen srebra, szerząc dokoła popłoch, wywołana wstrzymaniem dowolnego bicia monety z tego kruszcu w Indyach. (Otrzymywały one podatki w srebrze o nadanéj przez państwo wartości, same zaś opłacały pożyczki zewnętrzne w złocie, a straty stąd wynikłe — dosięgły 800 milionów rupii i zmusiły do chwycenia się środków zaradczych).

Zniżka ta postawiła rząd Stanów Zjedn. w położeniu, zmuszającém również do myślenia o sobie. Wypuszczaniem certyfikatów i chowaniem srebra do piwnic pragnął on podnieść wartość srebra; tymczasem nadzieje zawiodły — a w perspektywie czekały wielkie straty. W piwnicach skarbu znajdowało się na 100 milionów dolarów złota, co wystarczało zaledwie na prawne pokrycie „grynbeków", gdy tymczasem certyfikatów złotych kursowało przeszło 4 razy więcéj. Następuje więc zniesienie bilu Shermana, potęgując dalszą zniżkę srebra, bil zaś Wilsona pozostawia z Mac-Kinley'a zaledwie strzępy.

I oto nad obszarami Stanów Zjedn. zawisła klęska. Wartość masy pieniężnéj uległa raptownemu skurczeniu, co, wobec natężonego kredytu miało fatalne następstwa. Zniżka srebra wywołała zamknięcie znacznéj większości kopalni tego kruszcu i wyrzucenie na bruk 30,000 górników. W ciągu 93-go roku przechodzą pod kuratelę administratorów *(reccivers)* 74 koleje żelazne z kapitałem 1,781,313,000 dol., których ważniejsze tylko linie zajmują 29,340 mil. Jak odgłosy gromów przebiegły po kraju olbrzymie bankructwa, a wielkie przedsiębiorstwa handlowe i przemysłowe poczęły się walić nakształt domków karcianych. Żadna burza, żadne trzęsienie ziemi nie sprawiały tak

strasznego zniszczenia. Masa pracy i wysiłków ludzkich poszła na marne, wczorajsi bogacze ujrzeli się w położeniu nędzarzy, przeszło 800,000 robotników (według urzędowych danych) utrzymujących swoim zarobkiem blizko dwa razy większą ilość gąb, straciło zajęcie, i tłumy głodnych poczęły grzebać się po śmietnikach, szukając odpadków. Z chłodami i śnieżycą ubiegłéj zimy wionął powszechny zastój, a z po za „drapaczów nieba” — kolosów myśli i pracowitości ludzkiéj, — wyjrzała ohydna nędza.

Do dramatu klęsk ekonomicznych dołączył się wkrótce wtór szeregu zaburzeń i bezroboci. Ostatnie z nich — strejk kolejarzy, — którego rozpoczęcie wywołały nadużycia w fabrykach Pullmana; rozszerzył się z niebywałą siłą na ogromnych przestrzeniach i groził wprost przejściem w wojnę domową, tak, że wobec niezwykłéj jego szerokości i grozy musiano uciec się do niepraktykowanych tu jeszcze środków — stanu oblężenia w Chicago i innych miastach.

Cóż się to stało Yankesom? Czy bóstwo *businessu* straciło swoich czcicieli, czy cnoty mieszczańskie wygasły, czy ziemia wyczerpana nadmiernie odmówiła płodów?

Kwitnie tu, jak i dawniéj kult interesu i praktyczności, ruchliwość i energia mieszkańców doszła do możliwych granic a obszary urodzajnéj ziemi dają taką masę płodów, że nietylko zaspakajają miejscowe potrzeby, ale nadto zalewają zaoceanowe kraje; ogromne przestrzenie, nietknięte jeszcze, czekają osadników, a względnie mała ludność wybiera najżyzniejsze miejsca, by przy najmniejszym nakładzie pracy osiągnąć najwyższe korzyści. Ziemia tu zdolna jest wyżywić z łatwością dziesięćkrotnie większą ilość mieszkańców, a pomimo to rozgościła się na niéj nędza. Nadeszło nieszczęście, do którego zażegnania nie wystarczy posiadać siedm cnót mieszczańskich.

Klęskę w tych rozmiarach wywołały żywiołowe procesy, niezależne od woli i chęci pojedyńczych ludzi. Była ona z jednéj strony skutkiem nieodłącznéj od współczesnéj produkcyi rozbieżności wytwarzania i spożycia, co jest prostém następstwem istniejących systemów organizowania sił roboczych i podziału bogactw, — powtóre zaś spotęgował ją i przyśpieszył przebieg odbywającéj się w sferze pieniężnéj ewolucyi. Dwa żywioły,—papierowo-złoty i srebrny porwały się w zapasy o władzę nad światem, — i co było na drodze — rozgniotły; a w walce téj pieniądz srebrny, który przez lat tysiące panował nad ziemią i ludźmi, był w prochu u stóp zwycięzcy.

Nad ciałem konającego olbrzyma zebrali się uczeni konsyliarze różnych krajów i narodów, — by postawić dyagnozę choroby i rokowanie o jego przyszłości. Odbyto wiele konferencyi monetarnych, a za-

sadniczą kwestyą do rozstrzygnięcia było, czy ma być monometalizm czy też bimetalizm. Ostatecznie sprawy nie rozstrzygnięto.

Upadek cen srebra postawił wiele państw w kłopotliwém położeniu. Przedewszystkiém z monety srebrnéj usunął w znacznym stopniu materyalną rękojmię wartości — pozostawiając jéj nadaną przez państwo (ważną przy obiegu wewnątrz kraju), gdyż wszędzie obecnie wartość pieniędzy srebrnych jest większa od swojego materyału. I kursują one jako „*assignats métalliques*" — metaliczne znaki kredytowe. Moneta jednak taka długo istnieć nie może, gdyż zbyt łatwo i zbyt bezkarnie można ją fałszować. (Oprócz wzmiankowanych fałszerstw monety włoskiéj, odkryto świeżo podrabiania pieniędzy niemieckich w Kolonii i Berlinie z dobrego srebra). Z krajów unii łacińskiéj Francya posiada 3½ miliardy franków srebrnych, Włochy 350 i Belgia 600 milionów. W razie wycofywania téj monety z obcych posiadłości, obliczono straty: dla Francyi 1½ miliarda, dla Belgii 300 milion. i dla Włoch 175 m. franków. Pomimo to wycofuje się obecnie moneta włoska z pozostawieniem temu państwu prawa żądania wycofania również ze swoich granic obcéj monety. Straty grożą wszystkim państwom, posiadającym pieniądze srebrne.

Dalej, następstwem zawikłań pieniężnych jest to, że rosną lub wzrosną długi wielu państw. Indye Wschodnie zmuszone są sprzedawać co roku swoich tratt (zwanych „*council bills*") na 16 do 18 milionów f. st. dla otrzymania złota do zewnętrznych wypłat; z powodu nizkiego ich kursu i chęci podniesienia go (gdyż kurs ich spadł do 14 pensów za rupię) zaciągnęły pożyczki: 1.3 mil., 6 mil. i 10 milionów f. st. Prasa angielska zachęca je do do nowéj 25 mil. pożyczki.

Stany Zjedn. Am. Półn. chwyciły się, dla zasilenia nadwątlonego funduszu wymiennego, pożyczki przez wypuszczenie 3%-wych bonów na 200 mil. dol., a ponieważ trzeba było do tego zgody kongresu, więc tymczasowo wypuściły 5%-towe obligacye na 50 mil. dol.

Dalej (według Haupta) wymiana na złoto monety włoskiéj, zwracanéj przez sąsiednie państwa, zmusza banki do zwiększenia swoich funduszów wymiennych (1,800 mil. lir., pokryte tam zapasem złota 200 mil. lir.) przez pożyczkę, — w przeciwnym bowiem razie nie można będzie nawet myśléć o wznowieniu wymiany, wartość zaś obrotu pieniężnego Włoch obniży się. Konieczny z czasem upadek unii łacińskiéj, zada ostateczny cios finansom włoskim.

Nawet Niemcy zaciągnęły 160 mil. marek 3%-towéj pożyczki.

Wszelkie tego rodzaju niedomagania skarbów, przyczyniają się zwykle do zwiększania sumy papierowych pieniędzy. Włochy, jako

najsłabsze, zrobiły już piérwszy krok, wypuszczając emisyę 125 mil. papiérowych lirów.

Moneta więc srebrna nie będzie mogła zbyt długo istnieć z nadaną przez państwo, wyższą od realnéj, wartością. Pozostaje więc przebicie jéj na cięższéj podstawie. Ale srebro niezdatne obecnie jest na pieniądze nie z powodu nizkiéj wartości, lecz jéj wahań; gdy spadnie ona daléj — moneta zrównana z materyalną wartością znajdzie się znowu w położeniu znaków kredytowych, t. j. będzie nadwyżką nominalnéj wartości nad cenę swojego materyału; w razie zaś wzrostu ceny srebra—ucierpi produkcya, dla któréj zwiększy się ciężar długów.

Oto są dane o wszechświatowéj produkcyi złota i srebra i wybitych monetach z trzech lat (zaczerpnięte z ostatniego sprawozdania zarządu monetarnego Stanów Zjedn. Am. Półn.) [1]).

*Roczna produkcya.*

| Lata | złoto | | srebro | |
|---|---|---|---|---|
| | w kilogr. | w dolarach | w kilogr. | w dolarach |
| 1890 r. . . | 178,823 | 118,848,700 | 4,144,233 | 172,234,500 |
| 1891 r. . . | 189,862 | 126,183,500 | 4,486,216 | 186,446,800 |
| 1892 r. . . | 208,909 | 138,861,000 | 4,727,119 | 196,458,800 |

*Wybito monety:*

| Lata | w dolarach | |
|---|---|---|
| | złota | srebrna |
| 1890 r. . . . | 149,244,965 | 152,293,144 |
| 1891 r. . . . | 119,534,122 | 138,294,367 |
| 1892 r. . . . | 167,917,337 | 143,096,239. |

Widzimy więc, że produkcya tak złota jak srebra wzrasta, przyczém wartość rocznego produktu srebra tylko niezbyt przewyższa roczny wytwór złota, pierwszy więc w całości mógłby być użyty do obiegu pieniężnego, lecz miejsce jego zajęte przez banknot, który go wypycha.

Robimy zestawienie rocznych produkcyj kruszcu i wybitych w tymże czasie monet; pozostałość zasila część towarową rozpatrywanych metalów.

---

[1]) Obszerniejsze dane o produkcyi drogocennych kruszców umieszczone były w „Ateneum“ na początku 1894 r. w pracy p. L. Iwanickiego: „Złoto i srebro.“

Pozostało po wybiciu monety (t. j. zasiliło dział towarowy kruszców):

| Lata | w dolarach | |
|---|---|---|
| | złota | srebra |
| 1890 r. . . . . | — 30,396,265 | + 19,941,356 |
| 1891 r. . . . . | + 6,649,378 | + 48,152,433 |
| 1892 r. . . . . | — 29,056,337 | + 53,562,561 |
| Razem . . . . | — 52,803,224 | + 121,656,350. |

Widzimy więc, że, kiedy złoto zostaje w całości przerabiane na monetę, (a nawet do działu pieniędzy przeniosło się blizko 53 miliony nagromadzonego dawniéj kruszcu) srebro co roku zwiększa coraz potężniéj swoją część towarową. Nb., że wykazana tu ilość ($121^1/_2$ mil. dol.) jest za małą, gdyż w rachubę braliśmy monetę o nadanéj przez państwo, wyższéj nad realną wartości; jeżeli więc wartość kruszcu w pieniądzach srebrnych stanowi np. $^2/_3$ nominalnéj (cyfra dowolna), to otrzymamy przyrost dla działu towarowego srebra przeszło 2 razy większy (266,017,600).

Ta właśnie okoliczność — zwiększanie się towarowości monety srebrnéj, jest dla niéj wyrokiem śmierci, od którego nie ma apelacyi. Towar, szczególniéj taki, w którego wytwarzaniu zachodzą ciągłe zmiany, ulega silnym wahaniom cen; produkcya zaś wogóle wymaga od pieniędzy wartości stałéj, zależnéj jedynie od procesów wytwarzania i spożycia wszelkich produktów. Pieniądz zatém srebrny, prędzéj czy późniéj, musi upaść ostatecznie. Wypierany coraz bardziéj z jednych obszarów na inne przez papier i złoto, wstrząsany ulepszeniami w produkcyi srebra, będzie on zwiększał stale część swoją towarową, a straty, ponoszone przez państwa i przemysł, z powodu wahań jego wartości, zmuszą nareszcie rządy do odmówienia mu całkowicie swojego uznania, wobec czego dla pieniędzy srebrnych pozostanie jedynie podrzędna rola monety zdawkowéj. Pieniądz papierowy utrwaliłby się i rozszerzył wówczas tém potężniéj.

Pomimo, że złoto jest obecnie tryumfatorem, w przyszłości jednak może uledz losowi srebra. W sferze pieniędzy odbywał się i odbywa proces przeżywania form najodpowiedniejszych i wypierania z obiegu mniéj odpowiednich, pieniądz zaś papierowy ma tę niezaprzeczoną wyższość nad kruszcem, że oszczędza społeczeństwu niepotrzebnego wydatku pracy, że przypada mu prawie za darmo. Ilość zaś ich musi coraz bardziéj wzrastać, gdyż państwa w chwilach gwałtownéj potrzeby zawsze będą się uciekały do łatwego sposobu zdobycia

środków pieniężnych — emisyi niewymienialnych banknotów. Każda wojna zwiększy ich ilość, a sfera rozprzestrzenienia pieniędzy papierowych rozszerzać się będzie coraz bardziéj wraz z cywilizowaniem się dotychczas barbarzyńskich krajów. Rozrostem swoim będą one spychać brzęczącą monetę do sąsiednich krajów, a tym sposobem mogą się wytworzyć wzrastające coraz bardziéj obszary niepodzielnego panowania papieru obok ścieśniających się przestrzeni panowania złota na współkę z banknotem. Do obszarów obiegu złota będą również napływać i obce banknoty, i ścieśnią w ten sposób znaczenie kruszcu, jako monety handlowéj, gdyż zakupy na obcych rynkach będą się odbywały przy pomocy obcego papieru.

Zepchnięte więc z całego świata złoto na pewien obszar, musi zniżyć wartość i zwiększyć swój dział towarowy, co sprawi, że wartość monety ulegać będzie coraz większym wahaniom. Dzieła rozkładu dopełni wzrastająca produkcya złota, obniżająca jego wartość daléj i zwiększając towarowość monety i wahania jéj wartości. Wobec tego wszystkiego, złoto znajdzie się w położeniu obecném srebra, wartość zaś niewymienialnych banknotów może być wtedy znacznie wyższa od złota. (Coś podobnego daje się spostrzegać obecnie ze srebrem. Np. niektóre pieniądze papierowe stanęły względem srebrnych *al pari;* właściwie jednak moneta srebrna posiada w danéj chwili wartość nadaną, wyższą od realnéj, a wobec tego wartość banknota jest znacznie większa od wyrażonéj w nim jednostki kruszcu).

Przypuszczać należy, iż obecne formy pieniędzy muszą uledz dalszemu przystosowaniu się do potrzeb przemyslu; błędném bowiem byłoby mniemanie, jakoby ewolucya miała się zatrzymać w swoim pochodzie i nie postępować daléj. Na tle potrzeb produkcyi, rozrostu masy pieniężnéj — pieniądz wyrobił w sobie większą elastyczność, możność zwiększania swéj ilości. Ale grzechem pierworodnym banknotu jest polityczne jego pochodzenie i zależność w dalszym ciągu od wypadków politycznych, gdy tymczasem w interesie przemysłu leży, by ilość owych organizacyjno-wymiennych środków zależna była od jego potrzeb. Pieniądz papiérowy, który dałby się doskonale stosować i naginać do potrzeb gospodarczych, rzucany masowo na rynek z powodu zajść politycznych, powoduje wstrząśnienie ekonomiczne, i sam zaczyna panować nad swoim twórcą, człowiekiem, nie dając się ująć w potrzebne karby.

W pochodzie ewolucyjnym pieniądz wytworzył formy swoje, wolne od balastu drogocennych kajdan kruszcowych, w dalszym zaś rozwoju musi wyzwolić się od przewagi czynników politycznych i uza-

leżnić swoje rodzenie się od potrzeb rozwoju przemysłu; rozrost produkcyi i mnożenie piéniędzy zwiążą się ścisłym łącznikiem.

Na podstawie istniejących czynników społecznych i potrzeb produkcyi można nawet w przybliżeniu określić tę przyszłą formę piéniężną. Nie mamy tu jednak zamiaru podawać projektu nowych piéniędzy, lecz chcemy tylko wskazać jaki typ może w danych warunkach się rozwinąć i jak to wpłynie na produkcyę. W rozwoju bowiem zarówno biologicznym jak i urządzeń ludzkich istnieje zasada, że skoro warunki pozwalają na powstanie jakiéjś korzystnéj nowéj formy,—pojawienie się jéj w drodze nieświadomych dążności, jest jedynie kwestyą czasu, bezwiedne zaś natrafienie na nią, dając większe korzyści, zapewnia jéj byt. Jeżeli więc nowa forma piéniędzy może dać rzeczywiste korzyści sprawie wytwarzania—pojawienie się jéj będzie wielce prawdopodobne.

Taki piéniądz przyszłości przedstawia się nam w postaci niewymienialnego na kruszec banknotu, którego emisyą zajmował by się specyalny bank w określonym celu budowy jakichś instytucyi przemysłowych, i na którym oznaczony był by wyraźnie ten cel. Zewnętrzną swoją formą różnił by się on od obecnie istniejących piéniędzy papierowych jedynie małym dopiskiem:: „Piéniądz instytucyi NN". Powstanie jego nie wymagało by żadnych zasadniczych zmian w ustroju społecznym, i dla tego rozwinąć się on może drogą żywiołowéj ewolucyi. Nie jest nowością, że rozwojem rozmaitych gałęzi przemysłu na własną rękę zajmują się niekiedy banki (np. w swoim czasie Bank Polski rozwijał szeroko tego rodzaju działalność) podobnież i państwa używają nieraz wypuszczonych przez siebie banknotów na budowę instytucyi przemysłowych (np. kolei). Do pojawienia się zatém takiego piéniądza nie potrzeba nowych czynników, lecz tylko szczególnego skombinowania się istniejących. Być może, jakiemuś państwu przy powyższych robotach okaże się potrzebném zaznaczenie na piéniądzach celu, w którym zostały wypuszczone, a korzystność takich operacyi wywoła powtarzanie ich, wobec czego zjawi się potrzeba specyalnego banku.

Banknot ten miałby tę wyższość nad swoim poprzednikiem, że dana instytucya przemysłowa, do któréj należy (fabryka, kolej i t. p.) będąc w możności dawać znaczne dochody, bardzo łatwo wycofywała by, w razie potrzeby, swoje piéniądze z obiegu, kiedy państwu nadzwyczaj trudno jest opanować raz wypuszczoną masę papiérowych piéniędzy. Rękojmię wartości, oprócz państwowéj—przyjmowania do kas, stanowiły by zorganizowane przezeń instytucye, będące w możności zamortyzowania włożonego kapitału, t. j. wycofania piéniędzy; rę-

kojmia ta miała by również wyższość nad zabezpieczeniem obecnych pieniędzy papierowych (jak w Rosyi) całym majątkiem państwa, w lasach i ziemiach, przynoszącym małe dochody i który, w razie potrzeby sprzedania, nie znajduje częstokroć nabywców.

Na téj więc podstawie można przypuszczać, że pieniądze te były by raczéj więcéj cenione od zwykłych banknotów, nie zaś mniéj, zwłaszcza że kurs ich nie był by tak bezpośrednio zależny od wypadków politycznych; ilość tych pieniędzy nie zwiększała by się w wypadku potrzeb państwowych, na wartość zaś wpływały by one tylko pośrednio, ponieważ banknoty nowego typu krążyły by narówni z dawnemi. Mogła by się jednak zaznaczyć nawet korzystna dla pierwszych różnica kursu. Im bardziéj rozprzestrzeniał by się nowy typ, tém mniéj wpływało by nań ilościowe wahanie dawnego.

Taki więc bank emisyjny (którego personel składał by się ze znawców przemysłowych i finansowych) zajmował by się budową i organizowaniem rozmaitych zakładów i instytucyi w celach wytwarzania, transportu i handlu, na co posiadał by środki dowolnych rozmiarów w postaci wypuszczanych przez siebie pieniędzy, ograniczoną zaś w działalności twórczéj jedynie potencyą ekonomiczną społeczeństwa. Działalność jego mogła by sięgnąć, gdzie operują obecnie, lub operować mogą towarzystwa akcyjne; a więc w zakres téj działalności weszły by fabryki, koleje, magazyny na wielką skalę, (na wzór paryskich i amerykańskich) i w ogóle wszelkie szerokie przedsiębiorstwa. Jako posiadający środki organizacyjne za darmo, nie mógł by on miéć za cel swojéj działalności zysku; zbieranie pieniędzy, wobec możności posiadania dowolnéj ich sumy, nie miało by tu celu (mogła by tylko zjawić się potrzeba wycofania pewnéj sumy wypuszczonych banknotów, co się równa amortyzacyi wydanego kapitału w prywatnych przedsiębiorstwach), wszelka zaś nadwyżka dochodu, mogła by być tylko obracaną na korzyść wytwórców lub spożywców, t. j. wpływała by na wzrost zarobków lub zniżenie ceny produktów, (początkowo dochód mógł by zabierać rząd). Celem więc działalności banku mogły by być tylko jakieś społeczne interesy kraju.

Produkcyi takiéj, obliczonéj na zysk, nie podobna sobie pomyśléć; powstanie więc nowego typu pieniędzy musiało by wywołać pojawienie się produkcyi społecznéj, która nie wystąpiła by odrazu na całéj przestrzeni kraju; lecz rozwijała by się stopniowo, współzawodnicząc z przedsiębiorstwami prywatnemi, i utrzymując się na stanowisku dzięki jedynie swojéj wyższości. Wyższość ta wynika z samego systemu organizowania się tych nowych, społecznych, gałęzi produkcyi. Najlepiéj to wykaże porównanie.

Ażeby wzrastać mógł obecny, prywatno-kapitalistyczny przemysł, trzeba najprzód wyprodukować i sprzedać pewną ilość towarów i tym sposobem ściągnąć konieczny do tego celu zysk pieniężny. Wytwarzanie tych produktów odbywać się musi przy pomocy istniejących metod technicznych, które najczęściéj nie odpowiadają ostatnim postępom i udoskonaleniom, ułatwiającym tego rodzaju zadanie. Praca więc jest tu ciężka—wiele wysiłków marnuje się.

Zdobyty tą drogą kapitał pieniężny przedstawia sobą pewną ilość potrzebnych do budowy produktów, które się zań kupi i płacę roboczą pracujących przy wznoszeniu, — a więc również towary, które zakupią robotnicy. Wyrażając się zatém językiem księgownictwa handlowego, można powiedzieć, że skoro kapitalista oddał swoje towary (sprzedał), więc je i ma (t. j. inne, potrzebne mu). Lecz tu oddało się owoce swojéj ciężkiéj, prymitywnéj, pracy—za co otrzymało się taką cenę, jak gdyby produkta te wytwarzane były przy pomocy najnowszych metod ułatwiających pracę; otrzymało się zatém względnie zamało — czyli pewną ilość pracy zmarnowano. Zanim kapitalista zacznie brać (t. j. kupować w celach budowy) upływa pewien przeciąg czasu, potrzebny do zgromadzenia się pieniędzy w odpowiednio wielkie sumy, w trakcie czego praca ludzka stanie się jeszcze bardziéj wydajną; w danéj zatém chwili wznoszenia zakładów przemysłowych— potrzebne produkty będą kosztowały jeszcze mniéj wysiłków (lecz nie pieniędzy). Kapitalista więc oddaje dużo pracy ludzkiéj w postaci sprzedanych niegdyś towarów, lecz otrzymuje jéj na cele budowy w postaci kupowanych produktów znacznie mniéj.

Zysk jednak produkującego kapitalisty (po odtrąceniu na jego utrzymanie) otrzymany ze sprzedaży, nie pójdzie w całości na organizowanie przemysłu, gdyż znaczną jego część przeżyją rozmaici właściciele sum pieniężnych, wypożyczonych niegdyś danemu przedsiębiorstwu, utrzymujący się z pobieranych procentów. Znowu więc pewna ilość pracy ludzkiéj staje się dla rozwoju produkcyi straconą. Oprócz tego samo zgromadzenie znaczniejszych sum, jak widzimy w towarzystwach akcyjnych, pociąga znaczne koszta i straty; akcye np. początkowo sprzedają się poniżéj wartości nominalnéj z odstąpieniem procentu dla sprzedających bankierów, od pożyczek zaś opłaca się pierwsze raty procentu kosztem pożyczonego kapitału.

Zdobyte zatém kosztem wielu wysiłków środki organizacyjne — pieniądze, użyte będą na budowę tylko w pewnéj swojéj części, reszta zaś dla rozwoju danych instytucyi jest stracona. Gdy nareszcie nowe zakłady przemysłowe zostaną ostatecznie urządzone i zaczną produkować,—działalność ich będzie skrępowana baraczem koniecznych zy-

sków, które nie pozwolą obniżyć ceny towarów po za pewną granicę i ścieśnią tym sposobem ich spożycie.

Rozpatrywana przez nas produkcya społeczna rozwijać się musi w całkiem odmienych warunkach. Nie potrzeba tu marnować pracy ludzkiéj na zdobycie środków pieniężnych, lecz otrzymuje się je za darmo, pieniądz zaś, bez względu jaką drogą został zdobyty, jeżeli tylko może obiegać, jednakowo zdolny jest do czynienia zakupów. Mówiliśmy, że skoro kapitalista dał towary, więc je również ma w postaci otrzymanego w zysku równoznacznika—pieniędzy. Ale to nie znaczy, że na rynku czeka specyalnie dlań przygotowana ilość towarów; wytwórcy nic o jego operacyach i zamiarach nie wiedzą, a zakup produktów nie wywołuje obowiązku dostarczenia odpowiedniéj ich ilości, gdyż za całkowite zadość uczynienie uważa się zapłata pieniężna, kupuje się zaś towary najczęściéj nie tam, gdzie się je sprzedaje. Posiadanie więc pieniędzy w jakiéj bądź formie nie stoi w związku z ilością towarów na rynku, lecz ostatnie dostarczają się na żądanie, dzięki jedynie potędze wytwórczéj obecnych społeczeństw, cierpiących na chroniczny brak spożywców.

Za swoje zatém pieniądze wznosząca się instytucya społeczna poczyni odpowiednie zakupy (materyały—żywność). Mówiąc językiem buchalteryi—jeżeli się wzięło potrzebne towary—więc się jest winnym; rzeczywiście po urządzeniu takiéj instytucyi wytwórczéj zajść może potrzeba wycofywania swoich pieniędzy przez sprzedaż towarów,—lecz taki społeczny kredyt będzie czémś zupełnie różném od prywatno-kapitalistycznego. Tutaj bowiem nie tylko że nie potrzeba opłacać procentów za wypożyczanie, lecz nawet niema konieczności całkowitego zwrotu t. j. wycofania całéj wypuszczonéj w obieg sumy pieniężnéj, gdyż najprzód wzniesiona instytucya musi pozostawić sobie część pieniędzy na kapitał obrotowy, powtóre zaś wypływająca z niéj fala pieniężna idzie w świat, by organizować produkcyę prywatną i osiadać we wzniesionych zakładach jako niezbędny kapitał obrotowy (według szematu *C*). Wycofanie więc pieniędzy z obiegu było by niekorzystném dla produkcyi prywatnéj, wobec czego nastąpić by mogły protesty przeciw takiéj operacyi. A więc mus wycofania wypuszczonych pieniędzy mógł by zajść tylko względem części ich, lecz nie całości, wyższość zaś takiéj instytucyi zaznaczyła by się tém jeszcze, że kiedy prywatne zdobywają kapitały pieniężne (potrzebne do dalszego rozwoju) za pomocą prymitywnych systemów wytwarzania,—społeczna zwraca część zakredytowanych towarów, posługując się odrazu najnowszemi metodami, ułatwiającemi pracę i czyniącemi ją wydajniejszą.

Można te dwa różne procesy rozwoju produkcyi prywatnéj i społecznéj przedstawić za pomocą szematów:

Fig. *D*. Szemat rozwoju instytucyi przemysłowych prywatnych.

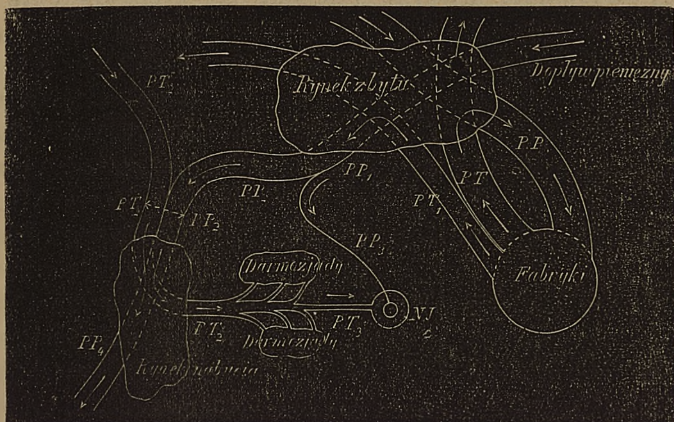
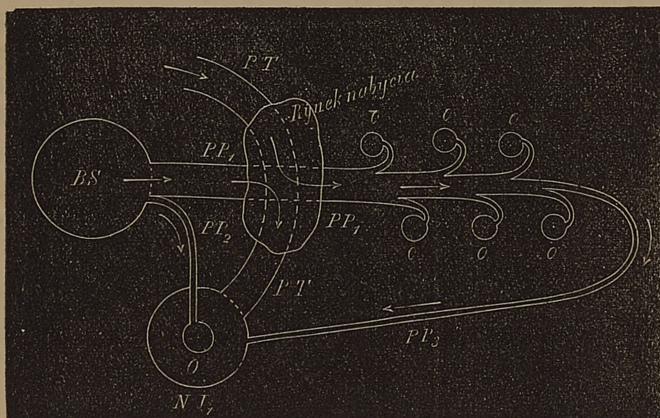



Fig. *E*. Szemat rozwoju instytucyi przemysłowych społecznych.




$F$ = fabryki prywatne, produkujące na rynek przy pomocy starych metod; $B. S.$ = bank społeczny; $PT$ = prądy towarowe; $PP$ = prądy pieniężne; $O$ = kapitały obrotowe; $NI$ = nowe powstające instytucye przemysłowe.

(W szematach powyższych pominięte są procesy pośrednie i uwzględnione tylko ostateczne ich wyniki).

Fig. *D*. Z prywatnych instytucyi przemysłowych $F$ dąży na rynek zbytu prąd towarowy i dzieli się na dwie części: $PT$ i $PT_1$, z których

pierwszy ma wrócić kapitał obrotowy w postaci powrotnego prądu pieniężnego *PP*—drugi zaś powinien przynieść zysk, którego celem jest dalsza organizacya przemysłu. Otrzymany zysk $PP_1$ dzieli się na $PP_2$ i $PP_3$; $PP_2$ pójdzie na rynek nabycia i zakupi rozmaite towary, jak materyały budowlane, maszyny i środki do życia dla ludzi, — $PP_3$ przedstawia kapitał obrotowy wznoszących się instytucyi *NI*. Zyski więc zakupią na rynku dopływające tam towary $PT_2$ i skierują je ku wznoszonym instytucyom. Towary te jednak nie dojdą w całości do przeznaczonego im celu, gdyż znaczną ich część spożyją właściciele włożonych do produkcyi pieniędzy, wobec czego na rozwój przemysłu użytą będzie tylko ilość ich $PT_3$.

Jeżeli więc szerokością tych prądów oznaczymy ilość pracy ludzkiéj, zużytéj na wytworzenie towarów lub zdobycie pieniędzy,—to się jasno okaże, iż przy rozwoju prywatnych instytucyi przemysłowych, ażeby otrzymać ilość towarów, na wytworzenie których zużyta praca wyraża się szerokością prądu $PT_3$, trzeba zużyć masę wysiłków, równą szerokości $PP_2+PT_2$. Różnica szerokości $PT_3$ i $PP_2+PT_2$ będzie wyrazem niepotrzebnie zmarnowanéj pracy.

Fig. *E.*: *BS*. wysyła prąd pieniężny $PP_1$, który na rynku zakupi dopływający tam prąd towarowy *PT* i skieruje go do powstających instytucyi przemysłowych $NI_1$. Zdobyte towary zużyte będą w całości na cele budowy, do wzniesionych zaś instytucyi wpłynie kapitał obrotowy $PP_2$. Pieniądze $PP_1$ po zakupie towarów staną się prywatną własnością i pójdą w świat, by organizować w dalszym ciągu przemysł. Według szematu *C* osiadać one będą jako kapitały obrotowe w stworzonych instytucyach. W wypadku zatém potrzeby umarzania wypuszczonych pieniędzy—instytucye $NI_1$ będą obowiązane wycofać tylko ilość ich $PP_3$.

Gdy ilości pracy niezbędnéj do powstania instytucyi przemysłowych *NI* i $NI_1$ weźmiemy jednakowe ($PP_2+PT_2=PT$)—to się okaże jak wiele wysiłków marnuje się przy powstawaniu instytucyi prywatnych i jaką przewagę posiadają społeczne. Ażeby powstały pierwsze, trzeba najprzód wytworzyć masę towarów przy pomocy prymitywnych systemów, sprzedać je by otrzymać potrzebne środki organizacyjne, potém wytworzyć znów odpowiednią ilość towarów, obdzielić niémi rozmaitych przedstawicieli przywileju własności, poczém dopiéro zbywająca reszta idzie na rozwój produkcyi; produkcya zaś społeczna do swojego rozwoju potrzebuje jedynie nabyć za wypuszczone pieniądze pewną ilość towarów (wziąć na kredyt) a następnie oddać zaledwie część równowartości ich w postaci produkowanych już przez sie-

bie za pomocą najnowszych metod towarów (by umorzyć część swoich piéniędzy).

Przemysł więc taki, oparty na istnieniu nowego typu piéniędzy, posiada możność rozwijania się daleko szybszego niż jego gałęzie, znajdujące się w rękach prywatnych. Wyższość jednak zaznaczy się i w dalszym ciągu, gdyż instytucye takie, jako wolne od ciężaru pożądania zysków, mogłyby produkować znacznie taniéj. Dzięki temu przemysł społeczny mógłby się rzucać na takie przedsiębiorstwa, o których kapitał prywatny nie śmié nawet marzyć (np. będą mogły powstawać koleje tam, gdzie wskutek pewnych warunków nie można liczyć na dochody przez znaczny przeciąg czasu. W wypadku takim rachuba odnosiła by się do podniesienia poziomu ekonomicznego danych przestrzeni i dostarczenia zajęcia i środków życiowych potrzebującym.

Wobec zatém przewagi produkcyi spełecznéj, można wnioskować, że rozwijać się ona będzie bardzo szybko, a jednocześnie dając potrzebny dopływ piéniężny, połączony z zapotrzebowaniem na towary, pobudzi również rozrost prywatnych gałęzi (według szematu *C*); o współzawodnictwie ich jednak z nowym typem przemysłu na jednéin polu, nie może być mowy. Gdzie wystąpi produkcya w téj wyższéj formie, tam dawna będzie musiała ustąpić. Względem społecznego—przemysł prywatny będzie odgrywał podobną rolę, jak obecnie przedsiębiorstwa drobne względem wielkiego kapitału; t. j. staną się rodzajem mierzwy, użyźniającéj dla swojego następcy grunt i torującéj drogę.

Korzyści, jakie przyniesie nowy typ piéniędzy, wpłyną na szybkie ich rozprzestrzenienie i zapanowanie, skutkiem czego wszelkie inne będą coraz bardziéj wypierane, wobec zaś ustalenia się téj papiérowéj formy—produkcya na miejscowy rynek nabierze największego znaczenia; rynki zaś zewnętrzne utracą swoją rolę kniei, w któréj się poluje na piéniądze. Wymiana między krajami będzie się odbywać jedynie na produkty, które rzeczywiście łatwiéj w danéni miejscu wytwarzać, gdyż istniejąca obecnie konieczność produkowania na wywóz—zniknie.

Piéniądz taki oddziałał by przekształcająco na całe społeczeństwo. Nowy typ produkcyi, bez czynnika zysku, rozszerzał by się coraz bardziéj, a zmiany wywołane tém w sposobie życia odbiły by się na poziomie kulturalnym i obyczajach ludności.

Jakkolwiek piękne snuć można na tém tle obrazy, nie będziemy tu jednak ich rozwijać. Zauważymy tylko, że skoro powstanie danego typu piéniędzy może dać tak znaczne korzyści społeczeństwom,—zapanowanie jakiejś formy zbliżonéj w krótszym lub dłuższym czasie

nastąpić musi, chyba że ludzkość w swoim pochodzie rozwojowym napotka jakąś lepszą lub bliższą drogę.

Wobec istnienia u nas dążności do wynajdywania uniwersalnych leków na wszelkie niedomagania,—musimy się zastrzedz, iż nie uważamy mającéj się narodzić formy piénięžnéj za kamień filozoficzny, rozstrzygający wszelkie kwestye społeczne; powstanie piéniądza, którego mnożenie będzie zawisłe od rozrostu produkcyi i nawiązanie tém łącznika między wytwórczością i spożyciem będzie jedynie znacznym krokiem naprzód na drodze rozwoju ludzkości.

*Kazimierz Pietkiewicz.*



# DWA PARLAMENTY ANGIELSKIE

## wczorajszy i jutrzejszy.

Gdyśmy pod tym samym tytułem, okrągło przed trzema laty, kreślili tutaj [1]) obraz parlamentarnéj działalności za rządów lorda Salisbury, podczas sześciolecia 1886—92 roku, gdyśmy opowiadali upadek jego gabinetu, rozwiązanie dwunastego parlamentu obecnego panowania i zakończyli ten przegląd przeszłości charakterystyką wyborów 1892 roku, które liberalne stronnictwo z jego wielkim wodzem Gladstonem powołały do steru władzy, wypowiedzieliśmy przekonanie o nadzwyczajnych trudnościach, z jakiemi rząd liberalny będzie miał do walczenia. Do przewidywanych wówczas niebezpieczeństw przybyły jeszcze następnie, z biegiem czasu, różne inne komplikacye. Przybrały one takie rozmiary, że gabinet liberalny, na którego czele nie stał już Gladstone, ale jego następca, lord Rosebery, widział się zmuszonym po trzechletnich rządach, złożyć swą władzę. Utworzone koalicyjne ministeryum pod lordem Salisbury, rozwiązało w czerwcu r. b. trzynasty parlament i rozpisało wybory do nowego. Wybory te dały mu większość do rządzenia niezbędną i utwierdziły go u władzy. W ten sposób Wielka Brytania posiadać będzie, przez sześć lat następnych, jeżeli wypadki normalną potoczą się koleją, ministeryum obe-

---

1) Patrz „Ateneum“ za wrzesień 1892 r.

cnie utworzone. Zakończy ono wiek XIX a otworzy XX. Jest to pod wielu względami nowa era w polityczno-społecznym rozwoju życia angielskiego. Zdaje się nam na dobie rzucić naprzód okiem na główniejsze momenta owego właśnie co zamkniętego okresu, przypomnieć zagadnienia i te które rozwiązał, i te które nierozwiązane przyszłości przekazał, następnie zaś wskazać warunki, w jakich nowy, jutrzejszy parlament programat narodowy w czyn wprowadzać będzie. Chwytana w całościowych zrębach polityka dnia wczorajszego jest już historyą, i choć mętna jest jeszcze, choć biją w niéj gorączkowe pulsacye, może sobie wszelako do tego dostojeństwa rościć prawo.

Gdy się w sierpniu 1892 r. otwierał ów dopiéro co w połowie swego zwykłego żywota przedwcześnie do grobu złożony trzynasty parlament królowéj Wiktoryi, pod czwartém już przewodnictwem Gladstona, jako pierwszego ministra, posiadał on w swém łonie dwa stronnictwa, ministeryalne i opozycyjne, różniące się niewielką różnicą głosów: pierwsze miało ich tylko 42 więcéj od drugiego. Ale jeżeli ta słaba większość była wskazówką prawie równoważących się sił i zapowiadała zwycięzcom życie jak po grudzie, to mieli oni, albo przynajmniéj zdawało się, że mają, dwa oręże, któremi zawsze będą mogli poskromić przeciwników. Pierwszym była sama osobistość wodza, drugim programat stronnictwa liberalnego, ułożony w Newcastle i powszechnie znany pod nazwą tego miasta.

Imię Gladstona było talizmanem. Osoba jego, jak żadna inna, przemawiała do wyobraźni narodu. Ów mąż stanu urągający się brzemieniu lat, rozbijający jak herkulesową maczugą najtwardsze zapory, najsilniejsze koalicye materyalnych interesów i przywilejów, zagrzany świętym zapałem dla sprawiedliwości i swobody, był istotnie postacią heroiczną, o jakie w dniach naszych prozaicznych coraz trudniéj. Ślub uczyniony przez niego, że chce ostatnie lata swego zawodu poświęcić usamowolnieniu Irlandyi, po macoszemu dotąd traktowanéj w wielkobrytańskiéj rodzinie, olśnił swą wspaniałością nawet tych, co nie spuszczali z uwagi trudności tego zadania. Zdawało się, że natura, co dla tego wyjątkowego człowieka zapomniała zwykłego swego toku, da mu czas do ich pokonania i ozłoci purpurową aureolą zachodu jego dni przedzgonne. Szły więc za nim masy ludowe, dla których był on ucieleśnieniem moralnego ideału i sam stał za instytucye. Uwielbiany przez swych stronników, szanowany przez przeciwników, którzy przyznawali, że jest chlubą i zaszczytem całego narodu, był on potęgą, co starczyła sama jedna za armię. Po za achillesowy jego puklerz, chroniło się całe stronnictwo postępowe. Dobrze to było, dopóki stał na jego czele, ale co za szczerba, gdy go na raz nie stało. Dyktatura,

jaką Gladstone dzierżył, była czysto moralną dyktaturą i jako takiéj potępiać jéj nie można. A przecież nosiła ona w sobie swą klątwę. Gdy hetman złożył buławę, rozprzęgły się jego hufce, a partya pozbawiona jedności, nie zaprawiona do słuchania nowego wodza, okazała swą słabość i odrazu straciła nie jeden, ale cały szereg posterunków, co się w przededniu niezdobytemi zdawały. Nie można powiedziéć, jak to uczynili już niektórzy niewdzięcznicy, że Gladstone przez zbyt silną swą indywidualność, skruszył, zniweczył na lat dziesiątki istnienie stronnictwa liberalnego: jest w tym pośpiesznym wyroku widoczna przesada. Ale nie da się zaprzeczyć, że do tak wysokiego tonu nastroił swą lutnię, iż struny jéj, gdy po nich on, wirtuoz, przebiegać zaprzestał, pękły z ponurym jękiem. Kto je znów do harmonijnego dostroi dźwięku? Na to pytanie odpowié dopiero przyszłość, a próżném byłoby kusić się dziś już o przeniknięcie jéj tajemnic.

Powracające przed trzema laty do władzy stronnictwo liberalne, przypłynęło na nawie newcastelskiego programatu. Uchodził on za ostatnie słowo postępu. A czego też to on i nie zapowiadał! Oprócz samorządu dla Irlandyi, znajdowały się tam, rozdział kościoła od państwa w Walii i Szkocyi, reforma izby lordów, szeroka autonomia dla Londynu, uwłaszczenie czynszowników, reforma podatków, reforma szkół, reforma ustawy o szynkach, organizacya rad gminnych, reformy prawa wyborczego, a mianowicie zniesienie kilkokrotnych głosowań, skrócenie sesyi, płatność stanowiska deputowanych, rozmaite ulepszenia w ustawie fabrycznéj i cały szereg środków do poprawy materyalnego położenia warstw zarobkujących. Oczywistém było, że na jednéj kadencyi nie będzie mogło stronnictwo ministeryalne całego tego programatu ująć w prawodawczą formę i wprowadzić w życie. Ale uważano za korzystne wypisać na swym sztandarze wszystkie cele, do których zdążano i zgromadzić około niego tych, którym te lub owe punkta programatu leżały bliżéj na sercu. Kładziono w ten sposób rękę na przyszłości, konfiskowano ją dla stronnictwa liberalnego, po za którego obrębem nie miało już być żadnego możliwego postępu.

Nie długo jednak trzeba było czekać, aby się niepraktyczność tego programatu ujawniła. Rozognił on rozmaite nadzieje, wywołał wielkie oczekiwania. Każda część zbiorowéj większości usiłowała zdobyć pierwszeństwo dla swych, bliżéj ją obchodzących projektów prawodawczych. Targany w prawo i lewo, rząd był zmuszony rzucać jak z rogu obfitości jedne bile po drugich. Nie przychodziły one pod obrady a okrywały go śmiesznością. Przy małéj większości liczebnéj, którą rozporządzał, a zajadłéj opozycyi przeciwników, urągających przesadzonym pretensyom, ów newcastelski program, jadłospis o paru

tuzinach przysmaków, okazał się istotnie kością nie do zgryzienia. Zdławił on stronnictwo liberalne i nie ma wątpienia, że gdy w przyszłości zaprosi ono naród na gody, zastawić mu będzie musiało mniéj liczną, ale za to strawniejszą i do natychmiastowego spożycia nadającą się biesiadę.

Ale w pierwszym roku po objęciu władzy nie przeczuwało stronnictwo rządowe obrotu, jaki sprawy jego wezmą i z wielkim animuszem wzięło się do dzieła prawodawczego. Leżało w naturze rzeczy, że Gladstone postawił na pierwszym planie sprawę samorządu dla Irlandyi, która była w jego oczach racyą bytu jego rządu. Jakoż istotnie zaraz na początku sesyi, w lutym 1893 r. wniósł on swój projekt w tym przedmiocie. Nie potrzeba przypominać tu pamiętnych obrad, jakie się w izbie gmin przez cztery miesiące nad tym bilem toczyły. Zabezpieczał on nierozerwalny związek Irlandyi z resztą państwa i oddawał wszystkie sprawy odnoszące się do całości monarchii parlamentowi zasiadającemu w Westminsterze; ale miejscowe miały wchodzić w atrybucye sejmu krajowego, składającego się z dwóch izb. Chociaż projekt ten, zaspakajając wszystkie narodowe aspiracye Irlandczyków a nie naruszał całości państwowéj, chociaż nie narażał jego bezpieczeństwa i jego finansów na najmniejsze ryzyko, jednakże oba skrzydła opozycyi nie przestawały stawiać mu nieugiętego oporu. Przewlekano obrady do nieskończoności i wobec takiéj systematycznéj złéj woli, rząd musiał uciec się do wyjątkowego regulaminu, dozwalającego mu zamknąć obrady w naznaczonéj porze. Rozdrażniło to do najwyższego stopnia przeciwników Irlandyi i gdy nakoniec, po kilkomiesięczném borykaniu się, izba gmin wiekopomny ten bil uchwaliła, gdy Gladstone pozyskał był dla swego wielkiego przedsięwzięcia sankcyę przedstawicieli narodu, opozycya odwołała się do izby lordów, która dzięki swemu składowi i panującemu w niéj duchowi, jest z zasady wszelkich postępowych reform przeciwniczką. Nie zawiodła izba lordów położonych w sobie nadziei. Po krótkich rozprawach, które nie trwały tyle dni, ile w izbie gmin wymagały miesięcy, szlachetni lordowie odrzucili w początku sierpnia 1893 r. cały bil o samorządzie Irlandyi potworną większością 419 głosów przeciwko 41. Wszystkie plany rządu, cała praca parlamentu, a co ważniejsza wszystkie rozbudzone nadzieje Irlandczyków, którzy mniemali, iż nareszcie wybije dla nich godzina sprawiedliwości, poszły w niwecz.

Był to wielki moment dziejowy w konstytucyjnym rozwoju Wielkiéj Brytanii. Wola dwóch milionów wyborców została zniweczoną przez wolę czterystu osób, nie przedstawiających nikogo innego jak siebie samych. Nigdy przeciwieństwo pomiędzy demokracyą a przy-

wilejem nie zarysowało się wybitniéj. Opinia publiczna, nawet wśród narodu tak wysoce zachowawczego, tak przywiązanego do swych tradycyonalnych instytucyi, uczuła i zdała sobie sprawę, że taki stan rzeczy nie jest normalny i że arystokracya rodu i majątku uzurpowała prawo niewytrzymujące krytyki. Gdyby rząd był wówczas stanął na czele agitacyi przeciwko izbie lordów, byłby mógł, otrzymawszy po wyborach ponowny mandat od narodu, nietylko przedłożyć znowu swój projekt o samorządzie dla Irlandyi, ale i projekt konstytucyjnéj reformy, reorganizacyi izby wyższéj. Tak wielkie zadania mając przed sobą, a pomnąc z jednéj strony na nieznaczną większość, jaką mu dały były ostatnie wybory, a z drugiéj na opór, jaki u angielskiéj masy udało się opozycyi wywołać przeciwko usamowolnieniu Irlandyi, gabinet postanowił przeprowadzać przez parlament inne części swego programatu i odwołać się do narodu wtedy, gdy lordowie nową reakcyjną zachcianką przepełnią miarkę i obruszą na siebie wszystkie warstwy społeczne.

Po krótkiéj przerwie powrócił w listopadzie 1893 r. parlament na jesienną sesyę i rząd przedłożył bil o samorządzie gmin. Był on dopełnieniem owego samorządu prowincyonalnego, który wprowadzony został w życie przez rząd poprzedzający w formie rad wyborczych po hrabstwach. Obecnie szło o ustanowienie takiejże rady wyborczéj w każdéj gminie czyli parafii, nadać jéj prawo rozstrzygania o wszystkich drobnych sprawach miejscowych, drobnych ale przedstawiających bezpośredni, natychmiastowy interes dla ludności wiejskiéj. W szerokich pokładach jéj, projekt ten był przyjęty z wielką sympatyą; wieśniacy widzieli w nim swą emancypacyę z pod nadzoru i samowoli wielkiego właściciela ziemskiego, *squire'a* i pastora. Prąd opinii publicznéj, tak jawnie i tak energicznie oświadczył się był za tym projektem, stronnictwo zachowawcze, które samo przez ustanowienie *County Councils* złamało było pierwsze potęgę arystokracyi ziemskiéj, tak widocznie nie miało powodu sprzeciwiania się logicznym następstwom swego własnego planu, że rząd bez żadnych wielkich trudności bil o radach gminnych przeprowadził przez izbę gmin. Mniéj łatwém zdawało się czas jakiś pozyskanie nań zgody lordów. Trzeba było osobistéj interwencyi księcia Devonshire, przywódcy liberalnych unionistów i wyraźnéj wskazówki, że ich sojusz z torysami wisi na włosku, aby ostudzić wojowniczy ferwor lorda Salisbury i sprowadzić go do polityki chłodniejszéj, praktyczniejszéj. Zrozumiawszy, że nowy i tym razem niezwalczony argument dałby przeciwnikom izby lordów, zgodził się nakoniec na ten projekt, polecił swym niemym i niewolniczo posłusznym kolegom, zaprzestać opozycyi

i w lutym 1894 r. ministeryum mogło poszczycić się położeniem węgielnego kamienia administracyjnego samorządu kraju. Gdy do rad hrabstwa i do rad gminnych dodane będą w przyszłości, jak to jest nieuniknioném, ogniwo pośrednie, rady okręgowe, to Anglia posiadać będzie organizm skończony decentralizacyi, którego dotąd, wbrew szeroko rozpowszechnionemu mniemaniu, bynajmniéj nie posiadała.

Jednocześnie z tym projektem rząd przeprowadził przez izbę gmin inny, który zrazu nie zdawał się dawać miejsca do politycznych zapasów, gdyż miał poprostu na celu udzielenie robotnikom kompensaty za poszkodowania poniesione podczas pracy w fabrykach i warsztatach. Odpowiedzialność pracodawców uznaną była oddawna jako konieczność; domagali się jéj energicznie robotnicy, i zapisana też była ta reforma zarówno na programacie stronnictwa liberalnego, jak i polityków, którzy, jak p. Chamberlain, uważają się za gorliwych przedstawicieli i obrońców warstw zarobkujących. Zamiast współubiegania się w szybkiém przeprowadzeniu téj ustawy, opozycya naprzód w izbie gmin, a potém w izbie lordów, stawiała jéj jedne zapory za drugiemi. Ci ostatni nakoniec tak zmienili cały charakter bilu, że po kilkakrotném przesyłaniu go z jednéj izby do drugiéj, rząd, przyprowadzony do ostateczności, wycofał go.

Tak się skończyła pierwsza, niesłychanie długa, bo aż trzynaście miesięcy trwająca sesya parlamentarna. Rząd z trzech swych wielkich bilów przeprowadził tylko jeden: dwa drugie rozbiły się o systematyczny opór lordów. Ale jednocześnie skończyło się coś więcéj — bo cały polityczny zawód Gladstona. W pamiętnéj swéj mowie 1 marca 1894 r. oznajmił on, że po raz ostatni zabiera głos w parlamencie jako pierwszy minister, i że się od życia politycznego usuwa. Jednocześnie wskazał swemu stronnictwu, że nie inaczéj historyczną swą rolę będzie mogło odegrać, jak reformując izbę lordów: taka jaka jest, będzie ona zawsze unicestwiać działalność izby gmin i paraliżować wolę narodu.

Zbyt świeże jest jeszcze wrażenie, wywołane przez usunięcie się Gladstona z widowni politycznéj, aby była potrzeba nad niém się rozwodzić, a przedmiot sam jest zbyt doniosły, aby go pobieżnie traktować wypadało. Wystarczy powiedzieć, że choroba oczu, którą podał za powód, oraz wiek podeszły, nakazujący odpoczynek, nie zwiodły nikogo, i niebawem się pokazało, że na oczy się wyleczył, a że nigdy władz umysłowych i zdolności do pracy nie posiadał większych. Istotnym powodem było to, że skupiwszy całą swą działalność na bilu irlandzkim, nie widział powodu do dalszéj walki, gdy drogę mu zagrodzono do urzeczywistnienia celu. Uśmiechało mu się rozwiązanie

izby, odwołanie się do narodu i oskarżenie przed nim fakcyi lordów, ale z jednéj strony sam oceniał awanturniczość tego przedsięwzięcia, w którém miał wszystkie widoki być pobitym, a z drugiéj, żaden z jego ministeryalnych kolegów nie żywił takiego entuzyazmu do rozwiązania zagadnienia irlandzkiego, aby postawić na szalę stratę swego urzędowego stanowiska. Nie pozostawało wielkiemu wodzowi nic innego, jak opuścić widownię polityczną, pożegnać parlament, w którym głos jego nie miał się rozlegać i zostawić młodszym pokoleniom wszelką swobodę działania w sprawach, stojących na porządku dziennym.

Usuwając się, Gladstone wskazał lorda Rosebery na dowódzcę armii liberalnéj i prezesa gabinetu. Dziwiono się w ostatnich czasach temu wyborowi, ale należy przyznać, że w chwili jego przyjścia do władzy, tylko dobre jego strony rzucały się w oczy. Dobrze widziany nawet przez stronnictwo zachowawcze, do którego należał przez urodzenie, koligacye i fortunę, wyznawca owéj polityki imperyalistycznéj, która mu jednała szerokie sympatye u patryotów o nienasyconym apetycie kolonialnym, biegły i rzutny minister spraw zagranicznych, mówca pełen werwy i humoru, hrabia Rosebery posiadał jeszcze dwie inne zalety. Pierwszą były żywe sympatye, jakie sobie zjednał u demokracyi Londynu, jako organizator i prezes nowo utworzonéj rady municypalnéj; drugą, były dobrze znane opinie jego co do reformy izby lordów. Nietylko publicznie wyrażał on ubolewanie, że przez urodzenie swoje jest skazany na całe życie galernika w izbie lordów, ale wniósł był projekt zamieniający tę izbę prawodawców z urodzenia na izbę wyższą albo senat, posiadającą atrybucye kontroli i inicyatywy prawodawczéj, dającą rękojmie zachowawcze przez swój skład i wybór, ale pochodzącą z wyborów. Skoro kraj uczuwał obecnie nieodwołalną potrzebę takiéj właśnie reformy, mógł Gladstone być zdania, że nikt lepiéj od lorda Rosebery z zadania tego się nie wywiąże.

Nowe ministeryum z małemi zmianami pozostało w dawniejszym swym składzie i nowa sesya 1894 roku otwarta została bez najmniejszéj zwłoki. Ale w pierwszych zaraz chwilach pokazało się, że machina pod nowym przywódzcą nie będzie funkcyonowała łatwo. Opozycya, trzymana dotąd w karbach przez jowiszową grozę, jaką roztaczał około siebie Gladstone, podniosła się bardzo, a zawiedziona w nadziejach, że jego usunięcie nie wywołało rozwiązania izby, postanowiła utrudnić bardziéj jeszcze działalność rządu, co jéj tém snadniéj przyszło, iż nowy prezes gabinetu, nie obyły jeszcze ze swojém położeniem, pokazał się w pierwszéj chwili chwiejnym i niejasnym.

A nie mogło być inaczéj, gdyż nie znajdował on wśród swych kolegów poparcia, pomocy i karności, jakie były niezbędne. Nie miał nawet miodowego miesiąca i ze wszystkich stron mniéj lub więcéj jawne, ale zawsze dotkliwe i zgubne podnosiły się oskarżenia. Irlandczycy wyrzucali mu pewną oziębłość dla ich wyswobodzenia, które za czasów Gladstona stało na pierwszym planie; stronnictwo radykalne pod natchnieniem p. Labouchère, widziało w lordzie Roseberym kreaturę kamaryli dworskiéj, obrazę dla izby gmin, która powinna była ze swego łona wydać pierwszego ministra, etc. etc. Głównym powodem braku sprężystości ze strony tego ostatniego była ukryta wojna, jaką mu robił *sir* William Harcourt, *leader* izby gmin i minister skarbu. Stary ten i zasłużony zresztą pomocnik Gladstona, oddawna żywił nadzieje, że otrzyma po nim spadek polityczny. Zawiedziony, nie usuwał się do prywatnego życia, ale usiłował pokazać się osobistością przewodnią. Kiedy lord Rosebery, wykonawca politycznego testamentu Gladstona, chciał prowadzić energiczną agitacyę za reformą izby lordów, agitacyę, która jak pożar na stepie, wszystkie czynniki społeczne porywać zaczynała, *sir* William Harcourt i ci ministrowie, którzy się około niego grupowali, ostudzili ją przez swoją względem niéj obojętność i przez wysunięcie na pierwszy plan całego mnóstwa projektów prawodawczych, zaczerpniętych z newcastelskiego programatu.

Dwie sesye parlamentarne 1894 i 95 roku zeszły na nich. Pierwsza prawie całkowicie poświęcona była reformie podatkowéj, którą *sir* William Harcourt bardzo umiejętnie wprowadził do swego preliminarza skarbowego i która, dzięki téj okoliczności, nie mogła być odrzuconą przez izbę lordów, nie posiadającą kompetencyi w tym dziale. Reforma ta podatkowa wprowadziła po raz pierwszy w Anglii zasadę równości wobec prawa, t. j. ustosunkowała podatki i ciężary do posiadanego majątku, a przez opłatę od otrzymanych spadków, opłatę postępową, wysokie sumy ściągała od bogaczy. Nie ma wątpienia, że przy wytrwałém utrzymaniu téj zasady, skarb angielski będzie mógł, z biegiem czasu, znieść skandaliczne nierówności majątkowe, istniejące w ekonomicznym ustroju narodowym. Przy złowieszczych krzykach plutokracyi i arystokracyi gruntowéj, która ze zgrozą spostrzegła, że na przyszłość fiskalne jéj przywileje utrzymane nie będą, a przy oklaskach demokratycznéj masy, budżet *sir* Williama Harcourt wszedł w czyn. Mimochodem zauważyć tu jednak wypada, że reforma ta na bardzo kruchych stoi obecnie podstawach. Dała ona wprawdzie skarbowi oczekiwane sumy i okazała się praktyczną, ale, ponieważ dotknęła właśnie kieszeń i materyalne interesa klasy, która obecnie dzierży w swych rękach władzę, zatém można śmiało przepowiedzieć,

jeżeli nie całkowity, to przynajmniéj częściowy powrót wstecz w niedalekiéj przyszłości.

Obok reformy podatkowéj, ważnym czynem rządu była reorganizacya marynarki. Stronnictwo liberalne, podejrzewane zawsze o brak entuzyazmu dla kolonialnych zdobyczy, o zaniedbywanie obrony kraju przez źle zrozumianą oszczędność, skorzystało z chytrze rozpoczętéj agitacyi opozycyi, aby fałsz tych oskarżeń wykazać. Znaleziono olbrzymie sumy na budowę nowych okrętów, fortec morskich, na powiększenie armii morskiéj i kraj bez najmniejszéj obawy spoglądać może w przyszłość. Nie będzie winą liberalnych rządów, jeżeli Anglia swe panowanie na morzach postrada.

Druga a ostatnia sesya parlamentu, miała być poświęcona wprowadzeniu w czyn pstrokatego programu reform wnikających we wszystkie strony, we wszystkie organy życia narodowego. Choćby ministeryum lorda Rosebery rozporządzało potężną i posłuszną większością w izbie gmin i choćby mogło było rachować, nie powiemy na przychylność, ale choćby na neutralność izby lordów, jeszcze i wtedy uważać by można było za zuchwałość owo jednoczesne targnięcie się na tyle poważnych zagadnień. Zważywszy zaś, że miało izbę lordów przeciwko sobie a że jego słaba i tak większość w izbie gmin raz po raz malała, nie można téj taktyki uważać za nic innego jak za manifestacyę liberalnych tendencyi gabinetu. Miało się niebawem pokazać, że praktyczny zmysł narodu nie smakował bynajmniéj w téj polityce, skazanéj z natury swéj na bezpłodność.

Dość będzie przebiedz rejestr bilów wniesionych przez rząd, ażeby się zdumiéć nad ich ogromem, i zrozumiéć żarliwą opozycyę, jaką napotkały ze strony skoalizowanych przeciw nim interesów.

P. John Morley, minister dla spraw irlandzkich i jedyny z mężów stanu angielskich, którego umysł udało się Gladstonowi rozpłomienić swym własnym zapałem dla równouprawnienia Irlandyi, podjął był w nowéj formie bilu gruntowego kwestyę kompensaty dla czynszowników, którą izba lordów odrzuciła była przed rokiem, o czém mówić zapomnieliśmy wyżéj. Nie tykał wprawdzie ten *Land Bill* oczynszowania fermerów, ale w skromniejszym zakresie indemnizacyi za poczynione ulepszenia przez czynszownika, wystarczył jednak do wywołania zasadniczéj protestacyi ze strony wielkiéj własności. Małe miał widoki otrzymania sankcyi izb projekt ten, który irlandczycy uważali za *minimum* zadośćuczynienia a ich przeciwnicy za *maximum* niesprawiedliwości.

P. Asquitt, minister spraw wewnętrznych, do którego należą sprawy kościelne, wniósł projekt o zniesieniu kościoła państwowego w Wa-

lii. Cały zastęp przedstawicieli tego ostatniego przyjął ten projekt z najwyższém oburzeniem i widział w nim piérwszy krok do całkowitéj sekularyzacyi kościoła anglikańskiego. Bezwątpienia, w tym duchu kroczy społeczeństwo brytańskie i tego rodzaju rozwiązanie nastąpić musi. Tak jak w Irlandyi katolickiéj zniesiono przywiléj państwowego anglikanizmu, który tam żadnéj racyi bytu nie posiadał, tak nastąpi to także w Walii, całéj zaludnionéj przez sekty protestanckie, nie uznające zwierzchnictwa anglikanizmu, tak samo nastąpi to w Szkocyi co do presbiteryanizmu. Ale obecnie kwestya ta nie dojrzała jeszcze. Bil przedłożony przez rząd napotkał opozycyę gwałtowną i przedstawiany był jako łupiestwo dokonywane na duchowieństwie kościoła państwowego. Nie można zaprzeczać, że w całéj téj sprawie sekularyzacyi, przemagają już tylko interesa materyalne, bo inne, kwestye sumienia i swobody wyznania straciły wiele z dawniejszéj swéj zaciętości przy niezaprzeczonych postępach tolerancyi i słabnącym ferworze religijnym. Gdyby sesya parlamentu była doszła do swego normalnego kresu, bil ten byłby wyszedł zwycięsko z izby gmin po to tylko, aby znaleźć natychmiastową zagładę w izbie lordów, która solidaryzuje się naturalnie z duchowieństwem państwowém: te dwie kolumny przywileju czują, że są wzajemnie dla siebie niezbędne. Ale chociaż pozostał w pół drogi, całe stronnictwo kościelne nie mogło zapomniéć o ciosie, który na nie był wymierzony i postanowiło dołożyć wszelkich starań, ażeby go od siebie oddalić. Można było przewidziéć to co istotnie zaszło, iż przy kampanii wyborczéj, kościół anglikański—najpotężniejsze ze stowarzyszeń istniejących w łonie narodu, najbardziéj rozgałęzione, najbogatsze — dołoży wszelkich starań, aby stronnictwo liberalne wyparte zostało ze swych stanowisk.

Inny bil, przedłożony przez gabinet, miał na celu reformę wyborczą. Jak wiadomo, wybory w Anglii ciągną się przez kilka tygodni, co umożebnia głosowanie wielokrotne tych uprzywilejowanych wyborców, którzy posiadają kilka lub kilkanaście głosów. Ministeryum wyraziło życzenie, ażeby wybory odbyły się w jednym i tym samym dniu na całéj przestrzeni kraju, ażeby nikt nie miał prawa głosować więcéj jak raz, i nakoniec ażeby nieodzowne wydatki wyborcze opędzane były z funduszów municypalnych lub okręgowych. Ten ostatni wzgląd miał na celu umożliwienie kandydatur ludzi niezamożnych, dotąd faktycznie od udziału w działalności prawodawczéj wykluczonych. Bil ten pozostał był jeszcze w jednéj z pierwszych swych faz rozwojowych. Ale samo jego wniesienie wywołało pawi krzyk w obozie zachowawczym, który nie widział najmniejszéj potrzeby wyzucia się z posiada-

nych przywilejów. I tutaj tedy rozdrażniono tylko przeciwnika nie zadawszy mu dotkliwego ciosu: podwójny błąd polityczny.

Nakoniec *last but not least*—*sir* William Harcourt wniósł projekt reformy szynkowéj. Celem jéj, celem któremu każdy człowiek choćby najpowierzchowniéj znający angielskie stosunki, przyklasnąć musi—było zmniejszenie pijaństwa, owego trądu narodowego. Potężna działalność towarzystw wstrzemięźliwości różne pod tym względem proponuje środki i agitacya ani na chwilę nie ustaje. Stronnictwo liberalne przez sympatyę, jaką tym agitatorom wstrzemięźliwości okazało, pozyskało olbrzymią siłę moralną. Są oni dla niego taką samą silną podporą i dźwignią, jaką jest dla zachowawców liga pierwiosnka.

Nie można zaprzeczyć, że starając się o podniesienie moralnego poziomu społeczności, że oświadczając się przeciwko rozpajaniu ludu a piętnując swych przeciwników politycznych haniebném znamieniem stronnictwa szynkarzy, liberalni mężowie stanu zdobyli dla siebie tytuł do sławy i do narodowéj wielkości. Ale jednocześnie wywołali przeciwko sobie namiętną, niczém nie poskromioną nienawiść szynkarzy i stojących po za nimi gorzelników i piwowarów. Jest to najsilniejsza koalicya interesów materyalnych, jaka tylko wytworzyć się mogła. Po naradzie z *sir* Wilfriedem Lawson, wielkim mistrzem towarzystw wstrzemięźliwości, pod wpływem olbrzymich meetingów, które się w tym samym duchu oświadczyły, wniósł rząd projekt pod nazwą *Local Veto Bill.* Ograniczał się on po prostu do oddania sprawy szynkarskiéj w ręce mieszkańców każdéj gminy. W razie, gdyby dwie trzecie części głosów oświadczyły się za całkowitém albo za częściowém zamknięciem szynków, wola ich miała się stać prawomocną i szynkarze, bez żadnéj pieniężnéj kompensaty zakłady swe opuścić mieli. Projekt ten od chwili wniesienia go napotkał gwałtowną opozycyę tych, którzy przewidywali w nim ruinę materyalną dla siebie. Oni to starali się wszelkimi godziwemi i niegodziwemi środkami werbować dla siebie sprzymierzeńców, a korzystając z okoliczności, że bil nie rozbierany jeszcze w izbie, był mało znany, wpajali w masy ludowe przeświadczenie, że rząd pragnie natychmiastowego i bezwzględnego zamknięcia wszystkich szynków i pozbawić ich téj szklanki piwa, które wydaje się im synonimem dobrobytu i rękojmią swobody indywidualnéj. Samo stronnictwo liberalne spoglądało z obawą na losy, jakie bil ów mieć będzie i na niebezpieczeństwa, które na nich zwali, ale dalekiém było od zmierzenia całych jego rozmiarów.

Takie było położenie rzeczy. Z dniem każdym stawało się groźniéjszém. Nie ulegało już wątpieniu, że nie było jedności w łonie gabinetu, że lord Rosebery, w dodatku jeszcze chory, stracił wpływ

na swych kolegów, którzy ulegać mu przestali i każdy tylko o przeprowadzenie swych własnych planów się troszczył. Prace parlamentarne szły chaotycznie i były zgóry na bezpłodność skazane. Większość ministeryalna się rozprzęgała. Buntowali się Irlandczycy odcienia Parnellistów; garść socyalistycznych deputowanych co moment utrudniała bieg obrad. Po za parlamentem niezadowolenie masy społecznéj stawało się coraz widoczniejsze: wybory municypalne, szkolne, dodatkowe parlamentarne, wszystkie świadczyły o odpływie sympatyi powszechnych. Prasa opozycyjna argusowém okiem ścigała i nieubłaganie sądziła każdy błąd popełniony, i przepowiadała jako nieodzowny rychły upadek ministeryum a katastrofę przy wyborach powszechnych. Można było zrozumiéć, że ministeryum utrzymywało się przy władzy jedynie przez punkt honoru, ale złoży ją ochotnie przy pierwszéj sposobności, która się nadarzy.

Sposobność ta zdarzyła się w niespodziewany sposób 21 czerwca r. b. przy rozbiorze etatu wojskowego: w drobnéj kwestyi zapasu prochu bezdymnego, maluchną większością siedmiu głosów, opozycya wyraziła brak zaufania do ministra wojny, który właśnie mówiąc nawiasem, był najbardziéj popularną osobistością u obu stron izby. Skorzystał z tego drobiazgowego zajścia, które w normalnych okolicznościach nie miało by najmniejszego znaczenia, gabinet i podał się do dymisyi, która bezzwłocznie przez monarchinię przyjęta została.

Koalicya, która w ciągu trzech sesyi ucierała się z liberalnym rządem, zatryumfowała nareszcie, ale nie w sposób jak to sobie obiecywała. Leżało w jéj planie przyjść do władzy dopiéro po rozwiązaniu parlamentu i po dokonaniu nowych wyborów. Porządek został odwrócony; ale jak się niebawem pokazało, nie pociągnęło to za sobą żadnych dotykalnych następstw. Prąd opinii narodowéj był już tak stanowczo zakreślony, że żadna drugorzędna okoliczność na zmianę jego wpłynąć nie mogła. Nowy rząd utworzył się szybko; parlament pospieszył uchwalić niezbędny dla działania machiny państwowéj etat finansowy i dał sankcyę nowéj ustawie fabrycznéj, *Factory bill*, która pozostanie jako jedyna, doniosła praca sesyi i która wystarczyć by mogła sama jedna do udowodnienia, że gabinet liberalny miał na sercu dolę warstw robotniczych,—i rozwiązany został. Wybory do nowéj izby gmin rozpoczęły się 12 lipca. W tym samym dniu ostatnie nominacye dopełniające skład nowego rządu zostały ogłoszone.

Powitały go szumnie radosne okrzyki unionistowskiej koalicyi, która ogłosiła go za najsilniejszy gabinet angielski w całym przebiegu obecnego stulecia. Czy będzie istotnie tak silny, przyszłość dopiéro pokaże; ale już teraz można powiedziéć, że jest najliczniejszy,

gdyż liczy nie mniéj jak dziewiętnastu członków. Pierwszym ministrem jest lord Salisbury, który już po raz trzeci dostojeństwo to piastuje. Jak się można było spodziewać, powołał on do swego gabinetu przeważną ilość członków izby lordów. Udowodnił już przez to samo, jak mało znaczenia przywiązywał do agitacyi demokratycznéj przeciwko wielkim panom. Jest cała kolekcya książąt, markizów, hrabiów, wicehrabiów i baronów w gabinecie. Fortuny odpowiadają tytułom. Nawet drobniejsze posady, podsekretarstwa, prezydentury biur i wydziałów ministeryalnych obsadzone są przedstawicielami wielkich rodów. Na zarzut nepotyzmu uzasadniany tą okolicznością, że lord Salisbury powołał do rządu dwóch swych siostrzeńców, zięcia i szwagra, odpowiedziano, że p. Chamberlain postąpił tak samo i że czterech członków jego rodziny weszło także do gabinetu: szczęśliwe rodziny, gdzie tyle talentów pierwszorzędnych rozkwitło!

Ale gdzieindziéj leży oryginalna cecha gabinetu. Zapieczętował on sojusz liberalnych unionistów z torysami. Gdy w r. 1886 Gladstone zaproponował usamowolnienie Irlandyi, liberalni unioniści pod dowództwem ówczesnego marg. Hartingtona a dzisiejszego księcia Devonshire oraz p. Józefa Chamberlain'a odłączyli się od jądra stronnictwa liberalnego i w pierwszym peryodzie swego odrębnego istnienia, szli równolegle z torysami, a w drugim — w ścisłym z nimi związku, ale zachowali swoją odrębną organizacyę i nie pragnęli dzielenia władzy z partyą, od któréj dzieliły ją całe wieki tradycyi i zupełna różnica zasad. Ale czas zatarł te różnice, a wspólność zapasów, ponoszonych trudów, żywionych nadziei, i osobiste ambicye mężów stanu, którzy na całożyciową bezczynność skazać się nie chcieli, doprowadziły do zlania dwóch skrzydeł stronniczych w jedną całość. Czytelnicy którzy przypominają sobie cośmy tu przed kilku miesiącami [1]) pisali o „Ewolucyi stronnictw politycznych w Anglii”, byli na ten rezultat przygotowani. Ks. Devonshire jako prezes rady ministeryalnéj, p. Chamberlain, jako minister kolonii, lord Henry James oraz kilka mniej znanych i wybitnych figur, ale wiernych i uległych stronników p. Chamberlain'a, będą w gabinecie zachowawczym reprezentantami zasad liberalnych, demokratycznych, ba, socyalistycznych nawet. Nie wielką była liczba ludzi, którzy, jak p. Jakób Bright, spadkobierca wielkiego ludowego imienia, woleli wycofać się zupełnie z zawodu publicznego aniżeli zlać się w jeden organizm z torysami. Wielka masa przyklasnęła temu zjednoczeniu się i p. Chamberlain otrzymując po dziesięcioletniéj służbie nagrodę za odstąpienie swych dawniejszych

---

*) Patrz „Ateneum“ za m. marzec r. b.

stronników, nie wywołał protestacyi. Przeciwnie, siła i energia, z jaką on, wódz szczupłego liczebnie orszaku, potrafił aż pięciu swych protegowanych do rządu wprowadzić, nowe świadectwo dała jego wpływowi i znaczeniu. Wskutek nienawiści, jaką pozostawił ku sobie u swego pierwotnego stronnictwa, które widzi w nim odstępcę i zdrajcę, napisano w ostatnich czasach wiele przepowiedni czarnych co do losów rządu tak niebacznego, że przyzwał go na swego członka, i zagrożonego blizkim rozkładem i upadkiem. Jest w téj ocenie widoczna przesada. Człowiekowi wielkiego talentu, wielkiéj ambicyi i pozbawionemu skrupułów, nie pozostawało nic innego, gdy go zawiodły oczekiwania dowództwa w stronnictwie liberalném, jak wejść do zachowawczego i tak je ukształtować, ażeby niektóre przynajmniéj z jego dawniejszych planów mógł urzeczywistnić. Nie opuści tego obozu, dla tego po prostu powodu, że po za jego sferą nie byłoby już dla niego żadnego wydatnego stanowiska.

Nowy rząd, zwołując wyborców, nie stawił przed nimi żadnego dodatniego programatu, nie uczynił żadnych obietnic, dając po prostu do zrozumienia, że we wszystkich kapitalnych sprawach pójdzie drogą wręcz przeciwną téj, po któréj szedł właśnie tylko co obalony rząd liberalny. Lord Salisbury zamknął się w wyniosłém milczeniu; jedni członkowie jego gabinetu ograniczali się do gorzkiéj krytyki działania poprzedników, drudzy, jak ks. Devonshire, otwarcie oświadczyli, że nie widzą potrzeby ani przewrotów konstytucyjnych, ani postępowego prawodawstwa, a byli i tacy, jak właśnie p. Chamberlain, którzy zapowiedzieli, że stronnictwo unionistów po otrzymaniu mandatu od narodu, nie omieszka wprowadzić całego szeregu reform, mających na celu polepszenia losu warstw robotniczych. Pachniały te reformy istnie państwowym socyalizmem i mogło się wydawać nieprawdopodobném, żeby gabinet zachowawczy pod prezydencyą lorda Salisbury, który tak często i tak energicznie przeciwko każdemu artykułowi tego programatu protestował i który mu szyderstw swoich nie szczędził, obecnie z niemi się solidaryzował. Jedni wynosili niezaprzeczoną potęgę p. Chamberlain'a, który już w pierwszéj chwili potrafił wolę swą narzucić, drudzy, bardziéj sceptyczni, przypuszczali, że idzie po prostu o pochwycenie głosów przy wyborach a że w danéj chwili tak wytrawny polityk, jak marg. Salisbury, będzie umiał awanturnicze zachcianki tego rodzaju poskromić.

Widocznie niesione na fali powszechnéj sympatyi stronnictwo ministeryalne, przy różnorodności swego programatu z jednéj strony a jego bierności z drugiéj, miało o wiele łatwiejszą pozycyę, aniżeli opozycya. Téj przyszło teraz płacić za wszystkie popełnione błędy.

Brakowało jéj wielkiego wodza, który od tylu lat wiódł zjednoczone hufce do walki i do zwycięstwa. W otwartym liście do swych dawniejszych wyborców oświadczył p. Gladstone, iż całkiem z publicznego zawodu się wycofuje. Nie czuł się nawet w prawie z wysokości swego wieloletniego doświadczenia dawać rady wyborcom za kim głosować mają, i dopiero gdy się stało widocznem, że stronnictwo liberalne, w odezwach swych kandydatów, pokazuje ten sam brak jedności, który prawodawczą działalność ostatnich dwóch sesyi zaznaczył, zgodził się na ogłoszenie w jednéj zwięzłej formule całego dążenia postępowéj części narodu. „Przedewszystkiém zabezpieczyć należy prawa izby gmin jako organu narodu, ustalić honor Anglii i utrwalić siłę państwa, zaspakajając słuszne i konstytucyjne żądania Irlandyi". Hasło to jednak, zagłuszone rozmaitemi innemi głosami, kładące przeważny nacisk na sprawę Irlandyi i walkę z izbą lordów, widocznie nie znalazło w sumieniu narodu owego sympatycznego echa, którego w innych okolicznościach możnaby się było spodziewać. Mowy wybitnych osobistości liberalnego obozu, manifesty narodowéj liberalnéj federacyi, narodowéj unii reformatorskiéj, federacyi kobiét i wielu innych zbiorowych organizmów nie wywoływały żadnego entuzyazmu w masach. Olbrzymi meeting w Albert Hall, gdzie lord Rosebery w mowie nacechowanéj głębokim rozumem politycznym i będącéj na wysokości tragicznéj chwili, gdy przyszłość postępowéj Anglii stanęła na szali, przebiegł ostatnie dzieje swego rządu, podniósł na chwilę animusz partyi, ale tylko na chwilę. Stanowiska były już zajęte, decyzya powzięta i nie było wiele prawdopodobieństwa, ażeby obrony *pro domo sua* celu dopięły. Panowała widoczna niecierpliwość jaknajprędszego otrzymania rezultatów. Nie słuchano słów, ale oczekiwano cyfr co z urn wyborczych wysypać się miały. Piszący to, który był świadkiem i uczestnikiem kilku ostatnich wyborów i kampanii wyborczych, nigdy nie dostrzegł, ażeby tak mało zwracano uwagi na argumenta mówców i kandydatów, jak to zdarzyło się tym razem.

Pierwsze zaraz rezultaty wyborów pokazały, iż porażka stronnictwa liberalnego będzie stanowcza. Naprzód w wielu okręgach wyborczych nie stanął w zawody żaden onego kandydat. Przyczyną tego nie była bynajmniéj ospałość polityczna: w kraju o głęboko zakorzeniałych instytucyach reprezentacyjnych istnieje ich zazwyczaj mnóstwo. Daleko prozaiczniejszy był powód tego braku — niedostatek funduszów na prowadzenie kampanii wyborczéj. Potrzeba im więcéj pieniędzy aniżeli oddalony spostrzegacz przypuszczać może, a mówimy jedynie o legalnych i normalnych wydatkach, jak o honoraryach generalnego agenta, urządzania meetingów, wynajmowania sal na ze-

brania i biura, przewożenia z miejsca na miejsce agentów, druk manifestów, buletynów i t. d. Gdyby się chciało bliżéj zbadać te wydatki, znalazło by się jawnych wiele jeszcze, całkiem pominąwszy inne. Do homerycznéj przeszłości należą już wprawdzie teraz wybory co kosztowały kandydata 100.000 f. szt., ale obliczono że w 1892 roku, 1307 kandydatów ubiegających się o 670 miejsc poselskich wydało w tym celu 960,200 f. szt., co daje przeciętną sumę 1,500 f. sz. na każdą kandydaturę. Są okręgi wyborcze, gdzie sam agent generalny sumę taką otrzymuje, a gdzie wydatki wznoszą się od 4 do 5,000 f. szt. Ponieważ deputowany nie pobiera żadnéj pensyi ani indemnizacyi, ale przeciwnie wystawiony jest na różne wydatki podczas całego biegu kadencyi, łatwo zatém zrozumiéć, iż tylko ludzie zamożni stawają do walki. Każde stronnictwo posiada wprawdzie fundusz zbiorowy, zebrany drogą indywidualnéj subskrypcyi, na opędzanie kosztów wyborczych wyjątkowo ważnych, dla niego kandydatów a nie posiadających osobistych ku temu środków; ale fundusz ten, potężny u bogatych torysów, podsycany olbrzymiemi subskrypcyami piwowarów-milionerów, jest skromny u stronnictwa liberalnego, złożonego przedewszystkiém z inteligencyi i *homines novi*. Szczególniéj od r. 1885, gdy się stronnictwo liberalne rozdwoiło, utraciło ono wielu magnatów, a nowe nominacye do izby lordów nie mogły tego braku zastąpić. Dla powierzchownie sądzących ta długa lista okręgów, gdzie żaden 'liberalny .kandydat w szranki się nie stawił, wymownie świadczyła o upośledzonéj ich roli.

W pierwszych dniach wyborów zaszły dwa wypadki, które w wysokim stopniu oddziałały na dalszy ich przebieg. Pierwszym była porażka przywódzcy liberalnego stronnictwa *sir* Williama Harcourt w jego okręgu Derby, drugim rezultat wyborów Londynu. *Sir* William Harcourt ku powszechnemu zadziwieniu pobity został dzięki energicznemu wysiłkowi szynkarzy, którzy skupili swą akcyę przeciwko mężowi stanu zagrażającemu ich procederowi. Wszyscy kandydaci, którzy wraz z nim ufali popularności i wpływowi towarzystw wstrzemięźliwości i kładli główny nacisk na zamykanie szynków, opłacili równym upadkiem swój filantropijny idealizm. Wódka i piwo zwyciężyły na całéj linii. Łatwo zrozumiéć jak olbrzymie wrażenie uczyniło to pobicie wodza w pierwszym dniu wyborów. Wprawdzie znaleziono dlań inny bezpieczny okręg, który go do izby gmin powołał, ale to spóźnione i drugorzędne zwycięstwo nie potrafiło naprawić początkowej klęski.

Rezultat wyborów stolicy wybiérającéj 58 deputowanych miał nie tylko materyalne ale i moralne znaczenie. Londyn ma, wbrew

usposobieniu innych stolic, temperament zachowawczy i ciąży zawsze ku reakcyi. Ale w ostatnich czasach, dzięki rozbudzonemu życiu municypalnemu, udało się stronnictwu liberalnemu wyrąbać szczerbę w zachowawczéj twierdzy i Londyn wybrał obok 35 zachowawczych, 33 deputowanych postępowych. Nowe zwycięstwo byłoby rozbudziło animusz w całym organizmie narodowym. Stało się jednak wręcz odwrotnie. Londyn wybrał 51 zachowawców a zaledwie 8 liberalnych reprezentantów! Wobec faktu tak olbrzymich rozmiarów znikła nietylko wszelka możliwość zwycięstwa, ale nawet ochota do dalszéj walki. Istotnie walczono już odtąd jedynie dla honoru sztandaru i podziwiać należy tę nie złomną energię anglo-saksońskiego charakteru któréj nawet takie przeciwności nie złamały.

Odtąd każdy dzień, każda godzina nowe zwiastowała klęski. Głowy partyi zmiatane były tak samo jak i prości żołnierze. Pięciu ministrów, a między nimi John Morley, legli na pobojowisku; większa część liberalnego sztabu generalnego, urzędowych figur, ludzi wpływowych, mężów którzy poświęcali całe swe życie sprawie ludowéj, usunięta zostuła wzgardliwie przez wyborców, nie biorących w rachunek ani talentów, ani doświadczenia wypróbowanego, ani zasad moralnych. W przededniu wyborów stronnictwo liberalne liczyło jeszcze 28 głosów większości, i najgorliwsi zwolennicy torysów, najlepiéj rzekomo usposobienie kraju znający, oświadczali wówczas że unioniści odzyskają naprzód owe 28 głosów a następnie pozyskają jakich 30 lub 40 nowych. Nikt nie szedł daléj w przewidywaniach i każdemu takie zwycięstwo wydawało się wystarczającém. A tymczasem, zaszedł ten fakt niebywały, iż większość ministeryalna w nowéj izbie gmin wynosić będzie głosów aż 152. Nawet Walia, nienaruszalna twierdza radykalizmu, dała się w części podmyć prądowi reakcyjnemu, tracąc ośm okręgów, nawet Szkocya, dotąd niezmiennie hołdująca zasadom liberalnym, dała się wyprzeć z jedenastu; w Anglii całe prowincye, jak Lancashire ze stolicami handlu i przemysłu, poszły w tym samym kierunku: 81 okręgów wczoraj liberalnych wybrało zachowawczych reprezentantów.

Większość 152 głosów oświadczająca się za rządem unionistów wyrażającym się w dwóch dominujących osobistościach lorda Salisbury i p. Chamberlaina wprawiła w osłupienie nie tylko tych, co wyszli z walki pobici i zmiażdżeni, ale i samych zwycięzców. Krzyk tryumfu nie był w stanie zdławić zdumienia w jakie ich rozmiary wygranéj wprawiły. Rzecz oczywista, że nie brakło komentarzy i zwalania winy i odpowiedzialności na różne postronne okoliczności. Niema potrzeby nad niémi się tutaj rozwodzić ponownie. Wymienione zostały wyżéj

błędy taktyki stronnictwa ministeryalnego. Na pociechę swoją pokonani przytoczyć mogą kilka danych, których milczeniem zbyć nie można.

A naprzód trzeba zauważyć, że przy 5,000,000 głosów, które w wyborach udział wzięły, oba stronnictwa zajmują liczebnie prawie taką samą pozycyę, równoważą się, i zachowawcze ma tylko 103,000 głosów przewagi. Przeciętnie więc było ono upoważnione do jakich 14 deputowanych więcéj a nie do 152; jest zatém wiele szczęśliwego trafu, wiele przypadku w tym niezasłużonym rezultacie. Jako praktyczny rezultat nasuwa się konieczność zreformowania okręgów wyborczych, i przeprowadzenie wielu zmian w ustawie i organizacyi elekcyjnéj.

Daléj stronnictwo liberalne wyrzuca partyi a raczéj grupie niezależnéj robotniczéj jéj odstępstwo. Stanowiła ona krańcowe skrzydło demokracyi i ciągnęła korzyści z prawodawczych projektów w jéj interesie przez stronnictwo postępowe przeprowadzonych. W ostatnich czasach część robotników, ulegając agitacyi deputowanego Keir Hardie, kolektywisty i anarchisty, zwróciła się przeciwko swéj starszéj braci i postanowiła przy wyborach przeciwstawiać swoje kandydatury liberalnym, gdzie tylko będą mieli jakiekolwiek widoki powodzenia. Groźbę te wykonali. Nie posiadali wprawdzie funduszów w swéj socyalistycznéj kasie, ale nie jest tajemnicą, że im torysi ich dostarczyli. W ten sposób udało im się rozdwoić obóz liberalny. Wprawdzie kandydaci niezależnéj grupy robotniczéj zostali sami na pobojowisku i nawet p. Keir Hardie nie został wybrany, ale udało im się przez taki fortel sprowadzać w kilkunastu okręgach klęskę liberalnych kandydatów. Takiéj to okoliczności przypisać należy, że p. John Morley, najznakomitszy z publicystów i jedna z gwiazd intelektualnych Anglii widzi swój zawód polityczny przecięty. Pozyska na téj przerwie świat piśmienniczy, lecz parlament, jako ciało reprezentujące zbiorową Anglię, zubożał wielce.

Ale jakiekolwiek okoliczności złożyły się na ostateczny rezultat nie można nie zauważać, że rząd będzie miał w owym 14 parlamencie zastęp ministeryalny, jakiego od dawna nie posiadali jego poprzednicy i że mu to da siłę wyjątkową. Trzeba istotnie cofnąć się aż do parlamentu wybranego po akcie wielkiéj reformy 1832 roku, ażeby znaleść podobną. Ówczesne ministeryum liberalne posiadało aż 300 głosów większości i zdawało się wtedy, że stronnictwo torysów raz na zawsze zniweczone zostało. A przecież, nie minęło trzech lat, gdy owa fenomalna większość stopniała, a po latach dziewięciu torysowie

mieli znowu liczebną przewagę 78 głosów. Trzeba takie koleje mieć w pamięci, ażeby nie dać się rezultatowi wyborów oślepić i przypisać mu większe znaczenie, aniżeli istotnie posiada. W swobodnych społeczeństwach naród może zawsze skasować wyrok dawniejszy przez nowy.

Jak uczy stary aksyomat, należy zostawić zawsze potępionemu przez wyrok sądowy czas do złorzeczenia sądowi: uspokojenie przybywa naturalnie samo z siebie. Gdyby się miało było wierzyć tragicznym słowom, wypowiedzianym po przegranéj, możnaby doprawdy mniemać, że obywatele Wielkiéj Brytanii, mając uczynić wybór pomiędzy swobodą polityczną a samowolą rządową, pomiędzy swobodą religijną a uciskiem kościoła państwowego, pomiędzy równością polityczną a przywilejami kasty oligarchicznéj, pomiędzy moralnością a pijaństwem, wybrali ujemne czynniki zamiast dodatnich. Byłoby w takiéj ocenie wiele melodramatycznéj przesady. Nie ma wątpliwości, że liga odporna, zawarta pomiędzy arystokracyą, kościołem państwowym i szynkarzami, odniosła zwycięstwo, ale nie ma zasady nazywać nowy parlament—parlamentem szynkarzy i zapowiadać kilkoletni peryod białéj lub czarnéj reakcyi.

Nie będzie jéj i być jéj nie może. Rząd będzie silny, silny nietylko ogromną większością izby gmin, ale wszechwładzą, jaką będzie posiadał w izbie lordów. Cokolwiek postanowi, będzie mógł przeprowadzić. Żadne zobowiązania dawniejsze go nie krępują, bo nie złożył żadnych. Kraj podpisał weksel *in blanco*, jaki nań wystawił. Nigdy rząd nie miał przed sobą większego zadania. Gdyby lord Salisbury był twórczym, genialnym mężem stanu, sam, z własnéj inicyatywy przeprowadziłby reformę izby lordów, zamieniając ją na konstytucyonalną izbę wyższą, pogodziłby się z Irlandczykami, udzielając im nie nazwy, ale jądra *Home-Roule'u*, i idąc za planami p. Chamberlain'a, przeprowadziłby cały szereg reform socyalnych, mających na celu polepszenie materyalnego położenia warstw zarobkujących narodu. Są rozmaite symptomata, zdające się zapowiadać, że jeżeli nie wszystkie, to przynajmniéj niektóre z tych doniosłych przeistoczeń urzeczywistnią się pod obecnym rządem, przy współdziałaniu nowego parlamentu. Spokój, jakiego kraj wymagał po dotychczasowym ruchu reformatorskim, nie będzie letargiem. Naród tak potężną obdarzony żywotnością, mając przed sobą tyle zagadnień postawionych a na rozwiązanie czekających, nie ma zamiaru do greckich odkładać je kalend. Nie sami też zachowawczy torysowie stać będą u steru nawy państwowéj, ale obok nich znajdujemy ich postępowych sojuszników, liberalnych unionistów, którzy shańbiliby się, zadając kłam swéj przeszłości. Ponie-

waż te dwa skrzydła pretendują do świetnéj nazwy stronnictwa narodowego, ponieważ posiadają wiele warunków trwałości, jakiéj dawniejsze nie miały, nie ma powodu przepowiadać im bankructwa. Jakiekolwiek sympatye czuć się mogło do obecnie pokonanych zapaśników, gdy się od jednostek przechodzi do dominujących nad niemi zasad, gdy się z okiem wytężoném w przyszłość, chce zbliżyć epokę sprawiedliwości, swobody i solidarności demokratycznéj, nie ma żadnego powodu do zniechęcenia. Działacze się zmienili, ale nie dzieło. Ono zmienić się nie może.

*N. T.*



# PRODUKCYA ROLNA W ROSYI EUROPEJSKIÉJ.

(Urywek z większéj pracy).

W różnych wypadkach przy różnych kwestyach zachodzi potrzeba dokładnego badania produkcyi rolnéj, jéj rozmiarów i zasobów, jéj ciężarów i kosztów. Czy to będzie chodziło o środki dla wyżywienia ludności, czy o stan rolnictwa i potrzeby rolników, czy o podatki, czy o wywóz lub przewóz zboża, zawsze i w każdym razie należy znać granice wytwórczości ziemi, niedobory do pokrycia i nadwyżki do usunięcia, wreszcie rozmiary zapotrzebowania i koszta zaspokojenia.

Ztąd w różnych państwach zbierają się ścisłe, o ile można, w tym kierunku dane, jako podstawy do roztrząsań naukowych z jednéj, do wniosków i postanowień z drugiéj strony.

Departament rolniczy przy dawném ministeryum dóbr państwa od dłuższego czasu publikował corocznie rezultaty urodzajów w państwie rosyjskiem, powołana zaś do życia w r. 1888 skutkiem upadku cen na produkta rolne komisya Plewego zwróciła uwagę na konieczność zebrania tych materyałów w jedną całość za dłuższy peryod czasu i spowodowała komitet centralny statystyczny do podjęcia tego zadania. Owocem téj myśli była publikacya, która niedawno ujrzała światło dzienne pod tytułem: „Przecięciowy zbiór zboża i kartofli za dziesięciolecie od 1883 do 1892 r. w stosunku do potrzeb ekonomicznych" [1]).

Praca ta poucza, ile każda gubernia i każdy powiat produkują przy małym i przy dobrym urodzaju, ile potrzebowały na zaspokojenie potrzeb ludności, jakie były niedobory i jakie nadwyżki, w końcu wyprowadza przeciętne dla tych zbiorów, jak również dla braków i nadmiarów. Otóż, podzieliwszy Rosyą europejską na 11 okręgów,

---

[1]) Średni zbiór zboża i kartofli za dziesięciolecie 1883 do 1892 r. w 60 guberniach Rosyi europejskiéj w stosunku do potrzeb wyżywienia ludności. Petersburg, 1894.

przy dodaniu Królestwa jako okręgu 12-go, zgodnie z podziałem przyjętym przez departament rolniczy w jego wydawnictwach i opartym na wspólnościach etnograficznych i ekonomicznych, ułożyłem na podstawie tych materyałów poniższą tablicę, która daje dokładny obraz produkcyi rolnéj i jéj stanu. Do obrazu tego nie należą Finlandya i Kaukaz, dla których potrzebnych danych w publikacyi nie znalazłem. Wreszcie nadmienić muszę, że dwie gubernie Orenburska i Astrachańska, które departament rolniczy przy poszukiwaniach swoich często pomija, przyłączyłem do grupy guberni wschodnich i południowo-wschodnich, powiększając tę grupę o dwie gubernie.

Drogą takiego obliczenia otrzymałem następujące wyniki:

| | Nazwy okręgów ze wskazaniem gubernii | Zbiór roczny przeciętny z lat dziesięciu | Takiż zasiew | Konsumcya roczna, licząc 13 pud. zboża na głowę | Roczny przeciętny nadmiar (+) lub niedobór (—) |
|---|---|---|---|---|---|
| | | w pudach: | | | |
| 1 | Gubernie południowe stepowe: Besarab. Chersońs. Jekaterynosł. Taurydzka i Ziemia Dońska . . . . | 321,094,009 | 57,678,174 | 114,641,540 | +148,774,295 |
| 2 | Północne czarnoziemne: Kurska, Orłowska, Tulska, Razańska, Tambows., Penzeńska . . . . . . . . | 406,155,137 | 96,224,005 | 191,465,989 | +118,465,143 |
| 3 | Wschodnie i południowo-wschodnie: Kazańs., Symbirska, Saratowska, Samarska, Ufimska, z dodaniem Orenburskiéj i Astrachańskiéj . . . . . . | 346,276,839 | 88,167,429 | 167,679,967 | +90,429,443 |
| 4 | Środkowe czarnoziemne: Połtawska, Charkowska, Woroneska - . . . . . | 200,504,076 | 44,955,131 | 105,071,187 | +50,477,758 |
| 5 | Środkowe - wołżańskie i zawołżańskie: Niżegrodzka, Kostromska, Wiatska i Permska . . . . . . | 227,558,605 | 68,856,680 | 144,182,150 | +44,519,775 |
| 6 | Południowo - zachodnie: Kijow., Podol. i Wołyńska | 183,473,390 | 36,004,924 | 105,970,579 | +41,497,887 |
| 7 | Królestwa Polskiego . . | 184,344,149 | 40,388,543 | 107,337,486 | +36,618,120 |
| 8 | Nadbałtyckie: Liflandzka, Kurl. i Estlandzka . . . | 53,329,438 | 9,826,571 | 30,556,981 | +12,945,886 |
| 9 | Północne: Archang. Ołoniecka i Wołogodzka . . | 30,100,353 | 7,298,677 | 25,407,794 | — 2,706,118 |
| 10 | Zachodnie: Kowieńska, Wileńska, Grodzieńs., Witebska, Mohylew. Mińska . | 148,064,431 | 37,599,185 | 115,859,172 | — 5,493,926 |
| 11 | Przemysłowe: Moskiews. Twerska, Włodzimierska, Jarosławska, Smoleńska i Kałużska . . . . . . | 163,443,476 | 50,669,573 | 119,790,671 | — 7,016,768 |
| 12 | Północno-zachod.: Pskowska, Nowogrodzka i Petersburska . . . . . . | 60,024,877 | 15,754,883 | 68,106,481 | — 8,081,604 |

W tablicy téj okręgi ułożone są koleją nadmiarów produkcyi, pierwsze miejsce zajmują gubernie południowe, stepowe, w których nadwyżka ponad potrzeby ludności i zasiewu wynosi blizko 150 milionów pudów rocznie, ostatnie zaś gubernie północno-zachodnie czyli okręg petersburski, zapożyczający przeszło 8 milionów pudów rocznie od innych okręgów. Z tejże tablicy widać, że wszystkie prawie okręgi posiadają nadmiary zboża, z wyjątkiem gubernii przemysłowych [1]), zachodnich, północno-zachodnich i północnych. W ogóle nadwyżki produkcyi wynoszą rocznie blizko 544 miliony, niedobory zaś niewiele więcéj nad 23 miliony, co daje przewyżkę przeciętną 520 z górą milionów pudów rocznie. W uzupełnieniu téj tablicy przygotowałem jeszcze inną na podstawie tychże materyałów i drogą téj saméj metody, zestawiając nadmiary i braki zbożowe z zaludnieniem. Rezultat tego dodatkowego obliczenia jest taki:

| | Nazwy okręgów ze wskazaniem gubernii: | Przeciętny roczny nadmiar (+) lub brak (—) ziarna w pudach po pokryciu zasiewu i potrzeb ludności | Natężenie produkcyi w stosunku do zaludnienia wziętego za jednostkę | Procentowy nadmiar lub brak w stosunku do zaludnienia |
|---|---|---|---|---|
| 1 | Gubernie południowe stepowe | + 148,774,295 | 2,35 | + 135% |
| 2 | Północne czarnoziemne . . | + 118,465.143 | 1,63 | + 63% |
| 3 | Wschodnie i południowo-wschodnie . . . . . . . . | + 90.429,443 | 1,52 | + 52% |
| 4 | Środkowe czarnoziemne . . | + 50,477,758 | 1,46 | + 46% |
| 5 | Nadbaltyckie . . . . . . | + 12,945,886 | 1,46 | + 46% |
| 6 | Królestwa Polskiego . . . . | + 36,619,120 | 1,41 | + 41% |
| 7 | Środkowe wołżańskie i zawołżańskie . . . . . . . | + 44,519,775 | 1,37 | + 37% |
| 8 | Południowo-zachodnie , . . | + 41,497,887 | 1,36 | + 36% |
| | W ogóle w przecięciu zbywa | + 543,729,307 | | |
| 9 | Przemysłowe . . . . . . | — 7,016,768 | 0,94 | — 6% |
| 10 | Północno-zachodnie . . . . | — 8,081,604 | 0,93 | — 7% |
| 11 | Zachodnie . . . . . . . | — 5,493,926 | 0,93 | — 7% |
| 12 | Północne . . . . . . . . | — 2,706.118 | 0,73 | — 27% |
| | Wogóle w przecięciu brakuje | — 23,298,416 | | |

[1]) Wedle cyfr procentowych zamieszczonych w powołanem powyżéj wydawnictwie, a wyrażonych w częściach dziesiętnych, dla okręgu przemysłowego wypadało w ostatniéj rubryce zero, ponieważ niedobór nie dochodził do 0,1 części; gdy jednak porównałem liczbę pudów niedoboru z zaludnieniem („Zbiór wiadomości o Rosyi". Petersburg 1890 r. Tablica str. 2) udało mi się dojść do ścisłego określenia dla jakiéj części ludności produkcya miejscowa nie wystarcza i okazało się, że dla 6% w następstwie czego mogłem wypełnić rubrykę natężenia produkcyi cyfrą 0.94.

W téj nowéj tablicy okręgi zamieszczone zostały również koleją nadmiarów lub braków, ale w stosunku do zaludnienia. Najprzód więc idą okręgi, które posiadają środki spożywcze ponad potrzeby ludności w miarę wysokości takowych, daléj zaś okręgi z niedoborami, w miarę ich wielkości.

Jak widać z tablicy, gubernie południowe stepowe mogłyby wyżywić ludność przeszło dwa razy większą, aniżeli posiadają, guberniom zaś północnym (a właściwie Archangielskiéj i Ołonieckiéj) brakuje środków na wyżywienie 27% t. j. czwartéj części nielicznéj tamecznéj ludności. W okręgu przemysłowym figuruje niedobór na 6% ludności, co sprowadza głównie i prawie wyłącznie gubernia Moskiewska (z miastem Moskwą), gdyż jéj brakuje 50% do pokrycia potrzeb zaludnienia.

W szczególności produkcyjność tych gubernii przedstawia się w taki sposób:

| | | |
|---|---|---|
| 1. | Twerska ma rocznéj przewyżki . . . | + 803,643 pud. |
| 2. | Włodzimierska . . . . . . . . . | + 1,064,717 „ |
| 3. | Jarosławska . . . . . . . . . | + 3,619,359 „ |
| 4. | Smoleńska . . . . . . . . . | + 3,947,522 „ |
| | razem nadmiaru . . | + 9,435,239 pud. |

Gdy jednak w guberni Moskiewskiéj istnieje coroczny przeciętny brak, w ilości . . . . . . . . . . . — 15,198,765 pud.

| | |
|---|---|
| a w Kałużskiéj . . . . . . . . . . . | — 1,253,242 „ |
| czyli razem . . | — 16,452,007 pud. |
| przeto strącając. . . . . . . . . . | + 9,435,239 „ |
| brakuje jeszcze . . | — 7,016,768 pud. |

Na pokrycie tego braku idą nadmiary z innych gubernii okręgu, pozostawiając za sobą jeszcze niedobór w bilansie ogólnym na 6%.

Toż samo zjawisko powtarza się w okręgu północno-zachodnim, skutkiem guberni Petersburskiéj z miastem Petersburgiem, która odczuwając braki dla 30% swéj ludności pochłania nadmiary z guberni Pskowskiéj i Nowogrodzkiéj i daje jeszcze w końcowym obrachunku deficyt 7% dla całego okręgu.

W szczególności, gub. Pskowska posiada nadmiaru rocznego + 2,223,627 pudów, Nowogrodzka pomimo niedomagania w czterech północnych powiatach, daje jeszcze w corocznéj nadwyżce nad potrzeby + 3,277,770 pudów, lecz gubernia Petersburska wykazuje braku —13,583,001 pudów.

Z powyższego wynika, że tylko gubernie północne, jak również Petersburg i Moskwa, nie mogą się obejść bez dowozu zbożowego,

wszystkie zaś inne okręgi państwa nietylko znajdują się w możności pokrycia swoich potrzeb, lecz jeszcze posiadają większe lub mniejsze zasoby na wywóz za granicę.

Co do gubernii zachodnich, to jakkolwiek spostrzega się tam pewien brak, takowy łatwo może być pokryty dowozem z sąsiednich okręgów, gdyż gubernie te są otoczone ze wszystkich stron miejscowościami, obfitującemi w nadmiary zboża. Zresztą niedobór tutaj wynika nie tyle z nieurodzajności gruntów, ile raczéj z wyjątkowych warunków, w jakich się gospodarstwo rolne znajduje.

Odnośnie do Królestwa Polskiego, stan produkcyi na podstawie tych samych materyałów, przedstawia się wedle guberni w następujący sposób:

| | GUBERNIE | Zbiór przeciętny w ciągu lat 10-ciu w pudach | Roczny nadmiar (+) lub niedobór (—) po zaspokojeniu zasiewu i potrzeb ludności | Natężenie w stosunku do zaludnienia wziętego za jednostkę |
|---|---|---|---|---|
| 1 | Płocka . . . . . . . . . | 20,732,766 | + 8,748,163 | 2.1 |
| 2 | Suwalska . . . . . . . . . | 16,645,797 | + 5,276,011 | 1.7 |
| 3 | Kaliska . . . . . . . . . | 22,286,540 | + 6,994,283 | 1.6 |
| 4 | Lubelska . . . . . . . . . | 24,741,155 | + 6,310,394 | 1.5 |
| 5 | Kielecka . . . . . . . . . | 17,482,401 | + 4,484,444 | 1.5 |
| 6 | Siedlecka . . . . . . . . . | 16,573,351 | + 3,877,286 | 1.4 |
| 7 | Radomska . . . . . . . | 15,836,478 | + 3,066,235 | 1.3 |
| 8 | Łomżyńska . . . . . . . | 13,034,984 | + 2,369,261 | 1.3 |
| | | Zbywa | + 41,126,077 | |
| 9 | Warszawska . . . . . . | 21,990,154 | — 1,233,633 | 0.9 |
| 10 | Piotrkowska . . . . . . | 15,019,523 | — 3,274,324 | 0.8 |
| | | brakuje | — 4,507,957 | |
| | Wogóle . . | 184,344,149 | + 36,618,120 | 1.4 |

Tablica wykazuje, że produkcya ogólna wynosi prawie 184½ mil., z przewyżką ponad potrzeby 36½ mil. pudów rocznie, inaczéj mówiąc miejscowa produkcya mogłaby wystarczyć na pokrycie większéj jeszcze liczby ludzi od téj, jaką Królestwo pomimo gęstego zaludnienia rozporządza. Jak wiadomo, grunta tutejsze nie należą do naj-

lepszych, wysokie też ilościowe rezultaty, przypisać należy lepszéj kulturze i staranniejszéj uprawie.

Wprawdzie gubernie Warszawska i Piotrkowska, jako bardziéj przemysłowe z wielkiemi ogniskami miejskiemi, nie wystarczają na swoje potrzeby, w pierwszéj brakuje dla 1/10, w drugiéj dla 2/10 zaludnienia, braki te jednak z łatwością pokryte być mogą nadmiarami sąsiednich guberni.

Gdy chodzi o zaspokojenie potrzeb ludności, niepodobna spuszczać z uwagi produkcyi kartofli, stanowiących ważny surogat pomocniczy pożywienia. Jakkolwiek nie we wszystkich częściach państwa, to przecież w niektórych uprawa tego produktu jest rozwinięta i grać może poważną rolę w zaspokojeniu potrzeb ludności. Na podstawie tych samych materyałów, przyjmując stosownie do naukowych danych pud kartofli za 0.19 puda żyta, stan téj produkcyi ujawnia się w takiéj postaci:

| | O K R Ę G I | Przeciętny zbiór roczny kartofli | Ilość kartofli po strąceniu na sadzenie | Taż ilość w przekładzie na żyto, licząc pud kartofli za 0.19 pud. żyta | |
|---|---|---|---|---|---|
| | | | | Wogóle | Na głowę zaludnienia [1]) |
| | | w pudach | | | |
| 1 | Gubernie Królestwa Polskiego | 281,564,684 | 216,274,946 | 41,092,240 | 5. |
| 2 | Nadbaltyckie . . . . . . | 47,312,293 | 35,383,380 | 6,722.840 | 3.5 |
| 3 | Zachodnie . . . . . . . | 116,719,533 | 88,843,558 | 16,880.270 | 1.9 |
| 4 | Północne czarnoziemne . . | 106,734,862 | 84,071,983 | 15,973,675 | 1.1 |
| 5 | Przemysłowe . . . . . . | 57,818,891 | 45,015,627 | 8,552,967 | 1. |
| 6 | Północno-Zachodnie . . . | 20,954,929 | 16,367,291 | 3,109,784 | 0.7 |
| 7 | Południowo-Zachodnie. . . | 35,127,224 | 27,539,547 | 5,213,513 | 0.7 |
| 8 | Środkowe czarnoziemne . . | 26,497,603 | 20,199,342 | 3,837,875 | 0.5 |
| 9 | Środkowe wołżańskie i zawołż. | 19,010,517 | 14,613,426 | 2,776,551 | 0.4 |
| 10 | Północne . . . . . . . . | 3,323,799 | 2,562,427 | 486,861 | 0.3 |
| 11 | Południowe stepowe . . . | 20,352,379 | 14,454,001 | 2,746,255 | 0.3 |
| 12 | Wschodnie i połudn.-wschod. | 21,953,843 | 16,677,550 | 3,168,632 | 0.2 |

[1]) W ostatniéj rubryce dla zaokrąglenia części dziesiętnych, ile razy wypadało pięć lub więcéj jak pięć setnych, brałem za jedną dziesiętną, natomiast ilości mniejsze od pięciu setnych, pomijałem.

Na wschodzie i we wnętrzu państwa produkcya okazuje się słabą, ale na zachodzie a w szczególności w Królestwie Polskiem i w kraju nadbaltyckim przynosi ważną pomoc, zapewniając w piérwszém tyle, co 5 pudów, w drugim zaś $3^1/_2$ puda żyta rocznie na głowę.

W guberniach litewskich i białoruskich produkcya kartofli także zasługuje na uwagę, bo wynosi prawie 2 pudy na głowę. Wreszcie gubernie przemysłowe i północne czarnoziemne posiadają ilość kartofli, wyobrażającą w rachunku na żyto pud na głowę rocznie, co także stanowi pożyteczny przyczynek do środków wyżywienia, zwłaszcza w chwilach nieurodzaju zbożowego. Wobec takiego stanu produkcyi, nie może ulegać chyba zaprzeczeniu, że prawie wszystkie prowincye są wstanie pokryć swoje potrzeby, nie uciekając się do obcéj pomocy.

Nie mniéj ważne znaczenie posiadają koszta produkcyi, które także wziąć należy pod rozwagę.

Na podstawie już innych danych, a mianowicie materyałów opublikowanych przez departament rolniczy [1]), przy zastosowaniu téj saméj co powyżéj metody, starałem się dojść do wytworzenia, o ile można pełnego obrazu kosztów produkcyi rolnéj. Znalazłszy w tych materyałach wskazówki dla kosztów produkcyi trzech gatunków ziarna: żyta, pszenicy, owsa, przygotowałem poniższe wedle rodzaju ziarna tablice:

| | O K R Ę G I [2]) | Koszta produkcyi na dziesięcinę pod zasiewem żyta w rublach i kopiejkach | Koszta produkcyi puda w kopiejkach |
|---|---|---|---|
| 1 | Północno-Zachodnie . . . . . . . | 43.62 | 59.5 |
| 2 | Królestwo Polskie . . . . . . . . | 43.15 | 59.1 |
| 3 | Nadbaltyckie . . . . . . . . . . | 47.36 | 56.8 |
| 4 | Północne . . . . . . . . . . . . | 37.46 | 53.0 |
| 5 | Przemysłowe . . . . . . . . . . | 38.78 | 51.5 |
| 6 | Środkowo-wołżańskie i zawołżańskie . | 31.46 | 48.6 |
| 7 | Zachodnie . . . . . . . . . . . | 30.29 | 46.8 |
| 8 | Południowe stepowe . . . . . . . . | 26.07 | 37.0 |
| 9 | Wschodnie i południowo-wschodnie. . | 21.33 | 36.0 |
| 10 | Południowo-zachodnie . . . . . . | 29.39 | 32.5 |
| 11 | Północne czarnoziemne . . . . . . | 22.83 | 31.9 |
| 12 | Środkowe czarnoziemne . . . . . . | 30.50 | 29.5 |

[1]) Wiadomości gospodarczo-rolnicze i statystyczne na podstawie materyałów otrzymanych od gospodarzy. Petersburg, 1890. Część III, str. XXII i nast.

[2]) W zbiorze, z którego czerpię, wykazane są koszta produkcyi z rentą i bez renty. Rozumie się, że tablicę tę, zarówno jak i dwie następne, układałem na podstawie cyfr kosztów bez renty, czyli istotnych kosztów, bez uwzględnienia jakiegokolwiek od kapitału zysku czy dochodu.

W tablicy téj koszta produkcyi obliczane są dwojakim sposobem: najprzód na dziesięcinę, następnie na pud zebranego ziarna. Koszta w obu rubrykach idą prawie równolegle. Im mniéj kosztuje zasiew i zbiór z dziesięciny, tém taniéj wypada pud żyta, chociaż co do gubernii nadbaltyckich, południowo-zachodnich i środkowo-czarnoziemnych, koszta na dziesięcinę wyskakują po nad kolej i nie maleją odpowiednio do kosztów na ilość ziarna.

Z tablicy téj wypływa, że produkcya nie wszędzie znajduje się w jednakowych warunkach, bo koszta jéj bywają bardzo różne, poczynając od 59½ spadają do 29½ kop. od puda, podobnież na dziesięcinę tworzą skalę od 47 rs. 36 kop. do 21 rs. 33 kop. Gdy w północno-zachodnich guberniach i w Królestwie Polskiém koszta wyprodukowania puda żyta wynoszą blizko 60 kop., w guberniach czarnoziemnych, jak również na południu i wschodzie stanowią one niewiele więcéj jak 30 kop., a nawet dla gubernii środkowo-czarnoziemnych tylko 29½ kop.

Toż samo zjawisko z niewielką odmianą powtarza się i co do pszenicy:

| | O K R Ę G I [1] | Koszta produkcyi na dziesięcinę pod obsiewem pszenicy w rublach i kopiejkach | Koszta produkcyi puda w kopiejkach |
|---|---|---|---|
| 1 | Królestwo Polskie . . . . . . . . . | 59.80 | 66.4 |
| 2 | Nadbaltyckie (bez Kurlandzkiéj i Estlandzkiéj) . . . . . . . . . . . | 51.50 | — |
| 3 | Zachodnie (bez Mohylewskiéj) . . . | 37.48 | 54.7 |
| 4 | Południowo-Zachodnie . . . . . . | 45.44 | 53.4 |
| 5 | Przemysłowe . . . . . . . . . . | — | — |
| 6 | Południowe stepowe . . . . . . . . | 32.89 | 46.9 |
| 7 | Północno-zachodnie (Pskowska bez Petersburskiéj i Nowogrodzkiéj) . . . | 38.77 | 46.1 |
| 8 | Środkowe wołżańskie i zawołżańskie . | 24.00 (jara) | 45.2 |
| 9 | Środkowe czarnoziemne . . . . . . | 43.15 | 44.1 |
| 10 | Północne czarnoziemne . . . . . . | 36.67 | 43.2 |
| 11 | Wschodnie i południowo-wschodnie (bez Symbirskiéj, Astrach. i Orenburg.) . | 24.00 (jara) | 41.1 |
| 12 | Północne (bez Archangielskiéj) . . . | 18.22 (jara) | 25.8 |

Tablica ta w podobny sposób, jak i poprzednia, ułożoną została, z zachowaniem kolei wedle wysokości kosztów. I tutaj napotykamy wyższe koszta na zachodnich kresach państwa, niższe zaś na południu

[1]) Puste okienka zarówno jak i wyłączone gubernie wynikają z braku co do nich wskazówek w wydawnictwie urzędowém.

i wschodzie. Wyjątek stanowi produkcya pszenicy jaréj w guberniach północnych: Ołonieckiéj i Wołogodzkiéj, wypadająca pomimo północnéj strefy tak tanio, że zajmuje pod względem kosztów ostatnie miejsce. Skoro jednak bardzo mało tego ziarna tam się zasiewa, wyjątek ten nie gra żadnéj szczególnéj roli.

Nareszcie nowe potwierdzenie zjawiska spostrzegamy na owsie.

| | O K R Ę G I | Koszta produkcyi na dziesięcinę pod obsiewem owsa w rublach i kopiejkach | Koszta produkcyi puda w kopiejkach |
|---|---|---|---|
| 1 | Nadbaltyckie . . . . . . . . . . | 35.13 | 51.9 |
| 2 | Królestwo Polskie. . . . . . . . | 32.52 | 48.8 |
| 3 | Północno-zachodnie . . . . . . . | 31.25 | 48.8 |
| 4 | Zachodnie . . . . . . . . . . . | 22.77 | 44.0 |
| 5 | Przemysłowe . . . . . . . . . . | 28 27 | 40.0 |
| 6 | Południowe stepowe . . . . . . . | 24.14 | 38.5 |
| 7 | Środkowe wołżańskie i zawołżańskie . | 21.56 | 35.8 |
| 8 | Wschodnie i południowo-wschodnie . | 17.58 | 32.0 |
| 9 | Północne (bez Archangielskiéj) . . . | 22.15 | 30.2 |
| 10 | Środkowe czarnoziemne . . . . . . | 22.62 | 29.0 |
| 11 | Południowo-zachodnie . . . . . . | 22.49 | 28.5 |
| 12 | Północne czarnoziemne . . . . . . | 17.75 | 27.5 |

Znowu widzimy, że na kresach zachodnich i w guberniach północno-zachodnich produkcya wypada drożéj, w pasie zaś czarno-ziemnym oraz na południowym wschodzie i zachodzie daleko taniéj. Wysokie koszta wszelkiego rodzaju ziarna na zachodzie, w szczególności zaś w kraju nadbaltyckim i Królestwie Polskiém wynikają z doskonalszéj kultury rolnéj, w guberniach zaś północno-zachodnich usprawiedliwiają się w części kulturą, więcéj jeszcze trudnemi warunkami klimatycznemi, gdy tymczasem na południu i wschodzie oraz w pasie czarnoziemnym zbiory osiągane bywają łatwiéj, bez posługiwania się ulepszonemi sposobami uprawy. Potwierdza się to najdowodniéj przez zestawienie trzech ostatnich tablic ze stanem produkcyi i zbiorów, jakie w poprzednich tablicach uwydatniliśmy.

Podobnież gubernie przemysłowe wkładają w ziemię więcéj pracy i kapitału, czego nie można również wytłómaczyć inaczéj, jak tylko zwiększonemi staraniami i zachodami około ziemi. Z tego téż powodu dla okręgów droższéj kultury, posiadających znaczne zasoby zboża, nadmierny dowóz z okręgów o taniéj produkcyi bynajmniéj się nie

uśmiecha i nie przynosi pociechy, co więcéj z punktu widzenia rolniczego rodzi obawy i niebezpieczeństwa.

Tanie zboże stwarza dla tejże kultury konkurencyę i sprowadzić może objawy sztucznéj nadprodukcyi, wyrażające się w upadku cen poniżéj kosztów wytwórczych i w zachwianiu warunków gospodarstwa.

*A. Suligowski.*



# KRONIKA MIESIĘCZNA.

Koniec wakacyi.—Lata szkolne i wiek dojrzały.—Przesilenie w rolnictwie.—Produkcya nasion.—Wzrost Warszawy i mieszkania podmiejskie.

Młodzież szkolna powraca ze wsi. Na ulicach Warszawy zjawiły się mundurki. Przed budynkami szkolnemi zbierają się gromadki uczniów. Zjawisko to, powtarzające się tak regularnie, jak zjawiska astronomiczne, nie przemija nigdy bez wywołania w nas wspomnień, łączących się z myślą o przyszłości.

W wieku naszym żyjemy szybko. Powiedzieć to można nietylko o jednostkach, lecz także o całéj ludzkości. Kierunki myśli zmieniają się nieustannie. Zaledwie jeden z nich zdołał się nieco silniej zakorzenić w umysłach, gdy już na horyzoncie widocznemi się stają oznaki prądu nowego. Okresy umysłowego rozwoju ludzkości trwały niegdyś przez całe stulecia; za naszych czasów obejmują dziesiątki lat, a jeżeli gorączkowość, z jaką żyjemy, nie przestanie podniecać tętna, zmiany kierunków będą w przyszłości następowały jeszcze prędzéj po sobie. I jakże wobec tego, patrząc na młodzieńca, który niebawem dojdzie do kresu nauk gimnazyalnych i zasiądzie na ławie uniwersyteckiéj, nie zapytać w duchu: jakie myśli roją się w téj młodzieńczéj głowie? jak przedstawia się świat temu zdrowemu, niezmęczonemu jeszcze oku? czy pokolenie dorastające dziś, będzie podobne do tego, które je bezpośrednio poprzedziło, czy do pokoleń dawniejszych, czy téż może przedstawiać będzie obraz zupełnie nam jeszcze nie znany?

Pytania te nasuwają się zapewne niejednemu przechodniowi, patrzącemu na zarumienione i ogorzałe twarze, mówiące wyraźnie, iż pobyt na wsi nie przeszedł bez pożytku dla zdrowia. Któż jednak zdoła dać na nie odpowiedź. Młodzi starszym zwierzać się nie lubią. Dziś z drobnych zaledwie rysów wnosić można o tém, co będzie. Chcąc wiedzieć więcéj, trzeba czekać cierpliwie.

Wyobraźnia i wrażliwość, te dwa charakterystyczne znamiona, wyróżniające nas wśród obcych, zjednywające nam sympatyę, a zarazem budzące powątpiewanie o naszéj stanowczości, wytrwałości, trzeźwości, przejdą i na najmłodsze pokolenie, jako spadek, który przyjąć trzeba z dobremi i złemi stronami. I oni nie będą umieli patrzéć spokojnie na świat. I oni chłonąć w siebie będą z nieugaszonéni pragnieniem coraz nowe wrażenia, uzupełniając wyobraźnią to, czego im młode doświadczenie dać nie może. Po tych wyraźnych rysach rodzimych poznać będzie można młodzież naszą, gdy się rozbiegnie po świecie, tak samo, jak poznawano po nich warstwy starsze, przechodzące kolejno przez ogniska oświaty na północy i zachodzie.

Wspomnieliśmy o dobrych i złych stronach téj rodzinnéj struktury umysłowéj. Bez przechwałek wypada mówić o pierwszych, bez lękliwego ukrywania prawdy o drugich.

Mało widzimy między młodzieżą naszą jednostek, dla których myśl o przyszłych studyach uniwersyteckich przedstawia się jako prespektywa szeregu rozrywek, zakończonego nieuniknionemi przygotowaniami do egzaminów, stanowiących znowu niezbędny warunek otrzymania kawałka chleba. Młodzieniec nasz ma rozleglejszy widnokrąg przed oczyma i aspiracye szlachetniejsze. Jeżeli olbrzymia różnica między naszém ubóstwem a zamożnością ludów zachodnich sprawia, że wychowańcy szkół warszawskich nie mogą pić z kielicha rozkoszy uniwersyteckich tak obficie, jak ich rowieśnicy niemieccy, francuscy, lub angielscy, to z drugiéj strony sprawiedliwość przyznać nakazuje, że ta nierówność majątkowa nie stanowi tu jedynéj różnicy. Bujna fantazya tworzy w umysłach naszéj młodzieży zaczarowane zamki, olśniewające śmiałością linii. Zasób wiedzy fachowéj wydaje się jéj zbyt szczupłym, by na nim poprzestać mogła. Plany, powstające w młodych głowach, obejmują niemal cały obszar wiedzy ludzkiéj. Każda przeczytana książka podnieca ten zapał, każdy dzień dodaje pomysłom śmiałości.

A w parze z tém idzie niezmierna wrażliwość na wszystko, co nowe. Całokształt pojęć, wyniesionych z gimnazyum, chwieje się i rozpada wśród przełomów, przez jakie młody umysł przechodzi.

Powstaje chęć budowania wszystkiego na nowo. Ludzkość powinna się dowiedziéć, że znowu jedno pokolenie uczniów gimnazyalnych zdało maturę.

Jakże inną jest młodzież niemiecka. Nie widzimy tam tak często ani tych skrzydeł wyłamanych ku niebu, ani chęci tworzenia dzieł wielkich, ani niepohamowanego krytycyzmu. To, co nabyła w gimnazyum, jest dla niéj opoką niezachwianą. Na prawdach, zawartych w książkach szkolnych, buduje swe dalsze sądy. Polityczne i społeczne zapatrywania opiera na znajomości historyi, estetyczne na znajomości literatury. Zamiast kruszyć w kawały szacowną pamiątkę kilkoletniej pracy w sali szkolnéj, przechowuje ją ze czcią i wiarą.

Używa przy tém życia i nie boleje nad światem, odkładając myśli poważniejsze do czasu, w którym trzeba będzie naprawdę zasiąść do książki.

Gdy dwaj młodzieńcy z dwóch tak odmiennych światów spotkają się po raz pierwszy nad Izarą, Nekarem, lub Renem, można wyczytać w ich wzroku, że jeden nie pojmuje drugiego. Niemiec nie wierzy, by młodość mogła nie być wesołą, nie wierzy w szczerość dumań nad losami ludzkości, a porównywając fantastyczne rojenia cudzoziemca ze swemi szkolnemi poglądami, wyznaje w duchu, iż ma przed sobą jednostkę, któréj nie rozumie. Przybysz z nad Wisły patrzy lekceważąco na rozrywki kolegów niemieckich. Ich pogoda umysłu, niezakłócona miotaniem się nowych idei, budzi w nim lekceważenie. Nie lęka się takiego współzawodnictwa i liczy na przewagę czynników, których towarzyszom brakuje.

Mijają lata. Jednych i drugich porwał wir życia. I oto w miastach niemieckich widnieje za oknami księgarni szereg nowych dzieł, a na okładkach czytamy nazwiska tych dawnych studentów, o których mówiono nam z pobłażliwym uśmiechem, że umieją tylko pić piwo i zdawać marne doktoraty niemieckie. A ich koledzy z nad Wisły?

W Niemczech nietylko profesorowie pracują naukowo. Ludzie z różnych zawodów praktycznych utrzymują stały stosunek z nauką i poświęcają jéj chwile wolne od pracy. I oto widzimy, że ta młodzież, która na pierwszym kursie uniwersyteckim biła się na rapiery, nie biorąc się do rozwiązywania kwestyi społecznych i wierząc we wszystko, czego ją w gimnazyum uczono, w jakiś czas potém wzbogaca wiedzę europejską. Poświęciwszy lat parę zabawie, a resztę życia pracy, prześcignęli Niemcy pełnych polotu młodzieńców. Znowu sprawdza się bajka o gonitwach żółwia z zającem. Nie chce-

my wydawać ostatecznego wyroku, ale wiemy, że tam mniej jest reformatorów, rozpoczynających studya, ale téż mniéj zgorzkniałych pesymistów w parę lat po ich ukończeniu.

A my? Nam szybko opadają siły. Praca, walka z biédą, niepowodzenie studzą w nas fantazyę, tępią butę młodzieńczą, a gdy tych nie stanie, nie odnajdujemy w sobie tego cichego, spokojnego, równem płynącego łożyskiem zamiłowania do badań, tego poczucia obowiązku, téj stałéj chęci służenia nauce, które społem robią cuda. Po kilku latach dumni jesteśmy, jeżeli się możemy pochwalić, że nie obce nam są prace tych, którzy pili piwo, gdy my przebudowywaliśmy świat. Czy wstępując w progi uniwersyteckie przypuszczaliśmy, że za zasługę poczytywać sobie będziemy przetłomaczenie książki niemieckiego kolegi?

Dla tego trudno nam patrzeć bez obawy na przyszłych studentów, na których czole błyszczy znamię zdolności i myśli głębszéj. Żal nam ognia, który wypalić się może zbyt prędko. Żal nam zdolności, które się przetrawiają w niewidzialnych dla świata zapasach, nie zostawiając po sobie śladu na tém ogromném polu, gdzie tyle skrzydeł leży połamanych.

Obok chłopców staje do apelu zastęp uczennic. Gdyby i im groził fatalny zawód, gdyby nauka nie dała tego, co ma być nagrodą za pracę, należałoby ubolewać podwójnie. Od lat tylu sprawa wychowania kobiet zajmowała u nas umysły, zastanawiając się nad potrzebami społeczeństwa. Zrobiono w tym względzie wiele mimo trudności niemałych. Wierzymy, że trudy poniesione w tym celu, nie będą bezowocne, a jednak i tu są powody do trosk, których odpędzić nie można.

Któż nie słyszał po tysiąc razy, że nauka wyzwoli kobietę z zależności materyalnéj i da jéj możność istnienia o własnéj sile. Spojrzyjmy na szereg tych młodych dziewcząt z patentami, żądających zarobku i chleba. Otwierają się przed niemi biura i kantory fabryczne, ale jakże obniża się równocześnie stopa zapłaty! Nie jest to zaiste owa niezawisłość, którą im obiecywano. Mamy nowe siły, których nie umiemy zająć. Czy znalazłyby w istocie ów byt samodzielny, gdyby do patentu dołączyły dyplom uniwersytecki? Z każdym rokiem pomnażają się setki pracownic, sprzedających swą wiedzę i pracę za kilkanaście rubli miesięcznéj pensyi. Trudno uwierzyć, by cały ten orszak, powracając z uniwersytetu, zastał nakryte stoły. Wiedza i chléb codzienny różnemi chodzą drogami! Nauka obudziła umysły do życia; chleba nie dała tyle, ile od niéj żądano.

Tak zwana kwestya kobieca mieściła się przez długi okres czasu niemal całkowicie w pytaniu, jak wychowywać kobietę, by mogła o własnéj sile iść przez życie. Nieśmiało i półgłosem zapytywano przytém niekiedy, jak wychowywane być mają te, które własnych sił próbować nie chcą i nie potrzebują. A jednak mimo całego uznania dla pracownic, pozbawionych pomocy i opieki, wolno twierdzić, że dla przyszłości społeczeństwa najważniejszemi zaletami kobiet są te, które robią je wzorowemi matkami przyszłego pokolenia. I dlatego patrząc na grupy gimnazistek i pensyonarek, stajemy przed bardziéj jeszcze tajemniczym sfinksem, niż wobec młodzieży męzkiéj. Jeżeli społeczeństwo ma naprawdę kroczyć drogą postępu, to przyszłe matki powinny przelać na dziatwę swą przynajmniéj ten zasób zdrowia fizycznego, który same otrzymały w udziale, powinny dochować téj iskierki miłości bliźniego, którą wyniosły z domu, powinny wśród cięższych nieraz warunków i skromniejszemi środkami utrzymać gospodarstwo domowe w stanie, w jakim je objęły. Gdybyśmy na to liczyć nie mogli, przygotowaćby się trzeba nie na postęp, lecz na zastój lub upadek. Orgaganizm, który sobie sił nie przysparza, traci tém samém dawne.

Nie chcemy nastrajać się na ton eligijny. Wesołość, zaczerpnięta przez młodzież gdzieś wśród pól i lasów, udziela się i starszym, rozpędzając troski. Niechaj więc przybywają zewsząd, niech czerpią wiedzę, i niech mogą sobie kiedyś powiedzieć, że nie zawiedli nadziei.

Z młodzieżą zdążają do miasta starsi. Oprócz zdrowia i sił przywożą ze sobą pewien zapas wrażeń, pewną ilość sądów o życiu wiejskiém i stosunkach prowincyonalnych, a sądy te, przetrawiane następnie w mieście, składają się na obraz ogólny, odzwierciedlający się w dziennikach i czasopismach, w rozmowach i polemikach. I pod tym względem zmieniają się usposobienia. Moda i tu ma swe prawa. Do ostatnich jeszcze czasów uchodziło niemal za pewnik, że nie ma rozkoszniejszego życia jak na wsi. Jeżeli nie wszyscy ziemianie mają możność używania tych rozkoszy w całéj pełni, to sami są temu winni. Słuchając tych uwag, nabierało się przekonania, że gdybyśmy rolników naszych usunęli zupełnie z dworów wiejskich, a w opróżnionych gniazdach osadzili Warszawian, rolnictwo podniosłoby się natychmiast do niebywałego stopnia doskonałości. Zwolna, a w tym roku wyraźniéj, niż przedtem, odzywać się zaczęły zdania odmienne. Można je już było zauważyć nawet w prasie. Jeżeli byli jeszcze u nas optymiści, zachwycający się żywotem arkadyjskim rolników, to mają sposobność dowiedzenia się, że zawód

ziemiański niesłusznie budzi w nich zazdrość. Życie sąsiedzkie należy już do wspomnień. Myśl o jutrze wypłoszyła wesołość i swobodę. Nawet sławna kuchnia wiejska nie odpowiada już pojęciom, jakich o niej nabraliśmy z książek. Jedném słowem zamiast zazdrościć mieszkańcom wsi, raczéj litować się nad nimi trzeba.

Czyż po nieskończenie długim okresie sielanek na temat rolnictwa grozi nam równie długi okres elegii? Tamtych nasłuchaliśmy się aż do przesytu; pragnąć należy, byśmy nie utonęli teraz w drugiéj ostateczności.

Kto dopiéro obecnie odkrywa na wsi smutek, ruinę i niedostatek, ten spóźnił się o lat kilkanaście. Minęły czasy, w których majątek sam się pomnażał, a za dobrego gospodarza uchodził każdy, kto mienia lekkomyślnie nie trwonił. Życie spokojne i niekłopotliwe przestało być nagrodą za wyrzeczenie się rozrywek miejskich, a młodzieniec, chcący bez ciężkich walk spożywać zapracowany chléb, nie kwapi się dziś na wieś. Są to rzeczy nie nowe i setkami przykładów stwierdzone. Równie niezbitą atoli jest prawdą, że kraj nasz potrzebuje rolników i potrzebować ich będzie. Byłoby dla naszego społeczeństwa klęską prawdziwą, gdyby słodkie złudzenia o raju na wsi zastąpiło nagłe zniechęcenie. W chwilach ciężkiego przesilenia zadanie młodego pokolenia rolników trudniejsze jest niż kiedykolwiek. Wieś potrzebuje sił młodych, nie takich oczywiście, które wabi tam legenda o dobrobycie i rozrywkach, lecz takich, które gotowe są do walki z przeciwnościami i na zawód swój patrzą poważnie. Nawet i w takich warunkach ma wieś swoje powaby, ale nie zawiedzie się na nich ten tylko, kto wié, czego się ma spodziewać, i nie roi sobie rzeczy nadzwyczajnych.

A do najśmielszych rojeń może uczuć skłonność, kto z dzienników uczy się, co rolnicy robić powinni, by dochody podwoić, potroić, pomnożyć w dziesięcioro. Najczęściéj rady te przebrzmiewają bez skutku. Zdarza się wszakże czasem, że pomysł jakiś, silnie w całéj prasie poparty, znajduje wykonawców. Powodzenie ich zachęca dzienniki do gorętszego zalecania zbawczego środka. Wkrótce ilość naśladowców wzrasta do tego stopnia, iż wskutek powiększonéj podaży, to, co miało dźwigać zachwianych, stać się może przyczyną upadku.

Któż z nas nie czytywał powtarzanéj przez czas długi teoryi, że z powodu spadku cen zboża, należy produkcyę ziarna zastąpić produkcyą rozmaitych nasion? Zapomniano, że nasiona są właśnie tym produktem rolnym, którego konsumcya powiększyć się prawie nie da. Można przypuścić, że zwiększona ilość wyprodukowanych

korcy pszenicy lub centnarów mięsa znajdzie jeszcze nabywców między tymi, którzy przez obniżeenie cen zyskają możność zaspokojenia głodu, ale zupełnie inaczéj przedstawia się położenie, gdy mowa o nasionach. Gdyby ze wzrostem produkcyi nasienia buraków cukrowych, chciano powiększyć w tym samym stopniu obszar ziemi, na którym nasienie to ma być użyte, nadprodukcya musiałaby przybrać rozmiary niesłychane, wzrastając w postępie geometrycznym.

Znawcy utrzymują, że około 100000 pudów nasienia buraczanago pozostało w Cesarstwie i Królestwie z roku przeszłego. Jeżeli rzeczy już dzisiaj tak się przedstawiają, cóż będzie, gdyby wskutek nadprodukcyi cukru zmniejszyła się nagle uprawa buraków, a wraz z tém zmniejszył popyt o nasienie. Przytoczyliśmy ten zrozumiały dla wszystkich rolników przykład na poparcie zdania, że łatwiej w mieście dawać dobre rady, niż korzystać z nich wieśniakom.

O ile powietrze wiejskie staje się dusznėm dla rolników z zawodu, o tyle coraz więcéj nabiéra uroku dla tych, którzy oddychają niém tylko przez kilka tygodni w roku. Wielkie miasta wyrzucają na lato tysiące rodzin z wnętrz swoich na świéżą murawę wiejską. Jest to częściowém zrównoważeniem prądu, centralizującego wszystko w wielkich ogniskach życia i nadającego im coraz większe rozmiary. Inteligencya i kapitały spływają wszelkiemi drogami do wielkich miast. Niechże przynajmniéj cząstkę tego odda miasto wsi w ciągu lata.

Nieraz zastanawiano się nad sposobami zapobiegania szkodliwym następstwom tego prądu. Jednym z takich sposobów jest budowanie domków wiejskich w pobliżu miasta. Dzienniki warszawskie doniosły niedawno, że w Wołominie pod Warszawą, ma stanąć za inicyatywą p. Granzowa, całe zbiorowisko domów mieszkalnych, które ludziom pracującym w Warszawie, umożebnią przemieszkiwanie na wsi przez rok cały. Co zaś ważniejsza, przedsiębierstwo to zorganizowane ma być w ten sposób, iżby rodzina, zamieszkująca dom taki, mogła, spłacając należytość ratami, nabyć go z czasem na własność.

Natychmiast odezwały się głosy, krytykujące ten pomysł. Dowodzono, że miejscowość nie przedstawia wiele dogodności, że warunki kupna będą dla nabywców uciążliwe w porównaniu z możnością nabycia ziemi w bezpośredniém sąsiedztwie, i że wobec tego na powodzenie całego planu liczyć nie można.

Nie oglądaliśmy obszaru, na którym ma stanąć osada p. Granzowa, nie porównywaliśmy projektu amortyzacyi, naszkicowanego

w dziennikach, z rzeczywistemi cenami ziemi pod Radzyminem. O słuszności czynionych zarzutów wyrokować nie chcemy. Wiemy tylko, że źle się stanie, jeżeli niedostatki, jakie zamiar p. Granzowa mieć może, staną się przyczyną zaniechania samego pomysłu. Sądzimy, że w właściwą ujęty formę, mógłby on być pożytecznym. Warszawa należy właśnie do owych ognisk, wabiących ku sobie ludność i rozrastających się kosztem wsi i miast mniejszych. Ze względu na zdrowie jéj mieszkańców byłaby taka tranzlokacya krokiem zbawiennym. Wszak mamy dziś już ogromne dzielnice, nie posiadające ani kawałka trawnika. Dalszy rozrost miasta pogorszy tylko te stosunki. Skoro więc pewna liczba rodzin, nie porzucając zarobku, może przenieść się w warunki pomyślniejsze, należy jéj życzyć, by nic temu nie stanęło na przeszkodzie.

A może to życie w domkach wśród ogrodów, pod cieniem sosen lub brzóz, wpłynie i na usposobienie mieszkańców. Jeżeliby te zmienione warunki bytu rozbudziły zamiłowanie przyrody i wywołały zwrot ku zwyczajom sielskim, powitalibyśmy to życzliwie. Wiek XIX przetwarza narody z właściwą sobie szybkością w wielkie gromady mieszczuchów. Nie pogniewamy się, gdy na tém polu nastąpi częściowa reakcya.

*Tadeusz Smarzewski*

---

# POLEMIKA.

## W kwestyi nazwy Wisły i kolonizacyi pomorskiéj jéj brzegów. — Odpowiedź p. A. Bruecknerowi i St. Ł.

Biorąc udział od lat 15-tu w wydawnictwie „Słownika geograficznego“, spotykałem się nieustannie z całą wielością i rozmaitością nazw geograficznych z obszaru Polski. W téj mechanicznéj przeważnie pracy, zestawiania alfabetycznego nazw i odnoszących się do każdéj szczegółów, dodawała mi wytrwałości myśl— rozwinięta już dawniéj przez Wojciechowskiego w „Chrobacyi“, że nazwy miejscowe są pierwszorzędném świadectwem dla epoki przedhistorycznéj, że zarówno rozmieszczenie takowych, jak i forma językowa, dostarczyć mogą ważnych wskazówek do rozjaśnienia pierwotnych stosunków Do podjęcia specyalnych studyów brakowało mi sił i czasu. ciągłe jednak stykanie się z nazwami wywoływało w umyśle mimowolną działalność klasyfikacyjną i kombinacyjną, prowadzącą do uogólnień, które znajdowały swe potwierdzenie w nasuwających się przy pracy coraz

to nowych szczegółach. Sądząc, że mam prawo i obowiązek nawet, podzielić się z ogółem pracujących spostrzeżeniami, mogącemi rozjaśnić nasze dziejowe początki, uczyniłem to w opracowaniu, poświęconém Wiśle w „Słowniku geograficznym“. Hipotezy moje, nimby pozyskały prawo egzystencyi w nauce, musiały przejść przez chrzest ogniowy krytyki. Moment ten nadszedł nareszcie. Sędziowie kompetentni, których pracę i wiedzę rozległą przywykłem cenić, prof. Brueckner i p. St. Ł. orzekli, [1]) że to, co w swéj naiwności miałem za złoto prawdy, jest.... miką z błędnych kombinacyi uformowaną.

Jednakże sposób, w jaki dokonaną została ekspertyza i niedostateczne umotywowanie wyroku, obudziły we mnie liczne wątpliwości i doprowadziły do przeświadczenia, że jakkolwiek poważnymi uczonymi są obaj moi sędziowie, to ich orzeczenie nie ma w tym razie dostatecznéj powagi, bym mógł poddać się wyrokowi i stłumiwszy popędy miłości własnéj, wyrzec z schyloném czołem: zbłądziłem.

Nie spieszyłem się z odpowiedzią, pragnąc, by „czas i cicha rozwaga“ dopomogły mi do osiągnięcia możliwéj obiektywności w ocenie zarzutów, czynionych mym hipotezom. Mam nadzieję, że bezstronni czytelnicy, a może i krytycy moi, przyznają, żem nie napróżno i nie przez samolubny opór zaapelował od wyroku wydanego na me pomysły.

---

Prof. Brueckner w ocenie mego wywodu nazwy: Wisła, posługuje się metodą właściwą może dla felietonisty, goniącego za efektem i prześlizgującego się po kwestyach, metodą używaną też często w polemikach politycznych, ale nieodpowiednią całkiem w ocenach naukowych. Zamiast poddać rozbiorowi podstawy mego wywodu, zasadza p. Br. autora w towarzystwie Dębołeckiego i t. p. etymologów. Nie poświęciwszy chwilki zastanowienia nagromadzonym przezemnie faktycznym danym, orzeka z wielką stanowczością, iż w wywodzie moim „błąd na błędzie siedzi i błędem pogania“.

Nie będąc lingwistą, zasięgałem przed ogłoszeniem mego wywodu rady ludzi, znanych z wiedzy lingwistycznéj i prac na tém polu dokonanych. Po ogłoszeniu oceny p. Br. udałem się ponownie do jednego z przedstawicieli lingwistyki w Warszawie z prośbą o wskazanie mi tych „błędów siedzących jeden na drugim“. Jak poprzednio tak i teraz odpowiedziano mi, że jakkolwiek mój wywód przedstawia pewne trudności i wątpliwości, jednakże zasadom nauki w niczém nie uchybia i ma wszelkie prawo bytu w formie hipotezy.

Co jednak sprzeczném jest niewątpliwie z wymaganiami nauki, to zakaz p. Br., zabraniający dochodzenia początku i znaczenia nazwy „Wisła“. Dość nam wiedzieć, że nazwa ta jest słowiańską, o czém już i uczeni niemieccy mają być według p. Br. przekonani. Być może, iż moje nieuctwo lingwistyczne jest tego przyczyną, lecz wyznam szczerze, iż nie mogę pojąć, jakim sposobem p. Br. dowiedzie słowiańskości nazwy: Wisła, jeżeli nie będzie umiał objaśnić jéj pochodzenia ni znaczenia. Przytém, jeśli dzisiejsza forma nazwy jest także pierwotną (p. Br. odrzuca formę: Wistła, przyjętą przez Hanusza i Karłowicza), to jak wyjaśnić te szczególne przechowanie się bez zmiany nazwy, niezrozumiałéj oddawna a powtarzanéj od wielu tysięcy lat przez miliony różnoplemiennéj ludności?

Znane są zapewne p. Br. prace Karłowicza i Malinowskiego, zajmujące się objawami etymologii ludowéj w naszym języku. Jeżeli przeciąg kilku wieków wystarczył do przekształcenia nazwy: Szawłowice na Sadłowice, Skwierniewice na Skierniewice i t. p., to czyż można przypuścić, by nazwa: Wisła stanowiła wyjątek?

---

[1]) „Ateneum“, zeszyt czerwcowy str. 576—583.

Co się tyczy formy: Wystryca, to istotnie takowéj zarówno w Chorwacyi jak na Szlązku, wreszcie na Pomorzu gdańskiém (już w XIII w.) zwalać na wpływy niemieckie jest chyba nieco ryzykownèm. Jeżeli przy samém ujściu Wisły spotykamy rzeczkę, zwaną w dokumentach: Wstryca albo Stryca i starożytną osadę zwaną dotąd Bystra, są to wskazówki, których poważny badacz lekceważyć nie powinien. Wiadomo przecie, że wszystkie niemal rzeki polskie i jeziora mają nad swemi brzegami jednoimienne starożytne osady (Warta, Pilica, Nida, Ner).

Jeżeli więc u źródeł Wisły spotykamy rozległą, ale późniejszego pochodzenia wieś Wisłę, a przy ujściu starożytną osadę, zwącą się Bystra, to związek téj ostatniéj nazwy z pierwotném mianem rzeki przedstawia dość znaczne prawdopodobieństwo, zwłaszcza wobec pierwotnego znaczenia nazwy (bystra=jasna).

Prof. Br. zgadza się na przypuszczenie związku między starożytną nazwą Dunaju (Ister, Wister) a nazwą Wisły, potwierdza tradycyę o nazywaniu Wisły przez Słowian wschodnich Białą wodą (jeszcze w XVI w.), mimo to jednak odtrąca z oburzeniem mą hipotezę, jako niedorzeczność, z téj racyi jedynie, że *b* i *w* oraz *y* i *i* „nie spadają się (?) pierwotnie w językach słowiańskich.“ Szkoda jednak, że p. Br. nie wskazał czasu, od którego te brzmienia zaczęły się „spadać“ i nie podał innych, silniejszych nieco argumentów, poczerpniętych z ustalonych w lingwistyce zasad, gdyż swoim wywodem raczéj wzmocnił prawdopodobieństwo méj hipotezy niż ją obalił.

---

Druga moja hipoteza, przyznająca Pomorzanom rozniesienie kultury w dolinie Wisły, nie pozyskała również uznania, ani ze strony p. Br., który ją potępił w pobieżnéj wzmiance, ani u p. St. Ł., motywującego swój wyrok nieprzychylny w obszerniejszym referacie. Że każde nowe rozwiązanie zagadnienia naukowego z trudnością toruje sobie drogę do umysłów ludzkich, że uczeni, którzy długoletnią pracą doszli do ustalonych poglądów, niechętnie przyjmują, a skwapliwie odrzucają teorye czy hipotezy niezgodne z ich pojęciami, chociażby takowe popierał geniusz Kopernika czy Darwina, jestto fakt bardzo zwykły i naturalny.

Nie dziwię się wcale, że p. St. Ł. przeczytawszy skromny rozmiarami i ubogi w erudycyę wywód, skreślony przez słabo przygotowanego nowicyusza na polu dziejopisarskiém, wzruszył ramionami i powiedziawszy sobie z góry, że hipoteza moja jest niedorzecznėm urojeniem, uważał, iż lekkie dmuchnięcie wystarczy do obalenia tego domku z kart. Dmuchnięciem swém jednakże pozbawił p. Ł. mój wywód, co najwyżéj kilku nazw miejscowych, które bez trudu mógłbym zastąpić innemi, ale zrąb budowli, przeoczony przez szan. krytyka stoi niewzruszony.

Nie wątpiąc o dobréj woli i sumienności p. Ł., poproszę go naprzód o przyznanie, że jeden z głównych argumentów, mających obalić mą hipotezę, a mianowicie powołanie się na powszechność nazw: Czersk, Czerwińsk, Płock, Wyszogród i t. p. w całéj Słowiańszczyznie, nie ma tu żadnego znaczenia.

Nazwy powyższe mogą być powszechne w Czechach lub Chorwacyi, nad Elbą i Odrą, a mimo to na obszarze Polski występują one tylko w dorzeczu Wisły. Twierdząc, iż nazwy te są pomorskiemi, nie miałem wcale myśli odejmować im ogólno-słowiańskiego charakteru.

Drugim argumentem mego krytyka jest występowanie niektórych z przytoczonych przezemnie nazw, na obszarach oddalonych od doliny Wisły. Na to ze stanowiska méj hipotezy można odpowiedzieć, że skoro przyjmiemy kolonizacyę pomorską w dolinie Wisły i jéj dopływów, to trzeba przypuszczać, iż pojedyncze

osady mogły być złożone przez Pomorzan i na dalszych obszarach, a szczególniéj w pogranicznéj Wielkopolsce. Jeżeli nazwa „Urzuty“ noszona przez starożytne osady pod Gdańskiem, około Czerska i pod Opatowem (naprzeciw ujścia Dunajca) pojawi się téż w XII w. w Wielkopolsce pod Żninem, by zniknąć bezzwłocznie, to ten ostatni fakt nie tylko że nie obala méj hipotezy, ale raczéj ją potwierdza. Nazwa „Urzuty“ nie przyjęła się w Wielkopolsce, bo tam wpływ pomorski nie znalazł dla siebie przyjaznego gruntu, przy wyższym stopniu miejscowéj kultury. Inne przykłady przytaczane przez p. Ł. mają niekiedy z podanemi przezemnie nazwami wspólność źródłosłowu nie zaś formy, jak: Brody i w moim spisie: Bródno, a czasem łączy się tylko podobieństwo brzmień, jak mój „Serock“ z powołaném przez p. Ł. Srockiem i Sroczkowem. Takie znowu nazwy, jak Nieszawa, Stężyca, Szczecin, Izbica, Brus, występując w okolicach Kazimierza, Krasnegostawu, Wiślicy, stanowią właśnie potwierdzenie méj hipotezy, rozciągającéj wpływ pomorski aż pod Kraków, którego nazwa powtarza się jedynie w nazwach osad z okolic Gdańska.

Trzeci zarzut krytyka tyczy się drobnéj liczby nazw, przytoczonych na poparcie méj hipotezy. Co znaczy, woła z ironią p. St. Ł., te 50 nazw wobec setek osad pomorskich i tysięcy wsi rozłożonych w dolinie Wisły. Szanowny krytyk zapomina o tém, że w czasach, do których się odnosi ma hipoteza, liczba osad musiała być o wiele mniejszą od całéj ilości znanych nam z późniejszych znacznie dokumentów, przytém znaczna część tych pierwotnych osad zmieniła nazwy lub znikła. Wreszcie, gdy chodzi o dowody rozszerzenia przez obcych przybyszów wyższéj kultury, drogą podboju czy stosunków handlowych, tam śladów ich wpływu doszukać się można tylko w nazwach głównych punktów: grodów i targowisk, inne osady mogły zatrzymać swe dawniejsze nazwy, albo téż powstały przeważnie w czasach późniejszych, w skutek pracy kolonizacyjnéj innych plemion. Zaliczenie Węgrowa i doliny Liwu do sfery wpływów pomorskich, wywołuje wesoły nastrój u krytyka, który prędzéjby gotów doszukiwać się tu przybyszów z nad Cissy i Dunaju, niż z nad Baltyku. Otóż na nieszczęście Węgrów zwał się zapewne Wągrów i nic nie miał wspólnego z nazwą, dawaną u nas Madziarom. Przytém jeżeli szan. krytyk zechce przejrzéć „Zbiór wiadomości do antropologii krajowéj“, to znajdzie tam ku swemu zdumieniu, pewne poparcie méj niedorzecznéj hipotezy w rezultatach badań archeologicznych w dolinach Liwu i Nidy. Poszukiwacze, którym się nie śniło o hipotezie pomorskiéj, niezależnie od siebie rozkopujący cmentarzyska w dwu odległych okolicach, dochodzą do wniosku (zgodnego z opinią Ossowskiego odnośnie do doliny Wisły), że przedmioty znalezione nad Liwem (w Popowie ?) i w Rembowie pod Pińczowem (przytaczam z pamięci, niemając książki ni notatek pod ręką), przedstawiają wielkie podobieństwo z wykopaliskami pomorskiemi.

W szeregu zarzutów czynionych mi przez p. St. Ł., nie spotykam najważniejszego, jaki można stawić hipotezie historycznéj, zarzutu sprzeczności, ze znanemi, pewnemi faktami dziejowemi. Wprawdzie brak wszelkich danych dziejowych nie uprawnia pierwszego lepszego domysłu, ale przy podobnym stanie rzeczy nauka ma prawo i obowiązek korzystać z najdrobniejszych nawet wskazówek, mogących rozjaśnić ciemnie przeszłości. Ni z pism autorów starożytnych, ni od późniejszych geografów, podróżników, kronikarzy, nie otrzymujemy żadnych wskazówek o ludności doliny Wisły, jéj składzie plemiennym, organizacyi politycznéj, kulturze. Dopiéro, gdy młode państwo Piastów rozszerzy swe panowanie na okolice Krakowa i posunie swe kasztelanie ku wschodowi, dosięgnie ono Wisły, która

jednak w swém wschodniém wygięciu, płynąć będzie po za linią kresowych grodów, trzymających się przeważnie dolin Bzury i Pilicy.

Niech szan. krytyk zechce rzucić okiem na kartę Wielkopolski, dołączoną do kodeksu Zakrzewskiego i wybrać z niéj nazwy starych grodów. W spisie tym spotkamy miana: Żnin, Żoń, Szrem, Wałcz, Giecz, Przedecz, Ląd, Poznań, Kościan, Wieleń, Krobia, Wschowa, Gniezno, Mogilno, Rogoźno, Trzemeszno, Nakło, Kruszwica, Kalisz, Włodsław, Dupin, Krzywin, Zbączyń i t. d. Kiedyś zapewnie lingwiści wyjaśnią nam właściwości językowe i znaczenie, kryjące się w różnorodnych formach nazw miejscowych, dziś możemy tylko na podstawie saméj odrębności form, dojść do wniosku, że ludność, która pozakładała i ponazywała te grody, musiała różnić się pod względem składu plemiennego, narzecza i kultury od mieszkańców doliny Wisły, którzy swym grodom i targowiskom ponadawali nazwy: Czersk, Czerwińsk, Płock, Raciąż, Serock, Solec, Kamień, Nieszawa, Stężyca, Kraków, którzy mieli upodobanie do nazw jak: Lublin, Modlin, Parlin, Paplin, Pelplin, Dęblin. [1])

P. Ł. w przystępie dobrego humoru proponuje na poparcie méj hipotezy nazwy takie, jak: Piaski, Smolin, Lisidół, Kamień... Widocznie sam krytyk zapomniał o tém, że jak w pewnych wybitnych jednostkach streszcza się i uosabia życie i działalność milionów tak i w pewnych nazwach miejscowych skupia się kultura, któréj elementy wyrabiają się powoli w niezliczonych Smolinach, Piaskach i Lisich dołach. Jednakże osady te nie będą figurować na kartach dziejów.

Co się tyczy nazwy: Kamień, to prócz wyliczonych w moim wywodzie przykładów rozmieszczenia téj nazwy, przypominam dokument dla Mogilna, w którym ta nazwa użytą jest jako miano punktu kresowego nad Wisłą. Jakie miała znaczenie trudno odgadnąć, można jednak z samego rozmieszczenia osad domyślać się tu jakiegoś pierwiastku religijnego czy kulturalnego—kamienia obrzędowego, targowego, granicznego. Powtarzanie się nazw głównych osad nadrzecznych wraz z jednością, cechującą napotykane w dolinie Wisły zabytki archeologiczne, pozwalają domyślać się nie tyle jedności plemiennéj w zaludnieniu pasa długiego na 150 mil—ni jedności kultury pierwotnéj, lecz przewagi wyższéj kultury jednego z plemion, wchodzących w skład zaludnienia brzegów téj wielkiéj drogi wodnéj. Przypuszczenie to popiéra także analogia późniejszych stosunków.

Od XIII w. śród różnoplemiennéj ludności doliny Wisły odgrywać będzie rolę dominującą, na całej linii od Gdańska do Krakowa, żywioł niemiecki i to nie na podstawie przewagi liczebnej lecz siłą kultury, opartéj na hadlu i przemyśle. Podobną rolę w wiekach poprzednich odegrali tu Pomorzanie. Milczą o tém roczniki i kroniki, milczy tradycya, bo takie zjawiska, jak powolne podboje kulturalne, prądy kolonizacyjne, nie działają na wyobraźnię, ni streszczają się w wydatnych faktach i postaciach. Spotykamy jednakże w kronice Kadłubka ciekawy i ważny wielce dowód przeniesienia dziejowych tradycyi Pomorzan w głąb Polski, w jego wzmiance o wojnach Polaków z ludami zamorskiemi, zdobywania wysp duńskich, wzięcia do niewoli Kanuta. Wprawdzie prof. Br. uważa to za „fantazye kronikarskie", lecz w ten sposób możnaby usunąć ze źródeł dziejowych wszelkie świadectwa, przeszkadzające naszym teoryom. Zapewne, nie zawsze można wierzyć Kadłubkowi, lecz w powołanych ustępach niepodobna dopatrzéć ni tendencyjnego zmyślenia dla celów moralizatorskich, ni naiwnéj kombinacyi dziejopisarskiéj.

---

[1]) Przy téj sposobności nie zaszkodzi zaznaczyć, że znana tak w Warszawie i rozmaicie objaśniana nomenklatura: Krzywe Koło, powtarza się na całym obszarze Polski podobno raz tylko w nazwie staréj wsi pod Gdańskiem.

Dochodzę do końca mego zadania. Rozpatrzyłem tu po kolei wszystkie zarzuty czynione moim hipotezom. Żaden z nich nie naruszył ich podstaw. Że moje przypuszczenia nie podobały się krytykom i zostały przez nich przyjęte z lekceważącą ironią, to uwydatnia się w każdym ustępie ich oceny, rezultat jéj przecie stanowi dla tych hipotez ważny a pomyślny moment, pozwalający im wróżyć dłuższą trwałość i oczekiwać spokojnie nowych, więcéj zasadniczych zarzutów.

*Żegiestów, 28 Lipca 1895.*

*Br. Chlebowski.*

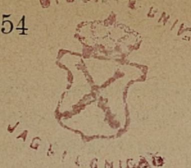
# NEKROLOGIA.

† **Władysław Drużyłowski,** urodzony w r. 1836 w Płocku, odbywszy studya gimnazyalne tamże, udał się w r. 1853 do uniwersytetu moskiewskiego, gdzie skończył wydział medyczny. Powróciwszy do kraju, obok praktyki zajmował się i piśmiennictwem, pomieszczając rozprawy swe w „Kronice lekarskiéj“. Prócz tego i inne dziedziny pociągały go ku sobie, tłómaczył dzieło Thierrego: „Zdobycie Anglii przez Normandów“, Reclusa: „Opis ziemi“ i in. Był to człowiek nadzwyczaj prawy i dobroczynny. Zmarł w Płocku w Lipcu r. b.

† **Teodor Jendl,** urodzony r. 1861 w Galicyi, odbywszy studya lekarskie najprzód w Krakowie, potém w Paryżu u Charcota, zajmował się leczeniem chorób nerwowych i pisywał do dzienników zarówno we Lwowie jak w Warszawie. Za czasów akademickich wydawał z Janem Pawlikowskim „Przyszłość“. Potém napisał studyum o Bourgecie, ogłosił odczyt „Newroza a pesymizm“, oraz dużo artykułów, jak: „Mgławica myślowa“, „Szkodliwi“, gdzie protestował przeciw apoteozowaniu morderców z miłości i t. p. Zmarł we Lwowie 22 Lipca samobójczo, wskutek wyczerpania nerwowego.

† **Zbigniewa Zmorska,** córka głośnego niegdyś poety Romana, zaznaczyła swe krótkie życie kilkunastu utworami beletrystycznemi, drukowanemi w czasopismach. Zmarła 21 Lipca w Warszawie.

† **Antoni Zaleski,** publicysta barwy zachowawczéj, urodził się r. 1858 w Stodółce gub. Podolskiéj, kształcił się w szkołach krakowskich, a potem wyjechał do Pragi czeskiéj by odbyć studya techniczne. Tu atoli pulsujące żywo tętno walk politycznych zwróciło go w stronę publicystyki. Został najprzód korespondentem dziennika zachowawczego w Krakowie, potem pisywał do „Echa“, wydawanego w Warszawie przez Zygmunta Sarneckiego, a w r. 1882 przy pomocy koła przyjaciół założył nowy dziennik polityczny w Warszawie p. t.: „Słowo“, podpisywał je jako wydawca, a prowadził dział polityczny. Oprócz mnóstwa artykułów tu pomieszczonych, ogłosił w oddzielnéj książce swoje wrażenia z podróży do Konstantynopola, a wraz z Włodzimierzem Zagórskim napisał powieść tendencyjną p. t.: „Pan Radca“, która miała w swoim czasie rozgłos znaczny. Zmarł w Warszawie 9 Sierpnia.



# SPROSTOWANIA.

W zeszycie sierpniowym „Ateneum“ do artykułu „Narodziny poety-romantyka“ zakradły się następujące omyłki:

Na str. 242 w wierszu 21 od góry zamiast *Troczewska* powinno tyć *Traczewska;* na str. 251 w w. 7 od góry zamiast *byli* powinno być *będą*; na str. 252 w przypisie pierwszym powinno być *„Dawna Akademia wileńska”;* na str. 253 w w. 9 od góry zamiast *komitetów* powinno być *konwiktów;* na str. 254 w w. 12 i 13 od góry czytać należy: *pomnąc*, *że z ludźmi rozsądnymi sprawa*, *choć z dziećmi sprawa;* na str. 259 w w. 9 od góry po wyrazie *będą*, dodać trzeba *odtąd*.





# NOWE KSIĄŻKI

## nadesłane do redakcyi „ATENEUM".

---

1. *Amand Schweiger-Lerchenfeld.* **Geografia powszechna illustrowana,** Przełożył i uzupełnił dr. *Karol Jurkiewicz.* Warsz. nakł. M. Orgelbranda. Zesz. 35 i 36, str, 121—168 (cena zesz. kop. 25, z przesyłką k. 30).
2. *Estejo.* **Mgławica.** Powieść. Warsz. nakł. S. Lewentala (1895) 8-vo, tom I str. 229, t. II str. 225.
3. **Encyklopedya rolnicza** wydawana staraniem i nakładem Muzeum przemysłu i rolnictwa w Warszawie, zesz. XLVIII i XLIX, str. 385—544. („Koń"—„Krochmalarnia").
4. **Gymnasiale Bildung** und sittliche Erziehung der Jugend von *Alethagoras*, Gymnasiallehrer. Braunschweig, Verlag v. Otto Salle, 1894, 8-vo, str. 50.
5. *Karol Lamb.* **Powieści Szekspira**, osnute na tle jego dramatów i tragedyi. Przełożył *A. Lange.* Warsz., nakł. księgarni T. Paprockiego i S-ki, 1895, 8-vo, str. XIII i 474.
6. **Obraz literatury powszechnéj** w streszczeniach i przykładach ułożyli *Piotr Chmielowski* i *Edward Grabowski*, zeszyt VII, Warsz., nakł. księg. T. Paprockiego i S-ki, 1895, 8-vo (str. 481—511 + V + 1—48).
7. Wiadomości historyczne **o pasiarni Radziwiłowskiéj w Słucku** napisał *Aleksander Jelski.* Kraków, nakład Akademii Umiej. 1894, st. 38.
8. **„Synok"** opowiadanie z prawdziwego zdarzenia, rodzicom i dzieciom dla przestrogi Podał *A. I.* Petersb. 1895, str. 13 (cena 5 kop.).
9. *Stefan Żeromski.* **Opowiadania.** Warsz., nakł., księg. T. Paprockiego i S-ki, 1895, 8-vo str. 296.
10. **Obliczanie robót ziemnych** na stokach. Napisał *R. Niewiadomski* inż. Warsz. nakł. Redakcyi „Przeglądu Techn." 1895, 8-vo, str. 31 i tablica rysunków.
11. **Słownik języka polskiego**, ułożony pod redakcyą *Jana Karłowicza, Adama Kryńskiego. Władyzława Niedźwieckiego* i *Józefa Przyborowskiega.* Arkusz próbny. Warsz., 1895,
12. **Na strunach serca.** Poezye *Witolda Leitgebra.* Inowrocław, nakł. księg. „Dziennika Kujawskiego" 1895. 8 vo, str. 102.
13. **O pochodnéj spółgłosce** końcowej **j** w języku polskim i w niektórych innych językach sławiańskich. Napisał dr. *G. Blatt.* Kraków, nakład Akademii Umiej., 1895, 8-vo, str. 23.
14. **Kto jest twórcą nauki o transformizmie** i ewolucyi organizmów. Napisał *Michał B. Wierzbowski*, 8-vo, str. 7.
15. **Przygody Marynki Wójnikówny** na warszawskim bruku. Opisała *Marya-Czesława.* (Wydawnictwo „Gazety Świątecznéj" i Księgarni Krajowej). Warsz. w księgarni K. Prószyńskiego, 1895, str. 24, (cena kop. 5).
16. **L'Organisation spontanée** de la société politique par *Sigismond Balicki*, Paris, 1895, 8-vo, str. 45.
17. *A. Lange.* **Poezye.** Część I. Kraków, 1895, 8-vo, str. 232.
18. **O pożywieniu polskiéj ludności** włościańskiéj. Napisał *Bronisław Peltyn.* Warsz. 1895, 8-vo, str. 52.
19. **Gawędy starego szewca.** Serya pierwsza. (Wydawnictwo na korzyść obucia dzieci na Kolonie letnie). Warsz., skład gł. w księgarni M. A. Wizbeka, 1895, str. 152.
20. *B. Chawskij.* **W sądzie przysięgłych.** (Wydanie księgarni P. K. Prianisznikowa, N. 25), Moskwa, 1895, str. 32 (po rosyjsku).
21. **Ljetopis Jugoslavenske Akademije** znanosti i umjetnosti za godinu 1894, Zagreb, 1895, 8-vo, str. 206.

---

**Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.**

